

Craig
Russell

strach
przed
ciemną wodą

Wydawnictwo
ab
two

CRAIG

RUSSELL

**STRACH PRZED
CIEMNĄ WODĄ**

przełożyła Agnieszka Lipska-Nakoniecznik



Dla Johnatana i Sophie

Und das Meer gab die Toten, die darin waren.

Objawienie Jana 20:13, Biblia Lutra

I morze oddało martwe ciała tych, którzy w nim spoczywali.

Księga Objawień Jana 20:13, Biblia Króla Jakuba

PROLOG

Talasofobią nazywamy strach przed wielkimi, głębokimi zbiornikami ciemnej wody, takimi jak morza czy jeziora, w których nie widać dna. Wyszczególniona jako osobny rodzaj fobii, nie jest powiązana z hydrofobią lub innymi fobiami dotyczącymi wody, wydaje się raczej spokrewniona z agorafobią, czyli lękiem przed otwartą przestrzenią.

To nie jest strach przed wodą jako taką. To strach przed pustką: przed tym, co kryje się pod powierzchnią.

Klabautermann to postać, która często pojawia się w opowieściach marynarzy pochodzących z terenów północnych Niemiec.

Istnieją dwie wersje postaci Klabautermann: w jednej jawi się on jako przyjazny i pożyteczny morski elf, który pomaga ludziom naprawiać przeciekające statki albo wyprowadza je na bezpieczne wody; w drugiej jest wrogim demonem, który mąci w głowach żeglarzy i wiedzie ich łodzie na zatracenie. W obu wersjach powtarza się jeden element: Klabautermann jest prawie dla wszystkich niewidzialny.

Jeśli przypadkiem zdołasz dostrzec Klabautermann, może to oznaczać tylko jedno: że niebawem czeka cię śmierć.

ROZDZIAŁ 1

Piętnaście lat przed burzą

Za głęboko.

Korn znowu stuknął pięścią we wskaźniki łączności „Pharosa One”. Słyszał głos Wieganda, lecz transmisję wciąż coś przerywało. Nie było żadnych trzasków ani syków, bo cyfrowy system łączności nie jest wyposażony w szereg funkcji, nie przechodzi w różne fazy działania, lecz po prostu: sygnał albo dociera, albo nie. Niepokój Wieganda dochodził do Korna w postaci urywanych sylab i ciszy. W postaci okruczeństw słów. Ostre, przesywających.

Ponownie zerknął na licznik głębokości. O Chryste, jak głęboko! Za głęboko. Zanurzał się coraz głębiej. I coraz szybciej. Trzy tysiące metrów. Trzy tysiące dwieście. Trzy tysiące sześćset. W ogóle nie odczuwał, że spada, zmierza w dół... To nieustępliwe zatapianie pokazywały jedynie odczyty na liczniku głębokości.

Poniżej znajdował się rów, a dookoła była tylko woda: lodowata, gęsta, miazdząca. Czarna jak smoła.

To był inny wszechświat. Inna rzeczywistość.

„Pharos One” przebył najkrótszy ze swych dystansów. Jak dotąd cała podróż wyniosła zaledwie trzy i pół kilometra. Na łodzi taką odległość bez wysiłku można pokonać pieszo w trzy kwadransy... Jednak Korn znajdował się obecnie w miejscu tak odległym od ludzkości jak kosmos. Jak księżyc.

Cztery tysiące metrów.

Teraz zatrzymał się nad krawędzią otchłani – w dosłownym tego słowa znaczeniu. Właśnie tutaj zaczynała się strefa prawdziwej morskiej głębi. Woda wokół kapsuły nie kojarzyła się z pojęciem przezroczystej cieczy. W głębokich, ciemnych warstwach oceanu, w pozbawionym dostępu światła wszechświecie wszystkie żywe stworzenia wiodły życie ślepców.

Odczyty wskazywały, że temperatura na zewnątrz zbliża się do zera, a mimo to woda pozostawała w stanie ciekłym, ze względu na wysoki stopień zasolenia. To wciąż był płyn, lecz o trudnej do wyobrażenia, miazdzącej gęstości. Korn wiedział+, że ciśnienie już czterysta razy przekraczało to panujące na powierzchni morza i że wraz z zanurzaniem się „Pharosa One” co dziesięć metrów obniżał się o kolejną atmosferę.

– Straciłem stery – wrzasnął do mikrofonu. – Deska rozdzielcza przestała działać! Musicie spróbować wydostać mnie stąd zdalnie...

Z głośników popłynęło kilka ostre, poszarpanych skrawków ludzkiego głosu. Korn zdawał sobie sprawę, że jego wypowiedzi w takiej samej formie docierają na macierzysty statek na powierzchni morza. Skoro nie działała podstawowa komunikacja, nie było szans, by udało się im utworzyć niezawodne połączenie na odległość. Zresztą nawet gdyby jakimś cudem zdołali się z nim połączyć, to i tak nie było żadnych gwarancji, że nieznana awaria, która odebrała mu możliwość sterowania podwodną jednostką, nie zerwie także łączności nawiązanej przez komputer.

Znów zadźwięczało kilka pogruczotanych sylab.

Korn nawet nie próbował odpowiedzieć. Starał się skoncentrować. Albo ściślej rzecz ujmując – starał się uspokoić galopujące myśli i uwolnić umysł od paniki, żeby być w stanie *pomyśleć*. Dlaczego główny silnik „Pharosa One” przestał działać? Czemu nie udaje mu się zapanować nad sterami? Z jakiego powodu podwodna jednostka doświadczyła tak katastrofalnej utraty pływalności? Wyglądało na to, że padł cały system. Mimo wszystko Korn był pewien, że

silniki są w porządku, podobnie jak mechanizm sterowniczy. To raczej wina elektroniki, nie systemów mechanicznych. Dlaczego tego nie przewidział? Pomagał projektować „Pharos One”, osobiście stworzył cały system elektroniczny i razem z Wiegandem zaplanował system bezpieczeństwa... Jak więc mogło dojść do tego?

Korn angażował się przy tworzeniu „Pharos One”, dlatego wiedział, że – w przeciwieństwie do batyskafu – jego jednostka nie będzie zdolna do szybkiego wynurzenia się. Mieszanina benzyny i stabilizowanego przez elektromagnesy balastu znacznie ograniczała jej możliwości. Jednak Korn uparł się, że musi stworzyć podwodny statek, zdolny do osiągnięcia znaczących głębokości, który do tego w takim środowisku będzie potrafił „fruwać”. Problem w tym, że bez siły napędowej ciężar kapsuły w końcu pociągnie ją na dno.

Przez bezpieczne kwarcowe szkło Korn popatrzył w ciemną głębię; strumienie światła z jodowych reflektorów wydobywały z mroku skierowaną ku górze zamieć złożoną z drobnych cząsteczek. Nagle w zewnętrznych światłach nawigacyjnych błysnęło coś bladawego. Splątany szkarłupień, podobny do zagubionej koronkowej serwetki, bezwładnie przedryfował tuż obok okna. Jedyna forma życia, jaką Korn zdołał tu zobaczyć. Oczywiście jeśli można nazwać to życiem, pomyślał. Pozbawione krwi stworzenie, zdolne do regeneracji części własnego organizmu, do reprodukcji całkiem nowej istoty z utraconego czułka... Stworzenie z rodowodem sięgającym sześćdziesięciu pięciu milionów lat wstecz.

Nie powinienem był się tutaj znaleźć, przemknęło mu przez głowę, gdy obserwował niknącego z pola widzenia szkarłupnia. To nie była przelotna myśl, lecz prawdziwe objawienie. Odrzucał tym samym całe lata badań, ciężkie miliony włożone w tę inwestycję. Poświęcenie całego życia. Nie powinienem tutaj być. Nieoczekiwanie uderzyła go myśl, że obecność człowieka w tym miejscu jest tak samo absurdalna, jak byłoby pragnienie szkarłupnia, który przed chwilą przepłynął obok, aby zbadać rejony Mount Everestu. Nie mam prawa tu być. To nie jest nasz świat. Korn pomyślał o wszystkich godzinach, o wysiłku, o pieniądzach, jakie utopił w projekcie „Pharos”. O milionach, które pochłonęło całe przedsięwzięcie.

Opróżnić. Usłyszał jedno pełne słowo wypowiedziane przez Wiegandę, zanim odbiornik zamilkł na dobre. Opróżnić. Ale co opróżnić? To słowo wyjątkowo pasowało do czarnej, druzgocącej pustki, która go otaczała. Wyglądało na to, że Wiegand starał się coś mu przekazać. Korn po raz kolejny spróbował nawiązać kontakt z macierzystym statkiem, ale bez rezultatu. Z całej siły uderzył pięścią w kontrolkę głównego zasilania. Nic. Deska rozdzielcza uparcie milczała. Umrę tu, przemknęło mu przez myśl. Umrę i nikt nigdy nie odnajdzie mojego ciała. Zasłużyłem sobie na to, bo nie powinienem był się tutaj znaleźć.

Skrzypienie.

Coś zadudniło nisko i jęknęło, jakby w głębi otchłani zamruczało jakieś morskie stworzenie. Ale Korn wiedział, że to jęczą wręgi pokrywy ochronnej. Desperacko rozejrzał się po kabinie – po tej ciasnej, klaustrofobicznie zatłoczonej przestrzeni, wyprodukowanej ze specjalnie wzmocnionej stali – i przesunął wzrokiem po grubym szkłe kwarcowym iluminatorów. Może koniec nastąpi szybko. Oczyma wyobraźni ujrzał samego siebie – jak spoczywa na dnie rowu, schwyty w pułapkę, unieruchomiony, i popadając w szaleństwo, czeka, aż minie sto godzin i wyczerpie się zapas tlenu. Jak krzyczy z rozpacz i drapie paznokciami ściany swojego więzienia. Nagle zdał sobie sprawę, że „Pharos One” wkrótce przekroczy parametry bezpieczeństwa. Może zabije go jeden z nitów, który wystrzeli z łożyska jak pocisk, uwolniony przez ogromne ciśnienie napierającej zewsząd wody. Albo co bardziej prawdopodobne, zostanie zgnieciony na śmierć w implozji stali, gdy chroniąca go skorupa zaniecha oporu, jak robak między palcami.

Znów dotarł doń głos Wiegandę. Tym razem głośny i wyraźny.

– Dominik!

Korn popatrzył na wskaźnik zanurzenia. Cztery tysiące osiemset metrów. Pięć tysięcy. O Boże, jak głęboko. Za głęboko. Za głęboko...

– Dominik!

– Jestem! – odpowiedział i zdumiał się, jak matowo brzmi jego własny głos.

W tle słyszał jakiś dźwięk. Niezbyt głośny, lecz trwałe i niezmienny: miękkie, mechaniczne furkotanie. Odgłos pracy silników.

– Posłuchaj, wysiadł nam zespół przyrządów do sterowania. Dominik, słyszysz mnie?

– Słyszę – odpowiedział. – Nie powinienem był się tutaj znaleźć.

– Dominik, słuchaj mnie uważnie. Postaraj się skoncentrować. Załóż kombinezon próżniowy.

– Kombinezon próżniowy?

Nagle Korn poczuł niepokój i znieruchomiał w oczekiwaniu. Głos dochodzący z odległości ponad pięciu kilometrów i z innego wszechświata obudził w nim czujność.

– Do diabła, na co mi kombinezon próżniowy? Jestem przecież na głębokości prawie pięciu tysięcy metrów!

– Mamy odczyt z napędu twojej jednostki. Coś uszkodziło moduły baterii. Mimo wszystko sądzę, że zdołamy cię wyciągnąć. Możliwe, że na powierzchnię, ale może nie...

Korn znowu spojrział na wskaźnik zanurzenia. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, wskazówka tkwiła nieruchomo w jednym miejscu, a potem, nieznośnie wolno, zaczęła piąć się wzwyż.

– Słyszysz mnie, Dominik?

– Słyszę.

Teraz był w pełni świadomy tego, co się dzieje, i cierpiał katusze. Katusze rozbudzonej nadziei.

– Zrobię to. Już to robię.

Wściekle gmerał palcami przy klamrze pasa bezpieczeństwa. W ciasnej niczym trumna kapsule walczył, żeby wyszarpnąć kombinezon ze schowka za fotelem dowódcy, a potem z najwyższym trudem wsunął go na siebie. Neopren i szczelne gumowe mankiety przyłgnęły do ciała tak ściśle, że prawie go udusiły, zaś jasnopomarańczowy kombinezon wydawał się równie obszerny jak namiot. Drugie więzienie, pomyślał Korn.

– Dominik, będziesz musiał się pospieszyć...

Dobiegający z głośników głos Wieganda był napięty i jednostajny. Brzmiał w nim sztuczny spokój, skrywający panikę.

– Posłuchaj mnie, Dominik... Kiedy napęd przestanie działać, opróżnimy wszystkie balasty. To będzie solidna eksplozja i mamy nadzieję, że jej impet wyniesie cię na powierzchnię. Ale to oznacza, że będziesz wynurzał się szybko. Zbyt szybko. Rozumiesz co to oznacza?

– Rozumiem – odparł Korn głosem przytłumionym przez plastikową osłonę kaptura.

– Być może znów utracisz łączność. Stale obserwuj wskaźnik głębokości. Jeśli przekonasz się, że wynurzanie ustało, musisz się wydostać z kabiny i dalej płynąć w samym kombinezonie próżniowym. Być może uda nam się wyciągnąć cię na powierzchnię bez konieczności użycia kombinezonu, lecz jeśli nie, będziesz musiał działać szybko. Inaczej osuniesz się z powrotem na dno, jak kamień. Zrozumiałeś, o czym mówię?

– Zrozumiałem, Peter. Po prostu mnie stąd wyciągnij.

– Mamy zamiar wyłączyć całe zasilanie z wyjątkiem silników i łączności. Trzymaj się, dopóki nie przywrócimy oświetlenia na desce rozdzielczej.

Ciemność. Ciemność, która przekracza wszelkie wyobrażenia o ciemności nocy.

Z początku nie widział kompletnie nic, a potem coś przepłynęło za kwarcowym szkłem iluminatora. Coś, co połyskiwało w dali. Pojedynczy jasny punkcik. Bioluminescencja. Żabnica albo rekin cygaro, który w otchłani wytwarza swoją własną plamkę światła, podobną do światełka w oknie odległego domu. Boja świetlna. Przez sekundę Korn skupił całą uwagę na tym malutkim, słabym migotaniu i wydawało mu się, że ma ono jakieś ogromne, dogłębne znaczenie, którego on nie jest w stanie pojąć.

Nagle deska rozdzielcza znowu rozjarzyła się blaskiem przed jego oczyma. Po ciemności morskich głębin kilka migających przycisków i ledowy wyświetlacz wskaźnika zanurzenia wydały się oślepiająco jasne. Trzy tysiące metrów. Na kombinezonie znajdowała się lampka alarmowa. Kiedy ją włączył, w kabinie nastąpiła prawdziwa eksplozja blasku. Znowu rozległo się skrzypienie. Morze wciąż miało ochotę zetrzeć go na proch w śmiertelnym uścisku.

– Dominik! – Usłyszał znowu Wieganda.

– Zaczynajcie.

– Musimy wyciągnąć cię na przynajmniej sto osiemdziesiąt metrów. Kombinezon próżniowy został przetestowany na tej głębokości. Ty po prostu się odpręż i pozwól, żeby sam wyniósł cię do góry. Kombinezon został tak zaprojektowany, że wynurza się z prędkością trzech metrów na sekundę, więc nie musisz się obawiać dekompresji. Ale musisz wydostać się na zewnątrz, gdy tylko pojawi się ostrzeżenie, że moduł jednak nie dotrze na powierzchnię.

Tysiąc pięćset metrów.

– Nie powinienem tutaj być – powiedział Korn do siebie. – Nie powinniśmy się tutaj znaleźć.

– Powtórz, Dominik...

– Powiedziałem, że nie powinniśmy tutaj być. Nie mamy prawa. Nie wolno nam było okazywać takiej zarozumiałości, takiej arogancji.

– Dominik, musisz się skoncentrować! – Głos Wieganda wdarł się w jego myśli. – Postaraj się nie rozpraszać. Zrozumiałeś?

Dziewięćset metrów. Osiemset.

– Peter, ja jestem skoncentrowany. Jestem bardziej skoncentrowany, niż myślisz...

Woda na zewnątrz stała się odrobinę mniej mroczna. Nie jaśniejsza, mniej mroczna.

– Dominik, nie odrywaj wzroku od wskaźnika zanurzenia...

Stały, uspokajający pomruk silników ustał.

– Peter...

– Dominik, trzymaj się! – dobiegający z komunikatora głos Wieganda brzmiał natarczywie. – Zaraz opróżnij zbiorniki. Trzymaj się!

Tuż obok zamkniętego w kapsule Korna rozległ się grzmot. Ogłuszający grzmot. Ze zbiorników stabilizacyjnych został uwolniony ładunek zdekompresowanej ropy naftowej, a chwilę później stalowy balast wyrwał się z elektromagnetycznego uścisku „Pharos One”. Korn poczuł, że kapsuła się przemieszcza. Gwałtowne szarpnięcie ku górze wbiło go w fotel. Kurczowo zacisnął palce na podłokietnikach i starał się kontrolować oddech, nasłuchując rytmu uderzeń serca, które huczały mu w uszach.

– Peter?

System łączności po raz kolejny przestał działać. Korn znowu był zupełnie sam, tym razem jednak unoszony na fali, podążał w kierunku swego środowiska naturalnego, tego, do którego należał. Do właściwego miejsca, które zostało mu wyznaczone na tym świecie.

Z mrocznej głębi. *De profundis*.

Pięćset metrów. Czteryście. Trzyście. Szybkim ruchem wyłamał czerwoną pokrywę zatrasku wybuchowego pasa bezpieczeństwa i odciągnął osłonę zabezpieczającą. Musiał zrobić

to we właściwym momencie. Dokładnie w tym jedynym momencie. Dwieście osiemdziesiąt metrów. Jeszcze trochę.

Wiedział, co widział przed oczyma, choć starał się o tym nie myśleć. Prędkość, z jaką dotąd się wynurzał, wyraźnie spadła. Dwieście czterdzieści... Dwaście... Teraz jeszcze wolniej. Dwieście metrów. Za głęboko. Ciągle za głęboko. Wskazówka na całą wieczność zatrzymała się na stu siedemdziesięciu.

Teraz! Zrób to teraz! Własny rozsądek krzyczał do niego ze wszystkich sił; Korn wiedział, że impet wywołany eksplozją przy opróżnianiu zbiorników został wykorzystany. Teraz została już tylko jedna droga: z powrotem na dno otchłani. Mimo to jednak coś trzymało go w miejscu, irracjonalna nadzieja, że podwodna kapsuła jakimś cudem przezwycięży uniwersalne prawa fizyki.

Sto osiemdziesiąt.

Utracił dziesięć decydujących metrów, przy okazji zyskując jedną dodatkową atmosferę ciśnienia. Szybko sprawdził, czy pas bezpieczeństwa jest dobrze umocowany, po czym szarpnął przełącznik. Ładunki przy pokrywie eksplodowały, otwierając właz.

To było jak uderzenie przez samochód. Woda wtargnęła do kabiny i z impetem walnęła w oparcie fotela. Intensywny, ostry ból przeszył rękę Korna, niczym stal i przeniknął aż do ramienia. Wiedział, że przedramię jest złamane, ale kiedy dotknął ręki, nie sprawdzał bynajmniej, jak bardzo ucierpiał, lecz upewnił się, czy rękaw kombinezonu próżniowego nie został rozerwany.

Uderzył zaciśniętą pięścią zdrowej ręki w zatrask zwalniający pas bezpieczeństwa, a następnie, ignorując przeszywający ból w drugiej ręce, wygramolił się z miejsca, okrążył fotel i przecisnął się przez jedyny właz „Pharos One”, który znajdował się z tyłu kapsuły. Teraz należało błyskawicznie opuścić tonącą jednostkę, a to oznaczało, że musi jak najszybciej wydostać się na zewnątrz i prędko się oddalić. Wystarczył ciągnący się za nim rękaw albo pas zaplątany w ramię robota i mógłby zakończyć przygodę, uwięziony tutaj, wleczony z powrotem na dno oceanu. Na razie spokojnie mógł przyjąć, że stracił kolejne dziesięć, może nawet dwaście metrów. Nagle znalazł się na zewnątrz, w morskiej wodzie. I odpychał się od kapsuły. Kombinezon ratunkowy izolował go od zimna, nadymając się od uwięzionego w nim powietrza, by dać opór miazdzącemu ciśnieniu, zaś jego wyporność ciągnęła Korna ku górze, w kierunku przeciwnym niż powłoka tonącej kapsuły.

Korn oparł się obiema nogami o jaskrawożółtą pokrywę i mocno odepchnął. Był wolny. Wolny i unosił się ku powierzchni.

Płynąc, obserwował, jak „Pharos One” tonie. W kompletnej ciszy nikał w mroku. Robił się coraz mniejszy, a potem jednostkę pochłonięły głębiny. Korn zerknął na licznik głębokości umieszczony na przegubie kombinezonu. Sto sześćdziesiąt metrów. Liczba ta stale malała.

Udało mu się przeżyć. Było niebezpiecznie, ale udało się. Osiągnął cel.

Przez następne dziewięćdziesiąt siedem metrów wznosił się miarowo w bezpiecznym tempie, bez obaw o chorobę dekompresyjną. Wysoko w górze mógł już dostrzec rozcieńczony blask dnia – wciąż odległy i niewyraźny.

Powierzchnia morza.

To właśnie w tym momencie materiał kombinezonu próżniowego – który zaczepił o jeden z nitów pokrywy i rozciągnął się do granic wytrzymałości, gdy Korn opuszczał pokład „Pharos One” – rozerwał się, eksplodując chmurą srebrnych bąbelków powietrza.

ROZDZIAŁ 2

Dwa tygodnie przed burzą

Meliha posuwała się wzdłuż ulicy, przytulając się do ściany, jakby czerwona cegła przyciągała ją jak magnes. Są na jej tropie. Są na jej tropie i w końcu ją dopadną. Oni zawsze znajdują tego, kogo ścigają. A kiedy już ją znajdą, zapewne ją zabiją. Może nie od razu, tu i teraz. Być może nawet nie w taki sposób, w jaki większość ludzi wyobraża sobie morderstwo. Oni potrafią zabić czyjś umysł, zniszczyć osobowość i pozostawić samo ciało, które żyje, chodzi, oddycha... Ale jako osoba, jako istota, staje się martwa za życia.

Było zimno. Tak strasznie zimno. I mokro. I ciemno. I strasznie bolały ją stopy, bo przeszła pieszo taki kawał drogi. Ale najbardziej dokuczał jej strach. Meliha bała się tych, którzy ją ścigali, ponieważ nie uważała ich za ludzi. Jakimś sposobem osiągnęli to, co zawsze pragnęli osiągnąć i co – jak utrzymywali – byli w stanie osiągnąć, i przez co stali się kimś innym niż zwykłymi ludźmi. Złapała się na tym, że nawet nie myśli o nich jako o odrębnych jednostkach, lecz widzi w nich raczej zbiorową, lecz jedną istotę. Wspólnotę.

Jedność.

Meliha usiłowała odegnąć z myśli strach. Strach był uczuciem, na które tak naprawdę nigdy nie miała czasu. Zawsze była mądrym, odważnym i dociekliwym dzieckiem. Dzielną dziewczynką, która śmiało stawiała czoło światu. Nieustraszenie. *Benim küçük cesur kaplanım*. Tak nazywał ją jej ojciec: moja dzielna, mała tygrysiczka. Wróciła pamięcią do czasów, gdy siadała obok niego i zaczynała rozmowę, zadając jakieś zuchwałe pytanie na temat świata, a on zawsze – niezależnie od pytania – wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie zawsze była to odpowiedź na jej pytanie, ale zawsze otrzymywała odpowiedź. Pewnego razu pokazał jej kryształowy przycisk do papieru, który trzymał na biurku. Przedmiot, który znalazł podczas jednej z niezliczonych podróży, które przez lata odbywał jako geolog. Opowiadał, że piękne przedmioty, takie jak kryształy i drogie kamienie, leżą rozsypane po całym świecie, czekając, aż zostaną odkryte; czasami są zagrzebane głęboko w skałach, czasem znajdują się tuż pod powierzchnią. Niekiedy zdarza się, mówił, że te skarby zostają znalezione zupełnie przez przypadek; kiedy indziej trzeba się ciężko napracować, aby je odszukać – uważnie rozglądać się i głęboko kopać.

Z odpowiedziami sprawa wyglądała dokładnie tak samo – były rozsypane gdzieś wśród materii świata. I nigdy nie są bardziej cenne niż wtedy, kiedy się je znajdzie samemu.

W taki oto sposób nauczyła się, jak powinna przeżywać własne życie. Szukała w nim odpowiedzi, szukała prawdy. A teraz znalazła się w Hamburgu, w obcym mieście, na zimnej północy, prześladowana za odpowiedzi, które udało się jej odnaleźć.

Meliha krążyła po dzielnicy Speicherstadt, która była jakby miastem w mieście; stare magazyny składów celnych majaczyły ponad głową kobiety i nad ciemnymi wodami biegnącego wzdłuż ulicy kanału. Reflektor, zamontowany wysoko na jednym z magazynów, rzucał pojedynczą plamę światła, zaś hamburski deszcz tańczył swój srebrzysty taniec, rozbijając się na kocich łbach. Próbowwała zorientować się, gdzie jest. Magazyn, którego szukała, powinien być gdzieś niedaleko. Być może *tam* jej nie znajdą, jeśli uda jej się do niego dotrzeć. Nareszcie zyska nieco czasu, żeby przemyśleć następny ruch.

Na wszelki wypadek znowu przeszukała kieszenie. Ani śladu telefonu. Zostawiła go w kafejce, w której wcześniej jadła lunch. Położyła go na stole, włączyła i przykryła serwetką. A potem wyszła na zewnątrz, zostawiając go tam, gdzie był.

Meliha sprawdziła jeszcze raz. Jakie to nielogiczne: wiedziała przecież, że telefon został

na stoliku, a mimo to czuła przymus, żeby przetrząsnąć zawartość torebki i kieszenie po raz kolejny. Tylko po to, by się upewnić.

Może obsługa kafejki zauważyła telefon i przechowała na wypadek, gdyby się ktoś po niego zgłosił? Meliha pomyślała jednak, że przez to, iż kafejka znajdowała się w zrujnowanej części Wilhelmsburga, o wiele bardziej prawdopodobne było, że ktoś znalazł aparat i schował go do kieszeni. Pomyślała o tej tłustej świni – facecie, który siedział przy sąsiednim stoliku i obżerając się, wydawał najobrzydliwsze odgłosy. Jednak to nie jego sposób jedzenia zwrócił jej uwagę, lecz smartfon, po którym stukał rysikiem w przerwach między napychaniem sobie ust kolejnymi kęsami.

Może to on zabrał jej telefon? Albo inny bywalec kafejki, który teraz przechadzał się po Hamburgu z jej aparatem w kieszeni.

Właśnie tego chciała. Albowiem kiedy Meliha sprawdzała swoje kieszenie po raz kolejny, robiła to, gdyż chciała zyskać absolutną pewność, że na pewno nie ma przy sobie swojego telefonu. Jej aparat znajdował się gdzieś daleko – jak list zamknięty w butelce i rzucony w głąb spienionych fal. Może ktoś zrozumie znaczenie dzwonka i odczyta zawartość zapisaną na karcie pamięci? Ten wybieg z pewnością skieruje jej prześladowców na fałszywy trop, zyskała przynajmniej tyle.

Z kieszeni wyciągnęła plan miasta – zwykłą broszurkę, drukowaną na papierze, nie zaś żaden tablet z nawigacją satelitarną czy wbudowanym GPS-em. Określiła swoją pozycję, poczynając od miejsca, skąd weszła na teren Speicherstadt – poprzez most i wzdłuż Kibbelsteg, a potem w głąb Am Sandtorkai. Magazyn był gdzieś niedaleko. Jeśli nie pomyliła się w obliczeniach, powinien znajdować się przecznicę dalej, tuż za rogiem.

Wszystkie magazyny w Speicherstadt były ogromnymi, zbudowanymi z czerwonej cegły świątyniami handlu, pochodzącymi jeszcze z XIX wieku. Teraz jednak wszystko się zmieniało. Oryginalne Speicherstadt rozbudowano, dzięki czemu zaczęło przypominać swoją nowocześniejszą wersję z XXI wieku: olbrzymie Kaiserstadt A – położone najbardziej na zachód magazyny, w których niegdyś mieściły się przepastne składy herbaty i tytoniu – zostały rozbudowane w górę i na zewnątrz, upodabniając budowlę do olbrzymiego żaglowca, który dominował na tle nieba. Nad projektem pracowano wiele lat, lecz dzięki temu w miejscu dawnych składów pojawiły się ogromna sala koncertowa, hotel i apartamenty. Podobnie jak Speicherstadt było znakiem rozpoznawczym Hamburga w dziewiętnastym stuleciu, a Köhlbrandbrücke w dwudziestym, tak Elbphilharmonie stała się nim obecnie – równie charakterystycznym jak budynek Opery w Sydney, który swą sylwetką przypomina o morskiej przeszłości miasta.

Jednak nawet ta część pierwotnego Speicherstadt ulegała przemianie: na jego teren wtargnęły agencje reklamowe, modne bary i restauracje, rozprzestrzeniając się głównie w okolicach stylowego, nowego osiedla HafenCity, które rozciągało się do granic starego miasteczka składów celnych.

Ale rząd starych budynków, wśród których znalazła się Meliha, pozostał w znacznej części niezmieniony. Tak jak przez ostatnie dwieście lat, wybrukowana ścieżka nad kanałem wciąż była otoczona przez olbrzymie magazyny, w których składowano dywany i tekstylia, importowane z Turcji, Iranu, Azerbejdżanu, Kazachstanu i Pakistanu.

Meliha wysunęła się poza płamę światła, rzucaną przez lampę zawieszoną na ścianie magazynu i spojrzała w obie strony biegnącej nad kanałem ścieżki. Nigdzie żywej duszy. Ani śladu jej prześladowców. Ale to jeszcze nic nie znaczy, dobrze o tym wiedziała. Ich zadaniem było śledzić człowieka, iść za nim jak cień, samemu pozostając niewidocznym. Dopaść go tak, żeby do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy, że krąży w pobliżu.

Oczywiście mieli do dyspozycji ten rodzaj technologii, którą w normalnych okolicznościach dysponują jedynie jednostki wywiadowcze supermocarstw. Może obserwowali ją właśnie teraz, zdolni widzieć w ciemnościach. Może w goglach na podczerwień na tle ciemnych budowli Speicherstadt widzieli ją jako jaskrawy kształt.

Tak blisko. Meliha rzuciła się biegiem. Przy każdym kroku stopy piekły ją coraz mocniej. Przeszła piechotą wiele kilometrów, żeby się tutaj dostać. Nie korzystała z taksówki ani z żadnego innego środka transportu publicznego. Nie wykorzystwała niczego, co mogło być podłączone do systemu komputerowego lub sieci radiowej. Przeszła przez miasto, pozostając w zasięgu wciąż tej samej stacji przekaźnikowej, bez zetknięcia się z jakąkolwiek technologią; unikała nawet tych dzielnic, w których działał system kamer, i nadkładała drogi, by ominąć miejsca, które zaznaczyła na mapie czerwonym ołówkiem.

Zatrzymała się nagle, uświadomiwszy sobie, że znajduje się we właściwej okolicy. Na budynku widniały tureckie, angielskie i niemieckie napisy. To musiał być ten magazyn. W drzwiach brakowało uzbrojonego w alarm elektronicznego zamka; zamiast niego Meliha ujrzała staromodną, mosiężną dziurkę od klucza, osadzoną w solidnych drzwiach, charakterystycznych dla niemieckich magazynów – z mocnego, masywnego drewna, wzmocnionego dodatkowo mosiężnymi okuciami – to, że były tak mało wyrefinowane, a wręcz przestarzałe, zdawało się ją jednak uspokajać. Takie drzwi przez ponad sto lat z powodzeniem chroniły zawartość magazynów. Meliha wygrzebała w torebce klucz i otworzyła drzwi, a następnie wślizgnęła się do ciemnego wnętrza, przedtem rzucając za siebie ostrożne spojrzenie, żeby po raz ostatni sprawdzić, co dzieje się na dróżce biegnącej wzdłuż kanału.

Może jednak mimo wszystko uda się jej wyjść cało z opresji?

Wyciągnęła z torebki małą latarkę LED i badawczo rozejrzała się po magazynie. Znajdowała się w foyer, zaś przeczytawszy listę najemców, dowiedziała się, że to, czego szuka, to znaczy Demeril Importing, mieści się na trzecim piętrze. Przepchnęła się przez szklane drzwi do głównej części magazynu. Przy jednej ze ścian dostrzegła potężną windę towarową, ale po namyśle zdecydowała, że lepiej będzie wejść po schodach, robiąc to możliwie jak najciszej.

Stanąwszy przed wejściem do Demeril Importing, wyjęła z torebki następny klucz i po chwili przeszła przez bogato zdobione drzwi w stylu Jugendstil. Światłem latarki omiotła wnętrze magazynu i ujrzała piętrzące się wysoko sterty towarów – pledów, dywanów, kilimów. Na złożonych krawędziach mogła dostrzec bogate tureckie wzory. Na etykietach widniały nazwiska, które tak dobrze znała: Kayseri, Yesilhisar, Kirsehir, Konya, Dazkiri... W jakiś sposób fakt, że znała te nazwiska, rozluźnił ją. W pomieszczeniu znajdowało się także solidne, ozdobne biurko z drewna i wyściełane kilimem krzesło, które stało w pobliżu drzwi. Biurko zavalone było papierami i rejestrami, a rachunki i zamówienia leżały wbite na dwa osobne kolce. W tym miejscu prowadziło się biznes tak samo jak w zeszłym wieku i w poprzedzającym je stuleciu. Bez komputerów. Bez sieci. Bez elektroniki.

Posuwając się po magazynie, Meliha kontynuowała poszukiwania i na samym końcu odkryła coś w rodzaju małej alkowy, wypełnionej mniej porządnie ułożonymi stosami dywanów. Wybrała ten najniższy, w najodleglejszym kącie, i wyłączywszy latarkę, położyła się na dywanach. Wreszcie mogła odpocząć. Odpocząć, ale nie zasnąć. Sen mógł okazać się zagrożeniem. Będzie tutaj bezpieczna aż do samego rana, a potem... No cóż, potem postara się jakoś nawiązać kontakt z Bertholdem. Jeszcze nie wpadła na pomysł, jak to zrobić, nie używając telefonu ani żadnego innego elektronicznego medium, ale jedno było pewne: musiała się z nim skontaktować. Powiedzieć mu o tym, co udało się jej odkryć. Teraz jednak musi przede wszystkim odpocząć. Odpocząć, ale nie spać...

Po chwili spała jak kamień.

Z pewnością był to najcichszy z dźwięków. Może na parterze, trzy piętra niżej, lekko zaskrzypiały główne drzwi. Niewyraźny, głuchy trzask wbił się w jej uśpiony mózg jak pocisk. Cokolwiek to było, sprawiło, że choć jeszcze przed chwilą Meliha spała głębokim snem, teraz była całkowicie, boleśnie przytomna. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy to możliwe, że przespała całą noc i że dźwięk, który przed chwilą usłyszała, oznajmiał jedynie o przybyciu pracowników magazynu? Jednak dookoła wciąż panowała ciemność. Meliha leżała na stosie dywanów z lekko uniesioną głową i wstrzymując oddech, nasłuchiwała innych odgłosów. Minęło kilka sekund, które ciągnęły się w nieskończoność, podczas gdy w jej krwi buzowała adrenalina. Cisza. Nagle podskoczyła, bo do jej uszu dobiegł inny dźwięk, słaby i przytłumiony. Czyjeś głosy. Dwie, trzy osoby, może więcej. Piętro niżej. Byli całkiem daleko od siebie, ale rozmawiali cicho i spokojnie.

Meliha nie rozróżniała słów, lecz wiedziała, że tamci będą porozumiewać się po angielsku. Oni zawsze rozmawiają po angielsku. Serce waliło jej jak młotem. Oczywiście, wcale nie musieli rozmawiać głośniej; jako obdarzeni nadzwyczajnymi zdolnościami mogli komunikować się na odległość, widzieć w ciemności, bez trudu zlokalizować najlżejszy szelest.

Teraz zajmowali się przeszukiwaniem niższego piętra. Systematycznie, metodycznie, tak samo jak zawsze. W ten sam sposób robili wszystko. Jak pojedyncza świadomość. Zbiorowy umysł. Alegoria zła.

Chwyciwszy latarkę, poświeciła w ciemność, szukając w otoczeniu jakiejś kryjówki albo drogi ucieczki. Latarka LED dawała mizerne światło, ale Meliha nie ośmieliła się jej podkręcić. Bała się, że tamci usłyszą ten dźwięk.

Za jej plecami znajdował się spory kredens, wbity w ścianę na samym końcu pomieszczenia i ledwo widoczny za stertą dywanów, z których część leżała na podłodze tuż obok mebla. Gdyby udało się jej tam dostać i dodatkowo ułożyć jeszcze jakiś dywan przed drzwiczkami, być może tamci by jej nie zauważyli.

Czym prędzej zrzuciła buty z obolałych stóp i powoli zsunęła się ze swego legowiska, a potem boso przekradła się po szorstkiej, drewnianej podłodze w kierunku kredensu. Był znacznie większy, niż jej się z początku zdawało, i całkiem pusty, jeśli nie liczyć stosu książek z wzorami dywanów w jednym rogu, oraz opartej o ściankę półorametrowej beli jakiegoś materiału, który był zbyt lekki na dywan, lecz zbyt ciężki na zasłony. Przycupnąwszy za stosem książek, ułożyła je tak, żeby dawały prowizoryczną kryjówkę, a potem, aby utworzyć dodatkową osłonę usiłowała przesunąć belę, która jednak okazała się cięższa niż Meliha się spodziewała, i zaczęła wysuwać się z jej rąk. Desperacko chwyciła ją z całych sił, w ostatniej chwili zapobiegając uderzeniu w drewnianą ścianę kredensu, co niewątpliwie zaalarmowałoby jej prześladowców i wskazało miejsce ukrycia. Powoli, nie zważając na ból napiętych mięśni, ułożyła materiał przed sobą w poprzek szafy, jak sztabę broniącą dostępu do bramy.

Potem wkuliła się najmocniej jak mogła w tył kredensu i wyłączyła latarkę, przez co momentalnie zanurzyła się w ciemnościach. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do gęstego mroku, ośmieliła się zerknąć w niewielką przestrzeń, która pozostała pomiędzy wierzchem stosu książek i brzegiem wygiętej w pałąk beli materiału. Ze swego miejsca mogła ujrzeć jedynie wąski skrawek alkowy, ale nie dostrzegła ani kawałka głównego pomieszczenia, w którym mieścił się magazyn dywanów.

Nie słyszała niczego. Żadnego ruchu. Żadnych głosów.

To było równie ulotne, jak przemykający cień.

Tuż przed jej oczyma. Zobaczyła, jak ktoś lub coś prędko przesuwa się w poprzek wąskiego wycinka alkowy, który stąd widziała. Z prawej na lewą stronę. Ciemne trzepotanie. Nie była w stanie określić, czy na pewno był to człowiek. Sapnęła z wrażenia, ale zaraz zdusiła to

w sobie, zastygając w bezruchu. Oni tu byli. Tutaj, na tym piętrze. Teraz słyszała lekkie odgłosy czyichś kroków. Czyjeś ciche słowa wymawiane po angielsku.

Cień znowu przesunął się, tym razem z lewa na prawo.

Meliha nawet nie drgnęła. Wciąż wstrzymywała oddech, pełna obaw, że tamci mogą ją usłyszeć. Samotna łza wezbrała w jej oku i spłynęła po policzku. Męczarnia oczekiwania na moment, kiedy wreszcie odkryją jej prowizoryczne schronienie, stawała się wręcz nie do zniesienia. Znowu czyjeś głosy. Potem milczenie. Cisza. Mijały minuty, ale nic się nie wydarzyło. Meliha tak bardzo skoncentrowała się na tej ciszy, że prawie podskoczyła, kiedy coś ją przerwało. Tym razem głosy sprawiały wrażenie bardziej przytłumionych niż poprzednio. I rozlegały się nad nią. Na wyższym piętrze.

W końcu mogła odetchnąć, mogła pozwolić sobie na długi, spokojny oddech. Jej prześladowcy na pewno znajdowali się nad nią. Jednak nie byli tak dobrzy w swoim fachu, jak się spodziewała. Wciąż cechowała ich zwykła, ludzka omyłność.

Trudno było jej stwierdzić, ile czasu upłynęło, bo strach rozciągał każdą sekundę w nieskończoność. Jednak Meliha przypuszczała, że minęła co najmniej godzina od chwili, kiedy tamci skończyli sprawdzać górne piętro. Znikąd nie dobiegały odgłosy przeszukiwania ani spokojne, ciche, wyważone rozmowy po angielsku. W końcu odważyła się zerknąć w ciemność. Nic. Ostrożnie, wolno, upewniając się, że niczego nie dotyka, przekręciła rękę, żeby spojrzeć na nadgarstek, jednak zegarek nie miał świecących wskazówek, więc nie pozwolił jej stwierdzić, która jest godzina. W skulonych nogach zaczęła odczuwać skurcze, ale nie próbowała ich wyprostować. Ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy, każde włókno w mięśniach zaciskało się coraz mocniej, lecz Meliha nie zwracała na to uwagi. Skoncentrowała się na tym, żeby odegnać strach.

Benim küçük cesur kaplanım. Starła się przywołać z pamięci brzmienie głosu ojca, kiedy wypowiadał te słowa. Jego spokojny ton, dźwięcząca w nim dumę. *Benim küçük cesur kaplanım.*

Meliha odczekała całą kolejną godzinę. Wreszcie spostrzegła nieśmiały blask, który wlewał się do wnętrza magazynu. Wstawał dzień. Dookoła nadal panowała cisza.

Tym razem tamci zawiedli. A może tylko podejrzewali, że ona przebywa w budynku, nie wiedzieli na pewno, lecz zaledwie podejrzewali. Były inne miejsca, o których być może im doniesiono, i pewnie szukali teraz właśnie tam. Zdecydowała, że od tej chwili nie wolno jej pojechać nigdzie, gdzie do tej pory bywała. I że musi wciąż być w ruchu. Ich niepowodzenie niespodziewanie dało jej szansę, by zwiększyć dystans pomiędzy nią a jej prześladowcami. Mogła wydostać się z tego miasta, wyjechać z tego kraju. Oczywiście jeśli będzie działać szybko.

Meliha odsunęła na bok belę materiału – ostrożnie, najdelikatniej jak tylko mogła, starając się nie spowodować najmniejszego szmeru. Wysuwając się zza sterty książek z wzorami, zatrzymała się na moment, przeczesawszy spojrzeniem ten fragment magazynu, który mogła zobaczyć, i dopiero wtedy niepewnym krokiem wysunęła się z alkowy.

Było ich czterech. Czekali na nią. Stali bez ruchu na samym środku głównego pomieszczenia magazynu. Cztery ciemne sylwetki, cztery cienie. Pozbawione wieku i płci. Ich postaci odcinały się ostro na tle niewyraźnego, rozkwitającego mlecznym blaskiem ogromnego okna. Dwóch miało na oczach coś wypukłego. Noktowizory. Żaden z nich nawet nie drgnął, kiedy Meliha się pojawiła. Nie było żadnej reakcji. Ostatecznie przecież stali tak od dwóch godzin, czekając, aż ona sama wyjdzie z kryjóWKi. Tak było bardziej skutecznie i o wiele spokojniej.

To byli oni. Meliha wiedziała, że ją ścigają. Ich obawiała się najbardziej.

Konsolidatorzy.

Ten, który znajdował się najbliżej Melihy, powoli uniósł ciemną rękę, jakby chciał

wskazać na nią palcem. Potem rozległ się suchy trzask i poczuła w piersi szarpiący ból.

Upadając plecami na tę samą stertę dywanów, na której niedawno spała, miała wrażenie, że słyszy głos swojego ojca, który woła do niej.

Benim küçük cesur kaplanım.

ROZDZIAŁ 3

Nocna nawałnica

Na początku nie było burzy.

Była jedynie niezmierna, otwarta i ciemna przestrzeń morza. Bez skrawka lądu i śladu statku. Nie było nikogo, kto stałby się świadkiem jej narodzin. Ale właśnie zdarzyła się syzygia – ustawienie w idealnie prostej linii Słońca, Księżyca i Ziemi. Księżyc znajduje się wtedy najbliżej Ziemi, jak tylko to możliwe, a stęsknione morze dźwiga się wysoko, wyginając grzbiet pod jego przemożnym przyciąganiem.

Powietrze nad powierzchnią morza było chłodne i suche. Ponad nim znajdowała się ogromna masa jeszcze chłodniejszego powietrza, które narodziło się gdzieś na północy i daleko na wschodzie, i stamtąd nasunęło się nad tarczę bałtycką. A kiedy już udało mu się tego dokonać, uniosło się wyżej, aż do troposfery, gdzie jego syberyjski chłód oziębził się jeszcze mocniej pod wpływem wysokości, i teraz, lodowate nie do opisania i wspaniale wypiętrzone, niedbale spłynęło nad Atlantyk.

Ale tam zagrodzono mu drogę.

Coś przesuwało się nisko w poprzek wygiętego w łuk morza; coś równie potężnego jak lodowate zimno powyżej. Ta masa powietrza nadciągała z tropików, więc niosła ze sobą ciepło i mnóstwo wilgoci. Tak jak jej przesuwająca się w górze odpowiedniczka, i ona była chłodniejsza niż zazwyczaj. Jej temperatura była o trzy pełne stopnie wyższa od tej, którą normalnie osiągał prąd powietrza.

Ciepłe powietrze unosi się, zimne zaś opada: takie są prawa fizyki, prawa meteorologii.

W ten oto sposób narodziła się burza. Ciepłe, wilgotne powietrze zostało zassane ku górze w gwałtownym, mezocyklonicznym wirze, osiągając prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nad oceanem uformował się wodny lej, który sięgał od morza do nieba. Skondensowana para wodna z gorącego powietrza syczała i trzeszczała od wyładowań elektrycznych, a chmury rosły na potęgę, kipiały i pieniały się z wściekłości. W końcu ogromna burzowa superbateria, uformowała się niczym gigantyczne kowadło nad Atlantykiem, sprawiając, że ciemność nocy zrobiła się jeszcze bardziej mroczna.

Naładowana milionami ton wody, niespiesznie obróciła się wokół własnej osi i jak zwiastun zła zaczęła pełznąć w kierunku wybrzeża.

ROZDZIAŁ 4

Kreysig uznał, że kołatanie w piersi jest oznaką krążącej w żyłach adrenaliny, przez co od razu ogarnęło go poczucie winy. Nastąpiła prawdziwa katastrofa: mnóstwo budynków zostało uszkodzonych, wiele osób odniosło poważne obrażenia, być może niektórzy nawet stracili życie... Rodzinne miasto Kreysiga zostało zaatakowane: gwałtownie, nieprzejednanie, bez miłosierdzia.

Jednak stojąc tutaj, pośród wrzawy i tumultu, Lars Kreysig czuł, jak przeszywa go dreszcz ekscytacji. Właśnie do czegoś takiego został stworzony.

Noc wypełniona była łoskotem ciężkiego sprzętu, grzechotem maszyn, szumem przenośnych generatorów prądu, przeszywającym, nieustępliwym popiskiwaniami cofających się wozów straży pożarnej i miarowym łomotem pracujących pomp; tak brzmiały grzmoty wyprodukowane przez człowieka, który usiłował współzawodniczyć z naporem wichru i deszczu, stworzonymi przez naturę. Wszystko dookoła błyszczało od wilgoci i mieniło się w blasku lamp łukowych oraz czerwonych, niebieskich i pomarańczowych kogutów wozów straży pożarnej, karetek pogotowia i buldożerów gąsienicowych. Najgorsze już minęło i zaczął się odpływ, lecz pełna pogardy natura wciąż szarpała wiatrem żółty, ochronny kombinezon Kreysiga, gniewnie bębniąc śrutem deszczowych kropli o jego twarde kapelusz.

Powyżej kołysało się masywne ramię wysięgnika dźwigu Liebherr LTM 1130-5.2, podobne do szyi jakiegoś dziwaczego, żerującego nocą dinozaura, a ciężkie kable i łańcuchy szczękały donośnie. Zespół strażaków zahaczył łańcuchami splątaną masę drewna i metalu, które powódź wymiotła na szeroki plac obok Fischmarkt. Operator, przy pomocy wysięgnika z kratownicą, podniósł z ziemi połamane szczątki i ostrożnie ułożył na naczepie wozu, uprzętając w ten sposób zalany obszar. W tym czasie druga, mniejsza maszyna opuściła część uzbrojonej rury do usuwania wody. Ten sam zespół strażaków rzucił się naprzód, żeby umocować złączki i połączyć ten fragment z pozostałą częścią rurociągu. Gdy tylko połączenie zostało utworzone, Kreysig krzyknął parę słów do nadajnika, a po chwili następne dwie pompy podjęły pracę.

I znów Kreysig poczuł dreszcz emocji, jakie budzą się jedynie podczas walki. Bo to była walka – prawdziwa walka człowieka z naturą, on zaś walczył po stronie człowieka.

Mężczyzna wiedział już dobrze wcześniej, że zbliża się katastrofa. Nawałnica przeszła przez Francję i Anglię, wszędzie siejąc falę zniszczeń, a Północnoniemiecki Urząd Klimatyczny i Niemiecka Służba Meteorologiczna uważnie śledziły jej szlak. Obserwowały także aktywność innego skupiska chmur, które formowało się nad Morzem Północnym, sto osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Jutlandii. Zupełnie jakby dwie armie, gromadzące się przed równoczesnym atakiem, postanowiły połączyć swe siły, zanim przypuszczą szturm na Niderlandy, Danię i północną część Niemiec. Kreysig widział już Hamburg zniszczony przez powódź. Ta w 1953 roku zdarzyła się jeszcze przed jego urodzeniem, a w 1962, gdy w miasto uderzyła nawałnica, zabijając ponad trzystu ludzi i sześćdziesiąt tysięcy pozbawiając dachu nad głową, Kreysig był jeszcze niemowlęciem. Jednak bardzo dobrze pamiętał powódź z roku 1976. A w 2007 pełnił już funkcję starszego oficera straży pożarnej. Za każdym razem woda wdzierала się wyżej, lecz jednocześnie Hamburg był coraz lepiej przygotowany, odrobinę mocniej chroniony.

Tak samo było tym razem. Zanim powódź wtargnęła w głąb miasta, milionowe wydatki w postaci zapór przeciwpowodziowych odpląciły się w jeden jedyne sposób – blokując jej impet i tworząc kanały dla burzowej fali. Pewne zniszczenia były jednak nieuniknione i ludzie wiedzieli, w których miejscach powinni być gotowi na walkę z żywiołem i gdzie ustawić linie

obrony – włącznie z obszarem w okolicach Fischmarkt, gdzie St. Pauli graniczyło z centralną dzielnicą miasta.

Do Kreysiga podszedł Tramberger, jego zastępca, i schylając ku niemu swą pooraną przez wiatr i słońce twarz, zaczął krzyczeć, żeby można było go usłyszeć mimo burzy i huku maszyn.

– Wszystkie pompy zanurzeniowe i diesle są podłączone! Już zaczął się odpływ i woda wyraźnie opada! Spadła do około trzech metrów ponad zwykły poziom!

Kreysig uśmiechnął się od ucha do ucha i poklepał swojego zastępcę po ramieniu. Zwyciężyli. Przesunął spojrzeniem po ludziach, których zmobilizował do działania: cały zespół pracował na pełnych obrotach. To była ciężka, rozdzierająca mięśnie praca, a mimo to nikt nie okazywał nawet śladu zmęczenia, które o tej porze musiało obciążać każdy ruch jak ołów. Dobry zespół, pomyślał. Cholernie dobry zespół. Sam go stworzył, wybierając najlepszych ludzi ze straży pożarnej, policji portowej, oraz Służb Komunalnych Miasta i Państwa Hamburg.

Skontrolował, co słychać u jego pozostałych drużyn, pracujących na zachodnich odcinkach Klopstockstrasse i Königstrasse. Zewsząd docierały te same wieści. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta rano. Od dwunastu godzin walczyli z powodzią. Spoglądając na ciemne niebo, Kreysig ujrzał kłęby chmur, które złowieszczo mknęły nad miastem. Zupełnie jak eskadra bombowców, pomyślał, która podąża w dal, budząc niepokój i obawy kolejnych zniszczeń. Wiedział jednak, że te chmury przyniosą spustoszenie gdzie indziej. Hamburg odrobił już swoją zmianę. Przynajmniej na razie.

I właśnie wtedy Kreysig spostrzegł, że jeden z zespołów nagle zaprzestał pracy. Strażacy stali w kręgu, spoglądając na coś, co właśnie ukazało się ich oczom i co spoczywało na świeżo odsłoniętym asfalcie Elbestrasse. Dowódca oddziału popatrzył na Kreysiga, a potem na Trambergera i przywołał ich do siebie niecierpliwym głosem.

Kreysig od razu poczuł, że coś jest nie w porządku.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 5

Jan Fabel budził się. Stopniowo. Wcześniej przyśnił mu się sen – o tym, że znowu znajduje się w Norddeich, w domu swojego dzieciństwa, i że siedzi w dawnym gabinecie ojca, rozmawiając z człowiekiem, o którym wiedział, że nie żyje i który także o tym wiedział. Fabel pragnął odpędzić od siebie ten sen i pozostawić go na dnie pamięci, gdzie szybko mógłby popaść w zapomnienie.

Powoli wynurzył się z otchłani marzenia sennego i zdał sobie sprawę, że słyszy jakieś głosy. Radio, które pełniło funkcję budzika, włączyło się na kanał Norddeutsche Rundfunk. Właśnie trwała jakaś debata, a jeden z głosów wydawał się dziwnie znajomy.

Przez moment leżał bez ruchu i gapił się w sufit, starając się połączyć porzrzucone fragmenty rzeczywistości i próbując zrozumieć, o czym mówi ów głos w radio. Ciekawe, kto to jest, pomyślał Fabel. Zdawał sobie sprawę, że nieraz słyszał go w całkiem realnym świecie, ale na razie był zbyt zaspany, by skoncentrować się na umiejscowieniu tego głosu w czasie i przestrzeni. Niespiesznie odwrócił się na bok; Susanne wciąż spała, odwrócona do niego plecami. Delikatnie potrząsnął jej ramieniem, a wtedy wydała z siebie dźwięk, który oscylował gdzieś pomiędzy sennym ukontentowaniem a irytacją.

– Czas wstawać – odezwał się.

Odpowiedziało mu następne, tym razem zdecydowanie niezadowolone mruknięcie.

Wysunął nogi na zewnątrz i usiadł na brzegu łóżka. I wtedy sobie przypomniał. Berthold Müller-Voigt. To jego głos rozpoznał w radiu. Z pewnością miał okazję słyszeć go już wcześniej, bo Müller-Voigt był senatorem zasiadającym w komisji do spraw środowiska, w Senacie Miasta Hamburga, a także osobą, z którą w przeszłości nieraz załatwiał różne sprawy.

Fabel zmarszczył brwi, odgarniając z oczu kosmyk jasnych włosów. Znowu potrząsnął ramieniem Susanne i również tym razem odpowiedział mu pełen niechęci pomruk. Wyłączając alarm w radiu, wstał z łóżka, przeciągnął się i ruszył do łazienki. Razem z Susanne zajmowali to mieszkanie od ponad dwóch lat, lecz wciąż łapał się na tym, że rano musi zastanowić się, jak wygląda rozkład pomieszczeń. Ogolił się, wziął prysznic i założył ubranie. Jak zwykle wybrał bluzę z golfem, drogą angielską marynarkę z tweedu, ciemne spodnie oraz buty z niewyprawionej skóry.

Właśnie kończył parzyć kawę, gdy do kuchni weszła Susanne, wciąż ubrana w szlafrok. Jej ciemne, gęste włosy kłębiły się w nieładzie, dobitnie wyrażając jej niechęć do zmierzania się z nadchodzącym dniem.

– Spóźnisz się – powiedział.

Właściwie chciał powiedzieć, że przez nią oboje się spóźnią. Susanne zwykle pracowała w swoim biurze, w Instytucie Medycyny Sądowej w Eppendorf, lecz dwa razy w tygodniu jeździła do komendy policji, i w te dni zwykle brali jeden samochód. Fabel zawsze wychodził z siebie z powodu opieszałości, z jaką Susanne szykowała się do pracy, jednak dzisiaj denerwował się bardziej niż zwykle, bo Susanne miała wziąć udział w seminarium, w Federalnym Biurze Kryminalnym w Wiesbaden, a on zgodził się podrzucić ją na lotnisko, żeby mogła złapać poranny samolot do Frankfurtu.

– Zaraz będę gotowa – odparła.

Wzięła filiżankę kawy, którą jej podał, i oparła łokcie na kuchennym blacie.

– Dobrze spałeś? – spytała. – Ja przez tę cholerną burzę przez pół nocy nie zmrużyłam oka.

– Wydaje mi się, że właśnie to mnie obudziło.

Kłamał jak z nut. To wcale nie burza obudziła go w środku nocy, ale już dawno postanowili, że nie będą więcej rozmawiać o jego snach. O jego koszmarnych snach.

Susanne pstryknęła włącznikiem małego telewizorka, który trzymali w kuchni. To także był jeden z kompromisów, na które Fabel musiał się zgodzić. Nie należał do namiętych wielbicieli telewizji i nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie koniecznie muszą mieć w domu więcej niż jeden odbiornik, lecz pewnego dnia po powrocie do domu zobaczył na kuchennym blacie ten telewizor – nowego, migoczącego intruza, który nieoczekiwanie wdarł się do jego świata. *Fait accompli* wynikający ze wspólnego mieszkania; następny znak, że jego przestrzeń, jego życie było teraz wspólną własnością.

– Popatrz na to... – mruknęła.

Właśnie nadawano reportaż o poważnej powodzi, Łaba wystąpiła z brzegów. Znalazł się tam materiał filmowy o umocnieniach przeciwpowodziowych w okolicach portu i o mobilizacji w pobliżu Fischmarkt. Reporter z wyćwiczoną powagą wypełniał swoje zadanie.

– Jak dobrze, że dziś rano nie jedziemy wzdłuż Elbchaussee – zauważyła Susanne.

– I tak możemy mieć problemy z dojazdem na lotnisko. Wyobrażam sobie, jaki dziś będzie ruch, biorąc pod uwagę ilość objazdów i innych niespodzianek. Moim zdaniem powinniśmy wyjść trochę wcześniej – odparł Fabel, wymownie spoglądając na zegarek.

Susanne wykrzywiła się komicznie, powracając do niespiesznego delektowania się swoją kawą.

– Może zadzwonię na lotnisko i sprawdzę, czy nie ma jakichś opóźnień. – Fabel ruszył w stronę telefonu.

– Po co dzwonić? – zapytała znad swojego kubka z kawą. – Lepiej sprawdzić online.

– Nigdy nie wiadomo, jak często wprowadzają bieżące dane – odpowiedział. – A jeżeli już rozmawiasz z jakąś ludzką istotą, to...

Susanne parsknęła z pogardą.

– Z ludzką istotą? Chyba trochę przesadzasz, przecież rozmawiamy o kimś, kto pracuje na lotnisku! Zaufaj mi, użyj komputera, przekonasz się, że jest mniej automatyczny. Albo wiesz, co? Sama to zrobię, kiedy tylko się ubiorę. Tylko nadal za cholere nie rozumiem, czemu tak się boisz zdobyć technologii.

– Wcale nie boję się zdobyć technologii – mruknął Fabel. – po prostu jestem tradycjonalistą. Zresztą popatrz na tego Zabójcę z Sieci, którego ścigamy od sześciu miesięcy... Albo na zamieszanie spowodowane nadmiernym zaufaniem do komputerów. Dostaliśmy mnóstwo notatek służbowych na temat tego wirusa o nazwie Klabautermann, którego ktoś wprowadził do systemu mailowego urzędów Hamburga.

Susanne wybuchnęła śmiechem.

– Raczej nie złapiesz tego wirusa. Powiedz mi, skarbie, jak zdołałeś przeżyć, kiedy rąbnął ten meteor?

– Jaki znów meteor? – spytał z irytacją.

– No wiesz, ten, który wykończył wszystkie inne dinozaury... – Susanne podkreśliła ostatnie słowo i zaraz zaśmiała się z własnego dowcipu. – Zresztą, o ile zdołałam się zorientować, wirus Klabautermann nie dał rady pokonać zabezpieczeń systemu Polizei Hamburg, ale mamy go w Instytucie Medycyny Sądowej. To cholerny kłopot, muszę ci przyznać rację. Na szczęście zanim zaatakował, udało nam się zrobić kopie wszystkich maili.

– Mam prostsze rozwiązanie. Nazywa się wydruk na papierze.

– Ach tak? – Susanne wreszcie odstawiła kubek i kołysząc biodrami, powolnym krokiem przesunęła się w stronę wyjścia. – W takim razie nie musimy się martwić o wirusa Klabautermann ani awarię systemu... Jedyne, co powinno nas niepokoić, to takie małe mole

książkowe jak ty. Prawda, kochanie?

Przechodząc, lekko zmierzwiła mu włosy. Fabel zmarszczył brwi.

Kiedy Fabel i Susanne dotarli do miejsca, gdzie stał zaparkowany jego kabriolet, deszcz już całkiem przestał padać. Niebo nadal wyglądało groźnie i było ciężkie od chmur, a kolorem przypominało stal, z której buduje się statki. Wkładając do bagażnika walizkę i skórzaną teczkę Susanne, Fabel westchnął ciężko.

– Następny zasrany dzień – pośepnie mruknęła Susanne.

Zatrzasnęła drzwiczki i zaraz zaklęła siarczyście, gdyż parę kropli wody spłynęło z dachu i kapnęło jej na włosy.

– To cholerne gówno przecieka... Przecież wiesz o tym.

– Jak dotąd nigdy nie było z tym problemu – odparł, ledwie mamrocząc słowa pod nosem.

– W poprzednim mieszkaniu miałem zadaszony parking.

– Według mnie, powinieneś poważnie zastanowić się nad sprzedażem tego grata. –

Susanne postanowiła zignorować wcześniejszy komentarz. – Musi mieć chyba z dziesięć lat. Zawsze jesteś strasznie zasadniczy, jeśli chodzi o ochronę przyrody, a przecież w porównaniu z tym, co mógłbyś kupić teraz, taki rupiec nie może być superoszczędny ani przyjazny dla środowiska.

– A mi całkiem odpowiada – powiedział Fabel, wyprowadzając auto z miejsca parkingowego. – Zresztą nie rozumiem, w jaki sposób ma pomóc środowisku dokładanie do całej reszty, która już jeździ po drogach, jeszcze jednego samochodu? Nawiasem mówiąc, skoro jesteś taka ekologiczna, to czemu lecisz do Frankfurtu samolotem? Mogłaś przecież poprosić, żeby wysłali cię pociągiem.

– Och, to ty jesteś maniakiem ochrony środowiska, nie ja. – Susanne uśmiechnęła się złośliwie. – Pewnie dlatego, że w dzieciństwie rzadko miałaś okazję oglądać prawdziwe drzewa na tych cudnych równinach Fryzji Wschodniej. Przypuszczam, że wiatr poprzewracał wszystko, co tam rośło.

– Mamy trochę drzew. Może faktycznie nie tyle, ile w tej twojej ponurej Bawarii, ale jednak parę sztuk się znajdzie.

– U nas rzeczywiście rośnie mnóstwo drzew, to prawda – odparła Susanne. – W lasach jest ich pełno. Tak samo w górach. Wiesz chyba, jak wyglądają prawdziwe góry, ty nieszczęsny chłoptasiu z Fryzji? To taki wielki, wielki, naprawdę wielki wał.

– Strasznie śmieszne.

– Właściwie jestem zdziwiona, że zdecydowałeś się na przeprowadzkę do Hamburga.

Tutaj musi być przynajmniej dwa metry ponad poziomem morza. Czy przypadkiem nie zdarzają ci się krwawienia z nosa?

Fabel roześmiał się.

– Jeśli ludzie tacy jak ty będą latać wewnętrznymi liniami, to już niedługo znajdziemy się pod poziomem morza.

– Wtedy będę podróżować łodzią. Albo łodzią podwodną.

I Susanne zaczęła mrużyć melodię *Yellow Submarine*, uśmiechając się przy tym z zadowoleniem.

Zamiast przedzierać się przez miasto, Fabel postanowił pojechać wzdłuż Behringstrasse i skrócić w stronę autostrady A7. Gdy zbliżali się do wjazdu, na murze przy drodze dostrzegł olbrzymi plakat, rozwścieczone morze pod ciężkim, burzowym niebem, a w oddali rysowała się latarnia morska, która rzucała na fale pojedynczą smugę światła. Pod obrazkiem znajdowało się coś w rodzaju logotypu: napis THE PHAROS ENVIRONMENTAL PROJECT oraz stylizowane oko. Hasło umieszczone poniżej głosiło po niemiecku: „Nadciągą nawałnica”.

– Myślisz, że to faktycznie może się zdarzyć? – spytała z roztargnieniem Susanne, obserwując olbrzymiego mercedesa z napędem na cztery koła, który właśnie śmignął obok.

– Co takiego?

– Antropogeniczna zmiana klimatu – powtórzyła pytanie i odwróciła wsteczne lusterko do siebie, żeby nałożyć na usta szminkę. – Uważasz, że to realne zagrożenie? Że rzeczywiście ponosimy odpowiedzialność za to, że klimat zaczyna wariować, i to dlatego zdarzają się takie burze, jak ta z zeszłej nocy?

– Oczywiście, że zagrożenie jest realne. – Fabel jednym szarpnięciem przekręcił lusterko, ustawiając je z powrotem we właściwej pozycji, a następnie westchnął z irytacją. – Wszystkie dowody wskazują na to, że tak jest. Jesteś przecież naukowcem, sama widziałas dane. Chcesz powiedzieć, że im nie wierzysz?

– Nie... Nie to miałam na myśli. Ale może to nie tylko nasza wina, może taka jest naturalna kolej rzeczy... To przecież zdarzało się już przedtem. A jeśli mówimy o naturalnych zmianach, to pojedynczy wulkan może narobić więcej szkód niż ludzkość przez cały okres swojego istnienia. Przypomnij sobie tylko, jakie zamieszanie wywołał wybuch tego wulkanu na Islandii, kiedy pył wulkaniczny przedostał się do atmosfery. Jeśli takie maleństwo albo nie daj Boże któryś z jego starszych braci wybuchnie, zima może potrwać przez wiele, wiele lat. Zacznie się masowy głód. Może nawet nastąpi całkowita i nieodwracalna zmiana klimatu. To przecież nie my, to natura.

– Może w przyrodzie rzeczywiście istnieją naturalne przemiany, ale my zdecydowanie się do nich dokładamy. To ma sens: przez półtora wieku uwolniliśmy energię z zapasów węgla, która normalnie starczyłaby na miliony lat. – Fabel znów westchnął i spojrzął na zegarek.

Na drodze panował większy zator, niż się wcześniej spodziewał. W dodatku zator dość niezwykły: obserwując liczbę range roverów, mercedesów wielkości okrętów bojowych i lexusów, Fabel domyślił się, że większość ludzi zwykle dojeżdżających do pracy z zamożnego przedmieścia Blankenese – położonego nieco dalej w górę rzeki i znacznie bardziej zamożnego niż jego Ottensen, gdzie miał mieszkanie – zostało zawróconych z Elbchaussee, głównej arterii wiodącej wzdłuż rzeki.

– Może rzeczywiście powinienem się zastanowić nad wymianą tego rupiecia – powiedział głucho, przyglądając się procesji luksusowych marek.

– Mam nadzieję, że wciąż rozmawiamy o samochodach. – Susanne uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem z hotelu, kiedy już skończę seminarium.

– Pewnie wciąż będę na komisji.

– W sprawie tego Zabójcy z Sieci? – spytała Susanne.

– Tak. Aż do północy będę ścigał elektronicznego upiora – mruknął pośepnie.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwało mu brzęczenie komórki.

– Cześć, szefie. Tu Anna.

– Cześć, Anno. Co tam?

– Czy jedzie pan do komisariatu?

– Nie... Przynajmniej nie od razu. Najpierw muszę podrzucić Susanne na lotnisko, a potem jadę prosto do was. Coś nowego?

– Może lepiej niech pan skręci na Fischmarkt. Woda wyrzuciła kolejne ciało.

– Cholera... – zaklął pod nosem.

Przez moment milczał i wdychał. Tylko nie to. Nie następna ofiara.

– Czy to wygląda na robotę naszego Zabójcy z Sieci?

– Właściwie nie. To nie są *takie* zwłoki. No chyba, że on całkiem zmienił metody działania... To ciało jest w częściach. Pokawałkowane.

- Ale to kobieta?
- Tak. Nie pasuje do pozostałych ofiar Zabójcy z Sieci, ale mimo wszystko mam wrażenie, że to nasza działka.
- Okay – mruknął Fabel. – Przyjadę tam prosto z lotniska.

ROZDZIAŁ 6

Mężczyzna siedział za biurkiem, odwrócony plecami do oszłamiającego widoku, który rozciągał się za oknem. Ściana za nim w całości zrobiona była z hartowanego szkła, wzmocnionego bezbarwną stalą: panoramiczne okno ukazywało bezkres sodowoszarej toni, kłębiącej się pod ołowianym niebem. Taka sceneria wywoływała wrażenie, że biuro niczym nie jest połączone z resztą budynku, że unosi się w powietrzu, nietknięte siłą grawitacji i oderwane od otaczającego go środowiska.

Za biurkiem siedział dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna, o krępej budowie ciała i mocnych ramionach; miał gładko wygoloną głowę, a na jego szczęce uformowała się ciemna, kozia bródka. Nosił okulary bez oprawy i ciemny garnitur, a pod spodem szarą koszulę z kołnierzykiem w kształcie stójki. Emanowała z niego jakaś nienaturalna schludność, która odnosiła się także do porządku panującego na biurku i do całego wystroju wnętrza. Nawet jego ruchy, kiedy wsuwał kartę pamięci do czytnika w laptopie i kolejno klikał w zgromadzone na niej zdjęcia wydawały się sztuczne i metodyczne.

– Rozumiem, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości? – odezwał się do wysokiego, chudego człowieka w szarym garniturze, o bladej twarzy i krótkich, całkiem czarnych włosach, który sztywno wyprostowany stał przed biurkiem.

– Obawiam się, że nie, *Herr Director*.

– Do diabła, jak mogliśmy to przegapić? W jaki sposób zwykły laik mógł odkryć ten... ten chaos? Nasze Biuro Konsolidacji i Dopasowania było całkiem nieświadome tego, co się dzieje?

– Ogromnie mi przykro, proszę pana. Najwidoczniej to wykracza poza wszystko, co mogliśmy sobie wyobrazić. Chcę przez to powiedzieć, że takie zachowanie było czymś ekstremalnym, zwłaszcza ze strony jednego z naszych członków. Wiem, *Herr Director*, że to żadne wytłumaczenie, ale nie spodziewaliśmy się podobnej wpadki, kiedy ta kobieta infiltrowała Pharos Project. Robiła to specjalnie po to, by znaleźć coś, co by mogła wykorzystać przeciwko nam. Domyślałam się jednak, że nawet nie spodziewała się, że odkryje sekrety o tak wielkim znaczeniu. Jednak mogę pana zapewnić, iż w chwili, gdy cała sprawa wyszła na jaw, to znaczy, kiedy domyśliłem się, kto jest tym spryciarzem i jakie miejsce zajmuje w naszej organizacji, wyznaczyłem najlepszych oficerów ochrony i nadzoru, żeby śledzili każdy jego krok, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Od tego czasu monitorujemy także jego połączenia internetowe, wszystkie maile i rozmowy telefoniczne, tak samo jak wszelkie osobiste kontakty, które nawiązuje. Nasz nadzór potwierdza wszystko, co było na pendrive'ie, który znaleźliśmy przy kobiecie.

– Nie ma więc mowy, aby wcześniej zdołała skontaktować się z kimś z zewnątrz?

– Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, *Herr Director*, ale sądzę, że nie. Według mnie zamierzała sprzedać te informacje prasie albo opublikować je w internecie. Nie mogła przecież zdradzić się przed kimkolwiek, kto mógł narazić na szwank świetny interes, który zamierzała ubić. A jeśli zdawała sobie sprawę, że mamy ją w garści, to nie zaryzykowałaby ujawnienia swojej tożsamości przed publikacją materiału.

– Uważasz, że była dziennikarką?

– Trudno powiedzieć. Sama tego nie potwierdziła. Była w *nieodpowiednim* stanie do przesłuchania. Tym niemniej pozostaje jeszcze sprawa jej nieodnalezionego telefonu.

– Co masz na myśli, mówiąc „nieodnaleziony”?

– Tylko tyle, że nie udało nam się go odszukać. To była Nokia 5800. Ale już wysłaliśmy kogoś, kto ma się tym zająć. Ten aparat z pewnością wróci w nasze ręce, *Herr Director*.

– Szczerze wierzę, że tak się stanie. Nie muszę chyba panu przypominać, ile danych można przechować na karcie pamięci telefonu...

Mężczyzna za biurkiem na moment pogrążył się w myślach, a potem skinął w stronę obrazu, który widniał na wyświetlaczu laptopa.

– A co z nim? Czy on wie, że został namierzony?

– Zdecydowanie nie, *Herr Director*. Mam wrażenie, że sądzi, iż nie uda się go zdemaskować. Jego działania świadczą o pewnej arogancji. Zresztą moi Konsolidatorzy są specjalistami od zamaskowanego nadzoru. On nie ma pojęcia, że jest śledzony. Jestem tego pewien.

– Baedorf, czy słyszałeś kiedyś o efekcie obserwatora?

– Obawiam się, że nie, *Herr Director*.

– To określenie pochodzi z mechaniki kwantowej, zrodziło się z obserwacji cząstek subatomowych. Sam fakt obserwacji zmienia zachowanie obserwowanych cząsteczek.

Dyrektor przez dłuższy czas przyglądał się obrazowi na ekranie laptopa.

– To absolutnie konieczne, żeby nie zorientował się, że wpadliśmy na jego ślad. I nikt poza twoimi najbardziej zaufanymi ludźmi nie może o tym wiedzieć. Chyba zdajesz sobie sprawę, Baedorf, jak niebezpieczne mogą być dla nas jego poczynania? Jak niebezpieczne mogą być dla całego Pharos Project?

– Oczywiście. Powiedziałem moim Konsolidatorom, że mają bezzwłocznie niszczyć wszelkie dowody inwigilacji, poza tymi, które teraz ma pan w ręku. Ja naprawdę wierzę, że udało nam się dopaść tę kobietę, zanim zdołała przekazać dalej jakąkolwiek informację. Teraz możemy uporać się... Uporać się z naszym problemem... Zanim ten człowiek zrobi coś, co mogłoby narazić na szwank nasz projekt. Jakie są pańskie rozkazy?

Wiegand znowu zapatrzył się w ekran, kliknięciem zmieniając kolejne zdjęcia.

– Niczego nie robić pochopnie. Ta sprawa wymaga dokładnego zaplanowania. Musimy go powstrzymać, to oczywiste, ale w taki sposób, żeby nic nie wskazywało na nas.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować, *Herr Director*... Może pan Korn powinien zostać powiadomiony, że...

– Rozmawiasz ze mną, Baedorf. To wystarczy. Oczekuję, że wymyślisz jakieś dobre rozwiązanie, dyskretne, a zarazem skuteczne. Coś innowacyjnego. Czy poradzisz sobie z tym zadaniem?

– Naturalnie, *Herr Director*. Mamy w zanadrzu kilka środków zaradczych, które nie będą wskazywać bezpośrednio na nas. Przeanalizuję kilka możliwości i złożę panu raport.

Kiedy Baedorf opuścił biuro, dyrektor odwrócił krzesło i zwrócił się twarzą do szklanej ściany. Kolor nieba przybrał nieznacznie siną barwę, co sugerowało jakiś niepokój. Być może zbliżała się następna burza.

ROZDZIAŁ 7

Kilka chwil absolutnego spokoju przed nadejściem burzy...

Skulony w swoim samochodzie, słuchał ulubionej muzyki i obserwował przez przednią szybę krople deszczu, który powoli przechodził w lekką mżawkę. Fabel doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka.

Tak wyglądał jego biznes. Jego praca. Przyglądanie się śmierci i próba odczytania jej znaków. Jednak nieważne, jak często patrzył na śmierć, gwałtowną śmierć, ona i tak zawsze wzbudzała w nim konsternację. Może nie tak wielką jak przed dziesięcioma, piętnastoma laty i jeszcze zanim zetknął się z tymi licznymi przypadkami, którymi dotąd się zajmował, ale wciąż realną: niewyraźne mrowienie w głębi trzewi wywołane przez ludzki instynkt, którego nie był w stanie powstrzymać. Naturalna reakcja obronna organizmu, która gwałtownie następuje w rejonach mózgu odpowiedzialnych za pierwotne odruchy... Zwłaszcza jeśli jest mnóstwo krwi. Bo jeśli jest mnóstwo krwi, do akcji włączają się odruchy obronne i zagłuszają wszystko, co podpowiada rozsądek. Później zaś – na długo po tym, jak opuścisz miejsce zbrodni – prześladowuje cię obraz zmarłego. Pojawia się nieproszony i w najmniej odpowiednich momentach – podczas posiłku, uprawiania seksu, odpoczynku z przyjaciółmi.

Tak więc Jan Fabel przedłużał tę ostatnią spokojną chwilę i siedział w samochodzie; wyłączył wycieraczki, żeby przyglądać się, jak lekko krople wody bębnią miarowo o przednią szybę. Dzień sprawiał niesamowicie ponure wrażenie: niebo, woda, budynki – wszystko było w różnych odcieniach grafitu. Nawet ta ostatnia chwila spokoju także wydawała się ponura.

Muzyka, której słuchał, idealnie pasowała do jego nastroju i do pogody. Utwory Esbjörn Svensson Trio płynęły z odtwarzacza MP3, który podłączył w swoim bmw. *From Gagarin's Point of View*. Wspaniały tytuł. Wspaniały kawałek na taki poranek w Hamburgu. Przepojony tak samo grafitową tonacją brzmienia. Przyjemnie melancholijny – w taki sposób, w jaki tylko Skandynawowie potrafią tworzyć muzykę.

Czyjeś zziębnięte, mokre palce zapukały w okno od strony pasażera, wyrwijąc Fabla z pełnego melancholii spokoju. Powoli odkręcił szybę, a wtedy zimne, nieprzyjemne szpileczki deszczu natychmiast ukłuły go w policzek.

– No i jak, szefie? Przyjdzie pan w końcu do nas czy nie?

Anna Wolff pochylała się ku niemu, kuląc się z zimna i od wilgoci. Wydawała się bardzo zniecierpliwiona. Anna zawsze wyglądała młodo i uroczo, ze swymi ciemnymi oczyma i krótko przyciętymi ciemnymi włosami. Dziewczęco. Jednak kiedy stała przed nim na deszczu, ujrzał w niej nagle zapowiedź przyszłej, starszej Anny – Anny, której w końcu zabraknie owej typowej dla niej energii. Fabel dostrzegł tę subtelną zmianę i poczuł się źle. Kiedy odsuwała się od samochodu, zauważył, że lekko powłóczy nogą, i poczuł się jeszcze gorzej. Przez minione lata jego zespołowi przytrafiło się więcej nieszczęśliwych wypadków, niż ktokolwiek na to zasługiwał.

– Wprost tryskasz radością – powiedziała, kiedy Fabel wysiadł z auta.

– No więc, Anno, co tam mamy?

– Już mówiłam, zwłoki przyniesione przez wodę. Tylko uprzedzam, że okropnie śmierdzą. Znaleźli je chłopcy z zespołu ochrony przeciwpowodziowej. Ich szefem jest gość o nazwisku Kreysig.

– Lars Kreysig?

– Znasz go? – spytała Anna.

– Raczej z opowieści, ale już miałem okazję go spotkać. W straży pożarnej Hamburga jest

kimś w rodzaju legendy. Po świecie chodzi mnóstwo ludzi, którzy już by nie żyli, gdyby Kreysig w ostatniej chwili nie pojawił się na miejscu, żeby wyciągnąć z ognia ich tłuste dupska.

Dosłownie... Czy on wciąż tu jest?

– Prosiłiśmy, żeby pozostał w pobliżu, dopóki nie przyjedziesz. Co to za gównno, którego słuchałeś w samochodzie?

Fabel zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do Anny.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, pani komisarz Wolff, że nie posiada pani czegoś takiego jak dusza? Nie docenia pani najbardziej wyrafinowanych rzeczy, jakie przytrafiają się w ludzkim życiu... Daj spokój, Anno. Susanne też przez całą drogę na lotnisko zadreżczała mnie z powodu mojego samochodu.

– Naprawdę? Osobiście lubię starocie. Tak czy owak, uważam, że Susanne dobrze na ciebie wpływa. Jesteś o wiele mniej zręczliwy niż kiedyś. No i jak, jesteś gotowy się z tym zmierzyć?

Ruszyli w stronę miejsca, gdzie wznosił się biały namiot zespołu medycyny sądowej, po drodze przeskakując przez węże i rury, i uważając, by nie wdepnąć w mieniące się ciemną tęczą kałuże oleju i wody oraz czarną płataninę szczątków naniesionych przez powódź.

– Już miałam przyjemność tam zajrzeć – oznajmiła Anna, gdy dotarli do namiotu. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym poczekać na ciebie na zewnątrz.

Fabel skinął głową bez słowa. Anna była twarda i miała w życiu do czynienia z większą liczbą nagłych zgonów, niż jej się należało, ale zajmowanie się zwłokami w stanie zaawansowanego rozkładu zawsze było jej piętą achillesową, Fabel zaś z doświadczenia wiedział, że nie ma nic gorszego niż ciało, które znajdowało się w wodzie dłużej niż kilka dni. W wodzie proces rozkładu nabiera ogromnego przyspieszenia: tkanki stają się miękkie i ciało puchnie od uwieczonych w środku gazów, aż w końcu wypływa na powierzchnię i podskakuje na niej jak zgnięta, cuchnąca boja.

Przed namiotem rozstawiono stolik z zestawem narzędzi kryminalistycznych. Anna wręczyła Fabelowi biały papierowy kombinezon, lateksowe rękawiczki, niebieskie elastyczne pokrowce na buty oraz maskę z filtrem. Potem wyjęła z kieszeni kurtki perfumy w sprayu i psiknęła na umieszczony od spodu w masce filtr.

– Będzie ci potrzebny – zapewniła. – Te zwłoki są naprawdę dojrzałe. I pamiętaj, żeby mieć zapięty kombinezon. Jeśli ten smród przedostanie się na twoje ubranie, nigdy nie zdołasz się go pozbyć.

– Anno, już miałem do czynienia ze zwłokami przyniesionymi przez wodę. Wiem, jak wygląda to badanie.

Mówiąc te słowa, Fabel uśmiechnął się. Zwrócił uwagę, że Anna jeszcze bardziej poblądła na wspomnienie tego, co ujrzała w namiocie.

Spojrzał na niebo, wciąż stalowoszare po niedawnej burzy, potem popatrzył na oczyszczony plac, na którym wyrosła prowizoryczna wioska: generatory, dźwigi, ciężarówki i wozy straży pożarnej. Wziął głęboki oddech, spróbował odtworzyć w głowie kilka taktów z *From Gagarin's Point of View*, żeby złagodzić kołatanie w piersi, a potem, zakrywając nasączoną perfumami maską nos oraz usta, przestąpił próg białego namiotu, w którym urzędował zespół medycyny sądowej.

Smród przebił się przez maskę i nasączony mocnymi perfumami filtr i uderzył Fabla, gdy tylko policjant wszedł do środka. Fabel od razu rozpoznał ten odór: zjełczały, kwaśny i jednocześnie mdląco słodkawy. Na całym świecie nie istniało nic, co w najmniejszym choćby stopniu mogło go przypominać. Aż nadto dobrze zdołał poznać ten smród, gdy musiał zajmować się kilkoma innymi zwłokami leżącymi długo w wodzie oraz pewnym ciałem o czarnej barwie,

odnalezionym w lesie. Czerń oznaczała ostatnie stadium rozkładu, między dziesiątym a dwudziestym dniem po śmierci. I wydawała z siebie najstraszliwsze zapachy. Mimo pracującego wyciągu powietrze w namiocie zespołu medycyny sądowej przesycone było fetorem rozkładającego się ciała.

Fabel często zastanawiał się, w jaki sposób policja portowa Hamburga radzi sobie z koniecznością zajmowania się licznymi zwłokami, które wyciąga się tam z wody. Istniała linia demarkacyjna, wyznaczająca odpowiedzialność za znajdowane ciała między policją portową a normalną Polizei Hamburg – linia wysokiej wody. Każde ciało znalezione powyżej tej linii należało do policji miejskiej, a poniżej – do policji portowej. Krążyły plotki, że całkiem sporo nieboszczyków, których woda wyniosła na brzeg, zostało strąconych przez wybrednych funkcjonariuszy Stadt Polizei z powrotem poniżej znaku wysokiej wody, i w ten sposób trafiło do policji portowej.

– Cześć, Jan! Jak się miewasz?

Holger Brauner był przysadziwym, dobrze zbudowanym mężczyzną w wieku czterdziestu kilku lat. Ukryty za maską, szef zespołu medycyny sądowej Polizei Hamburg radośnie powitał Fabla, gdy ten tylko pojawił się w namiocie. Brauner należał do osób, które cechowała niepohamowana wesołość. Przyjaźnili się od lat, ale Fablowi nigdy nie udało się pogodzić *joie de vivre* kolegi z ponurą pracą, jaką tamten wykonywał.

Nie odpowiedział od razu na pytanie, bo całą uwagę skupił na tym, by powstrzymać się od wymiotów. Źródło odoru spoczywało tuż przed nim, na mokrym asfalcie: ludzki tors obciążony pofałdowaną skórą, tu i ówdzie zielonkawoczną, a gdzie indziej fioletową i zielono-białą. Ciało pozbawione było głowy, rąk i nóg. W miejscach, gdzie dokonano amputacji, tkanki były ściągnięte i nabrzmiałe; obrzydliwie różowe i nagie. Korpus wyglądał tak, jakby należał do kogoś chorobliwie otyłego, lecz Fabel wiedział, że to efekt wzbierających wewnątrz gazów, które nadymały i rozszerzały ciało.

– Z pewnością lepiej niż ona... Jakim cudem wytrzymujesz ten smród? – zapytał Fabel pomiędzy starannie odmierzonymi oddechami.

Brauner udał, że nabiera głęboki, pełen uznania wdech.

– Ach, uwielbiam z samego rana poczuć woń putrescyny i ptomainy. Czy wiedziałeś, że to właśnie ptomaina nadaje nasieniu jego charakterystyczny zapach? Są nią naznaczone początek i koniec życia.

– Holger, koniecznie powinieneś znaleźć sobie jakieś hobby. – Fabel skinął głową w stronę zwłok. – Więc ona została przyniesiona przez wodę?

– No cóż, raczej nie wydaje mi się, żeby sama tu przyplęnęła... – Zza maski ukrywającej twarz Braunera dobiegł krótki śmiech.

– Ten brak głowy i kończyn... Może to stało się przypadkiem? Może to łódź albo statek?

– Nie. Zdecydowanie ktoś zrobił to celowo. I zdumiewająco precyzyjnie. Amputacja ramion w stawach, przecięcie kości udowej w nogach... Fachowa robota, muszę przyznać.

– Kiedy złapiemy jej zabójcę, przekażę mu twoje słowa uznania. – Fabel mówił ściśniętym głosem, bo odruchowo starał się oddychać płytko i jak najkrócej. – Ktokolwiek to zrobił, najwyraźniej nie chciał, żebyśmy ją zidentyfikowali. Albo przynajmniej starał się nas spowolnić.

– Taak... – mruknął z roztargnieniem Bruner i przechyliwszy głowę, obejrzał kikut szyi. – Tak to się robiło w zeszłym stuleciu. Kto w obecnych czasach potrzebuje odcisków palców? Możemy dopasować ją do danych zaginionej osoby na podstawie rodzinnego DNA.

– O ile ktoś zgłosi jej zaginięcie i jeśli uda się nam wytropić choć jednego jej krewnego... Fabel dostrzegł coś, co wyglądało jak sieć tatuaży, a potem zauważył miejsce, gdzie skóra

pękła, ukazując śluzowaty tłuszcz i mięso, które wyglądało jak rozgotowany kurczak. Natychmiast poczuł, jak w żołądku wzbiera mu fala mdłości, i pospiesznie odwrócił głowę.

– To *anserita cutis*. Gęsia skórka – oznajmił Brauner. – Są wyraźne ślady maceracji skóry, ale w warstwie podskórnej nie ma znaczącej ilości tłuszczowosku. Mogę więc stwierdzić, że to ciało leżało w wodzie dłużej niż jeden czy dwa tygodnie, ale na pewno krócej niż sześć.

– A te tatuaże?

– Och, te linie zrobili nasi dobrzy znajomi, *bacillus prodigosus* i *bacillus violaceum*.

Naturalni mistrzowie tatuażu... Chromogenna bakteria, która barwi skórę na czerwono, względnie na fioletowo. To znak długotrwałego zanurzenia w wodzie.

– Masz jakiś pomysł, co mogło być przyczyną zgonu? – zapytał Fabel.

– Odcięcie głowy zdecydowanie załatwiło sprawę – oznajmił Brauner. – Czy naprawdę niczego nie nauczyli cię w tej twojej szkole dla detektywów?

– Bardzo śmieszne. Przypuszczam, że amputacja kończyn i głowy odbyła się *post mortem*. Czy na ciele są znaki użycia przemocy fizycznej?

– Wybacz, Janie, ale będziesz musiał poczekać na wyniki autopsji. W wypadku dojrzałego nieboszczyka znalezione w wodzie, takiego jak ten, trzeba dokładniejszych oględzin, żeby stwierdzić, co zostało zrobione przed, a co po śmierci. Tam mogą być ślady po kuli, które zamknęły się i wstąpiły, kiedy ciało napuchło. W dodatku ciała takie jak to ponieważ się po całym akwencie, są uderzane przez łodzie i nadgryzane przez wszelkie możliwe stworzenia. Autopsja określi także, czy rozkład związany jest wyłącznie z działalnością bakterii żyjących w wodzie, więc dopiero wtedy dowiemy się, czy ofiara po śmierci przez pewien czas leżała gdzieś na lądzie.

– Dzięki, Holger. Kiedy raport będzie gotowy, przekaż go Annie Wolff.

Fabel odwrócił się, żeby wyjść z namiotu.

– A przy okazji, jak się trzyma Anna? – zainteresował się Brauner. – Daje sobie radę?

– Nieźle. Jest w całkiem niezłej formie, zresztą wróciła do pracy już pół roku temu. Wiesz przecież, jaka ona jest.

No i co o tym sądzisz? – spytała Anna, kiedy Fabel wynurzył się z namiotu Sekcji Medycyny Sądowej. – Takie rozczłonkowanie zwłok sugeruje, że mamy do czynienia z mordercą, który zna się na swoim fachu.

– To może być ktokolwiek – odparł. – *Możliwe*, że to robota naszego gościa, ale równie dobrze mógł to zrobić seryjny morderca, mogło to być zabójstwo na tle seksualnym... Albo niezadowolony mąż, który przypadkiem posiada piłę do mięsa i łódkę wiosłową.

Zamilkł nagle i obydwójce jak na komendę odwrócili się w stronę namiotu, bo z wnętrza zaczęło dobiegać wesołe pogwizdywanie.

– Zdaje się, że wczoraj był w kinie na *Królu Lwie* – wyjaśniła Anna. – Uwielbia łatwo wpadające do ucha melodie, sam o tym mówi. Brauner jest twoim kumplem, dobrze kojarzę?

– Tak – potwierdził Fabel. – Holger to porządny gość.

– Owszem... Ale musisz przyznać, że jest trochę dziwaczny. Wiesz, gdyby nie był specjalistą od medycyny sądowej, pewnie znalazłby się na mojej prywatnej liście potencjalnych seryjnych morderców.

Fabel zaśmiał się bez entuzjazmu, a potem popatrzył w niebo i odetchnął głęboko. Powietrze było chłodne, czyste i świeże, lecz w jego nozdrzach wciąż snuł się mdlący słodkawy odór.

– Paskudnie tam w środku, prawda?

Fabel skinął głową.

– Nienawidzę ciał, które wyciągnięto z wody. Człowiek czuje potem ten smród przez

okrągły tydzień... Ty i Henk zajmiecie się tą sprawą. Daj mi zerknąć na wyniki kryminalistyczne i protokół z sekcji, kiedy je dostaniesz. Tak jak powiedziałaś, to nie wygląda na robotę naszego Zabójcy z Sieci. Właśnie czegoś takiego nam trzeba, innego świra, który podrzuca zwłoki do kanałów Hamburga. Z pewnością przemysł turystyczny będzie miał dzięki temu niekończące się pasmo atrakcji. Skoro już jesteśmy przy Zabójcy z Sieci, to na jakim etapie jesteście w ustalaniu kontaktów?

Anna wzruszyła ramionami.

– Udało się nam znaleźć kolejne trzydzieści profili na portalach społecznościowych, które były odwiedzane przez ofiary, ale musimy mieć nakaz sądu, żeby uzyskać adresy IP od administratora strony. W czasie lunchu powinniśmy je mieć.

– W porządku, w takim razie omówimy tę sprawę w biurze. Gdzie jest Lars Kreysig?

Anna wskazała grupkę mężczyzn w odległym końcu Elbestrasse, którzy właśnie pochylali się nad jakimś urządzeniem gaśniczym. Nawet z tej odległości Fabel mógł zobaczyć, jak potwornie byli zmęczeni. Kiedy razem z Anną podeszli bliżej, jeden z mężczyzn wyprostował się i obrzucił ich bladym uśmiechem.

– Główny nadkomisarz Fabel?

Człowiek, który przemówił, był wyższy od Fabla, lekko przygarbiony, z mnóstwem głębokich zmarszczek na pociągłej twarzy, nad którą królowała burza przedwcześnie posiwiałych włosów.

– Tak jest. *Herr Kreysig*?

– Proszę mówić do mnie Lars. Spodziewam się, że chce pan porozmawiać ze mną o tych zwłokach przyniesionych przez wodę?

– Już wcześniej podała pani komisarz Wolff wszystkie szczegóły dotyczące miejsca i czasu, kiedy odnalazł pan ciało... Ja tylko chciałem zapytać, czy zaryzykowałby pan tezę, skąd ono przyplłynęło? Mam na myśli kierunek rzeki.

– Nie do mnie to pytanie... Sepp, możesz pozwolić tu na chwilę? – Kreysig zawołał przez ramię w stronę grupy mężczyzn majstrujących przy urządzeniu gaśniczym, po czym ponownie odwrócił się do Fabla. – Mój zastępca, Sepp Tramberger, jest jednym z pańskich kolegów. Innymi słowy, pracuje w policji portowej. Został przydzielony do naszej specjalnej jednostki przeciwpowodziowej. Powiem panu, że nikt inny nie zna zwyczajów Łaby tak dobrze jak Sepp. Kiedy nie jest na rzece fizycznie, jest na niej wirtualnie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem... – wtrącił Fabel.

– Sepp stworzył „Wirtualną Łabę”. Tak dla siebie, w wolnym czasie. To taki komputerowy model rzeki i jej prądów. Wziął do pomocy jakiegoś naukowca z uniwersytetu i razem złożyli wszystko do kupy. Może pan obejrzeć to sobie w internecie. Albo przynajmniej jedną z wersji. Naprawdę imponujące.

Po chwili Tramberger przyłączył się do nich, a Kreysig przedstawił go Fablowi i Annie, i powtórzył pytanie Fabla. Tramberger był niewysokim, przysadzistym człowiekiem o wyglądzie pirata, z blond włosami przystrzyżonymi na jeża i twarzą, która wyglądała, jakby strzaskały ją nie tylko słońce i wiatr. Fabel wiedział, że większość funkcjonariuszy tej jednostki posiada patenty. Oznaczało to, że policja portowa w przeważającej części składała się z byłych marynarzy, którzy mieli okazję zobaczyć spory kawał świata, zanim przyszło im patrolować nabrzeża i porty Hamburga. Usłyszawszy pytanie, Tramberger zawiesił wzrok gdzieś w dali i skrzywił swoją pooraną zmarszczkami twarz w grymasie, który Fablowi przywiódł na myśl mającego wycenić robociznę hydraulika.

– Trudno powiedzieć... – wycodził w końcu, pocierając podbródek. – To zależy, jak długo, według patologa, ciało leżało w wodzie.

– Dłużej niż dwa tygodnie, krócej niż sześć. Tak ocenił nasz specjalista od medycyny sądowej – odparł Fabel.

W odpowiedzi otrzymał kolejną porcję pocierań podbródka i wpatrywania się w pustą przestrzeń.

– Cały problem z takimi pływającymi zwłokami polega na tym, że one nie od razu unoszą się na powierzchni. Najpierw toną. Czasami idą na dno, a kiedy indziej są tuż pod lustrem wody, metr albo nawet wyżej. Jeśli temperatura wody jest niska, zostają na miejscu, niekiedy na zawsze. Ale jeśli temperatura wody się podnosi i jeśli o nic nie zaczepią, wracają na wierzch i jak korek podskakują na wodzie. Jeżeli pańska dziewczynka faktycznie przebywała w wodzie dłużej niż tydzień, to według mnie wrzucono ją do wody gdzieś w górze rzeki. Ale niezbyt daleko. Ciało nie wyglądało na mocno pokiereszowane ani na posiekane przez śruby statków. Nie zostało też napoczęte przez ryby ani węgorze. Możliwe, że wrzucono ją po drugiej stronie, kawałek w górę rzeki.

– Dzięki – powiedział Fabel.

– Kiedy dowie się pan czegoś więcej od patologów, może da mi pan znać? – zaproponował Tramberger. – Wprowadzę te dane do komputera i zobaczę, co się da z nich odczytać. Wtedy będę mógł podać dokładną lokalizację miejsca, w którym przypuszczalnie wylądowała w wodzie.

– W porządku, na pewno tak zrobię – odparł Fabel. – Jeszcze raz wielkie dzięki.

– Czy to kolejna ofiara tego Zabójcy z Sieci, którego poszukujecie? – zapytał Kreysig bez zainteresowania.

Facet sprawiał wrażenie naprawdę wykończonego.

– Być może – odpowiedział. – Ale osobiście w to wątpię. Nasz gość nie ćwiartuje swoich ofiar... Zresztą, kto wie?

– Dość trafny wybór, prawda? – zauważył Kreysig.

– Co takiego?

– Imię, jakie nadano burzy. – Znużona mina Kreysiga jasno sugerowała, że to przecież powinno być oczywiste. – Ta burza... Federalne Biuro Meteorologiczne nazwało ją „Stoertebeker”.

Fabel zrobił zdziwioną minę.

– No, to chyba trafna nazwa, skoro akurat burza „Stoertebeker” wyrzuciła na brzeg pozbawione głowy ciało – wyjaśnił Kreysig.

– Ach, tak... Teraz rozumiem. Tak, sądzę, że tak.

O co chodziło? – zainteresowała się Anna, kiedy opuścili grupę strażaków i z powrotem szli w stronę miejsca zbrodni. – Co to za gadka o tym „Stoertebekerze”?

Fabel zatrzymał się w pół kroku i popatrzył na nią z wyrazem udawanego przerażenia.

– Najpierw twierdzisz, że słucham gównianej muzyki, a teraz usiłujesz mi wmówić, że nie wiesz, kim był Stoertebeker?

– Oczywiście, że wiem. Klaus Stoertebeker był hamburskim Robin Hoodem, który napadał na morzu i tak dalej... Tylko co to ma wspólnego z tym bezgłowym ciałem?

– Najwyraźniej nie znasz legendy o egzekucji Stoertebekera...

Anna zrobiła minę świadcząca o tym, że nie może jej to mniej obchodzić.

– No to mnie zdegraduj!

– Klaus Stoertebeker, jak nikt inny, był solą w oku hanzeatyckiego Hamburga. On i jego towarzysze, „Prowiantowi Piraci”, jak ich nazywano, rabowali jedynie statki Hanzy i dzielili się równo łupami. Kiedy burmistrzem Hamburga został wybrany Simon z Utrechtu, postanowił zrobić z tym porządek. Kazał wybudować flotę nowych okrętów wojennych, aż w końcu dopadł

Stoertebekera i jego bandę. – Fabel machnął ręką mniej więcej we wschodnim kierunku. – Wiesz, gdzie budują nową Elbphilharmonie? No cóż, właśnie tam odbyła się ich egzekucja. W tamtych czasach, czyli na długo przedtem, nim powstało Speicherstadt, był to jeden długi odcinek piaszczystego wybrzeża. Tam stracono schwytych hamburskich piratów.

– No i... – wtrąciła Anna ze zniecierpliwieniem.

– No i kiedy Stoertebeker miał zostać stracony przez ścięcie, a wraz z nim jego siedemdziesięciu paru ludzi, poprosił o ostatnią łaskę: żeby Senat Hamburga uwolnił tyłu jego towarzyszy, obok ilu zdoła przejść już po odcięciu mu głowy. Legenda głosi, że kiedy Stoertebeker został stracony, jego bezgłowe ciało poderwało się z miejsca i pobiegło obok jedenastu skazańców, aż kat podstawił mu nogę.

– I senat uwolnił tych jedenastu mężczyzn?

– Ależ skąd. W senacie zasiadali sami politycy i oczywiście biznesmeni oraz generalnie najprzedniejsi obywatele... Więc naturalnie nie dotrzywali obietnicy. Po kolei każdy zbój oberwał po gardle. Czy wiesz, że kiedy tych siedemdziesięciu paru ludzi było już martwych, burmistrz zapytał kata, czy nie czuje się zmęczony po tak długim machaniu toporem, a on dał dowcipną odpowiedź mniej więcej tej treści, że wciąż ma dość sił, żeby pozbawić głów burmistrza i cały senat, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale ci wszyscy politycy, podobnie jak biznesmeni, nie słynęli z poczucia humoru, więc kazali na miejscu ściąć również kata – dokończył z uśmiechem Fabel.

– Dlatego ze względu na tę legendę, wydaje się, że Niemieckie Biuro Meteorologiczne wybrało trafną nazwę, dając tej burzy imię Stoertebeker. I jak mówił Kreysig, to prawdziwa ironia losu, że właśnie „Stoertebeker” sprowadził nam tutaj bezgłowe ciało.

– Cóż mogę powiedzieć, szefie? – odparła trochę znudzona Anna. – Zawsze lepsza taka wiedza niż żadna...

ROZDZIAŁ 8

Niedługo po lunchu Fabel zwołał cały swój zespół.

Tuż przed udaniem się na odprawę przez wewnętrzną pocztę odebrał wiadomość, że dyrektor Wydziału Kryminalnego van Heiden, szef pionu śledczego i bezpośredni przełożony, chce go widzieć u siebie mniej więcej o trzeciej trzydzieści. Po kilku latach współpracy z van Heidenem Fabel doskonale wiedział, że „mniej więcej o trzeciej trzydzieści” oznacza punktualnie trzecią trzydzieści. Jak chętnie się przyznawał, sam również miał skłonność do przesady w kwestii punktualności, ale przy punktualności jego szefa nawet średniej klasy zegar atomowy sprawiał wrażenie rozlazłego i niedokładnego. Fabel miał podejrzenia, dlaczego van Heiden chce go widzieć – dyrektor kryminalny był tak samo skrupulatny w kwestii informowania go o każdym postępie w śledztwie, które budziło nawet nikłe zainteresowanie opinii publicznej. Bez wątpienia został już powiadomiony o zwłokach znalezionych w pobliżu Fischmarkt.

Kiedy Fabel wkroczył do głównej sali konferencyjnej na końcu korytarza Komisji do spraw Morderstw, jego zespół już zdążył się zebrać. Sala konferencyjna była duża i utrzymana w neutralnych kolorach – czystych i łagodnych, zawieszonych gdzieś między bielą a beżem. Dla kontrastu feeria barw wylewała się z dwóch wiszących na bocznych ścianach płócien bez ram. Były to abstrakcyjne malowidła z gatunku tych, które Fabel określał mianem „korporacyjnej sztuki” – takie rodzaje obrazów widuje się na ścianach recepcji w bankach, towarzystwach ubezpieczeniowych, agencjach reklamowych i biurach rachunkowych, a ich rolą jest przekonanie klienta, że ma do czynienia z prawdziwie nowoczesną firmą.

Z olbrzymich okien sali konferencyjnej roztaczał się widok na czubki drzew rosnących w Winterhude Stadtpark. W równym rzędzie na stole z czereśniowego drewna stały dzbanek napełniony wodą z kostkami lodu oraz biały ciśnieniowy ekspres z filiżankami – wszystko z pewnością pochodziło z IKEI. Siedzący dookoła oficerowie ułożyli przed sobą podkładki z przypiętymi do nich notatnikami niczym zastawę stołową.

Sadowiąc się u szczytu stołu, przed białą, elektroniczną tablicą, Fabel czuł się tak, jakby za chwilę mieli rozpocząć dyskusję na temat założeń miesięcznych wyników sprzedaży, startu nowego produktu albo kampanii reklamowej. Miał wrażenie, że cały świat stawał się na jego oczach jakąś formą *korporacji*. Politycy, profesjonalści zajmujący się medycyną, nawet policjanci – wszyscy wyglądali tak, jakby właśnie zamierzali coś ci sprzedać. Jakby chodziło o policyjny *biznes*.

Fabel miał zaledwie czterdzieści osiem lat, ale zawsze czuł, jakby urodził się o dekadę albo dwie za późno. Wszystko wydawało mu się mniej rzeczywiste, niż wtedy, gdy zaczynał karierę. Dostrzegał, że nawet Anna Wolff, dotąd zdecydowanie nowoczesna, zaczyna ubierać się bardziej konserwatywnie. Zdaje się, że każda rebelia kończy się czymś w rodzaju pełnego rezygnacji dostosowania się. Oprócz ludzi z zespołu Fabla na sali przebywał jeszcze jeden, wysoki i szczupły mężczyzna, który zajmował miejsce w odległym końcu stołu. Niedawno przekroczył czterdziestkę, ale roztaczał wokół siebie atmosferę takiej powagi, którą dodatkowo podkreślały tradycyjnie skrojony garnitur i szczupła twarz o wystających kościach policzkowych, że sprawiał wrażenie dużo starszego, niż był w rzeczywistości. Po wejściu do sali Fabel skinął mu głową na powitanie, a następnie usiadł na swoim miejscu.

– Czy możesz zająć się tym w moim imieniu? – poprosił Annę, w ten przebiegły sposób uwalniając się od konieczności samodzielnego obsługiwania elektronicznej tablicy.

Technologia była kolejnym elementem, który z wolna wkradał się do pracy Fabla: gdzieś po drodze morderstwa zaczęły być zapisywane cyfrowo.

– Okay... – Fabel podniósł się z krzesła. – Tak zwany Zabójca z Sieci. Jak dotąd mamy trzy ofiary i wszyscy wiecie, jakie było tło tych morderstw. Każdy zespół śledczy miał wyznaczony konkretny przypadek. Jednak zanim zaczniemy, chciałbym was poinformować, że dziś rano odkryliśmy w wodzie następane ciało. Albo raczej to woda nam je przyniosła. Dziewczyna została wyrzucona przez burzę w pobliżu Fischmarkt.

Wśród zespołu rozległ się przytłumiony jęk.

– Wspaniale! Mamy następnego trupa! – odezwał się najgrubszy, mocno zbudowany mężczyzna, który siedział dotąd skulony, z łokciami opartymi o blat. Na oko zbliżał się do sześćdziesiątki i z siwymi, przyciętymi na jeża włosami wyglądał jak bokser. On także był zastępcą Fabla, był to starszy komisarz Werner Meyer.

– Raczej nie – przemówiła Anna. – Zwłoki odnalezione dziś rano to sam korpus. Bez głowy, rąk i nóg. A jeśli cokolwiek można dotąd powiedzieć o naszym gościu, to że jest konsekwentny.

– Prawdopodobnie nie. – Fabel rzucił Annie znaczące spojrzenie. – Ciało z dzisiejszego poranka z pewnością wygląda inaczej niż wszystkie pozostałe, co zapewne oznacza, że to robota innego sprawcy. Na razie więc nie ma sensu włączać tych zwłok do całej sprawy, przynajmniej do czasu, aż otrzymamy pełny raport kryminalistyczny i wyniki autopsji. Moim głównym zmartwieniem jest to, czy nie pojawił się jakiś jego naśladowca. Albo czy nasz gość nie zaczął po prostu dokonywać eksperymentów w sztuce. Jednak co słusznie zauważyła przed chwilą komisarz Wolff, jak dotąd nasz morderca postępował wyjątkowo konsekwentnie. Zresztą moim zdaniem on nie sprawia wrażenia kogoś, kto lubi w ten sposób bawić się swoim daniem: zwyczajnie skrada się za ofiarami, osacza je, gwałci, a następnie dusi. To główny punkt programu. Jedyne, czym zajmuje się później, to pozbycie się zwłok. Nigdy nie czuł potrzeby, żeby rozczłonkować ofiary. Tak więc na tę chwilę i aż do czasu, gdy otrzymamy raport, proponuję wyłączyć ostatni przypadek.

Skinieniem głowy dał znak Annie, która nacisnęła klawisz na bezprzewodowej klawiaturze. Na tablicy pojawiły się cztery zestawy fotografii. Trzy z nich przedstawiały standardowo wykonywane na miejscu zbrodni zbliżenia młodych kobiet, które padły ofiarą morderstwa. Czwarty zestaw składał się z sekwencji portretów samych młodych mężczyzn, które szybko migały na tablicy. Mnóstwo zdjęć. Setki. Szybko następujących po sobie.

– W tym wypadku znaleźliśmy się na całkiem dziewiczym terenie – kontynuował Fabel. – Nasz morderca postępuje w sposób znany każdemu, kto już wcześniej pracował przy seryjnych morderstwach na tle seksualnym. Wszyscy obecni na tej sali mają doświadczenie w przeprowadzaniu procesu identyfikacji i umiejscowienia mordercy. Pracując, poznajemy informacje sądowe, chronologię zbrodni, powiązania między świadkami, kluczowe wydarzenia i miejsca. Możemy przeprowadzać wizję lokalną, możemy odnajdywać świadków, szukać fizycznych dowodów, przeprowadzać dyskretny wywiad, i dzięki temu zbudować obraz, a nawet rysopis podejrzanego. Jednak tym razem nasz morderca lokalizuje swoje ofiary w cyberprzestrzeni. Te trzy kobiety aż do randki z nim nie miały ze sobą nic wspólnego. Potem każda z nich została przez jednego z tych mężczyzn zwabiona w śmiertelną pułapkę... – Fabel wskazał serię fotografii, które wciąż migały na elektronicznej tablicy. – To są mężczyźni, o których wiemy to, że ofiary kontaktowały się z nimi w internecie, za pośrednictwem portali społecznościowych. Anno, czy możesz trochę to spowolnić? – poprosił.

Anna przytrzymała klawisz; teraz portrety zmieniały się z nieco mniejszą częstotliwością. Wszystkie były amatorskimi zdjęciami, przedstawiającymi dwudziestokilkulatków lub mężczyzn, którzy dopiero co przekroczyli trzydziestkę. Niektóre zrobione zostały telefonem komórkowym lub aparatem cyfrowym, czasem były sfotografowanym odbiciem w lustrze. Kilka twarzy było

niewyraźnych: zamazanych lub częściowo zasłoniętych przez odbity błysk lampy. Panowie prezentowali całą różnorodność powszechnie spotykanych min i póz. Na kilku zdjęciach widać było umięśnione, obnażone torsy, lecz większość robiła ten przewidywalny i beznadziejnie idiotyczny gest, to znaczy zwieszała luźno ręce bądź wystawiała w górę kciuk.

– W tym właśnie tkwi nasz problem. W realnym świecie moglibyśmy wyłonić z tego tłumu pojedynczą osobę, która kontaktowała się ze wszystkimi ofiarami, a potem doczepić jej konkretną twarz. Ale tutaj, w internecie, poszukiwany przez nas człowiek może mieć kilka twarzy. Albo ani jednej z nich. Jest prawie pewne, że wykorzystuje inną tożsamość w wypadku każdej kobiety, którą „spotyka” w internecie, i że żadna z tych tożsamości nie jest prawdziwa. Z tego, co wiemy, on nawet nie udaje mężczyzny. Być może aranżuje spotkania z ofiarami, udając kobietę albo wręcz przedstawiciela jakiejś organizacji.

Jedyne, co wciąż powinniśmy mieć na uwadze, rozpracowując to środowisko, to, że żadna z norm wypracowanych przez nas przez te wszystkie lata tutaj nie znajduje zastosowania. To miejsce, gdzie każdy może być kimkolwiek lub czymkolwiek, czym tylko zechce. Nawet jeśli odzyskamy twarz osoby, z którą ofiary zgodziły się spotkać, jest prawie pewne, że nie będzie to jego prawdziwa twarz w realnym życiu.

– A co z wynikami testów laboratoryjnych? Przecież gwałt i uduszenie są jak najbardziej realne. Czy nie mamy DNA z nasienia, włosów albo naskórka, który pozostał na ciele ofiar? – zapytał Dark Hetchner, niewysoki, ciemnowłosy detektyw, który niedawno dołączył do zespołu Fabela.

Fabel potrząsnął głową.

– Ten koleś jest dość wybredny. Używa prezerwatyw i prawdopodobnie goli okolice łonowe. Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnego śladu DNA, które nie należałoby do ofiar. Zwyczaj porzucania zwłok w wodzie również działa na niekorzyść, jeśli chodzi o testy.

– Więc gdzie mamy zacząć? – odezwał się Werner Meyer.

– To dobry moment, żeby przedstawić wam nadkomisarza Krögera... – Fabel zawiesił głos i wskazał człowieka siedzącego przy końcu stołu. – *Herr Kröger* przewodniczy zespołowi specjalistów informatyki. Pozwoli pan, *Herr Kröger*?

Kröger pochylił swoją podłużną, kościstą głowę.

– Jak zauważył pan główny nadkomisarz Fabel, w kwestiach przestrzegania prawa technologia informatyczna niesie tyle samo wyzwań, co otwiera możliwości. Jednym z największych problemów, z jakimi przychodzi się nam mierzyć, jest działalność tych, którzy wykorzystują i deprawują dzieci. Na nieszczęście akurat w tej dziedzinie przestępczości musieliśmy pokonać stromą i krętą drogę, ponieważ ta grupa przestępców jako pierwsza zorientowała się, jak olbrzymie możliwości daje im internet. Sieć zmieniła sposób znajdowania i osaczania ofiar, zmieniła wyobrażenia o znęcaniu się i w największym stopniu umożliwiła komunikację zainteresowanych oraz wymianę informacji bez ujawniania tożsamości. Dawniej, przed erą internetu, tacy ludzie działali w pojedynkę i generalnie byli odseparowani. Wcześniej jedynie przy bardzo nielicznych okazjach mogli natknąć się na podobnie myślące indywidua, przy czym najczęściej miejscem takiego spotkania było więzienie. Okazjonalnie w świecie sprzed internetu mógł powstać zorganizowany krąg pedofili, lecz łączność między nimi, a zwłaszcza ich współdziałanie, zdarzały się dość rzadko, a jeżeli już, to jedynie na ściśle określonych obszarach geograficznych. Internet zmienił tę sytuację. Nagle ci ludzie, co zdarzyło się po raz pierwszy, mogli zyskać coś w rodzaju poczucia *przynależności społecznej*. Już nie byli odizolowani od siebie, lecz mogli wymieniać informacje i zdjęcia, i to zarówno w kraju, jak i na całym świecie. Nawzajem mogli budzić w sobie przeświadczenie, że skoro istnieje tylu innych dzielących ich perwersję, to znaczy że takie upodobanie wcale nie jest zboczeniem. Że ich

zachowanie ani nie odbiega od normy, ani nie jest chore czy pokręcone.

Kröger przerwał na chwilę. Fabel zwrócił uwagę, że pociągła, szczupła twarz specjalisty od przestępstw komputerowych pozostała beznamiętna, że nawet gdy przemawiał, w jego rysach brakowało śladu ożywienia. Szare oczy wydawały się wciąż tak samo matowe i spokojne. Może, myślał Fabel, tak dzieje się wtedy, gdy czyjaś praca związana jest z technologią, gdy przez cały czas ma do czynienia z maszynami? Może człowiek staje się przez to mniej wrażliwy, mniej ludzki?

– Właśnie taką możliwość stwarza internet: oferuje aurę normalności nawet najbardziej chorym i zboczonym umysłom – kontynuował Kröger. – Najważniejszą sprawą jest jednak to, że ci ludzie nabierają przekonania o swojej całkowitej bezkarności i czują, że są bezpieczni. I wtedy wkraczamy do akcji. W internecie nie istnieje coś takiego jak anonimowość. *Herr* Fabel próbował zestawić ten świat z tradycyjnie prowadzonymi śledztwami, gdzie możecie wytropić przestępcę poprzez badanie środowiska, przesłuchania świadków, i tak dalej. Niewątpliwie błędem jest myśleć, że internet czymś się różni w tym względzie. To po prostu *wirtualny* świat w miejscu tego realnego. Tam też wciąż zostawiamy ślady, dokądkolwiek się udamy. I nieważne, jak bardzo staramy się udawać kogoś innego, zawsze zostawiamy wskazówki, które pomogą nas zidentyfikować.

– Jakim cudem? – spytał Fabel. – Jeśli ktoś twierdzi, że jest czternastoletnią dziewczynką, a nie czterdziestoletnim facetem, którym jest naprawdę, to w jaki sposób można odkryć prawdę?

– Okay, zacznijmy od podstaw. Mnóstwo przeglądarek oferuje tak zwane przeglądanie w trybie prywatnym, gdzie nic nie loguje się w historii internetowej i komputer nie może pobierać ciasteczek ani innych śladów twojego buszowania w sieci. Tak naprawdę prywatny tryb przeglądania nie istnieje. Dostawca internetu przechowuje informacje o każdej stronie, każdym miejscu, do którego ktoś zajrzał. Z kolei administratorzy owych stron przechowują adres IP komputera. Za każdym razem, kiedy łączymy się z internetem, zostawiamy po sobie ślad. Jeśli ktoś jest na tyle beznadziejnym durniem, by używać komputera w pracy lub w domu, do uzyskania jego danych i adresu potrzebujemy jedynie nakazu sądu.

– Ale nasz facet nie jest durniem – wtrąciła Anna.

– Nie... – Kröger sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd nośnik pamięci USB. – To jest klucz sieciowy. Ten konkretny typ klucza pozwala na połączenie się z siecią w każdym punkcie z WiFi. Oczywiście nadal posiadasz adres IP, lecz jeśli zapłacisz gotówką w systemie *prepaid* za klucz z dostępem do szerokopasmowego internetu, to wówczas twój adres i nazwisko nie znajdują się na żadnej liście. Zakładam, że wasz Zabójca z Sieci, o ile jest sprytny, używa właśnie czegoś takiego. Lecz nawet jeśli, to i tak wciąż można go wytropić. Nie zdoła zamaskować swojej lokalizacji, kiedy jest online. A przynajmniej nie zdoła tego osiągnąć bez wykorzystania dość wyrafinowanego oprogramowania. Możemy ogólnie zidentyfikować fizyczne dane miejsca, z którego nawiązano połączenie. Jeżeli jest to klucz w systemie *prepaid*, to przecież nasz kandydat musiał gdzieś go kupić, a to oznacza ponowne wynurzenie się na powierzchnię. Ekspedientka za ladą w kiosku z gazetami lub w punkcie handlującym telefonami komórkowymi, która sprzedaje mu klucz, może być jednym ze świadków, o którym wcześniej wspomniał *Herr* Fabel. Takie jest moje zdanie. Mój rewir wcale nie różni się od waszego. Zawsze zostają jakieś ślady, coś, czego można się chwycić. Ile wysiłku to będzie wymagało, ile zręczności trzeba, żeby odkryć te ślady, zależy od inteligencji i doświadczenia przestępcy. Tak samo jak w realu.

– Ale wciąż nie znamy odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób rozszyfrować fałszywą tożsamość – powiedział Werner.

– Nie wiem, ilu z was korzysta z portali społecznościowych, lecz ci, którzy się w to bawią, zdają sobie sprawę z pewnego niepokojącego fenomenu. Widzicie ogłoszenia dotyczące

rzeczy, które są dla was istotne, co więcej, ukazują się one dokładnie w tym czasie, w którym są dla was istotne... Na przykład ogłoszenia agencji zajmujących się fotografią ślubną wyświetlają się akurat wtedy, kiedy ktoś się zaręczył, reklamy restauracji tuż przed ważną dla kogoś rocznicą, linki do sklepów sportowych, które oferują wam zniżki na konkretne towary... Zupełnie jakby jakieś wirtualne medium czytało wasze myśli. Prawda jest całkiem prosta: wszędzie zostawiacie mnóstwo informacji o sobie. Ponieważ rozumiecie tak, jak rozumuje się w normalnym świecie, myślicie, że te drobiazgi dotyczące was są tak rozproszone, że nie da się ich poskładać. A jednak się da, i to momentalnie. W dodatku nie jesteście nawet świadomi, że informacje o was pozostają; że wasze osobiste dane i zachowanie w sieci zostaje poddane szczegółowej analizie, czasami automatycznie. Nic, co robicie w internecie, nie jest dziełem przypadku. Wydaje się wam, że przeskakujecie z witryny do witryny, ze strony na stronę, spontanicznie, bez namysłu, ale we wszystkim, co robicie, zawsze jest jakaś podświadoma logika, jakaś psychologia. Prawda wygląda tak, że im bardziej jesteście rozluźnieni i im bardziej swobodna jest wasza wędrówka po internecie, tym więcej mówi o waszej psychice, waszej tożsamości. W Wydziale do Walki z Cyberprzestępczością mamy kontakt z wszelkiego rodzaju ekspertami, specjalistami IT, socjologami, psychologami, kryminologami. Wykorzystujemy nawet ekspertów lingwistycznych, którzy badają wasze słownictwo, składnię zdań oraz gramatykę i którzy mogą stworzyć profil waszego poziomu wykształcenia, wieku, i tak dalej. Oprócz ekspertów mamy też do dyspozycji analityczne oprogramowanie, które w ciągu paru sekund może przedstawić analizę konkretnego użytkownika. Tak więc, odpowiadając na pańskie pytanie, *Herr Meyer*... Owszem, prześwietlenie starannie skonstruowanej tożsamości awatara może być dość skomplikowane, lecz mamy do dyspozycji cały arsenał broni, a skuteczne ukrycie się za wymyśloną maską jest trudniejsze, niż pan sądzi.

– Dziękuję – powiedział Fabel. – Nadkomisarz Kröger będzie pracował razem z nami nad rozwikłaniem tej sprawy i w razie potrzeby zapewni nam kontakt z innymi specjalistami ze swojego wydziału. Anna dostarczy mu pełną listę możliwie zbieżnych tożsamości z portali społecznościowych. Ich liczbę udało się zawęzić dlatego, że każda z ofiar wydawała się preferować inną witrynę. Mieliliśmy kłopoty ze znalezieniem jakichś zbieżnych punktów w ich codziennym życiu w realu, tak samo trudno znaleźć je w ich aktywności online, ale wiemy na pewno, że wszystkie cztery kobiety korzystały z portali społecznościowych w celu zawierania znajomości z mężczyznami.

– Nie wspomniałem o jednej rzeczy – powiedział Kröger. – Tym razem mamy wyraźną przewagę, ponieważ posiadamy komputery używane przez te kobiety. I mamy technologię, dzięki której potrafimy odtworzyć każdy ich krok. Może nawet uda się nam odzyskać znaczną część wiadomości z ich chatroomu? A to może wskazać nam bardzo określony kierunek.

– W jakim punkcie jesteśmy? – spytał Fabel.

– Niezbyt daleko. Zakładam, że jeszcze dzień lub dwa, i będziemy mieć mnóstwo potencjalnych wskazówek z tego, co zostało wprowadzone do komputerów. Rzecz jasna to bardzo drobiazgowa robota.

– Oczywiście – odparł Fabel i uśmiechnął się.

Jego zdaniem Kröger był człowiekiem, który składał się z samych liczb; człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek osobowości. To nie była pora na jakąś grę czy osobiste współzawodnictwo. W ciągu dwóch dni mogła zginąć następna kobieta. Być może nawet w tej chwili układała plany spotkania ze swoim mordercą: gawędziła, flirtowała, umawiała się z elektronicznym widmem, które dla niej było normalną, ludzką istotą.

– Jednak jestem pewien, iż zdaje pan sobie sprawę, że czas odgrywa tutaj kluczową rolę – dodał.

– Naturalnie, ta sprawa jest dla nas absolutnym priorytetem.

Kiedy Kröger odzywał się, było nieprawdopodobne, że zająknie się lub pomyli. Żaden sentyment nigdy nie zmieniał wyrazu jego twarzy ani szarych oczu. Ten facet sam jest prawie maszyną, pomyślał Fabel.

Już wcześniej zdarzyło mu się pracować z Krögerem – nad sprawą morderstwa dziecka, w które zamieszany był krąg pedofili działający w internecie. Kröger wyrwał się wtedy z uwagą, że jego zdaniem nieuctwo Fabela w dziedzinie technologii naraża na szwank jego skuteczność jako śledczego. Jednak najbardziej zirytowała Fabela obojętność, z jaką Kröger przyjmował ludzkie cierpienie, nieuchronnie związane z tamtą sprawą. Wydawał się tak samo niezainteresowany śmiercią dziecka i przerażoną rodziną, jak Fabela nie obchodziły kilobity i gigabity. W rezultacie między obydwojma narodziła się wzajemna niechęć, która przetrwała do tej pory.

A przecież Fabel potrzebował jego pomocy. Trudno było zaprzeczyć, że jeśli istniała szansa schwytania Zabójcy z Sieci, ekspertyza nadkomisarza Krögera była najważniejszym narzędziem, którym mogli się posłużyć. Jak określił to sam Kröger, była to „jego działka”.

– Niedobrze się składa, że mój zespół jest w tym momencie strasznie zajęty – mówił dalej Kröger. – Spoczywa na nas odpowiedzialność za wykrycie źródła pochodzenia wirusa „Klaubatermann”, który zakłóca komunikację elektroniczną wewnątrz rządu kraju związkowego. Ale jak powiedziałem, tamta sprawa będzie naszym priorytetem.

– Doceniam pańskie starania...

Resztę odprawy Fabel spędził na omawianiu mechanizmów typowych dla każdego większego śledztwa. Każdy zespół złożony z dwóch detektywów musiał zdać raport ze swojej części śledztwa, potem następowała ogólna dyskusja, a na koniec Fabel wyznaczał kolejne zadania.

– Ten gość, mam na myśli Krögera, przyprawia mnie o dreszcze... – mruknął Werner, podchodząc do Fabela, gdy inni już sobie poszli. – Jestem pewien, że widziałem go w tym filmie science-fiction... No wiesz, w *Matriksie*.

– W swojej dziedzinie jest świetnym fachowcem – odparł Fabel. – Jednym z najlepszych w Europie, jak mi mówiono. I tylko to się liczy. Bóg jeden wie, jak bardzo jest nam potrzebny w tym wypadku.

– Może to wcale nie był *Matrix*, ten film, w którym go widziałem... – zastanawiał się Werner. – Jak byłem dzieckiem, oglądałem mnóstwo westernów. No wiesz, kiedy kawaleria znajduje się na terenie wrogich Indian i musi polegać na tropicielu z tego samego plemienia, a jest on jedyną osobą, która może pomóc. Ciekawe, czemu mam wrażenie, że Kröger tak samo potrafiłby oskalpować kogoś, jak tamci żli czerwonoskórzy?

– On po prostu jest dziwakiem, Wernerze, to wszystko. O ile sobie przypominam, nigdy nie widziałem, żeby nosił pióra we włosach.

– Może i masz rację... – Werner przesunął swoją wielką łapą po przystrzyżonej na jeża czuprynie. – Ale muszę przyznać, że trochę mnie oświecił z tą całą elektroniką, Janie. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, o co chodzi z tymi portalami społecznościowymi. Czemu ludzie muszą wykorzystywać komputery, żeby połączyć się z innymi i ładować w internet swoje osobiste sprawy? Nawet jeśli usiądziesz obok takiego gostka w S-Bahnie, nie możesz zamienić z nim słowa, bo on od razu zatapia się w swoim odtwarzaczu MP3.

– Na tym właśnie polega społeczeństwo technologiczne – wyjaśnił Fabel. – Sama technologia i zero społeczności.

Większość oficerów pracujących w komisariacie szła na lunch do olbrzymiej kantyny, która mieściła się w tym samym budynku. Również Fabel wielokrotnie tam chodził, lecz często

wolał poświęcić te trzy kwadransy w środku dnia, żeby wyrwać się z Wydziału Zabójstw. To był jego czas na myślenie, jak lubił mawiać. Właśnie szykował się do wyjścia, kiedy wibracja w telefonie zaalarmowała go, że właśnie otrzymał wiadomość tekstową.

„Szczęśliwie dotarłam do Wiesbaden. Pogoda do dupy. W hotelu żywej duszy. Zadzwoń wieczorem. Sx”.

Westchnął. Nigdy nie mógł zrozumieć, czemu Susanne wysłała mu SMS-y: wiedziała przecież, że on jej nie odpisze. Za dużo czasu zabierało mu przebieranie palcami po klawiszach telefonu, oprócz tego zawsze wszystko szło źle i w ostatniej chwili przypadkiem usuwał odpowiedź składającą się z pełnych dwóch zdań, których ułożenie zajmowało mu całe piętnaście minut. Dlaczego zwykli ludzie już nie potrafią ze sobą normalnie *rozmawiać*? Ta myśl uderzyła go, przypomniał sobie, że przed chwilą Werner mówił właśnie o tym samym. W taki oto sposób Fabel dołączył do grona Starych Pierdzieli.

Jednym z miejsc, w których Fabel lubił jadać lunch, była mała kafejka nad brzegiem któregoś z kanałów, jakich dziesiątki przecinały miasto. Ten wyjątkowy lokal mieścił się przy kanale Alterstreek, obok Winterhuder Faehrhaus, gdzie turyści i miejscowi wsiadali do czerwonych i białych wodnych busów, które kursowały w poprzek Elstery. Usadowiona poniżej miasta, które otaczała ją ciasno i spychało pod most, kafejka dawała Fabelowi osobliwe poczucie bezpieczeństwa. Jej położenie sprawiało, że łatwo było tu dotrzeć z wydziału, a jeśli pogoda była choć odrobinę przyzwoita, Fabel mógł usiąść przy stoliku, przy balustradzie biegnącej wzdłuż Alterstreek, i obserwować łabędzie, które patrolowały kanał. Zresztą samo przebywanie obok wody działało na niego uspokajająco. To wydawało się dziwne, ponieważ jako chłopiec dorastający w Norddeich, Fabel zawsze trochę bał się wody, zwłaszcza morza. Przypisywał to obawom przed powodzią, które odczuwali instynktownie wszyscy mieszkańcy Fryzji Wschodniej oraz ich sąsiedzi, Duńczycy. Dom, w którym Fabel spędził wiek chłopięcy, znajdował się tuż za wałem, w dzieciństwie zdarzały się noce – niezbyt często, ale jednak – kiedy leżał całkiem przytomny, rozmyślając nad ogromną masą ciemnej wody, powstrzymaną jedynie przez nasyp z ziemi, uczyniony ręką człowieka.

Kelner przyszedł, żeby wytrzeć blat stołu i przyjąć zamówienie. Witał go uśmiechem i zawsze pytał, co dobrego słyhać. Tak wyglądał rytuał rozpoznania: Fabel zaliczał się do znanych tutaj gości, ale był pewien, że nikt z obsługi nie ma bladego pojęcia, w jaki sposób zarabia na życie, a ta świadomość jeszcze powiększała jego poczucie komfortu. Jednak często zastanawiał się, jak ludzie go oceniają, nie wiedząc, że uprawia zawód związany z przemocą i śmiercią. Może według nich wygląda na wykładowcę akademickiego, co mu całkiem odpowiadało, czy raczej biorą go za jakiegoś biznesmena? Ta druga myśl przygnębiła go.

Fabel poświęcał mnóstwo czasu na rozmyślanie, jak ludzie go postrzegają i jak postrzegają siebie nawzajem. Głównie dlatego, że kwestie te miały znaczenie w trakcie śledztwa, podczas przesłuchiwania rodziny i przyjaciół morderców. Oczywiście nie w wypadku większości zabójstw, gdy morderstwo zostało popełnione przez kogoś, kto był znany policji i swoim ofiarom jako osoba łatwo wpadająca we wściekłość i potencjalnie niebezpieczna. Większość morderstw, z którymi Fabel miał do czynienia, wydarzyło się w pewnym konkretnym *środowisku* i było spowodowanych przez alkohol bądź narkotyki; ale zdarzały się wypadki – zwłaszcza te związane z morderstwami na tle seksualnym – kiedy wszyscy otwierali usta ze zdumienia, dowiadując się, że mordercą okazał się ktoś, kogo doskonale znali. Ten typ Fabel określał jako zabójcę „nigdy-bym-nie-przypuszczał”. Napuchnięte ciało, przyniesione przez wodę na Fischmarkt, z odciętą głową i kończynami, mogło okazać się ofiarą właśnie takiego zabójcy.

Przez lata Fabel zdążył przywyknąć, że ludzie reagują szokiem i niedowierzaniem; że w tak wielu tego typu wypadkach ci, którzy dobrze znali mordercę, muszą zmienić swój pogląd

na wszystko dookoła; muszą nauczyć się spoglądać na otoczenie dużo mniej ufnie.

Wszyscy mamy twarz, którą pokazujemy światu; wszyscy mamy twarz, którą pozwalamy oglądać tylko nam samym. Tak uważał Uwe Hoffman, pierwszy szef Fabła w Wydziale Zabójstw, i to właśnie od niego usłyszał te słowa. Może ostatecznie, myślał Fabel, ta sprawa Zabójcy z Sieci wcale nie różni się tak bardzo od innych? Może nieco tylko skomplikował kwestie, które istniały od zawsze.

Zamówił sałatkę i wodę mineralną, a potem zajął się obserwowaniem łabędzi. Nie myślał o niczym konkretnym, kiedy jego telefon znów zabrzączał.

Przeczytał tekst na wyświetlaczu. To właściwie nie miało sensu. W ogóle nie miało sensu.

ROZDZIAŁ 9

Dom znajdował się na granicy Schanzenviertel i St. Pauli. Stał odwrócony plecami do linii kolejowej i – ze względu na pewien szczególny moment w jego zamierzchłej historii – zwracał ku światu oblicze pełne godności. Tym niemniej, obecnie to oblicze stałe pokrywała rozległa plątanina graffiti, sięgająca wysokości dwóch metrów – zaś okna na parterze, w połowie okolone malunkami, dodatkowo przyciemniała warstwa brudu i sadzy.

Młodym mężczyzną, który z wahaniem przystanął na samym rogu, po drugiej stronie jezdni, żeby ostrożnie rozejrzeć się w obie strony ulicy, był Niels Freese. Sprawdzał, czy w pobliżu nie kręci się żaden gliniarz, wszystko jedno, czy w mundurze, czy po cywilnemu; dopiero wtedy przeszedł przez jezdnię i zastukał w niskie drzwi niepozornego domu. Brudna szyba w oknie na parterze na chwilę pociemniała jeszcze bardziej, gdy ktoś z wewnątrz najwyraźniej postanowił przyjrzeć się nadchodzącej postaci. Freese wiedział, że tamci z pewnością go poznają, ponieważ utykał na jedną nogę.

Drzwi otworzyły się zaraz po tym, jak zapukał w okno, i Freese wślizgnął się do ciemnej pieczary wnętrza domostwa. Natychmiast rozpoznał człowieka, który go wpuścił: wysokiego mężczyznę o wyglądzie gangstera, który był nieco starszy niż on, czyli dobiegał trzydziestki, i którego fizjonomia bez wątpienia zwróciłaby uwagę policji. Mimo to Niels nie miał pojęcia, jak tamten się nazywa. Potem zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka, ani nawet go nie widział. W głowie błysnęła mu myśl, że może ten drugi przy drzwiach to także Niels, tyle że w przebraniu, ale zaraz odpędził ją od siebie, starając się zastosować – tak jak radzili mu lekarze w Hamburg Eilbek – rozum i logikę, aby rozproszyć bezsensowne i nielogiczne przywidzenia. Nie, mężczyzna przy drzwiach był całkiem rzeczywisty i nie miał nic wspólnego z jakąś wersją Nielsa. I ten dom także był rzeczywisty, nie był jakąś kalkomanią Hamburga, stworzoną wyłącznie po to, żeby go omamić.

Zresztą i tak nie mógłby wiedzieć, jak się ten człowiek nazywa: naczelna zasada konspiracji wskazywała, że nie wolno znać żadnych nazwisk poza tymi, którzy należą do twojej komórki. Dzięki temu faszyci z Polizei Hamburg albo z BfV żadnymi torturami nie mogą wydobyć z ciebie informacji, jeżeli ich nie posiadasz. Niels bez słowa skinął głową, przechodząc obok tamtego mężczyzny. Nie ufał mu, ponieważ nie ufał prawie nikomu, kto był od niego starszy; ostatecznie to właśnie ci starsi uczynili ze światem to, co uczynili. W ogóle ufność w każdym przypadku była dla Nielsa pojęciem zupełnie obcym. Do pewnego stopnia mógł kontrolować swoje przywidzenia, lecz wciąż nie potrafił zdobyć się na to, by zaufać światu, który postrzegał wokół siebie.

W środku panował półmrok. Podczas gdy ściany budynku były mocno zniszczone, jego wnętrze zdecydowanie zasługiwało na miano zrujnowanego. Ze ścian odpadały wielkie strupy tynku, a deski na podłodze pokrywała gruba warstwa zaprawy, nieczystości i ogólnego brudu.

Na końcu korytarza, tuż przy schodach, czekała na Nielsa dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, o mizernych blond włosach i nieczystej cerze.

– On już na ciebie czeka – odezwała się, wskazując pokrytym przez trądzik podbródkiem na klatkę schodową. – Drugie drzwi po prawej stronie. Od razu wchodź do środka. Czy ktoś cię śledził?

– Nikt mnie nie śledził.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej.

Faktem było, że Niels nie tylko przestrzegał protokołu ustalonego przez służbę

bezpieczeństwa Strażników Gai, lecz dodatkowo wypracował w sobie pewne nawyki, które dziesięciokrotnie przekraczały wszystko to, czego wymagali Strażnicy. Nigdy nikomu nie tłumaczył, dlaczego tak robi, ponieważ jego potrzeba, by bronić się przed oszustami, wydawała się innym dziwaczna.

Dziewczyna skinęła głową i Niels ruszył po schodach w górę. Jednak mimo polecenia, że ma od razu wchodzić, wcześniej zapukał do drzwi.

To niegdyś musiała być sypialnia. Wielka, wspaniała sypialnia. Teraz okna były od wewnątrz zabite, co sprawiało, że pokój wyglądał jak ogromna, zapieczętowana skrzynia. Jednak tutaj było i tak widniej niż w jakimkolwiek innym pomieszczeniu w tym opuszczonym domu: od sztucznego światła, które padało z lampek biurkowych, ustawionych dookoła całego pokoju. Nie walały się tu także żadne rupiecie i pozostałości dawnych przedmiotów, jak w pozostałej części budynku. Deski podłogowe zostały zamiecione do czysta, a kable przyklejono do nich taśmami. Przy ścianie na prawo od Nielsa znajdowały się trzy terminale komputerowe, każdy zaopatrzony w olbrzymi monitor. Do jego uszu dobiegał wyraźny, jednostajny szum pięciu ogromnych twardych dysków. Sam ten widok sprawił, że Nielsowi zebrało się na wymioty. Technologia uosabiała wszystko, z czym walczyli Strażnicy Gai, była zupełnym zaprzeczeniem organizacji promującej ekologiczny prymitywizm. Niels wiedział jednak o tym, bo powiadomił go sam komendant, że taka technologia, którą tu zgromadzono wszystko jedno jak była im wstrętna, stanowiła też istotny czynnik, który pomógł prowadzić wojnę przeciw siłom sprzyjającym zanieczyszczeniu środowiska i globalizacji.

Wyjaśnienie to nie na wiele się zdało Nielsowi, któremu tak samo trudno jak przedtem było pogodzić się z rzeczywistością. Najbardziej ironiczne było to, że pokój ten z powodzeniem mógłby być biurem dowolnego prowadzonego w Hamburgu biznesu, gdyby nie te parszywe ściany i zabite deskami okna.

Ale nie był. Gdy tylko Niels wszedł do pokoju, ujrzał naprzeciwko siebie olbrzymie biurko, przy którym siedział sam komendant – przysadzisty, dobiegający czterdziestki mężczyzna o gęstych, kręconych i czarnych włosach. Po lewej stronie komendanta, co mocno skonsternowało Nielsa, stała para nieznanym ludzi, ubranych w szare garnitury, typowe dla przedstawicieli biznesu. Obydwoje, mężczyzna i kobieta, wyglądali tak, jakby przed chwilą wyszli z banku lub towarzystwa ubezpieczeniowego, a co szczególnie rzuciło się w oczy Nielsowi, to, że ich twarze wydawały się kompletnie pozbawione wyrazu.

– Usiądź, Freese – powiedział komendant.
– Kim oni są? – Niels kiwnął głową w kierunku nieznanym.
– Naszymi przyjaciółmi.
– Czy są członkami Strażników Gai?
– W tej wojnie bierze udział wiele armii, Niels. Obecni tu przyjaciele są naszymi sprzymierzeńcami. Walczą dla Gai tak samo jak my, po tej samej stronie, lecz na innym bitewnym polu. Nie ma potrzeby, żebyś wiedział coś więcej.

Niels wbił wzrok w tych dwoje. Odwzajemnili mu się takim samym spojrzeniem, lecz pozbawionym agresji. Nadal bez żadnego wyrazu. Dlaczego ubrani byli w taki sposób? Nielsowi nie spodobały się ich stroje, tak samo jak nie spodobały mu się komputery w zrujnowanym squacie. Po pierwsze, skąd się to ubranie wzięło? Skąd mieli pieniądze, żeby za nie zapłacić? A potem przyszło mu do głowy, że może komendant zwyczajnie kazał to ubranie ukraść. Ta myśl nieco poprawiła mu humor.

– Globaliści pracują na swoje własne zatracenie – mówił dalej komendant. – *Nasze* zatracenie. Nawet ich naukowcy wspominają o Maltuzjańskim Katakлизmie, o Wielkim Wymieraniu... Nie są więc ślepi i widzą katastrofę, do której przyczyniają się każdego dnia,

ścigając mit postępu. Nie mogą potem twierdzić, że nie byli świadomi, jakie konsekwencje przyniesie ich działalność.

– Maltuzjański Kataklyzm wcale nie byłby najgorszą rzeczą, komendancie – oświadczył ochotczo Niels. – Ludzkość to zaraza, która musi podlegać kontroli Gai, jeśli w ogóle ma przetrwać.

– Hmm... – mruknął komendant. – Na razie musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby toczyć tę wojnę dalej. Nasza walka jest największą bitwą w całej historii ludzkości. Podczas gdy my siedzimy tutaj, Freese, nasz świat, nasz ekosystem są brutalnie gwałcone. W czasie, który nam zajęła ta rozmowa, z wnętrza Ziemi wypompowano cztery miliony baryłek ropy. A cały ten węgiel wkrótce szybko zostanie wpompowany z powrotem do atmosfery.

Komendant urwał na chwilę, żeby Niels mógł przyswoić sobie te informacje. Wiedział, że musi dać Nielsowi czas na ich zrozumienie. Kiedy młody człowiek wszedł do pokoju, komendant po raz kolejny zwrócił uwagę na jego niesprawną nogę. Wiedział, że neurologiczne uszkodzenia powodujące utykanie, były efektem działania tego samego czynnika, który doprowadził do powstania jedynej w swoim rodzaju konstrukcji intelektualnej – niedotlenienia przy porodzie.

– To jest wojna – oświadczył komendant. – Prawdziwa wojna. Wojna potrzebuje dobrych żołnierzy. Ja potrzebuję dobrych żołnierzy. Ty zaś, Freese, jesteś jednym z moich najlepszych i najbardziej oddanych. Właśnie dlatego chcę powierzyć ci najważniejszą misję, jaką kiedykolwiek musieliśmy wypełnić.

Niels poczuł, że przepełnia go duma. Jedynym pragnieniem, jakie kiedykolwiek miał, było zostać dobrym żołnierzem w służbie Gai.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba, aby chronić Gaję – oznajmił z dumą w głosie.

– Musisz zrozumieć, Freese, że proszę cię o to, byś przeniósł tę wojnę na całkiem inny poziom. Już nie wystarczy podpalanie samochodów w Schanzenviertel. Tym razem w puli jest znacznie więcej.

Komendant dał znak mężczyźnie w szarym garniturze, a ten natychmiast przesunął po stole w kierunku Nielsa białą kopertę. Niels otworzył ją; w środku znajdowały się dwie fotografie. Jedna przedstawiała mężczyznę nieco ponad czterdziestoletniego, druga zaś samochód – olbrzymiego mercedesa kabriolet. Była tam także kartka papieru, na której zapisano godzinę i adres.

– Kto to jest? – zapytał Niels.

– Jedyne, co musisz wiedzieć, to, że ten człowiek jest wrogiem Gai. Prawdziwym wrogiem. Musimy położyć kres jego działaniom. Razem z Haraldem macie na koncie sporą ilość udanych podpałek samochodów. Chcę, żebyście znów połączyli siły i spalili ten samochód... – komendant popukał w zdjęcie – ...gdy będzie stał zaparkowany przed kawiarnią pod podanym adresem. Czy rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem, co mam zrobić, ale nie rozumiem, w jaki sposób spalenie jego samochodu powstrzyma go od robienia tego, czym się dotąd zajmował.

Komendant odwrócił się do milczącej, ubranej biznesowo pary. Kobieta bez słowa sięgnęła do torebki, wyjęła stamtąd czystą, plastikową torbę i podała komendantowi, który następnie przesunął ją po stole w stronę Nielsa.

– Kiedy samochód stanie w płomieniach, ten człowiek będzie w kawiarni. Spotyka się tam z pewną kobietą. Poczekaś, aż obydwoje wejdą do środka, a następnie podpalisz auto. Tylko zrób to widowiskowo. Chcę, żebyś wywabiał go na zewnątrz. A potem chcę, żebyś wykorzystał to.

Komendant skinieniem głowy wskazał plastikową torbę wraz z zawartością, której Niels do tej pory nie wziął do ręki.

– Czy *potrafisz* tego użyć? – spytał. – To będzie pierwsza misja tego rodzaju.
– Czy ten człowiek jest wrogiem Gai? – zapytał Niels, nie odrywając spojrzenia od torby.
– Więcej niż wrogiem. Stanowi zagrożenie dla powodzenia całego naszego ruchu. Robi takie rzeczy... No cóż, jak powiedziałem, jego działalność może być katastrofalna dla wszystkiego, o co walczymy.

Niels podniósł plastikową torbę, otworzył ją i wyjął automatyczny pistolet wraz z magazynkiem pełnym amunicji, a następnie wsunął je do naszywanej kieszeni swojej wojskowej kurtki. Robiąc to, był pewien, że wcześniej już dziesiątki razy widział broń i trzymał ją w dłoni. Wiedział też na pewno, że nigdy dotąd nie miał w ręku pistoletu.

– Możecie na mnie liczyć – powiedział.

ROZDZIAŁ 10

Horst van Heiden był mężczyzną średniego wzrostu, o krępej sylwetce i wiecznie zachmurzonej twarzy, którą otaczały siwo-białe włosy, gładko przechodzące w brodę. Kiedy Fabel wszedł do biura van Heidena, na jego widok uderzyło go to samo co zwykle: że dyrektor Wydziału Kryminalnego swój kosztowny garnitur zawsze nosi w taki sposób, jakby miał na sobie mundur. To zresztą się zgadzało, ponieważ van Heiden większość swojej kariery spędził w służbach mundurowych – włączając w to okres, kiedy został przydzielony do policji portowej – i nawet po dziesięciu latach na obecnym stanowisku wciąż nie upodobił się wyglądem do kogoś, kto jest szefem zespołu detektywów.

Kiedy Fabel pojawił się w drzwiach, van Heiden spojrzął na zegarek. Z pewnością jednak wcale nie chciał w ten sposób czegoś sugerować. Dyrektor po prostu miał zwyczaj sprawdzać czas na początku i na końcu każdego spotkania, albo podczas przerwy pomiędzy spotkaniami. Dla van Heidena czas był czymś niezwykle istotnym. Fabel pracował z nim od siedmiu lat i ich wzajemne układy stały się na tyle swobodne i bliskie, na ile mogły być w wypadku człowieka takiego jak van Heiden. Fabel nie wątpił, że van Heiden darzy go szacunkiem, a być może nawet sympatią, lecz dyrektor Wydziału Kryminalnego nie należał do ludzi, których łatwo było rozszyfrować. Raczej do takich, którzy utrzymują dystans. Do zamkniętych w sobie.

W gabinecie byli jeszcze dwaj inni mężczyźni – siedzieli twarzami zwróconymi w stronę van Heidena. Kiedy Fabel wszedł do środka, obaj odwrócili się na swoich krzesłach, wówczas od razu rozpoznał jednego z nich – człowieka średniego wzrostu w wieku pięćdziesięciu paru lat, o przeredzających się, siwawych włosach, które uporczywie zaczesywał do tyłu, oraz ze starannie przystrzyżoną brodką. Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali, Fabel odniósł wrażenie, że ma do czynienia z odnoszącym sukcesy reżyserem filmowym, wziętym malarzem albo znanym pisarzem. Był zaskoczony, że wszyscy spotkali się tu o tej samej porze.

– Ach, Janie... Dzięki, że przyszedłeś odrobinę wcześniej – powiedział van Heiden, wskazując krzesło pomiędzy siedzącymi mężczyznami. – Zdaje się, że już znasz pana Müllera-Voigta, prawda?

– Owszem. – Fabel wymienił z Müllerem-Voigtem uścisk dłoni. – Jak pan się miewa, senatorze? Dziś rano słuchałem w radio audycji, w której brał pan udział.

– Tak? – Müller-Voigt wyglądał tak, jakby wspomnienie o tamtym wydarzeniu nieco go zirytowało. – Nie mam pojęcia, czemu zaprosili mnie do studia razem z tym idiotą...

Fabel zareagował niewyraźnym mruknięciem, co miało oznaczać, że całkowicie się z nim zgadza, choć prawdę mówiąc, był wówczas zbyt śpiący, żeby w ogóle zwrócić uwagę, kim jest „ten idiota”, lub zapamiętać cokolwiek poza ogólnymi zarysami tematu, którego dotyczyła dyskusja.

– Czy mogę ci przedstawić *Herr* Fabiana Menke z BfV? – Van Heiden wskazał drugiego mężczyznę.

Na pierwszy rzut oka Menke dobijał do czterdziestki; miał przeredzające się, jasne włosy i niebieskie oczy, ukryte za okularami bez oprawek. Jego garnitur wydawał się o ładnych kilka setek euro tańszy od niedbale eleganckiego, markowego stroju Müllera-Voigta. BfV było skrótem od Bundesamt für Verfassungsschutz – Federalnego Biura Ochrony, które w Niemczech pełniło rolę głównej służby wewnętrznej bezpieczeństwa. Swoim nadzorem BfV obejmowała wszystko, co potencjalnie mogło zagrozić niemieckiej demokracji: skinheadów i neonazistów, lewackie grupy ekstremistów, islamski terroryzm, destrukcyjne wyznania czy grupy antydemokratyczne, a także zagraniczne szpiegostwo. Dyskusyjne wydawało się, że BfV

posiadała specjalną jednostkę, zajmującą się monitorowaniem na terenie Niemiec działalności scjentologów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rządu Hamburga posiadało nawet Wydział do Walki ze Scjentologią, i Fabel wiedział – choć nigdy wcześniej go nie spotkał, to wiele o nim słyszał – że Menke jest głównym łącznikiem między BfV a agencjami rządowymi Hamburga.

Van Heiden odwrócił się do Menkego.

– To jest główny nadkomisarz Fabel, który kieruje naszą specjalną Komisją do Spraw Morderstw.

Fabel i Menke wymienili uścisk dłoni, i Fabel usiadł.

– Słyszałem o pana jednostce, Fabel – powiedział Menke. – Wierzę, że niebawem zaczniesz pan brać udział w pracach innych komisji śledczych w Republice Federalnej, które zajmują się złożonymi przypadkami.

– Jeśli tylko będzie taka możliwość – odparł Fabel. – Jednak przez to, że obecnie jesteśmy tak zawałeni robotą, obawiam się, że przyjęcie żadnych dodatkowych obowiązków nie będzie możliwe.

– Zapewne ma pan na myśli sprawę tego Zabójcy z Sieci? – wtrącił Müller-Voigt. – Zdaje się, że dzisiaj rano znaleziono kolejne ciało.

– Owszem, senatorze, znaleźliśmy ciało. Ale jak dotąd nie udało się ustalić, czy to morderstwo jest, czy też nie jest powiązane z poprzednimi przypadkami.

– Sądzi pan, że tu może nie być związku? – dopytywał Müller-Voigt.

Fabel milczał przez chwilę. Walczył z pokusą, aby odpowiedzieć wścibskiemu politykowi, że taka informacja jest wewnętrzną sprawą policji, i że to nie jego zafajdany interes.

– Na razie prowadzimy dochodzenie – odparł beznamiętnie, a potem odwrócił się do swojego szefa. – Czy pan mnie wzywał w jakiejś konkretnej sprawie, dyrektorze?

– Hmm... Tak. Tak, właśnie... – Van Heiden najwidoczniej wyczuł napięcie między Fablem a Müllerem-Voigtem.

Wyciągnął rękę ponad blatem swojego ogromnego biurka i wręczył Fablowi akta.

– Niedługo w naszym mieście rozpocznie się międzynarodowy szczyt poświęcony ochronie środowiska, GlobalConcern Hamburg. *Herr Müller-Voigt*, jako senator do spraw środowiska, przewodniczy komitetowi organizacyjnemu. Ale pan już o tym wie, skoro jak pan mówił, słuchał pan dziś rano radiowej debaty.

– Słyszałem tylko część... – Fabel zaczął serio żałować, że w ogóle o tym wspomniał. Na szczęście, wiedział co nieco na temat rozpoczynającego się niedługo szczytu GlobalConcern Hamburg.

– To będzie zupełnie wyjątkowa konferencja – wtrącił Menke z BfV. – Tym razem w centrum uwagi znajdzie się nie tylko problem ochrony planety, ale także czysto komercyjna oferta firm, które wytwarzają przyjazne środowisku technologie. Na rynku funkcjonuje mnóstwo potężnych korporacji, które są zaangażowane w działalność związaną z ochroną środowiska. Różnica polega na tym, że motywem działania owych graczy nie jest rewolucyjny zapał, lecz ta sama co zwykle chęć: chęć zysku. Oczywiście nie ma w tym nic złego, skoro przyczyniają się też do ochrony naszej planety.

– Rozumiem – odparł Fabel, rzucając van Heidenowi pełne zakłopotania spojrzenie, w którym kryło się pytanie „co ja tutaj robię”?

– Jestem pewien, iż został pan poinformowany, że stało się już niemal tradycją niezadowolonych mieszkańców naszego Wolnego i Hanzeatyckiego Miasta Hamburga, aby wyrażać swoje opinie poprzez podpalanie samochodów innych obywateli? – kontynuował Menke.

– Och, to jak pierwsza jaskółka albo pąki kwiatów na drzewach... Kiedy w powietrzu

unoszą się smród podgrzanego do wrzenia lakieru samochodowego, człowiek wie, że do Hamburga zawitało lato.

Nikt nie zrozumiał dowcipu, więc Fabel postanowił kontynuować:

– Tylko co to ma wspólnego z Wydziałem Zabójstw?

– W zeszłym roku w Niemczech popełniono trzydzieści cztery tysiące przestępstw, które miały tło polityczne – odpowiedział Menke. – Znaczną część tych przestępstw stanowiły podpalenia samochodów oraz nieruchomości w Berlinie i Hamburgu.

– Jan, mogę przytoczyć dokładne dane – odezwał się van Heiden. – W ubiegłym roku w Hamburgu spłonęło dwieście aut. Dziesięć w ciągu jednej nocy w Flottbek, dwanaście w okresie nieco ponad jednego tygodnia w Harvestehude. No i oczywiście był też ten atak na posterunek policji w Schanzenviertel. Niewiarygodne... Jeden wóz patrolowy spalił się do cna, a cały posterunek padł ofiarą ataku grupy zamaskowanych chuliganów... – Van Heiden z autentycznym niedowierzaniem pokręcił głową.

Fabel wiedział, że nieważne, jak gorliwie będzie się starał mu to wytłumaczyć, van Heiden i tak nie zrozumie, jak to możliwe, że w najlepiej rozwijającym się mieście Niemiec, w jego ukochanym Hamburgu, może kryć się tyle nienawiści i gniewu.

– Wszystkie te czyny zostały przypisane skrajnie lewackim organizacjom lub grupom anarchistycznym – mówił dalej Menke. – Jednak od pewnego czasu obserwujemy nowy niepokojący trend. Ogromną część politycznie motywowanych przestępstw, w sprawie których prowadzimy w BfV dochodzenie, popełnili skinheadzi lub neonaziści. Prawdę mówiąc, radykalnie prawicowe ugrupowania mają na koncie dwa razy więcej przestępstw niż skrajnie lewicowe. Jednak w tym obszarze następuje pewnego rodzaju przesunięcie. Obserwujemy coraz więcej i więcej zbrodni, które są popełniane tylko i wyłącznie z powodu *zawiści*. Coraz więcej dowodów świadczy o tym, że w grę zaangażowały się ekstremalne ugrupowania obrońców środowiska.

– Według mnie stwierdzenie, że te grupy są związane wyłącznie ze środowiskami nawiedzonych ekologów jest niesłuszne – wtrącił Müller-Voigt. – Tych ludzi równie łatwo można by określić mianem anarchistów albo lewicowców.

– No cóż, nie po raz pierwszy zdarza się, że krzyżują się dwie filozofie. – Fabel starał się utrzymać swobodny i obojętny ton, jakby wygłaszał jakieś ogólne spostrzeżenie.

Prawda wyglądała tak, iż każdy w tym pokoju wiedział, że Müller-Voigt, rówieśnik Joschki Fishera i Daniela Cohn-Bendita, w latach osiemdziesiątych był zaangażowany w radykalnie lewicową politykę. I można było tylko pytać, jak daleko jego zaangażowanie sięgało, czy wiązało się z grupami ekstremistów.

– Chodzi o to – Menke nadal zwracał się do Fabla – że nasz wywiad sugeruje, iż istnieją pewne osoby, podżegające innych do wykorzystania w bezpośredniej akcji jeszcze bardziej radykalnych środków.

– Krótko mówiąc, Janie, to, że ktoś zostanie zabity, jest tylko kwestią czasu – wtrącił van Heiden. – Uważamy, że eskalacja może nastąpić podczas szczytu klimatycznego w Hamburgu. Może dojść do aktów przemocy i niszczenia mienia. Mamy też powody przypuszczać, że celem ataków mogą stać się niektórzy delegaci.

– Ale to wydaje się całkiem bez sensu – odparł Fabel. – Ci ludzie starają się przecież pomóc chronić środowisko, prawda?

– Tak jak mówiłem, ten szczyt będzie dotyczył przede wszystkim *biznesu*, jakim stała się ochrona środowiska. Robieniu „zielonej” kasy, dokładnie rzecz ujmując. Pewni ludzie uważają, że wszystko, za czym optuje lobby obrońców środowiska przeżarte jest korupcją.

– Za to inni uważają, że to naturalna kolej ewolucji – przerwał Müller-Voigt. – Wiara lub

system wartości, które wcześniej były zarezerwowane dla mniejszości, powoli stają się prawdą akceptowaną przez większość społeczeństwa. Jednak muszę nadmienić, że z doświadczenia wiem, iż w każdym systemie politycznym zawsze znajdą się tacy, którzy do tego stopnia uwielbiają być prozelitami, że nie podoba im się, kiedy ich przekonania w końcu stają się możliwe do przyjęcia dla ogółu. To pozbawia ich poczucia moralnej wyższości i odbiera prawa do wyłączności, a nie ma nic bardziej gorzkiego niż bojownik pozbawiony sprawy, o którą musi walczyć.

– Poza tym są dowody rosnącej jednomyślności między skrajną lewicą, ekstremalnymi obrońcami środowiska oraz przeciwnikami globalizacji. Zaś GlobalConcern Hamburg na wielu płaszczyznach reprezentuje to wszystko, czego tamci nienawidzą.

– Czy pojawiły się jakieś doniesienia, że ktoś konkretny może stać się celem zamachu? – spytał Fabel.

– Na szczęście zagrożenie to nie dotyczy żadnej ściśle określonej osoby, lecz z pewnością możemy oczekiwać zagorzałych protestów i zorganizowanych ulicznych aktów przemocy. Dotarła do nas także wieść o planowaniu czegoś w rodzaju jednorazowej, *pokazowej* akcji.

– Sądzi pan, że chodzi o zamach?

– To całkiem możliwe – odparł Menke. – Co prawda BfV i Wydział Antyterrorystyczny Policji Hamburga wspólnie nad tym pracują, ale pojawiła się sugestia, że powinniśmy zapoznać pana z sytuacją. Pańskie doświadczenie i subiektywna ocena mogą okazać się wielce przydatne.

– Och, kto to zasugerował? – Fabel obrzucił van Heidena wymownym spojrzeniem. W tej chwili miał wystarczająco dużo roboty na własnym podwórku i zdziwił się, że szef tego nie może zrozumieć.

– Ja – odezwał się Müller-Voigt. Najwyraźniej dobrze odczytał wyraz twarzy Fabla. – To sprawa sprzed kilku lat. Chodzi o tę historię z Mühlhausem. Byłem pod wielkim wrażeniem, w jaki sposób poradził pan sobie z... – przez moment szukał w myślach właściwego słowa – ...z tamtą sytuacją. Był pan bardzo skuteczny, lecz jednocześnie wykazał pan ogromną wrażliwość.

Fabel podziękował skinieniem głowy. Tknęło go, że Müller-Voigt, który zwykle był idealnie opanowany, tym razem wydawał się mniej pewny siebie.

– Już wyjaśniłem panu senatorowi, że obecnie ma pan na głowie niecierpiące zwłoki śledztwo, o czym zresztą sam pan wcześniej wspomniał. Utworzyliśmy więc grupę zadaniową, złożoną z oficerów naszej własnej jednostki antyterrorystycznej, Federalnego Biura Kryminalnego oraz agentów BfV. Na razie chcielibyśmy, żeby jedynie zapoznał się pan z zawartością akt. Być może w późniejszym terminie będziemy chcieli poprosić o pomoc.

No, to wieczór mam z głowy, pomyślał Fabel, przyglądając się opasłej teczce.

– Nie musi pan tego taszczyć – wyjaśnił Menke. – Wszystko mogę przesłać mailem.

– Mailem? Czy to bezpieczne?

Menke roześmiał się protekcyjnie, natychmiast zarabiając na dezaprobatę Fabla. Człowiek z BfV został umieszczony w tym samym mentalnym segregatorze, co Kröger, cybergliniarz.

– Tak, panie nadkomisarzu, to całkiem bezpieczne. Wykorzystujemy jedynie zabezpieczone serwery i systemy. Podobnie jak Policja Hamburga.

Fabel wzruszył ramionami.

– No cóż, system mailowy rządu stanowego także był uważany za dobrze chroniony, lecz nie zabezpieczyło go to przed zainfekowaniem wirusem „Klabautermann”. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wołałbym wziąć tę drukowaną kopię. Miałem na myśli to, że w tej sprawie szybciej dam radę ją przeczytać.

Przez kilka następnych minut debatowali nad logistyką zabezpieczenia szczytu. Oprócz czołowych postaci biznesu, w Kongresie Klimatycznym miało wziąć udział także kilkoro starszych polityków z Republiki Federalnej oraz z zagranicy, włączając w to oczywiście Müllera-Voigta, który pełnił rolę przewodniczącego całej konferencji. Fabel mógł zrozumieć, że władze miasta mają powód do niepokoju, tak samo zresztą jak działo się to w wypadku każdego większego szczytu odbywającego się na terenie Hamburga, lecz nie pojmował, czemu tak stanowczo domagają się jego obecności. Ostatecznie był oficerem śledczym. Detektywem tropiącym morderców. Zaczynał pracę dopiero *po* fakcie i nigdy nie zajmował się prewencją. Jeszcze dziwniejsze było to, że sam Müller-Voigt zażądał zaangażowania go w tę sprawę. Fabel złapał się na tym, że spogląda na zegarek. Van Heiden też to zauważył, lecz jako że sprawdzanie godziny należało do codziennych zwyczajów dyrektora Wydziału Kryminalnego, nie budziło to w nim najmniejszej irytacji.

– Posłuchaj, Janie – powiedział van Heiden. – Myślę, że przekazaliśmy ci tyle informacji, ile trzeba. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Masz wystarczająco wiele na głowie.

– Dzięki – odparł Fabel. Podniósł akta i przez moment ważył na dłoni, jakby chciał ocenić ich objętość.

Powinienem przez noc to przejrzeć, pomyślał. Potem wstał, uściśnął dłonie po kolei wszystkim trzem mężczyznom i ruszył do wyjścia.

– Prawdę powiedziawszy... – Müller-Voigt spojrział na zegarek i zmarszczył brwi. – Obawiam się, że jestem spóźniony na następne spotkanie. Chyba też muszę już zmykać.

– Doskonale, panie senatorze. – Van Heiden także zmarszczył brwi: sama myśl, że ktoś mógłby spóźnić się na spotkanie była mocno niepokojąca. – Mam nadzieję, że nie przetrzymaliśmy pana...

– Nie, ależ skąd... Absolutnie nie. Wszystko w porządku. Fabel, czy mógłby pan chwilę na mnie poczekać? Jeśli wolno, chciałbym zamienić słówko na osobności.

– Naturalnie...

Gmach komisariatu policji w Hamburgu miał kształt cylindra – z atrium w centralnej części i rozchodzącymi się promieniście skrzydłami. Koncepcja architekta zakładała, że projekt będzie lustrzanym odbiciem policyjnej gwiazdy. Fabel i Müller-Voigt podążali lekko skręcającym korytarzem w kierunku windy, prowadząc niezobowiązującą konwersację. Fabel jechał zaledwie dwa piętra w dół. Gdy tylko wsiedli do windy, postawa Müllera-Voigta uległa całkowitej zmianie. Stał się wyraźnie podenerwowany, choć Fabel nie przypominał sobie, by senator kiedykolwiek się tak zachowywał.

– Niech pan mnie posłucha, Fabel. Muszę z panem pomówić, i to pilnie.

– O czym?

– To długa historia, ale to szalenie istotne. Naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy.

– Nie rozumiem. Ma pan na myśli profesjonalną pomoc?

– Tak... Nie. Być może. To sprawa życia lub śmierci. To coś, co chciałbym, żeby na razie zostało między nami. Zrozumie pan, kiedy porozmawiamy. Czy może pan dziś wieczorem przyjechać do mnie do domu? Gdzieś około wpół do ósmej?

Fabel podniósł wyżej akta.

– Miałem zamiar zająć się czytaniem...

– To ważniejsza sprawa, Fabel.

Winda zjechała na poziom, na którym mieścił się Wydział Zabójstw. Drzwi rozsunęły się i Fabel wysiadł, lecz wysunął rękę, aby zapobiec zamknięciu się windy.

– Jeśli to coś oficjalnego...

– Niech pan się zgodzi, Fabel. Naprawdę muszę z panem pogadać. Nie mam nikogo poza

panem... Czy zechce pan to dla mnie zrobić?

Fabel przez moment spoglądał na senatora.

– Przyjdę – powiedział, a potem zabrał rękę, pozwalając, by drzwi się zamknęły.

Kiedy szedł korytarzem w stronę swojego biura, prześladował go widok twarzy Müllera-Voigta. Nigdy dotąd nie widział, żeby polityk był tak zdenerwowany. Nawet wówczas, gdy przesłuchiwał go jako potencjalnego podejrzanego w śledztwie w sprawie morderstwa.

Najbardziej nie dawała mu spokoju myśl, że Müller-Voigt wcale nie wyglądał na zdenerwowanego. Wyglądał na przerażonego jak diabli.

ROZDZIAŁ 11

Niels Freese czekał pod drzewem na rogu ulicy i od czasu do czasu spoglądał na znajdującą się naprzeciwko kawiarnię. W rękę ścisnął czarną sportową torbę, ciasno obejmując palcami jej plastikową rączkę. Dziś ubrał się w ciemną, luźną kurtkę wojskową oraz dżinsy, a na czubek wąskiej, długiej głowy wsadził wełnianą czapkę, która w rzeczywistości była zwiniętą kominiarką, jakiej używa się podczas jazdy na nartach. Kiedy nadejdzie właściwy moment, łatwo można ściągnąć ją w dół, żeby zakryć rysy twarzy.

Ten moment właśnie nadchodził.

Szybko sprawdził, czy Harald wciąż jest na swoim miejscu i czy silnik kradzionego motocykla cyka miarowo, a potem zacisnął dłoń dookoła rękojeści naładowanego automatycznego pistoletu i z powrotem skoncentrował uwagę na nadjeżdżającym mercedesie.

Niels Freese miał dwadzieścia osiem lat i był tak naładowany gniewem, jak tylko może być człowiek w jego wieku. Właściwie gniew to nie jest wystarczająco mocne słowo ani odpowiednio szerokie pojęcie, by oddać emocje, które targały Nielsem, kiedy tak stał i czekał, aż luksusowy samochód zaparkuje pod kawiarnią. Był jak człowiek obdarzony wzrokiem w świecie samych ślepców. Ślepców, którzy utracili zdolność widzenia na własne życzenie. Jednak z drugiej strony przez całe swoje życie Niels wszystko postrzegał inaczej niż zwykli ludzie.

To właśnie gniew i frustracja Nielsa zwróciły uwagę Strażników Gai, którzy zdołali okiełznać te uczucia, nadać im określony kształt i spożytkować do własnych celów. Niels był chodzącym – albo raczej kulejącym – przykładem, jaką szkodę może wyrządzić naturze aroganckie postępowanie człowieka. Lekarze usiłowali mu wmówić, że stało się tak z innego powodu, lecz Niels wiedział – po prostu *wiedział* – że to chemikalia wykorzystywane w fabryce, w której pracowała jego matka, były przyczyną problemów przy porodzie, co skończyło się dla niego uszkodzeniem mózgu.

I wcale nie chodziło o to, że stał się jakimś głuptasem: uszkodzenie dotyczyło spraw neurologicznych i spowodowało niewielki paraliż, przez który Niels trochę utykał. Objawiało się to także w inny sposób, i to rzeczywiście sprawiało mu mnóstwo kłopotów. Przez całe życie Niels miał trudności z przetwarzaniem informacji, przez co nie był zdolny do natychmiastowych reakcji na to, co działo się w jego otoczeniu. Przez to pojawiły się pewne niewielkie „problemy rozwojowe”, jak określali je lekarze. Poza tym zdarzało mu się *déjà vu*. Oczywiście każdy od czasu do czasu tego doświadcza, lecz Nielsowi zdarzało się to codziennie, nieraz po dwadzieścia razy w ciągu dnia. Zupełnie jakby obwody w jego mózgu splątały się, co wywoływało krótkie spięcie; na pewnym etapie *déjà vu* rozwinęło się w pełnowymiarową, powtarzającą się paramnezję. Wkrótce po ukończeniu dziesięciu lat Niels doświadczył epizodów depersonalizacji, podczas których wierzył, że tak naprawdę wcale nie istnieje. Tak samo miewał urojenia, że wcale nie mieszka w swoim prawdziwym domu, lecz w jego doskonałej replice, i że ta replika w rzeczywistości znajduje się o miliony lat świetlnych od realnego świata. Na pewien czas zabrano go z domu na oddział psychiatryczny w Hamburg Eilbeek Hospital, gdzie leczono go litem, a później immunoglobulinami i kortykosteroidami. Przywidzenia powoli zaczęły słabnąć, choć nigdy nie znikły zupełnie, ale Niels nauczył się dawać sobie z nimi radę. Epizody *déjà vu* pozostały jednak tak samo ostre.

Choroba umysłowa odseparowała Nielsa od rówieśników w szkole i skończyło się na tym, że dorastał, nie mając przyjaciół i wyłączony z towarzystwa. No, prawie wyłączony: miał kolegę o imieniu Roman – tłustego chłopca, który tak samo był samotnikiem i nawet na swoim własnym kumplu sprawiał wrażenie dziwaka. Tak naprawdę wcale się nie lubili, lecz łączyło ich

coś na kształt poczucia wspólnoty.

Już po szkole, kiedy pracował w Departamencie Leśnictwa, Niels stał się obsesyjnie przewrażliwiony na punkcie ochrony środowiska. To wtedy zaczął uważać, że jego zaburzony sposób postrzegania świata nie jest ułomnością, lecz cennym darem. Doszedł w końcu do wniosku, że on – być może tylko on – jest w stanie zobaczyć, co tak naprawdę dzieje się ze światem.

Niels na chwilę podniósł wzrok i przez nagie gałęzie drzewa popatrzył na niebo. Tego roku na wszystkich rosnących w mieście drzewach liście pojawiły się stosunkowo późno, lecz ten okaz nie przejawiał jakiegokolwiek chęci do wypuszczenia choćby pojedynczych pączków. W takim miejscu nie ma najmniejszych szans, pomyślał Niels: z korzeniami zatopionymi w asfalcie, z liśćmi duszonymi przez spaliny... Niebo, które Niels widział przez kratownicę nagich, bezlistnych gałęzi, zdawało się idealnie pasować do uczuć, które nim targały – do emocji, których nawet on sam pewnie nie potrafiłby określić. Były wśród nich nienawiść i gniew, i coś jeszcze większego – poczucie kolosalnej frustracji. Frustracji spowodowanej świadomością, że inni tak łatwo zapominają o czymś, co Nielsowi wydawało się tak boleśnie, tak nagłoco oczywiste. Jednak przede wszystkim, spośród płonących w sercu Nielsa emocji wyłaniała się ta najważniejsza – czysty smutek – żal z powodu śmierci, którą potrafił przepowiedzieć, ale której w żaden sposób nie mógł zapobiec. Ale nawet jeśli uczucia wydawały się niemożliwe do opisanego, zawsze można było je wyrazić, a Niels nie zamierzał tłumić ich w sobie.

Z powrotem skierował spojrzenie na mercedesa cabrio. Samochód wyglądał na całkiem nowy, kupiony najwyżej przed kilkoma tygodniami. Cały aż lśnił. Zatrzymał się i zaparkował przy krawężniku, po przeciwnej stronie ulicy. Mężczyzna, który z niego wysiadł, wyglądał dokładnie tak, jak może wyglądać człowiek, który parkuje taki kosztowny symbol luksusu pod obrzydliwie modną, sztucznie rozreklamowaną kafejką w Schanzenviertel: miał trzydzieści parę lat, był bez krawata, za to ubrany w szyty na miarę garnitur, który idealnie pasował do samochodu, lecz na typowej sali konferencyjnej wydawałby się nie na miejscu. Facet z daleka roztaczał aurę zamożności i przepychu: wiodących marek, designerskich produktów i kwitnącego biznesu. Dziesięć lat wcześniej zapewne nosił długie włosy uczesane w koński ogon.

Niels pogardzał takimi ludźmi chyba nawet bardziej niż starą gwardią. Stara gwardia przynajmniej nie starała się ukryć, o co tak naprawdę jej chodzi. Tamci jasno dawali do zrozumienia, że oto robią wielką kasę i nie zamierzają dopuścić nikogo z zewnątrz; do obrzydzenia manifestowali swoją elitarność, a ich arogancja wobec „pieprzonej planety” rzucała się w oczy. Z kolei te łajdaki – takie jak ten gość z mercedesa – wydawali się znacznie gorsi. Byli tak samo opętani wizją pieniądza i dbałością o swój status, stroili się w piórka praworządnych, przyzwoitych obywateli – takich, którym zależy na ochronie środowiska. Pozornie. Mieli w dupie tę planetę, tak samo jak ci poprzedni, ale ci działali ukradkiem. Hipokryci.

Niels nie znał mężczyzny, który zaparkował mercedesa. Komendant nie powiedział Nielsowi, jak nazywa się jego ofiara, nie zdradził też żadnych szczegółów na jego temat, ale Niels i tak go nienawidził. Nienawidził każdą cząstką swojej istoty. Wkrótce będzie mógł dać upust tej nienawiści; już niedługo gość z mercedesa przekona się, że każda decyzja, każdy wybór, jakiego człowiek dokonuje, przynosi określone konsekwencje, i nieważne, że nie zawsze w pełni sobie to uświadamiamy.

Niels patrzył, jak jakaś kobieta zatrzymuje za kabrioletem tak samo nowe, kształtem przypominające pudełko, paskudne alfa romeo giulietta. Jej wygląd, ciuchy, fryzura – zdaniem Nielsa wszystko to wskazywało, że jest żeńskim odpowiednikiem faceta z mercedesa. Powitała tamtego gościa pocałunkiem i śmiechem, i po chwili obydwójce zniknęli w kawiarni.

To było to. Następny etap. Aż do tego czasu ich oddział ograniczał swoją działalność do

podpalania nocami samochodów takich jak ten. Ale w Schanzenviertel stało się prawie tradycją, że auta bogaczy czasem stawały się celami ataków, i nigdy nie było do końca wiadomo, która grupa jest za to odpowiedzialna. Podpalenia często przypisywano osobnikom działającym w pojedynkę, którzy w ten prosty sposób protestowali przeciwko „uszlachetnieniu” Schanzenviertel, co prowadziło do tego, że dzielnica stawała się coraz bardziej modna, a przez to traciła swój zdecydowany, wyrazisty charakter. Ale akurat Niels nie miał nic wspólnego z tą ideologią; cała jego grupa nie miała z tym nic wspólnego. Oni byli Strażnikami Gai. Obrońcami Ziemi. Żołnierzami na wojnie, którzy bronią powietrza, morza, gleby.

Znowu popatrzył na koniec ulicy, gdzie czekał Harald, trzymając w pogotowiu motocykl, który ukradli poprzedniej nocy. Ten pojazd także zostanie spalony, tyle że później, po zakończeniu akcji. Harald nie miał pojęcia o automatycznym pistolecie, ukrytym w kieszeni Nielsa, jak również o tym, że podpalenie auta w biały dzień tak naprawdę było egzekucją, takie było wyraźne polecenie komendanta.

Niels postawił torbę na chodniku i rozpiął suwak. Niczego z niej nie wyjął; po prostu przygotowywał się do akcji. Potem wziął torbę do ręki i zdecydowanym krokiem przeszedł na ukos przez jezdnię. Zbliżywszy się do mercedesa, przystanął na moment i drugą ręką wydobył zza pazuchy młotek zakończony spiczastą główką. Mijając auto, słyszał za plecami gniewne brzęczenie silnika motocykla, który Harald odpalił kawałek dalej. Szybkim ruchem roztrzaskał okno od strony kierowcy; samochodowy alarm natychmiast wybuchnął jazgotliwym skowytym, ale on nie zwracał na to uwagi. Przez stłuczoną szybę wepchnął do środka swoją torbę, a następnie spokojnie ruszył w drogę, chowając do kieszeni młotek. Kiedy już odszedł dobre kilka metrów, odwrócił się, żeby spojrzeć na Haralda, który z twarzą ukrytą za osłoną motocyklowego kasku podjechał do mercedesa, cisnął do wnętrza auta zapalony koktajl Mołotowa, a potem dodał gazu i z piskiem opon zahamował tuż przy Nielsie.

– Wskakuj! – wrzasnęła, wyciągając ku niemu rękę.

W tym czasie para zdążyła wybiec z kawiarni na ulicę, zaalarmowana nieustającym piskiem alarmu. Niels widział, jak płomień we wnętrzu samochodu staje się coraz bardziej intensywne, lecz to wciąż płonął tylko koktajl Mołotowa; pięć litrów ukrytego w torbie płynnego plastiku jeszcze nie zdążyło zająć się ogniem.

– Wskakuj, do cholery! – zawołał Harald przynaglająco.

Ale Niels stał bez ruchu, zahipnotyzowany ogniem, który lizał od środka przednią szybę auta. Materiał, z którego wykonany był składany dach kabrioletu, palił się teraz jasnym płomieniem i łopotał na wietrze. Właściciel mercedesa oraz jego dziewczyna znaleźli się już przy samochodzie, lecz byli zbyt zajęci tym, co działo się z autem, żeby odwrócić wzrok w kierunku Nielsa. Gość z mercedesa wyglądał tak, jakby oszalał – szarpał się za włosy i wykonywał świadczący o niezdecydowaniu taniec, to zbliżając się do samochodu, to odskakując. Najwyraźniej nie wiedział, co robić. Niels domyślił się, że pewnie w samochodzie znajduje się coś, co tamten chciałby uratować.

Powoli zacisnął palce dookoła kolby pistoletu, który wciąż trzymał w kieszeni. Jednak z jakiegoś powodu wciąż się wahał. W tej sytuacji, w otoczeniu, w samym wydarzeniu było coś, co nagle wydało mu się przytłaczająco znajome. Nagle Niels poczuł, że wkracza w uludę *déjà vu*. Miał wrażenie, że wyjął pistolet z kieszeni, chociaż był pewien, że tego nie zrobił.

I wtedy uświadomił sobie, że wie, co zaraz się wydarzy, że wie to jeszcze zanim to nastąpiło, i że ta świadomość nie ma nic wspólnego z *déjà vu*. Facet z mercedesa naciągnął rękaw marynarki na dłoń, robiąc z niego prowizoryczną rękawiczkę, a potem złapał za klamkę w drzwiach samochodu i szarpnął. Drzwiczki otworzyły się na całą szerokość i mężczyzna wysunął się o krok do przodu. Dokładnie w tym samym momencie eksplodowało pięć litrów

plastiku, które Niels wrzucił do środka w sportowej torbie. To wyglądało tak, jakby nagle rozwinął się ogromny kwiat: potężna, zakręcona, przepiękna kula ognia przedarła się przez drzwi i rozerwała płonące pokrycie dachu. Na dwie sekundy mężczyzna z mercedesa zniknął, pożarty przez płomień. A potem Niels usłyszał wrzask. Wrzeszczała dziewczyna tamtego faceta. Wrzeszczeli ci, którzy byli świadkami wypadku. Słyszał nawet gardłowy, przytłumiony przez motocyklowy kask krzyk, który wyrwał się z piersi Haralda. Ale ponad wszystkim górował przenikliwy, nieludzki ryk mężczyzny z mercedesa. Ognista kula poszybowała ku niebu i nieszczęśnik ponownie ukazał się oczom zebranych. Jego ciało od stóp do głów spowijały płomień. Sam był teraz miotającym się, wrzeszczącym płomieniem. Zatoczył się do przodu i runął na chodnik, a wtedy kilku gapiów rzuciło się ku niemu i zarzuciło nań swoje płaszcze. Ktoś z tłumu nagle zauważył Nielsa i Haralda i wskazał ich palcem.

Niels stał bez ruchu; gapił się na płonącego mężczyznę, próbując przypomnieć sobie, czy naprawdę już kiedyś widział, jak pożerają go płomień, i to tyle razy, że nawet nie zdołał ich zliczyć. W tym momencie zdał sobie sprawę, że nic z tego, co widzi, nie dzieje się naprawdę. Że wszystko, co starali się mu wmówić tamci mądrzele ze szpitala, było jednym wielkim stekiem kłamstw. To wcale nie była *rzeczywistość*. To była fikcja, imitacja rzeczywistości. Tak naprawdę Niels wcale nie istniał, a to, czego był świadkiem, nigdy się nie wydarzyło.

– Na litość boską, Niels... – usłyszał za sobą nagłący głos Haralda. – Wskakuj na ten pieprzony motor, ale już!

Ludzie z tłumu w ciągu sekundy lub dwóch zdołali ustalić chronologię wydarzeń i już wiedzieli, kogo obarczyć winą za to, co przed chwilą widzieli. Jednak zanim któryś z nich ruszył biegiem w kierunku Nielsa, on już siedział z tyłu kradzionego motocykla. Harald przycisnął gaz do dechy i nie zatrzymał się przed żadnym znakiem stopu, zmuszając parę aut do ostrego hamowania.

Podczas ucieczki wąskimi, krętymi uliczkami Schanzenviertel siedzący na tylnym siodełku motocykla Niels wciąż miał przed oczyma obraz wrzeszczącego, płonącego człowieka. Nagle do jego uszu doleciał jakiś dziwny dźwięk. Śmiech.

Jego własny śmiech.

ROZDZIAŁ 12

Gdzie jesteś?

– W samochodzie. I mam włączony zestaw głośnomówiący.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Susanne. – Witaj w dwudziestym pierwszym wieku.

– To wcale nie jest dwudziesty pierwszy wiek – odparł Fabel. – Mgliście przypominam sobie, jak w latach siedemdziesiątych w telewizji obiecywali, że w dwudziestym pierwszym wieku wszyscy będziemy pomykać poduszkozcami, nosić srebrne kombinezony i spędzać wakacje na księżycu... Jak tam Wiesbaden?

– Okropnie burżuazyjne. Bardziej burżuazyjne niż Hamburg, o ile potrafisz sobie to wyobrazić. A tak właściwie, dokąd jedziesz? Wykorzystujesz moją nieobecność, żeby umówić się na schadzkę z jakąś gibką blondynką?

– Akurat. Jadę na spotkanie z Bertholdem Müllerem-Voigtem. W dodatku w jego rezydencji, wyobrażasz sobie?

– Od kiedy zadajesz się z takimi szychami? Po co w ogóle się z nim umówiłeś?

– Jeszcze nie wiem. Sam mnie poprosił o to spotkanie. Śmieszna sprawa...

– Śmieszna? W jakim sensie?

– No wiesz, on jest zwykle taki zimny i opanowany. Ale tym razem coś nim wstrząsnęło. Nie wiem co konkretnie, ale sądzę, że wkrótce się dowiem... Tęsknisz za mną?

– Okropnie, ale pewien młody Włoch, kelner z restauracji, stara się jak może odpędzić ode mnie tę myśl... Wracam pojutrze.

– Tak przy okazji... Co miałas na myśli, pisząc „Poppenbütteler Schleuse”?

– Co?

– Chodzi o SMS-a, którego mi przysłałaś? Dość enigmatyczny, muszę przyznać.

– Janie, nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

– No dzisiaj, nieco wcześniej. – Westchnął. – Jadłem lunch w Faehrhaus Cafe i wtedy przyszedł SMS od ciebie. Było tam napisane „Poppenbütteler Schleuse”. I nic więcej.

– A ja sądziłam, że nigdy nie pijesz podczas lunchu.

– Ja wcale nie żartuję, Susanne. Wiadomość przysłała z twojego numeru.

– No cóż, to nie ja wysłałam ci tego SMS-a. Zdecydowanie nie ja. Może jednak gdzieś tam chowasz jakąś piękną blondynkę, która właśnie przekazała ci, w którym miejscu umawiacie się na randkę? Zdaje się, że tam w pobliżu jest naprawdę niezła knajpka.

– Susanne, mówię całkiem serio.

– Tak samo jak ja – powiedziała z naciskiem. – Nie wysyłałam ci żadnej wiadomości.

Och, Janie, wiesz przecież, jaki jesteś, gdy chodzi o technologiczne nowinki. Całe wieki trwało, zanim wytłumaczyłam ci, jak działa odtwarzacz MP3, a teraz nie możesz się bez niego obejść. Ten SMS *nie mógł* przyjść ode mnie. Lepiej sprawdź u siebie w pracy. Może to była Anna Wolff? Wiesz co? Czasami mam wrażenie, że Anna sama chętnie umówiłaby się z tobą na małą schadzkę w tym „Poppenbütteler Schleuse”.

– Anna? – Fabel prychnął pogardliwie. – Zupełnie fałszywy trop. Jak na psychologa masz kiepską intuicję. Ale oczywiście sprawdzę w biurze i zobaczę, czy ktoś od nich wysłał do mnie tę wiadomość.

Nagle zauważył, że już dojeżdża do Stade. Nienawidził rozmawiać przez telefon podczas jazdy. Nawet gdy miał wolne ręce i korzystał z zestawu słuchawkowego, czuł, że nie dość uważnie patrzy na drogę – zwłaszcza, kiedy zastanawia się, kto mógł mu wysłać tajemniczą

wiadomość i dlaczego to zrobił.

Gdy Fabel przekraczał granice miasteczka, niebo zdążyło się już nieco przetrzeć i słońce zawisło nisko nad horyzontem, nadając murom Stade czerwony poblask. Wtedy naszała go refleksja, że prawdopodobnie to jedyna rzecz, jaka od dłuższego czasu ubarwiła tę senną miejscinę na czerwono: Stade było malutkim, malowniczym miasteczkiem składającym się z kanałów, brukowanych uliczek i średniowiecznych, zakończonych szczytami kamienic, zbudowanych przy granicy Alte Land – Starego Kraju – na południowym brzegu Łaby, mniej więcej czterdzieści kilometrów na zachód od Hamburga. Takie miejsca dawały Fablowi poczucie pewnego spokoju. Budziły w nim duszę miłośnika historii: Stade powstało przed ponad tysiącem lat i było jedną z najstarszych osad w Północnych Niemczech. W czasach średniowiecza ta mała, prowincjonalna miejscina była kolejno szwedzkim miastem, duńską twierdzą i hanzeatyckim miastem, rządzącym się własnymi prawami. Obecnie Stade stanowiło część większego Okręgu Metropolitalnego Hamburga, lecz charakter miasteczka nie uległ przez to zmianie. Nadal stało nad brzegami rzeki Schwinge, statecznie ciche i urocze, i z obojętną powagą obserwowało upływ czasu i ludzkie szaleństwo.

Fabel klął pod nosem, przejeżdżając przez historyczne centrum. Już kiedyś gościł w domu Müllera-Voigta, położonym na przedmieściach Stade, ale wtedy nie musiał jechać przez centrum, żeby dotrzeć na miejsce. Był pewien, że bez kłopotów znajdzie drogę, więc przed wyjazdem nie zawracał sobie głowy wprowadzaniem współrzędnych do nawigacji satelitarnej. Zresztą, Fabel rzadko korzystał z nawigacji. Coś podpowiadało mu, że chęć odkrywania własnych ścieżek jest jedną z najbardziej ludzkich cech, i że dość często zdarza się, że najlepsze rzeczy i najwspanialsze rozwiązania przytrafiają się właśnie wtedy, gdy pomyli się drogę.

Tyle tylko, pomyślał Fabel, że ta uwaga być może i jest słuszna z filozoficznego punktu widzenia, lecz nie wtedy, gdy ktoś spóźnia się na spotkanie z jednym z najbardziej wpływowych hamburskich polityków.

Przejechał przez urocze centrum Stade, potem pomknął dalej w stronę wsi, aż wreszcie, kiedy znalazł się na wąskim, prostym gościńcu, który wiódł obok wysokich wałów, usypanych wzdłuż kanału, rozpoznał okolicę. Blask słońca prześwitywał przez korony drzew, torując sobie drogę przez prostokąt czystego nieba między płaskim krajobrazem na dole i równoległym do ziemi wałem z ciemnych chmur w górze. Drzewa po jednej stronie drogi rosły coraz gęściej, aż utworzyły zwarty szpaler, i wkrótce Fabel skręcił w długą dróżkę dojazdową. Pamiętał, że doprowadzi go ona do rezydencji Müllera-Voigta.

Dom był dokładnie taki, jakim go Fabel zapamiętał: masywny, imponujący, nowoczesny, kanciasty i cały ze szkła. To, co nie było szkłem, z daleka wydawało się wyłożone błękitnym marmurem, chociaż Fabel wiedział od poprzedniej wizyty, że cała fasada zrobiona była z paneli solarnych.

Ten rodzaj budynku każdy architekt mógłby prezentować jako reklamę swojej pracowni. Przypominał połączenie arcydzieła z funduszem emerytalnym.

Müller-Voigt ubrany był w bojówki koloru khaki, niebieską koszulę w prążki z długim rękawem, pod którą miał biały T-shirt. Na nogach nosił płócienne buty na płaskiej podeszwie. Był to całkiem zwyczajny strój, lecz Fabel przypuszczał, że kosztował więcej niż jego najlepszy garnitur.

– Dziękuję, że pan przyjechał – powiedział Müller-Voigt, szeroko otwierając drzwi.

Fabel odniósł to samo wrażenie, jak wtedy, gdy senator przemówił do niego w windzie w gmachu Wydziału Zabójstw: że ten człowiek wygląda na kogoś, kto wpadł w poważne tarapaty. Był to widok dość niepokojący, Fabel nigdy nie zauważył, żeby Müller-Voigt czymś się trapił. Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, by senator kiedykolwiek nie był spokojny

i zrelaksowany. I całkowicie panujący nad sobą.

Podobnie jak miliony Niemców, Fabel widział i słyszał Müllera--Voigta w wielu stresujących sytuacjach. Hamburski senator Komisji do Spraw Środowiska należał do tego typu gości, których producenci audycji na żywo zarówno w telewizji, jak i w radiu wręcz uwielbiają: miał wrodzony talent do wypowiadania opinii tyle prowokacyjnych, co wojowniczych, jednocześnie potrafił zachować przy tym zewnętrzny spokój i opanowanie. Taki styl był nonszalancki, a zarazem agresywny, i idealnie pasował do wielkich debat czy rozmów w mediach. Müller-Voigt wydawał się rozkwitać w atmosferze konfliktu, zaś jego atutem było to, że w pomysłowy sposób potrafił podpalić lont, wyzwalając emocje u innych polityków. Rozmowy na antenie zazwyczaj kończyły się w ten sposób, że oponent tracił opanowanie i pewność siebie. Müller-Voigt w pełni i skutecznie wykorzystywał truizm, że ktokolwiek ma władzę nad sobą, ma władzę nad rozmówcą. Müller-Voigt zawsze miał i jedno, i drugie.

Jednak dziś wieczorem Fabel ujrzał zupełnie inną osobę.

Müller-Voigt poprowadził go do olbrzymiego salonu, z wysoko wysklepionym sufitem i galerijką z balustradą. Tak samo jak podczas ostatniej wizyty, Fabel poczuł się zirytowany niewyraźnym ukłuciem zazdrości, która ogarnęła go na widok eleganckiego domu, w którym mieszkał polityk. Eleganckiego, lecz jednocześnie przyjaznego środowisku. Ten dom deklarował jasno: bycie eko jest trendy.

Usiedli na ogromnej narożnej sofie, na wprost wysokiego na dwa piętra, panoramicznego okna. Przedzierające się przez szybę słońce zdawało się grać paletą różnych kolorów.

– Mogę to ustawiać w zależności od tego, na co mam ochotę – powiedział Müller-Voigt, zupełnie jakby czytał w myślach Fabla. – To najnowszy cud technologii: szkło, które pochłania energię. Nie tylko izoluje i zapobiega jej ucieczce z domu, lecz przechwytuje ciepło słoneczne i zamienia ją na energię.

– Rozumiem – powiedział Fabel. – Bardzo imponujące.

– Znam wielu ludzi – i wcale nie jestem pewien, czy nie jest pan jednym z nich – którzy uważają, że z mojej strony to tylko podchwytliwe sztuczki. Że bardziej interesuje mnie polityka niż ochrona środowiska. Normalnie niewiele by mnie obchodziło, co pan lub ktokolwiek inny sądzi na mój temat, lecz dziś chciałbym, *Herr Fabel*, żeby pan zrozumiał jedno: ja prawdziwie, całkowicie i nieodwracalnie zaangażowałem się w pracę nad zmianą sposobu, w jaki ludzkość traktuje naturalne środowisko. To więcej niż przekonania polityczne, to sposób na życie.

Fabel wzruszył ramionami.

– Nie mam powodu w to wątpić – odrzekł.

– No cóż, niektórzy jednak w to wątpią, jak już mówiłem. – W głosie Müllera-Voigta pojawił się cień goryczy. – Jako rasa, *Herr Fabel*, jako *gatunek*, zgubiliśmy wytyczony szlak. I to będzie nasz koniec. Prawdę mówiąc, ludzkość zatraciła elementarną zdolność odczytywania znaków natury, rozumienia geografii i warunków klimatu, w którym żyjemy. To doprowadziło nas tu, gdzie jesteśmy.

Machnął ręką w nieokreślonym kierunku, w stronę krajobrazu za oknami.

– Zbudowałem ten dom na wydmie – wyspie z piasku i żwiru, naniesionej jako końcowa morena podczas ostatniej epoki lodowcowej, i usadowionej pośrodku płaskiego bezmiaru wrzosowisk, bagien i torfowisk. Jeśli rozejrzy się pan dookoła, przekona się pan, że prawie każde miasto na tym terenie powstało na takiej wydmie, ze Stade włącznie.

– Kiedy budowano pierwsze osiedla, nasi przodkowie żyli złączeni z naturą i krajobrazem. Potrafili odczytywać znaki i czerpać wiedzę ze wskazówek, które przynoszą zmiany pogody. A to oznaczało, że wiedzieli, gdzie należy budować domy. Wie pan, o czym mówię? Przez całe tysiąclecie osadnictwa wydmy dawały doskonałą ochronę przed falami

sztormów. Okoliczne mokradła działały jak wielkie gąbki, a same wzgórza stanowiły naturalną barierę przeciwpowodziową. Niczym gigantyczna masa worków z piaskiem. Czy widzi pan te wały, które biegną wzdłuż rzek i kanałów? – Müller-Voigt pokazał na wyłożone darnią nasypy, na szczycie których zasadzono drzewa i krzewy. Przecinały na ukos całe terytorium Altes Landu i stanowiły element krajobrazu przeważającej części północnych Niemiec. – Niektóre z nich są starsze niż piramidy w Gizie, bo nasi przodkowie zbudowali je przed ponad pięcioma tysiącami lat. A czy wie pan, że nadal pozostają najlepszą ochroną przed eolijską i fluwialską erozją, jakiej podlega ten krajobraz? – Müller-Voigt zaśmiał się gorzko.

– Proszę spojrzeć na to, ile milionów euro wydano w Hamburgu na zabezpieczenia przeciwpowodziowe. Proszę nie zrozumieć mnie źle, oczywiście należy chronić ludzi i ich własność, ale jeśli przyjrzy się pan dokładnie historii powodzi w Hamburgu przez ostatnie sto lat albo więcej, sam pan zobaczy, które tereny zawsze pozostawały nietknięte. Czy domyśla się pan, co chcę powiedzieć? Otóż wszystkie ocalone dzielnice miasta znajdują się w miejscach najstarszych ludzkich osad i są położone na wzniesieniach terenu, na hamburskich wydmach. Właśnie to utraciliśmy, *Herr Fabel*. Połączenie.

– Rozumiem, senatorze, ale domyślałam się, że nie dlatego wezwał mnie pan tutaj?

– Tak pan sądzi? Chciałbym, żeby zapamiętał pan to, co powiedziałem, ponieważ, może mi pan wierzyć lub nie, ma to związek z czymś, o czym chcę z panem porozmawiać. W mediach bez przerwy dyskutuje się o ochronie środowiska i ta kwestia powoli pnie się po drabinie politycznych priorytetów, lecz niewystarczająco szybko. Czeka nas katastrofa, *Herr Fabel*. Ona czai się tuż za rogiem. Jest mnóstwo ludzi, którzy uważają, że nadszedł czas na podjęcie ekstremalnych działań. Bardzo ekstremalnych. Może drinka? – spytał Müller-Voigt, zmierzając w kierunku barku.

– Nie, dziękuję – odparł Fabel.

– Oczywiście. Nigdy na służbie... – Müller-Voigt uśmiechnął się z przymusem.

– Nigdy, kiedy jadę samochodem. Zresztą nie jestem na służbie. Jak dotąd, jestem tu nieoficjalnie.

– Doceniam to, komisarzu. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że ja się napiję?

– Ależ proszę – odpowiedział Fabel i pomyślał, że Müller-Voigt raczej nie należy do tego rodzaju ludzi, którzy w trudnych chwilach potrzebują wzmocnienia.

Kostki lodu zadzwoniły o szklaneczkę z kosztownego kryształu, kiedy Müller-Voigt przyniósł sobie słodową whisky i z powrotem usadowił się na kanapie naprzeciw Fabla.

– Naprawdę jestem wdzięczny, że tak szybko zdołał pan do mnie przyjechać.

– No cóż, jasno dał mi pan do zrozumienia, że to pilna sprawa.

– Pilna, lecz na razie nieoficjalna, jak był pan łaskaw zauważyć – odparł Müller-Voigt.

Oparł się o zagłówek kanapy i przez moment kontemplował szklaneczkę z whisky. – Oczywiście jestem na bieżąco informowany o wszystkim, co się dzieje, kiedy zdarza się coś tak poważnego jak ostatni sztorm, który uderzył w Hamburg. Sztorm i poczynione przez niego zniszczenia należą do zakresu spraw prowadzonych przez mój resort, jak zapewne pan wie.

– Tak sądzę...

– Więc rozumie pan, że natychmiast otrzymuję raport o wszelkich śmiertelnych wypadkach oraz uszkodzeniach ciała, które są następstwem katastrofy. Takich jak na przykład zwłoki, które woda wyrzuciła w pobliżu Fischmarkt. Te same, o które już wcześniej pana pytałem.

– Jak już mówiliśmy, panie senatorze, kobieta znaleziona po powodzi przy Fischmarkt nie zginęła na skutek kataklizmu. Nie została zabita przez burzę ani przez powódź.

– Rozumiem... Skąd pan wie, że nie umarła z powodu burzy? I dlaczego pan sądzi, że nie

jest kolejną ofiarą tego Zabójcy z Sieci?

– Proszę posłuchać, senatorze. Rozumiem pańskie zainteresowanie, ale na razie mogę powiedzieć panu jedynie tyle, że śmierć tej kobiety nie nastąpiła podczas burzy. W chwili obecnej cała reszta jest wewnętrzną sprawą policji.

– Komisji do Spraw Morderstw, jak przypuszczam...

– Senatorze... – Fabel postarał się, żeby w jego tonie pojawiło się coś na kształt ostrzeżenia.

Müller-Voigt odstawił szklankę.

– Chcę zobaczyć to ciało – powiedział zdecydowanie.

– Co?!

– Chcę zobaczyć ciało kobiety, które woda przyniosła na Fischmarkt. Wydaje mi się, że będę mógł pomóc w identyfikacji.

– Szczerze wątpię. Ciało jest w takim stanie, że byłoby to dość trudne... Widzę, senatorze, że jest coś, co usiłuje mi pan powiedzieć. O co chodzi? Dlaczego zależało panu, żebym tu przyjechał?

Müller-Voigt znów pociągnął łyk whisky.

– Zna pan moją reputację, Fabel. Mam na myśli stosunki z kobietami. Hamburgska prasa postarała się, żeby wszyscy uwierzyli, że jestem kimś w rodzaju pozbawionego skrupułów awanturnika i kobieciarza. No cóż, moje życie osobiste jest moją prywatną sprawą. Nie jestem żonaty i mam wystarczająco dużo szczęścia, żeby cieszyć się zainteresowaniem pięknych i inteligentnych kobiet. Zawsze tak było. I z jakiegoś powodu, którego nigdy nie byłem w stanie pojąć, im także sprawia to radość. Jednak nie jestem żonaty i nigdy nie byłem, więc nie łamię żadnych małżeńskich przysięg. Inaczej niż, powiedzmy to jasno, więcej niż połowa moich czcigodnych i żonatyh kolegów, którzy zasiadają w Senacie Hamburga. Tak samo nie muszę uciekać się do żadnych wybiegów, żeby zwabić do łóżka jakąś niewinną łanię czy płacić za tanie i sprośne uciechy na Reeperbahn. Nikogo nie okłamuję, a kobiety, z którymi jestem związany, traktuję z szacunkiem i godnością.

– Dlaczego mi pan o tym mówi? – zapytał Fabel. – Pańskie życie prywatne rzeczywiście jest pańską sprawą.

– Spośród tych wszystkich kobiet, z którymi byłem związany przez wszystkie lata, jedynie z trzema łączyło mnie głębokie uczucie. Naprawdę głębokie. Jedna z nich zmarła dawno temu, druga miłość zwyczajnie uschła i obumarła... Trzecią z nich była kobieta, z którą związek skończył się zaledwie przed dwoma tygodniami.

Müller-Voigt wstał, przeszedł przez pokój aż do sekretarzyka i wrócił, trzymając w ręku oprawioną w ramkę fotografię. Przez chwilę coś przy niej majstrował, po czym podał ją Fabelowi, który dopiero wtedy zorientował się, że ma przed sobą cyfrową ramkę i że Müller-Voigt po prostu szukał zdjęcia, które chciał mu pokazać. Fotografia przedstawiała młodą kobietę o ciemnych włosach i uderzająco błękitnych oczach. Uśmiechała się szeroko do kamery, błyskając śnieżnobiałymi zębami, sprawiając wrażenie nieco zawstydzonej. Nieśmiałej. Niewątpliwie była bardzo piękna, na co Fabel od razu zwrócił uwagę.

– To jest Meliha – powiedział Müller-Voigt. – Spotykaliśmy się przez ostatnie trzy miesiące. Jak pan widzi, jest ode mnie sporo młodsza.

– Jest bardzo atrakcyjna – odparł Fabel i wyciągnął rękę, żeby zwrócić ramkę Müllerowi-Voigtowi, ale ten nawet się nie ruszył, by ją odebrać.

– Niech pan się jej dobrze przyjrzy, Fabel. Ona zniknęła.

– Zaginęła? Jak dawno temu?

– Nie zaginęła. Zniknęła. Tak jak powiedziałem, byłem z nią związany aż do pewnego

momentu przed dwoma tygodniami, kiedy rozplynęła się bez śladu.

– I pan uważa, że to właśnie jej ciało zostało wyrzucone po burzy?

– Nie wiem... – Müller-Voigt wzruszył ramionami, ale ani w jego postawie, ani w wyrazie twarzy nie było obojętności. Fabel widział wyraźnie, że ten człowiek naprawdę cierpi. – Może i tak.

– A więc ostatni raz miał pan z nią kontakt przed dwoma tygodniami? – spytał Fabel.

– Tak... To znaczy nie. – Müller-Voigt z desperacją rozłożył ręce. – To dość skomplikowane. Dwa dni temu dostałem od niej maila. Maila, w którym ze mną zrywa. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Moment, *Herr Müller-Voigt*. Zaczynam się gubić. Mówił pan, że ta kobieta zaginęła przed dwoma tygodniami, a teraz powiada pan, że dwa dni temu otrzymał od niej maila? – Fabel zmarszczył brwi. – W takim razie jest pewne, że to nie jej ciało zostało wyrzucone przez burzę. Tamta kobieta leżała w wodzie przynajmniej przez dwa tygodnie...

– Czyli dokładnie tyle, ile nie ma Melihy. Proszę słuchać mnie uważnie, Fabel, bo starannie dobieram słowa. Kiedy mówię, że Meliha zniknęła, dokładnie to mam na myśli. Zdaję sobie sprawę, iż pan sądzi, że zwróciłem się do pana, ponieważ staram się wykorzystać swoje wpływy i zachować całą sprawę w sekrecie, żeby uniknąć skandalu. Ale tu wcale nie o to chodzi. Ktoś systematycznie stara się wymazać wszelkie ślady świadczące o tym, że Meliha w ogóle istniała. A ja nie mogę zgłosić jej zaginięcia, skoro ona nie istnieje, prawda? Jeśli zaś chodzi o ten e-mail... Wiem, że jest sfałszowany.

– Czy mógłbym go zobaczyć? – poprosił Fabel.

Müller-Voigt zaśmiał się z goryczą.

– Nie, ponieważ także już nie istnieje. Nie wydrukowałem go, ponieważ nigdy niczego nie drukuję, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Naturalnie ze względu na ochronę środowiska. Zapewne słyszał pan o wirusie zwanym „Klabautermann”?

Fabel skinął głową.

– Oczywiście. Znam oficera, który został wyznaczony, by wykryć ludzi, którzy za tym stoją.

– Nie mam pojęcia, co ci kretyni zamierzają osiągnąć poprzez niszczenie czyichś danych – zauważył Müller-Voigt. – Prawdopodobnie chodzi o próbę sił. Jedni bardzo sprytni mózgowcy chcą udowodnić, że są jeszcze sprytniejsi od tych supermózgowców, którzy wymyślili całe to oprogramowanie... Ale niestety, istnieją też tacy, którzy poświęcają swój czas na tworzenie jeszcze bardziej złośliwych i bardziej destrukcyjnych wirusów komputerowych. Ten ostatni, „Klabautermann”, obrał sobie za cel intranet i łamie zabezpieczenia rządowych serwerów mailowych w północnych Niemczech. Jaki może być cel takiego działania, inny niż zakłócanie codziennego życia normalnych ludzi? Zresztą być może te złośliwe gnojki wcale nie przebywają na terenie północnych Niemiec. Mogą mieszkać w San Jose, albo Mumbaju, albo Pekinie. Kto wie, może to po prostu jakiś przyszczaty, dojrzewający płciowo nikt, który siedzi w ciasnej sypialni w Bönningstedt. Kimkolwiek są i gdziekolwiek są, zainfekowali wirusem miejski i państwowy system mailowy. Ponieważ jestem zalogowany w tym systemie, wirus przedostał się do mojego laptopa i wymazał zawartość folderów z pocztą, ale na szczęście nie zdążył wysłać się do wszystkich kontaktów, jakie znajdowały się w książce adresowej. Krótko mówiąc, dzięki „Klabautermannowi” nie posiadam żadnych maili.

– Nie rozumiem, dlaczego jest pan przekonany, że to nie była ona? – drażył Fabel.

– Po prostu wiem. To można stwierdzić. Każdy ma jakiś... Sam nie wiem, jak to określić... Powiedzmy: *styl* pisania maili.

– I to wszystko?

– Nie. Wiem, że to brzmi głupio, ale według mnie ten mail był zbyt poprawny pod względem gramatycznym. Meliha jest Turczynką. I nie mam tu na myśli, że jest Niemką tureckiego pochodzenia, lecz że jest rodowitą Turczynką. Płynnie posługiwała się niemieckim, ale mimo to robiła pewne błędy, jak wszyscy, którzy nie są tutejsi. A ten e-mail był... No cóż, był zbyt *doskonały*. Zresztą nigdy nie porozumiewaliśmy się za pomocą poczty elektronicznej.

– Mmm... – zamruczał Fabel.

Przypomniał sobie, co Kröger mówił na odprawie na temat identyfikacji fałszywek w internecie. Może Müller-Voigt rzeczywiście umiał przejrzeć na wylot fałszywego e-maila.

– Muszę przyznać, że nie wiem, jak mógłbym pomóc, *Herr Müller-Voigt*. Według mnie to nie wygląda na zabójstwo. I jeśli mam być szczerzy, nie wygląda również na typowe zaginięcie. Ale mogę skontaktować się z miejscową policją i zlecić im, żeby przyjrzeni się tej sprawie.

Fabel wstał z miejsca.

– Niech pan posłucha, Fabel... – Müller-Voigt wysunął się o krok, jakby chciał zastąpić mu drogę. – Nie wiem, co pan myśli na mój temat, ale wiem, że nie uważa mnie pan za jakiegoś rozhisteryzowanego typu. Jeśli myśli się o mnie cokolwiek, to zwykle uważa się mnie za zupełne przeciwieństwo histeryka. I mówię panu, że jestem absolutnie pewien, iż ta kobieta, z którą byłem związany, została uprowadzona lub zamordowana. Powiem panu więcej, Fabel, nie tylko nie jestem w stanie dostarczyć żadnych obiektywnych dowodów, że cokolwiek z tego, o czym opowiadałem w ogóle miało miejsce, ale przede wszystkim nie mogę również udowodnić, że Meliha w ogóle istniała.

Müller-Voigt odsunął się z powrotem i wskazał ręką kanapę.

– Proszę, Fabel... Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Musi pan przecież wiedzieć, gdzie ona mieszka – odparł Fabel, nie ruszając się z miejsca.

– Nigdy u niej nie byłem. Oczywiście znałem jej adres, ale kiedy tam pojechałem, mieszkanie było puste. Nie chcę przez to powiedzieć, że jej nie zastałem, ale że nikt tam nie mieszkał. Zapytałem o Melihę jedną z sąsiadek, ale zyskałem tylko tyle, że kobiecina nabrała podejrzeń... Wyniosłem się stamtąd, zanim zadzwoniła na policję. Przedtem zdążyła mi jednak powiedzieć, że mieszkanie stoi puste już od ponad miesiąca.

– Powiada pan, że Meliha była cudzoziemką?

– Tak jest. Turczynką.

– I przebywała w Niemczech legalnie?

– O ile wiem, tak.

– W takim razie musi istnieć jakiś zapis jej wjazdu do kraju. Jak brzmi jej pełne imię i nazwisko? – zapytał Fabel, wyjmując z kieszeni marynarki notes i pióro.

– Meliha Yazar. Pochodzi z jakiejś miejsciny pod Stambułem. Wydaje mi się, że z Silviri. Fabel zapisał te informacje.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego ta kobieta mogłaby skłamać na temat tego, gdzie mieszka?

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Wiem, że wyjdę na szaleńca, ale nie sądzę, żeby Meliha mnie okłamywała. Myślę, że naprawdę mieszkała w tamtym mieszkaniu. Widzi pan, poznałem Melihę na konferencji dotyczącej ochrony środowiska. W Hamburg Congress Center.

– Rozumiem, że była zaangażowana w ruch ekologów?

Müller-Voigt skinął głową.

– Była bojowniczką, aktywistką, albo przynajmniej mówiła, że jest. O ile zdążyłem się zorientować, posiadała jakiś stopień naukowy z czegoś podobnego do geologii, który zdobyła w Stambule. Opowiadała, że pracuje jako analityczka dla pewnej agencji zajmującej się ochroną

środowiska, ale kiedy pytałem, dla której, zawsze odpowiadała wymijająco. Prawda jest taka, że sam przypuszczałem, że jest kimś w rodzaju reportera śledczego, i początkowo w jej obecności zachowywałem wielką ostrożność... Twardo będę obstawać przy tym, że wpakowała się w jakąś sprawę, która naraziła ją na niebezpieczeństwo.

– Jakiego typu sprawę?

Müller-Voigt popatrzył na swoją na wpół opróżnioną szklaneczkę whisky i odstawił ją na stolik.

– Pójdę zrobić kawę – powiedział stanowczo. – To długa historia...

ROZDZIAŁ 13

Roman Kraxner stał za drzwiami swojego mieszkania z przechyloną na bok głową, nastawionym uchem i marszczył w skupieniu swoje usiane kropelkami potu brwi. Starał się oddychać płytko i jak najciszej, żeby usłyszeć ile tylko się da z tego, co działo się na dole. To było trudne zadanie: otyłość Romana zmieniała każdy jego oddech w przeciągłe sapnięcie, bo powietrze z trudem torowało sobie drogę przez uciśnięte tłuszczem drogi oddechowe.

Jakiś głęboki męski głos zabrzmiał piętro niżej na klatce schodowej. Głos mówił cicho, zbyt cicho, żeby Roman mógł się zorientować, o czym mowa – ale wydawał się spokojny, opanowany i mocny. Rozkazujący.

Dźwięk drugiego głosu sprawił, że Roman wzdrygnął się i odsunął o krok. Ten głos był głośniejszy: gniewny i szorstki. Z obcym akcentem.

– Założę się, że to robota tej tłustej, pedofilskiej świni, która mieszka piętro wyżej!

Głos zabrzmiał całkiem wyraźnie i Roman natychmiast wyobraził sobie Albańczyka, który wychyla się w głąb klatki schodowej i oparłszy się o barierkę, wykrzykuje te słowa prosto w stronę jego mieszkania.

Oczywiście, że to ja, pomyślał Roman. *Ja* ich wezwałem. I jeszcze wyślę e-maila do właściciela domu, tego możesz być pewien.

– Powinieneś iść na górę! – wrzasnął Albańczyk, żeby Roman mógł go usłyszeć. – Mówię ci. Mówię ci, co powinieneś zrobić. Właśnie tak... Wtedy sam zobaczysz, co on ściąga na te swoje komputery. Założę się, że jest tam mnóstwo fotek małych chłopców i małych dziewczynek.

Roman poczuł, jak w głębi jego piersi wzbiera coś na kształt strachu pomieszanego z wściekłością. Jak on śmiał? Jak *ci ludzie* ośmielali się mówić takie rzeczy na jego temat?

Znowu odezwał się pierwszy głos: tym razem nieco głośniejszy, nadal spokojnie, lecz jakby jeszcze bardziej rozkazująco. Brzmiał w nim cień ostrzeżenia. Mimo że Roman przywarł do drzwi, nadal nie potrafił zorientować się, co ten policjant mówi. Kilka słów. Jakieś polecenie, żeby nie dręczyć Romana. Ostrzeżenie, żeby ściszyli muzykę. Coś o obowiązujących w Hamburgu rozporządzeniach. Wszystkie głosy brzmiały teraz znacznie ciszej. O wiele spokojniej.

Głęboki męski głos roześmiał się w odpowiedzi na coś, co powiedział Albańczyk. Z czego on się śmiał? Albo raczej z kogo? Czyżby tamci śmiali się z *niego*? Czemu śmiał się ten policjant? Przecież przyjechał tu po to, żeby tamtych zamknąć. Żeby wyłączyć tę durną muzykę. Właśnie dlatego Roman go tutaj wezwał.

Teraz już nie słyszał głosu policjanta. Słyszał, jak zewnętrzne drzwi na samym dole zamknęły się z trzaskiem. Ktoś zamruczał coś głośno po albańsku, a potem trzasnęły drugie drzwi. Te w mieszkaniu piętro niżej.

Roman jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, czekając w napięciu, czy dobiegnie go odgłos kroków na schodach; kroków Albańczyka, który pragnie konfrontacji. Ale nic się nie wydarzyło. Wtedy Roman odwrócił się i plecami oparł o drzwi. Czuł coś wysoko w klatce piersiowej, prawie w gardle. Jakieś kołatanie. I wiedział, że znowu to poczuje – zawsze, gdy będzie musiał przejść obok drzwi Albańczyka. I chociaż Roman robił wszystko co mógł, żeby jak najrzadziej opuszczać mieszkanie, to nie zawsze udawało się tego uniknąć i wówczas, przechodząc obok tamtego lokalu, nerwowo wstrzymywał oddech i za każdym razem miał wrażenie, że trwa to całe wieki.

Boże, jak nienawidził tego domu. Był stanowczo za dobry na to miejsce. Lepszy niż ci

wszyscy ludzie, którzy się tu gnieździli. Lepszy niż to zaszranie, malutkie mieszkanie. Lepszy niż cały ten cholerny Wilhelmsburg.

Ale nade wszystko nienawidził mieszkać nad Albańczykami. Zresztą dla Romana kraj ich pochodzenia nie miał żadnego znaczenia: nie znosił mieszkać nad kimkolwiek, bo największą odrazę budziła w nim konieczność wspinania się po schodach. Odkąd stracił pracę w sklepie komputerowym, wchodzenie po schodach było wysiłkiem, do którego zmuszał się coraz rzadziej i rzadziej. Mieszkanie Romana mieściło się na drugim piętrze, jednak wspinaczka tam wystarczała, żeby zupełnie pozbawić go tchu. Potem bladł i pocił się jak mysz, a jego płuca gwałtownie domagały się tlenu. Zdarzało się – i to dość często – że posiłek zdążył całkiem ostygnąć, zanim dotarł z nim na górę... Roman nigdy nie gotował sam. Od czasu do czasu podgrzewał w mikrofalówce jakieś danie, ale nigdy nie zdobył się nawet na tak minimalny wysiłek, by w swojej maleńkiej kuchni zaparzyć sobie filiżankę kawy. Wszystko, co jadł albo pił, pochodziło z puszek, pudełek, albo styropianowego pojemnika.

Całe mieszkanie składało się z trzech pomieszczeń. Właściwie czterech, jeśli liczyć łazienkę. Budynek był umiarkowanie nowy i dobrze utrzymany przez właściciela, i kiedy Roman się tu wprowadzał, wszystko dookoła było świeże i czyste. Jednak teraz wewnątrz mieszkania panował brud i nieporządek. Roman uważał, że zajęcia domowe są zbyt pracochłonne, nie nudne, lecz potwornie męczące, i że wysysają z niego wszystkie siły. Dziesięć minut przerzucania śmieci z kąta w kąt wyczerpywało go do cna; sprawiało, że ociekał potem i nie mógł złapać oddechu. A dziesięć minut sprzątanía i tak nie robiło żadnej różnicy, jeśli chodzi o stosy książek i magazynów, resztki gotowych posiłków czy opróżnione puszki po napojach.

Zresztą Roman nie za bardzo się przejmował tym, jak wygląda jego mieszkanie. I tak nikt tu nie zaglądał. Ani przyjaciele, ani kobiety, dosłownie nikt. Dla niego osobiście także nie miało to szczególnego znaczenia, bo nigdy nie nazywał tego miejsca domem. Tak właściwie Roman Kraxner nie za bardzo wiedział, co oznacza pojęcie dom – przynajmniej w sensie fizycznym. Owszem, miał poczucie przynależności, ale nie było ono osadzone w rzeczywistym świecie. Dla Romana istniał inny wszechświat – wszechświat, w którym możliwe było uwolnienie się z więzów ciała. Który stanowił dla niego jedyne prawdziwe środowisko. To właśnie tam należał. Właśnie tam naprawdę istniał.

Kiedy Roman był już pewien, że Albańczyk naprawdę wrócił do swojego mieszkania i że nie wejdzie po schodach, żeby sprowokować awanturę, szurając butami powłócił się przez pokój, obok rzędu monitorów, głośników, twardych dysków i klawiatur ustawionych na stole pod przeciwległą ścianą, i poszedł do toalety. Żołądek dawał mu się we znaki, jak zawsze, kiedy był zestresowany. I jak zawsze w tego typu sytuacjach Roman czuł, że potrzeba opróżnienia kiszek staje się coraz bardziej nagląca. Wsadziwszy do uszu słuchawki od iPoda, opuścił spodnie od dresu i usadowił swoje ważące sto osiemdziesiąt kilogramów cielsko na desce klozetowej. Słuchając muzyki i grając w jakąś grę, Roman napinał się, aż jego oddech stał się jeszcze cięższy, a twarz bardziej sina niż zwykle. Bez skutku.

To właśnie był, jak wytłumaczył doktor, nieuchronny skutek stosowanej przez Romana diety, pozbawionej wszystkiego, co choć z daleka wyglądało, jakby wyrosło w ziemi. Roman nie pofatygował się, żeby wyjaśnić lekarzowi, że pogardza wszystkim, co ma posmak naturalnego świata; on upodobał sobie sztuczność, wygląd syntetyczności. Im bardziej przetworzona, im bardziej konserwowana wydawała się żywność, tym bardziej mu smakowała. Wolał jeść mięso w postaci mielonki lub papki, lubił je nawet wyciskać. Każde włókno, które trawił, było ukryte w papce do napełniania hamburgerów lub hot dogów, mięsnych pasztecików bądź kawałków kurczaka. Wszystkie bułeczki lub rogaliki, które jadł razem z mięsem, musiały być z białej mąki, drobno zmielonej, bez najmniejszych śladów ziarna, z którego powstały. Upodobanie do żywych,

nienaturalnych kolorów w deserach, lodach i napojach pozwoliło mu zachować koncepcyjny dystans między nim a wszystkim, co przywodziło na myśl mleczarnię. Właśnie z tego powodu Roman przedkładał amerykańskie fast-foody nad miejscowe Schnellimbiss czy stragany Würstchenbude, oferujące lokalne przekąski: w USA narodziła się nauka i umiejętność takiego przyrządzania jedzenia, by nie miało nic wspólnego lub bardzo niewiele z naturalnym światem. Zdaniem Romana nie było niczym dziwnym, że tę sztukę opanowała do perfekcji ta sama nacja, której udało się doprowadzić do lądowania człowieka na Księżycu.

Po dwudziestu minutach potrzeba defekacji pozostała taka sama, lecz skurcze w jelitach wciąż nie zdołały doprowadzić do szczęśliwego finału. Minął już ponad tydzień od ostatniego wypróżnienia. Roman westchnął, podciągnął spodnie od dresu i z powrotem powędrował do salonu połączonego z jadalnią, do stołu, na którym znajdowały się komputery. To była jego furtka do innego świata, do wszystkich innych tożsamości. Komputer powitał go mrużeniem: delikatnym warkotaniem wewnętrznych wentylatorów, które chłodziły dwa ośmiordzeniowe Macbooki Pro, masywny HP, pięć zewnętrznych dysków, które razem zapewniały mu możliwość zgromadzenia siedmiu terabitów danych, oraz serwer kasetowy, który zbudował sam. Warty tysiące euro sprzęt szumiał przyjaźnie, zapraszając do innego świata.

Ta mała przestrzeń wypełniona lśniąco zdobycznymi technologiami stanowiła jedyną część mieszkania, w której panowały czystość i porządek. Roman pilnował, żeby nie było tam kurzu i żeby wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Komputery były jedynym źródłem światła w zaciemnionym pokoju. Właśnie tutaj Roman zgromadził najcenniejsze meble w całym mieszkaniu: mocny stół, na którym ustawił cały sprzęt, upodabniając go do miejsca dowodzenia w misji jakiegoś programu kosmicznego, oraz krzesło zrobione na specjalne zamówienie. To była najbardziej kosztowna rzecz, jaką kiedykolwiek nabył; bardziej kosztowna nawet niż każde pojedyncze urządzenie z zestawu komputerów. Krzesło samo dopasowywało się do kształtów ciała, albo może ciało dopasowywało się do krzesła; w zależności od woli siedzącego obracało się, przechylało i ślizgało, a przynajmniej tak się Romanowi zdawało. Było z najwyższej półki w kategorii siedzisk komputerowych, jak zapewniała broszura. Jednak prawdziwy wydatek wiązał się z tym, że krzesło musiało zostać wykonane na indywidualne zamówienie, bo tylko wtedy mogło odpowiednio podtrzymywać ogromne cielsko Romana. Producent z Monachium specjalnie wysłał do Hamburga jednego ze swych pracowników, żeby odwiedził Romana w jego mieszkaniu. Z początku, gdy technik ujrzał skromne i w sumie zapuszczone mieszkanko, rozglądał się podejrzliwie, ale wszelkie podejrzenia wyparowały, kiedy obliczył w myślach wartość stojącego na biurku sprzętu. Wydawało się, że w tym momencie całkowicie zrozumiał Romana; jakby już spotykał takich jak on.

Roman pamiętał, że kiedy po raz pierwszy usiadł na nowym krześle, ogarnęło go poczucie najwyższego komfortu. Krzesło zdawało się podierać każdy centymetr kwadratowy jego ciała, sprawiając, że – jak na ironię – Roman czuł się tak lekki jak piórko. Gdy na nim teraz siadał, nadal doświadczał tej samej ulgi albo wysublimowanej wygody, lecz w mniejszym stopniu niż poprzednio. Wiedział, dlaczego tak się stało: krzesło zostało idealnie dopasowane do jego warunków fizycznych wtedy, kiedy składał zamówienie. Obecnie, trzy miesiące i siedem kilogramów później, dopasowanie nie było już tak idealne.

Nabrał powietrza tak głęboko, na ile pozwalał mu syndrom niedotlenienia, na który cierpiał w związku z otyłością i który zmuszał go co noc do korzystania z maski tlenowej, a następnie włączył cztery płaskie, sprzężone ze sobą monitory. Jak pojedyncze okno.

Roman uwielbiał ten moment; moment zanurzenia. Mógł oderwać się od masy swojego ciała, od masy rzeczywistego świata. Jak wyrzucony na plażę wieloryb, którego nagła fala zmiata z powrotem w głąb morza, do naturalnego środowiska, Roman stawał się pozbawiony wagi

i bezcielesny, gdy docierał tam, gdzie liczył się umysł i tylko umysł. Tutaj komunikował się z innymi, tak samo pozbawionymi formy istotami. Mógł być kimkolwiek, czymkolwiek. Tu nie było hałasu, wywoływanego przez albańskich sąsiadów, ani skurczów kolki jelitowej, ani obrzydzenia, jakie budziło w nim własne odbicie w lustrze.

Roman zamierzał przebywać w cybernetycznym świecie przez następnych siedem godzin, aż do późnej nocy. Będzie rozmawiał, grał, będzie kimś zupełnie innym. Większość tego czasu spędzi w Virtual Dimension, którego członkiem był już od prawie roku. W Virtual Dimension był szczupłym, atrakcyjnym i odnoszącym sukcesy mężczyzną. Oficjalnie pracował jako prywatny detektyw i miał cały sznureczek zakochanych w nim pań, apartament na ostatnim piętrze, którego okna wychodziły na laguny Nowej Wenecji. Jeździł ferrari cabrio 250 GT, rocznik 1962. Miał tuziny przyjaciół i brał udział w narkotykowych e-party.

W Virtual Dimension nie istniał problem nadwagi, niechlujne mieszkanie w Wilhelmsburgu ani straszni sąsiedzi. Roman marzył, żeby jak najszybciej się tam znaleźć.

Ale najpierw musiał trochę popracować.

Prawda wyglądała tak, że Roman nienawidził mieszkania w Wilhelmsburgu, ale z łatwością mógł pozwolić sobie na wyprowadzkę w dowolnym momencie. Jedyne, co go przed tym powstrzymywało, to niechęć do tłumaczenia się, w jaki sposób zdołał zgromadzić tak pokaźną fortunę. Miał potężny elektromagnes, ważący całe pięć kilogramów, który stale podłączony był do gniazdka; mógł uruchomić go jednym ruchem kciuka i przejechać nim po zawartości wszystkich twardych dysków, wymazując wszelkie dane. Niszcząc dowody.

Jeśli tamci się tu pojawią.

Wkrótce pobawi się w Virtual Dimension. Najpierw musi zająć się biznesem. Usiadł przed wartymi tysiące euro cudami technologii, które wymagały nieustannego modernizowania, utrzymywania i rozszerzania. Roman płacił za wszystko w jeden jedyny sposób: przysyłał ogromne sumy pieniędzy pochodzące z kont bankowych na całym świecie na konta, które sam zakładał w różnych krajach.

Ale Roman był kimś więcej niż pospolitym oszustem. Był prawdziwym artystą. Na razie nikt nie próbował go odnaleźć, ponieważ do tej pory nikt się nie zorientował, że zniknęły pieniądze. Każda instytucja, organizacja czy spółka, której pieniądze defraudował, natychmiast była atakowana przez wirus, który wymazywał dane, niszczył zapisy, zacierał wszelkie ślady włamania. Każdy wirus był inny. Każdy był osobną, niepowtarzalną kreacją. Prawdziwym dziełem sztuki.

Jednak największym wirusem – trojanem wszystkich trojanów – był wirus „Klabautermann”. Mistrzowskie dzieło destrukcyjnego programowania.

Ponieważ otyły, samotny Roman Kraxner – lat dwadzieścia osiem, sto osiemdziesiąt kilogramów wagi, bez dyplomu uniwersyteckiego, lecz z ilorazem inteligencji sto sześćdziesiąt dwa i wynikiem egzaminu maturalnego 1.0, mieszkający w zaniedbanym, trzypokojowym mieszkaniu w Wilhelmsburgu – był jednym z odnoszących największe sukcesy internetowych hakerów i sieciowych oszustów.

I właśnie nadszedł czas, kiedy musiał zabrać się do pracy.

ROZDZIAŁ 14

Müller-Voigt wrócił z kuchni do salonu, niosąc przed sobą tacę, na której stały dzbanek z kawą i dwie filiżanki. Fabel od razu zwrócił na nie uwagę, bo wykonane były z cieniutkiej, białej porcelany, zgodnie z najnowszymi trendami designu, charakteryzującego się powściągliwą elegancją. Niedawno widział taki zestaw w sklepie Alsterhaus przy Jungfernstieg i nawet chciał go kupić, ale ostatecznie zdecydował, że nie może pozwolić sobie na taki wydatek. Jego typowa dla wschodniej Fryzji przezorność zatryumfowała nad hamburskim *savoir faire*.

Podczas gdy Müller-Voigt przebywał w kuchni, Fabel wziął do ręki małą figurkę, która stała na środku stolika do kawy. To było dzieło współczesnej sztuki, w rodzaju stylizowanego smoka, i choć wydawała się naprawdę piękna, miała w sobie coś, co budziło w detektywie niepokój. Zupełnie jakby ten nieożywiony kawałek brązu pod wpływem jego spojrzenia wykręcał się to w jedną, to w drugą stronę. Odstawił smoka na miejsce, gdy tylko gospodarz wrócił z kuchni.

– Podoba się panu? – spytał Müller-Voigt, stawiając na stoliku tacę z kawą. – Został zrobiony na specjalne zamówienie. To podobizna pradawnego hebrajskiego demona mórz, stwórcy sztormów i ojca chaosu.

– Dziwny wybór – odparł Fabel, nie odrywając wzroku od figurki, jakby rzeczywiście liczył na to, że smok zwinie się i przekręci w drugą stronę.

– Przedstawia mojego wroga, jeśli pan woli – odparł polityk. – To potwór, w jakiego przeistaczamy naturę.

Müller-Voigt zamilkł na chwilę, żeby podać gościowi kawę.

– Tak czy owak, mówiłem już, że nawiązałem kontakt z organizatorami konferencji, na której poznałem Melihę. Poprosiłem, żeby przejrzyli swoje spisy delegatów i osób towarzyszących. Ta impreza nie była otwarta dla szerokiej publiczności, więc każdy, kto brał w niej udział, musiał zostać na nią wcześniej zaproszony i zarejestrowany. Jednak i oni nie wiedzieli absolutnie nic na temat Melihy. Fabel, przecież ja na własne oczy widziałem jej identyfikator z tej konferencji! Ze względów bezpieczeństwa wszyscy musimy robić zdjęcia do takich identyfikatorów i dostarczać wszelkiego rodzaju informacji na nasz temat. Jako cudzoziemka, Meliha z pewnością musiała przy rejestracji okazać paszport, żeby udokumentować swoją tożsamość. Nawiasem mówiąc, to było jednym z powodów, dla których odpowiedziałem przecząco na pańskie pytanie, czy ona mogła przebywać w Niemczech nielegalnie. Na pewno nie wpuszczono by jej do Centrum Kongresowego, szczególnie z powodu panującej obecnie atmosfery wokół wymogów bezpieczeństwa. Prawdę powiedziawszy, zaryzykuję stwierdzenie, że Meliha nie mogłaby się tam znaleźć, gdyby jej nie zarejestrowano i nie sprawdzono wszystkich szczegółów na jej temat.

– No cóż, wszędzie zdarzają się błędy administracyjne... Może jej dane przypadkowo zostały usunięte – zasugerował Fabel.

– Mhm... Tak samo jak mail od niej zniknął z mojego komputera?

– To stało się z powodu wirusa komputerowego, o którym wszyscy wiemy.

– Czyli to był po prostu cholerny przypadek, tak pan sądzi?

– Tak przypuszczam.

Jeśli istniało coś, w co Fabel absolutnie nie wierzył, to był to właśnie zbieg nieprzewidzianych okoliczności.

– A kto może stwierdzić, że ten wirus „Klabautermann” nie został celowo wpuszczony do systemu? Przecież to narzędzie pozwala wykasować starannie wybrane pakiety danych i ukryć tę

czynność pośród masowego usuwania.

Fabel roześmiał się.

– Pan wybaczy, senatorze, ale wydaje mi się, że wkraczamy w obszar spiskowych teorii dziejów.

– Tak pan sądzi? – Müller-Voigt dolał kawy.

Fabel wziął od niego filiżankę, choć wiedział, że potem będzie tego żałować. Miał niską tolerancję na kofeinę i zdawał sobie sprawę, że druga filiżanka z pewnością nie pozwoli mu zmrużyć oka przez całą noc. Susanne starym zwyczajem dokuczała mu z tego powodu – że to dlatego, że przez całe dzieciństwo spędzone we Wschodniej Fryzji nie pił niczego poza herbatą. Jednak Fabel miał przeczucie, że dziś nie tylko kawa nie pozwoli mu zasnąć.

Na zewnątrz zaczynało się ściemniać i Fabel zauważył, że oświetlenie w salonie automatycznie rozjaśniło się, żeby nadrobić stratę.

– Proszę posłuchać, *Herr Müller-Voigt* – powiedział Fabel. – Muszę pana o to zapytać. Czy dawał pan swojej przyjaciółce pieniądze, prezenty czy też coś, co mogło mieć jakąś wartość? Może nawet informacje, które mogły być cenne dla niej albo przydać się komuś...

– Rozumiem. – Müller-Voigt spiorunował go wzrokiem. – Sądzi pan, że dałem się złapać w miłosną pułapkę. Stary a głupi, czyż nie tak?

Fabel usiłował zaprotestować, ale polityk przerwał mu, podrywając wysoko rękę.

– Nie oskarżam pana. Muszę przyznać, że i mnie taka myśl przemknęła przez głowę, ale odpowiedź brzmi: „nie”. Powiem uczciwie, że między nami nie było nic, z czego można wyciągnąć korzyść materialną, komercyjną bądź polityczną. Zostaliśmy kochankami. To było właśnie tak proste i jednocześnie tak skomplikowane. A teraz ona zniknęła, ja zaś usiłuję przekonać pana, że w ogóle kiedykolwiek istniała. Za chwilę sam siebie będę musiał o tym przekonywać.

– *Herr Senator*, ludzie albo istnieją, albo nie. A jeśli faktycznie istnieją, to zostawiają po sobie materialne ślady.

– Tak też mi się tak wydawało. Kiedy skończyły mi się pomysły, wykorzystałem znajomość z osobą, która pracuje w departamencie edukacji. Poprosiłem, żeby nawiązała kontakt ze *swoim* znajomym z uniwersytetu w Stambule i z grubsza określiłem lata, kiedy według mnie Meliha powinna tam studiować.

– I okazało się, że to również ślepa uliczka – Fabel raczej stwierdził, niż zapytał.

– Właśnie dlatego na początku powiedziałem panu, że Meliha nie zaginęła, tylko że *zniknęła*. Nie tylko fizycznie, ale jak pan widzi, została wymazana ze wszystkich publicznych rejestrów. Zupełnie jakby ktoś wcisnął jakiś guzik i wykasował jej egzystencję.

Zapadła cisza. Fabel przyglądał się swojej filiżance z kawą i w milczeniu rozważał to, co powiedział Müller-Voigt. Już wcześniej słyszał tego typu historie. Ludzie odchodzili od zmysłów z powodu czyjegoś zniknięcia i opracowywali całe teorie spiskowe – tylko po to, żeby zrozumieć, jak do tego doszło. Ale Fabel wiedział, że to nie jest ten przypadek. Wszystko, co mówił Müller-Voigt, wydawało się zupełnie pozbawione sensu, ale mimo to Fabel wierzył każdemu jego słowu.

– Jeśli to, co pan mi mówi, jest prawdą... Nie, proszę pozwolić, że ujmę to inaczej: jeśli to, co pan podejrzewa, jest prawdą, to wymagałoby ogromnych środków i przygotowań. Czy sugeruje pan, że stoi za tym rząd? Jakikolwiek rząd? Mówił pan, że sądził, iż Meliha zaangażowała się w coś, co mogło sprowadzić na nią niebezpieczeństwo. W co konkretnie?

Müller-Voigt przez chwilę przypatrywał się Fabelowi, jakby podejmował decyzję, zaufać mu czy też nie.

– Czy pamięta pan, jak mówiłem o tym, że byliśmy niegdyś bardziej związani z naturą? –

spytał w końcu. – Że potrafiliśmy zrozumieć sygnały, jakie wysyłało nam środowisko?

Fabel bez słowa skinął głową.

– Chciałbym, żeby przez chwilę zachował pan to w pamięci... Czy słyszał pan kiedyś o Pharos Project?

Ta nazwa przypomniała Fablowi o plakacie, obok którego przejeżdżał, odwożąc Susanne na lotnisko. O przesadnej symbolice latarni morskiej, otoczonej wzburzonymi falami.

– Tak naprawdę to nie – przyznał. – Kiedyś o tym słyszałem, ale niewiele wiem na ten temat.

– Pharos Project rzekomo jest organizacją ekologiczną. To ogromny korporacyjny konglomerat, kierowany z zaplecza przez swojego założyciela. Europejska kwatera główna Pharos Project mieści się, co zaskakujące, zaledwie kilka kilometrów stąd. Na wybrzeżu, na północ od Hörne, znajdowała się stara, nieczynna latarnia morska, którą odnowili, a obok dobudowali potężny budynek. Nazwali tę siedzibę Europa Pharos. Powinien pan ją zobaczyć, jest naprawdę piękna pod względem architektonicznym i rzecz jasna, ekologicznie całkiem samowystarczalna. Jest wsparta na palach i wysunięta ponad powierzchnię morza. Zdaje się, że druga ich siedziba znajduje się na wybrzeżu, w stanie Maine, i nazywa się Americas Pharos. W każdym razie, Pharos Project wykorzystuje swój status ekologicznego ośrodka badawczego i grupy nacisku, by uniknąć sklasyfikowania jako ruch religijny lub filozoficzny, albo wręcz organizacja polityczna.

– Chce pan powiedzieć, że oni ukrywają, że są sektą?

– Dziś rano spotkał pan Fabiana Menke z BfV – odparł Müller-Voigt. – Rozmawiałem z nim o Pharos Project i przyznał, że jest to grupa, która znajduje się pod obserwacją jego ludzi. Z bliska.

– No cóż, czy to nie budzi w panu *zaniepokojenia*? Że BfV bada działalność organizacji ekologicznej? Ostatecznie to właśnie pan jest tym spośród hamburskich ekologów, który mówi bez ogródek.

– Postawmy sprawę jasno: Pharos Project nie ma nic wspólnego z czymkolwiek, w co wierzę. Pharos Project to sekta. Co więcej, to sekta niebezpieczna i jadowita. Powinien pan porozmawiać o tym z panem Menke.

– Co to ma wspólnego ze sprawą Melihy?

– Bardzo się pilnowała, żeby nie powiedzieć niczego o swojej pracy, ale jak już wspomniałem, odniosłem wrażenie, że była kimś w rodzaju śledczego w jakiejś tam organizacji, dla której pracowała. Albo może raczej dziennikarką, która tropi różne nieprawidłowości. Ale znowu przeszukałem cały internet i nie mogłem znaleźć żadnego śladu jej współpracy z jakimkolwiek czasopismem, prasą czy telewizją. Bądź co bądź wiem, że gromadziła wszelkie informacje na temat Pharos Project, jakie tylko zdołała zebrać. Pytała nawet, co ja wiem o tej organizacji, ale okazało się, że o wiele mniej niż ona.

– A co pan wie?

– No cóż, odkąd Meliha zniknęła, przeprowadziłem pewne badania. Poza tym udało mi się sporo dowiedzieć od pana Menke. Niestety niczego dobrego. Pharos Project spełnia wszelkie kryteria niebezpiecznej sekty. Ma *stricte* wodzowski charakter, zaś jego przywódcy, zwłaszcza założyciel – Dominik Korn, są czczeni jak półbogowie. Organizacja żąda, aby wszyscy członkowie oddali swoje majątki na jej rzecz; prowadzi odliczenia czasu, jaki pozostał do końca świata, sprawuje totalną kontrolę nad swoimi wyznawcami, przy czym z niewiarygodną agresją i nienawiścią odnosi się do wszelkiej krytyki.

– Rozumiem, że sądzi pan, że tym razem ta agresja została skierowana przeciwko pańskiej przyjaciółce?

– Pamięta pan, co powiedziałem o naszym braku łączności z otaczającym środowiskiem? No cóż, ten brak jest czymś, do czego Pharos Project, a zwłaszcza jego szef, Dominik Korn, dążą. Ich zdaniem najlepszym sposobem ochrony środowiska byłoby usunięcie z niego ludzkości.

– W jaki sposób zamierzają to osiągnąć? – spytał Fabel.

Müller-Voigt wzruszył ramionami.

– Większość sekt wierzy w jakiś epifaniczny moment. W Sąd Ostateczny, Ragnarok albo Apokalipsę. Pharos Project niczym się nie różni w tym względzie. Wierzą w wydarzenie, które zwą Konsolidacją. Nic więcej nie wiem, choć podejrzewam, że Menke będzie w stanie podać panu więcej szczegółów. Ze mną nie chciał przekraczać pewnej granicy, ale pan nie jest politykiem, pan jest policjantem.

– Czy pan sądzi, że zniknięcie Melihy może mieć związek z sektą Pharos?

– Oni nie lubią ludzi, którzy próbują się czegoś o nich dowiedzieć albo ich krytykują.

A Meliha zdawała się na poważnie badać ich działalność, nim zniknęła – Müller-Voigt zamilkł na chwilę. – Mam zamiar dotrzeć do sedna tej sprawy, Fabel. I obejść się bez pańskiej pomocy, jeśli będę musiał. To utrudni mi zadanie, ale i tak to zrobię. Pozostaje więc pytanie: Fabel, czy pan mi pomoże?

– Jak sam pan stwierdził, nie ma dowodów na to, że popełniono morderstwo. Brak też dowodów na to, że ktoś taki w ogóle istniał, sam pan o tym mówił. Ja zwyczajnie nie mogę rozpocząć oficjalnego śledztwa, opierając się jedynie na tym, co od pana usłyszałem.

– A więc daje mi pan do zrozumienia, że nie mam co liczyć na pańską pomoc, tak?

– Tego nie powiedziałem. Przyjrzę się tej sprawie. Bóg jeden wie, że dość mam roboty z tym Zabójcą z Sieci, ale zobaczę, co uda mi się odkryć. Jednak nie ma najmniejszego sensu, żeby przyglądał się pan zwłokom, które zostały przyniesione przez wodę na Fischmarkt. To sam korpus: bez głowy, rąk i nóg.

Fabel ujrzał, jak twarz polityka pod opalenizną zrobiła się biała jak płótno. Przez moment miał wrażenie, że Müller-Voigt zaraz zwymiotuje.

– Niech pan posłucha, senatorze, według mnie to nieprawdopodobne, żeby to była Meliha. Sądźmy, że ciało zostało pokawałkowane, żeby uniemożliwić identyfikację, a zgodnie z tym, co pan mi dziś wieczorem powiedział, zdaje się, że Meliha nie posiada żadnej zarejestrowanej tożsamości. Proszę dać mi kilka dni. Zobaczę, co będę mógł zrobić.

– Dziękuję panu, Fabel. Doceniam pańskie starania. Czy mogę zapytać o jeszcze jedno? Czy możemy zachować tę rozmowę między nami...? Przynajmniej na razie.

– W porządku, senatorze – odparł Fabel.

W sumie to nie było żadne oficjalne dochodzenie. Jak dotąd.

– Muszę jednak przyznać, że tak naprawdę nie dostałem od pana niczego, od czego mógłbym zacząć – mówił dalej. – Czy jest coś, co mógłby mi pan powiedzieć na temat Melihy, a co mogłoby mi pomóc?

Śmiech Müllera-Voigta był zarazem smutny i pełen gorzkości.

– Po tym, jak Meliha zniknęła, doszedłem do wniosku, że tak naprawdę niewiele o niej wiem. Za każdym razem, gdy myślałem o tym, żeby z panem albo z kimś takim jak pan porozmawiać o jej zniknięciu, zdawałem sobie sprawę, jak mało mogę o niej powiedzieć. Ale ja *naprawdę ją* znałem. Znałem ją tak dobrze, jakbyśmy spędzili razem całe życie. Jeśli pan woli, powiem, że znałem jej *duszę*.

Zastanowił się przez moment.

– Meliha była kemalistką. Wie pan, zwolenniczką Mustafy Kemala Atatürka, ojca współczesnej Turcji. Atatürk to wielka postać dla wielu Turków, ponieważ stworzył coś kompletnie, całkowicie odmiennego od tego, co funkcjonowało przedtem. Po prostu od nowa

wymyślił całą koncepcję państwa tureckiego, nadając kształt świeckiej, postępowej republice. Przekonał cały naród, żeby zostawił za sobą przeszłość i skierował się ku przyszłości, której nigdy dotąd nikt nie brał pod uwagę. Potrafię zrozumieć, dlaczego jego osoba jest dla Turków tak wielką inspiracją. Jak mówiłem, Meliha była także głęboko zaangażowana w sprawy ekologii. To była jej wielka pasja: wierzyła, że świat potrzebuje „ekologicznego Atatürka”. Kogoś, kto będzie w stanie na nowo ukształtować nasz sposób życia. Miała zwyczaj oskarżać mnie i podobnych do mnie, że jesteśmy „pop-ekologami”. Dyletantami.

– Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób...

– *Hell hath no fury like a woman scorned*¹ – powiedział Müller-Voigt po angielsku. –

Chyba zna pan twórczość waszego Szekspira, Fabel?

– To Congreve – odparł Fabel. – *Heaven has no rage like love to hatred turned, Nor hell a fury like a woman scorned*². Ten cytat pochodzi ze sztuki Williama Congreve’a, a nie z Szekspira.

Müller-Voigt uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście. Na śmierć zapomniałem, że jest pan bardzo wykształconym policjantem. Prawda, Herr Fabel? Tak czy owak, myślę, że Meliha miała w sobie co nieco z tej gwałtowności. To nie tak, że została wzgardzona na sposób romantyczny, lecz raczej filozoficzny. Darzyła wielkim podziwem Dominika Korna i jego poglądy na sprawy środowiska, przynajmniej wtedy, kiedy ustanowił swoją pierwotną wizję Pharos Project. Myślę, że uważała, że on jest wielką nadzieją dla przyszłości ochrony środowiska.

– Jej „Atatürkiem ekologii”?

– Dokładnie. Ale Korn miał jakiś wypadek, zdaje się, że podczas nurkowania, po którym zaczął coraz bardziej izolować się od ludzi. Pharos Project, który rozpoczął działalność jako prawdziwie innowacyjna ekologiczna organizacja badawcza, stał się tajemniczą sektą, napędzaną przez coraz bardziej dziwaczne filozofie Korna.

– Więc sądzi pan, że Meliha wypełniała jakiś rodzaj misji, której celem było zdemaskowanie Korna i jego organizacji?

– Według mnie to całkiem możliwe. Jeśli pyta mnie pan, gdzie szukać Melihy, to proponuję, by zaczął pan od Pharos Project.

– Tak przy okazji... To zdjęcie, które ma pan w cyfrowej ramce, czy mógłbym dostać wydruk?

– Mogę je przesłać panu mailem. Mam nowego laptopa i prywatny adres, który nie jest połączony z systemem państwowym, więc nie mógł zostać zainfekowany tym cholernym „Klabautermannem”.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, senatorze, wolałbym zwykłą kopię.

Przez moment Müller-Voigt wydawał się zaskoczony.

– Okay... W moim biurze jest drukarka. Jutro z samego rana każę je wysłać do komendy. Jeśli nie, mogę wydrukować to zdjęcie, kiedy dostanę z powrotem mój stary komputer. Właśnie próbują go odwirusować albo coś tam zrobić, żeby odzyskać dane.

Kiedy Fabel odjeżdżał z domu polityka, po głowie krążyło mu całe mnóstwo różnych dokuczliwych myśli. Najprostsze wytłumaczenie zniknięcia tej kobiety oraz tego, dlaczego jednocześnie nie udało się natrafić na żaden jej ślad, zdaniem Fabla nasuwało się samo: zwyczajnie, z jakichś tam powodów podała Müllerowi-Voigtowi fałszywe nazwisko. To także wyjaśniało sytuację na konferencji: Meliha zapewne *miała* oficjalny identyfikator, ale z innym nazwiskiem, a Müller-Voigt, po tym, jak przedstawiła mu się jako Meliha Yazar, nawet nie pomyślał, by sprawdzić to na identyfikatorze. Może dziewczyna faktycznie była dziennikarką śledczą, a może należała do którejś z tych ekstremalnych grup ekologicznych, o których mówił

Menke, lub po prostu chciała zbliżyć się do wpływowego polityka, członka rządu Hamburga.

Tak... Takie wyjaśnienie chyba brzmiało najbardziej sensownie, że Meliha po prostu występowała pod fałszywym nazwiskiem. Jednak jadąc ciemną ulicą wzdłuż kanału, którego wysokie brzegi wieńczyły wspomniane przez Müllera-Voigta wały, Fabel z jakiegoś powodu za nic nie mógł w to uwierzyć.

A może jednak było możliwe, że ktoś w jakiś sposób wymazał ślady istnienia kobiety, która nazywała się Meliha Yazar.

ROZDZIAŁ 15

Następnego ranka, kiedy Fabel jechał do Wydziału, czuł się zmęczony i poirytowany. Miał rację co do kawy: przez pół nocy nie zmrużył oka. Albo konkretnie: kawa plus nieobecność Susanne w łóżku, a także nieustannie pojawiające się w głowie obrazy, na których znajdowała się kobieta z fotografii pokazanej przez Müllera-Voigta, wszystko to razem sprawiło, że długo nie mógł zasnąć.

– Hej, wyglądasz, jakby cię ktoś wypluł – powiedział na powitanie Werner, gdy Fabel wszedł do windy. – Masz kaca?

– Chciałbym – mruknął Fabel. – Mam za sobą bezsenłą noc. Jak tam sprawa Zabójcy z Sieci? Czy już są nakazy?

– Anna mówi, że mamy cztery adresy, które należy obskoczyć dzisiejszego popołudnia. Sugeruje, żebyśmy zebrali się o trzeciej i uderzyli jednocześnie. Dobrze będzie, jeśli w każde z tych miejsc uda się nam ściągnąć paru mundurowych.

– Postaram się to załatwić.

Anna Wolff wyszła z biura, które dzieliła z Henkiem Hermannem i przywitała się z Fablem.

– Fatalnie dziś wyglądasz...

– Już to omówiliśmy – wtrącił Werner. – Jan twierdzi, że ciężar intelektu nie pozwolił mi wczoraj zasnąć, a ja uważam, że to butelka whisky.

– Jeśli już skończyłeś... – odparł Fabel. – Czy wczoraj wysłałeś do mnie SMS-a?

– Ja? – zmarszczył brwi Werner. – Nie... Ja nie.

– A ty, Anno? – spytał Fabel.

– Ja też nie, szefie. Czy to coś ważnego?

– Nie wiem. Cóż... Pewnie nie. Wszystko, co tam było, to „Poppenbütteler Schleuse”.

– Pewnie ktoś wysłał go przez pomyłkę – zdecydowała Anna. – Czy znasz kogoś, kto mieszka w Poppenbüttel?

– Nie mogę powiedzieć, że tak. Czy mogę zamienić z wami słowo?

Werner i Anna poszli za Fablem do jego biura.

– Wiem, że cholernie nam brakuje czasu, ale muszę dziś rano załatwić parę spraw – powiedział. – Dzwońcie na komórkę, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Zanim wyjdę, załatwię wam obstawę mundurową na te dzisiejsze obławy. Anno, jeśli ściągnę chłopaków na drugą trzydzieści, czy będziesz mogła poprowadzić dla nich odprawę?

– Nie ma problemu. Tu są te cztery adresy. Obawiam się, że to na różnych krańcach miasta. Nawiasem mówiąc, dyrektor kryminalny van Heiden próbuje się z tobą skontaktować. Dzwonił tu nie dalej jak piętnaście minut temu.

– Okay – powiedział Fabel, choć przez głowę przemknęła mu myśl „co znowu?”. – Jest coś, co chciałbym, żebyście dla mnie sprawdzili. Muszę jasno stwierdzić, że być może nie ma to żadnego związku z czymkolwiek, czym obecnie się zajmujemy, ale potrzebuję uzyskać informacje na temat organizacji Pharos Project. Jak mówiłem, na razie to nie do końca oficjalne, ale istnieje szansa, że natrafimy na coś, co da się powiązać z tym ciałem, które wczoraj zostało wyrzucone na Fischmarkt. Mam nowego przyjaciela w BfV, więc zamierzam poprosić go, żeby opowiedział mi o tym Pharos. Czy któreś z was coś o tym słyszało?

Werner, który wciąż pilnie skrobał coś w notesie, pokręcił głową.

– Czy to Faros przez F czy Ph...?

– Ph... Jak u Greków – wyjaśnił Fabel. – Szefem jest gość, który nazywa się Dominik

Korn.

– Słyszałam o nich – powiedziała Anna. – Myślałam, że to jakaś grupa ekologów, coś w rodzaju Greenpeace.

Fabel zaśmiał się.

– Nic podobnego. Ja jestem członkiem Greenpeace, a do tego Pharos Project nie przyciągnąłbyś mnie nawet siłą. Zaczęli całkiem słusznie, ale zdaje się, że teraz mogą być czymś w rodzaju oszukańczej sekty.

– Sprawdzę to. – Anna uśmiechnęła się do Wenera. – Przynajmniej wiem, jak to się pisze.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim wyjdę? – spytał Fabel.

– Tylko tyle, że w Schanzenviertel mieliśmy potencjalne zabójstwo. Czekamy na wieści, czy gość jakoś z tego wyjdzie. Biedak ma poparzone sześćdziesiąt procent ciała.

– Co się stało?

– Jedno z podpaień samochodów po prostu się nie udało.

– Podpaień samochodów? – Fabel wpadł w jeszcze gorszy nastrój, przypomniał sobie rozmowę z Menkem, którą odbył dzień wcześniej. – Powiadacie, że ktoś mógł zginąć?

– Właściciel auta wybiegł na ulicę, kiedy zobaczył, że jego samochód się pali – oznajmił Werner. – Ale napastnicy wrzucili do środka kolejny pojemnik z naftą. Wybuchł, kiedy ten głupek był przy samochodzie. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, zrobili z niego żywą pochodnię.

– Super – odparł Fabel. – To chyba już się domyślam, dlaczego dyrektor kryminalny van Heiden z samego rana zabrał się do dzwonienia. Chyba lepiej będzie, jak do niego pójść. Zobaczymy się około pierwszej trzydzieści i na odprawie omówimy plan dzisiejszych obław.

Kiedy Werner i Anna wyszli, Fabel wziął do ręki listę z adresami, które Anna zostawiła, i skontaktował się z dyspozytornią komendy; tam wydał polecenie, żeby wyznaczono funkcjonariuszy do przeprowadzenia obław. Wytłumaczył, że pod każdy z adresów należy wysłać przynajmniej dwóch detektywów, i zapytał, czy mogą załatwić paru dodatkowych mundurowych z lokalnych posterunków policji.

Van Heiden odebrał telefon natychmiast, gdy tylko Fabel zadzwonił. Było tak, jak przypuszczał – dyrektor kryminalny dzwonił w sprawie podpalenia samochodu. Fabel wyczuł, że jego szef znajduje pewną przyjemność, przypominając wszystkim dookoła, jak okazał się przewidujący, mówiąc, że ktoś „w końcu przyplaci to życiem”.

Naturalnie zasadniczy wątek ich rozmowy dotyczył uświadomienia Fabelowi, że sprawą najwyższej wagi jest schwytanie sprawców, szczególnie jeśli okaże się, że ofiara umrze. Fabel nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego van Heiden czuł czasem potrzebę zaakcentowania znaczenia jakiegoś konkretnego wypadku: zupełnie jakby Fabel nie brał na poważnie zabójstw, które nie zostały specjalnie podkreślone przez kierownictwo. Dla Fabela sam akt morderstwa był wystarczająco znaczący, niezależnie od tego, kim była ofiara.

– Być może kryje się za tym więcej niż się wydaje na pierwszy rzut oka – powiedział van Heiden. – A to jeszcze jeden powód, by ten przypadek był dla nas priorytetowy. Ofiara, czyli właściciel mercedesa, to Daniel Föttinger, bardzo ważna figura w dziedzinie ekologicznych technologii. Wystarczy wspomnieć, że jest jednym z organizatorów szczytu GlobalConcern Hamburg.

– Więc sądzi pan, że to sprawa polityczna? – spytał Fabel. – Że ten człowiek został celowo namierzony i że tak naprawdę chodziło o zamach na jego życie?

– Całkiem możliwe. Ten zbieg okoliczności wcale mi się nie podoba. Wydaje mi się, że właśnie w takim momencie mogą nam się przydać pańskie specjalne talenty. A jeśli zdołamy

udowodnić, że ten czyn popełniono z premedytacją, co może okazać się trudne, to ja osobiście wątpię, by to miało być jedynie *usilowanie* morderstwa.

– Rozumiem, że on nie jest w najlepszym stanie?

– Zgodnie z tym, co powiedzieli mi w szpitalu, będzie miał mnóstwo szczęścia, jeśli przetrzyma następne dwadzieścia cztery godziny.

Zaraz po zakończeniu rozmowy Fabel wystukał na swoim komputerze nazwisko Daniela Föttingera. Przeglądając wyniki wyszukiwania czuł, jak wzrasta jego niepokój. Rozpaczliwie pragnął, by ten incydent nie okazał się następnym zabójstwem, zamierzonym lub nie. Ludzie z Wydziału Zabójstw byli zawaleni po uszy robotą ze względu na działalność Zabójcy z Sieci, a poza tym na głowie mieli jeszcze zwłoki, przyniesione przez wodę na Fischmarkt, oraz ustalenie związku tej sprawy z zaginięciem kobiety, która zniknęła bez śladu, jak utrzymywał Müller--Voigt. Jednak im więcej Fabel czytał o Föttinger Environmental Technologies i o jego szefie, a zarazem głównym udziałowcu, Danielu Föttingerze, tym mniej był przekonany, że atak podpalacza był czystym przypadkiem.

Jeszcze jedna rzecz przysporzyła mu zmartwień: trafił na kilka fotografii przedstawiających Föttingera i Bertholda Müllera-Voigta razem podczas różnych uroczystości i odniósł wrażenie, że ci dwaj są ze sobą w dość przyjacielskich stosunkach. Ale to żadna niespodzianka, powtarzał sobie, zważywszy na to, że ścieżki senatora oraz miejscowej znakomitości w dziedzinie ekologicznych technologii często się krzyżowały. A Föttinger był wszakże organizatorem hamburskiego szczytu GlobalConcern.

Mimo to Fabla wciąż nie opuszczało pewne przeczucie. Złe przeczucie.

Fabel pojechał pod adres, gdzie według Müllera-Voigta mieszkała Meliha. Mieszkanie znajdowało się w bloku z lat sześćdziesiątych, z galeriami, z których roztaczał się widok na małe jezioro, Wandsee. Znalazł je na trzecim piętrze i przekonał się, że okna zasłonięte są żaluzjami, tak jak mówił Müller-Voigt. Zapukał do drzwi sąsiedniego mieszkania; otworzyła jakaś niewysoka, czterdziestokilkuletnia panusia z nienaturalnie żółtymi włosami, spod których wyglądały ciemne odrosty. Podejrzliwym spojrzeniem zmierzyła Fabla i wymruczała coś, co sugerowało, że nie ma zwyczaju kupowania czegokolwiek od domokrażców. Kiedy wyjął policyjną odznakę, na jej twarzy, zamiast podejrzliwości pojawiła się wrogość.

– Szukam pewnej pani, która mieszka w sąsiednim lokalu. Nazywa się Meliha Yazar. Czy wie pani, gdzie lub kiedy mogę ją znaleźć?

– Parę dni temu był tutaj jakiś gość i pytał o to samo. Ale on nie był z policji. Powiem panu to samo, co powiedziałam jemu: że to mieszkanie od kilku miesięcy stoi puste. I że wcześniej mieszkała tu rodzina, *niemiecka* rodzina.

– Kto jest właścicielem domu? – spytał Fabel.

– Ten dom należy do miasta. Nie ma prywatnego właściciela, proszę pana. Tylko miasto Hamburg.

Fabel podziękował i odszedł. Wracając do samochodu, zadzwonił do Henka Hermanna i polecił mu skontaktować się z administracją i uzyskać wszystkie dane dotyczące najmu tego lokalu.

Właśnie wsiadał do auta, kiedy zabrzączał telefon. Na wyświetlaczu zobaczył numer Wydziału Zabójstw.

– Cześć, Henk. O rany, nie przypuszczałem, że tak szybko...

– Szefie, tu Anna. Lepiej, żeby pan już wracał. Wygląda na to, że Zabójca z Sieci dał o sobie znać. Znowu znaleziono ciało kobiety, które zostało wrzucone do kanału. Werner już jest na miejscu zdarzenia.

– Cholera... – Fabel zaklął i zerknął na zegarek. – Będziesz musiała sama poprowadzić

odprawę przed dzisiejszą obławą. Ja od razu jadę do Wenera. Gdzie znaleźono tę ofiarę?

Anna zawała się. Fabel mógłby przysięć, że słyzy, jak wzięła głęboki oddech.

– Nie uwierzy pan, szefie – powieźiała w końcu. – Wener jest w Poppenbüttel. Zabójca z Sieci wrzucił swoją ostatnią ofiarę do Elstery przy śluzie na kanale, przy Poppenbütteler Schleuse.

ROZDZIAŁ 16

Tak jak mu rozkazano, Niels nie wrócił do swojej kryjówki.

Po zamachu na mercedesa, którego dokonali przy pomocy ładunku zapalającego, Harald pędził jak szalony przez miasto na skradzionym motocyklu, ignorując żądania Nielsa, żeby natychmiast zwolnił: zbyt szybka jazda mogła przecież ściągnąć im na kark policję. Niels wiedział, że Harald poddał się panice. Przez to narażał ich obu na niebezpieczeństwo. Nie zwracał uwagi na wrzaski Nielsa do ucha, dopóki ten nie szturchnął go w policzek wylotem lufy pistoletu. Gdy tylko zwolnili, Niels kazał Haraldowi zjechać powolutku do nadbrzeża rzeki, pilnując po drodze, żeby ten nie zmajstrował czegoś, co mogłoby zwrócić na nich uwagę gliniarzy. Pierwotny plan zakładał, że przedostaną się przez miasto i porzucą motocykl gdzieś w lesie, na koniec podkładając pod niego ogień, który miał zniszczyć wszystkie ślady, będące dowodami dla śledczych. Ale Niels wykombinował, że policja wkrótce zostanie zaalarmowana informacją o dwóch mężczyznach na motocyklu, więc polecił Haraldowi skierować się w stronę doków – spokojniejszej części nabrzeża, gdzie nad wodami Łaby sterczał kamienny falochron.

Ledwie Harald zsiadł z motocykla, zerwał z głowy kask i cisnął go na betonowe nadbrzeże z taką siłą, że kask podskoczył jak piłka.

– On nie żyje! – wrzasnął do Nielsa. – Kurwa mać, ten gość *nie żyje!* Niels, oni wsadzą nas za to do pierdła na resztę życia! Skąd wytrzasnąłeś ten pieprzony pistolet, co?! Czy ty miałeś zamiar zabić tego faceta?!

Niels nie odpowiedział. Zamiast tego rozejrzał się dookoła – popatrzył na falochron, na prowadzącą doń wybrukowaną uliczkę, na położone za nią miasto... Bywał tam już wcześniej, robiąc dokładnie to samo, co teraz. A kiedy tam był, w jego sercu kłębiły się dokładnie te same uczucia. Prawdę powiedziawszy, Niels wiedział, że był tutaj już tysiące razy. Ale wiedział również, że nigdy go tu nie było.

Nie odpowiadając na pytania Harald, podprowadził motocykl na sam koniec falochronu i przechylił go przez kamienny próg, a potem patrzył, jak tonie w ciemnym nurcie rzeki. Następnie zsunął z głowy kask; zamachnął się z całej siły, jak dyskobol, i wyrzucił go do wody – tak daleko, jak tylko zdołał. Powtórzył tę samą czynność z podniesionym z ziemi kaskiem Harald, lecz tym razem wysiłek nadwreżył mu ramię, zaklął jak szewc, kiedy ból wbił się ostrzem głęboko w mięśnie. Zdawał sobie sprawę, że oba kaski będą unosić się na powierzchni rzeki, lecz miał nadzieję, że trafią na środkowy nurt i być może nigdy nie zostaną odnalezione.

– Jeśli nas złapią, powiem im, że gównem wiedziałem o twoim cholernym pistolecie. Albo o tym, że ten gość miał zginąć. – Harald z emfazą potrząsał głową. – To wszystko twoja wina, Niels! Wstąpiłem do Strażników Gai, żeby chronić planetę, a nie żeby mordować ludzi!

Niels powrócił do obserwowania miejsca, gdzie w głębinie Łaby zniknął motocykl. Woda mogła mieć tutaj najwyżej dwa lub trzy metry, lecz była wystarczająco mętna, by ukryć wszystko, co leżało na dnie. Kiedy z powrotem popatrzył na Harald, wydawało mu się, że wcale nie słyszał, że w ogóle nie przysłuchiwał się temu, co Harald przed chwilą wykrzyczał. Niels gapił się na niego i główkował, kim jest ten facet i co tutaj robi. W tym samym momencie, w którym właściciel mercedesa stanął w płomieniach, w mózgu Nielsa nastąpiła eksplozja, po której doznał czegoś w rodzaju objawienia. Teraz znał prawdę o wszystkim, co go otaczało. W jednej chwili pojął, że środowisko, o które tak bardzo się troszczył, tak naprawdę jest czymś w rodzaju projekcji innej, odległej rzeczywistości. I że to nie on jest tym, kogo można uznać za niepełnosprawnego. Zdał sobie sprawę, że niepełnosprawnym jest absolutnie każdy, kto nie doświadcza wszechświata w ten sam sposób co on. To inni ulegali złudzeniu, nie Niels.

Harald zaniemówił oszołomiony, kiedy Niels wycelował w niego z pistoletu i kazał mu stanąć na końcu falochronu, w tym samym miejscu, z którego zepchnął do wody motocykl. Już to było dowodem, że tak naprawdę Harald nie istnieje, pomyślał Niels, albo przynajmniej nie istnieje w żaden *realny* sposób. Inaczej przecież wiedziałby, co się wydarzy chwilę po tym, jak tak stał na samym końcu falochronu, a mimo to nie wykonał żadnego ruchu, żeby się temu przeciwstawić.

Niels usłyszał swój własny śmiech. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z bronią, więc pierwsze trzy pociski ominęły Haralda, który teraz kulił się ze strachu i płakał jak dziecko. Niels westchnął i podszedł bliżej; teraz odległość między lufą pistoletu a głową Haralda wynosiła mniej niż metr. Bez wahania wystrzelił cztery razy prosto w jego czaszkę.

Potem Niels stał i przyglądał się, jak skurczone ciało Haralda przewraca się do tyłu i osuwa z falochronu wprost do Łaby. Wzdychał ciężko, obserwując zwłoki ekoterrorysty, które odpływały coraz dalej i dalej, podczas gdy na powierzchni mrocznej wody rozkwitał pióropusz ciemnej czerwieni, sączącej się z głowy. Szkoda było się męczyć i wyrzucać kaski tak daleko, przy okazji wrywając sobie ramię, pomyślał. Najwyraźniej blisko falochronu płynie jakiś prąd, który przesuwają wszystko w górę rzeki.

To właśnie było z ową fałszywą rzeczywistością; nigdy nie można było liczyć na logikę praw fizyki.

ROZDZIAŁ 17

Poppenbüttel leży na północ od centrum miasta, w znajdującym się w dolinie Elstery okręgu Wandsbek, i wyznacza granicę między Hamburgiem a Schleswigiem-Holsteinem. To kolejne miejsce, które w zależności od momentu dziejowego było niemieckie bądź duńskie. Obecnie należy do mniej gęsto zaludnionych części Hamburga, w której miejski krajobraz rozdzielają wielkie, zielone przestrzenie parków i obszary leśne. Przez dwieście lat Poppenbütteler Schleuse służyło miastu w dwojaki sposób: jego podstawową funkcją – dzięki sieci śluz i kanałów – była kontrola przepływu Elstery, docierającej stąd do centrum Hamburga, co gwarantowało utrzymywanie stałego poziomu wód w mieście. Jednak zwykli mieszkańcy znali to miejsce z innego powodu: za wrotami śluz Poppenbütteler Schleuse utworzyło się coś pomiędzy głębokim stawem a małym jeziorkiem – miniaturowa wersja jezior Małego, Zewnętrznego i Wewnętrznego w centrum miasta. W każdy weekend i w czasie wakacji ludzie przyjeżdżali tutaj, żeby popływać, lub wynajmowali łódkę, żeby wyprowadzić ją na spokojne wody stawu, osłoniętego przez gęsto rosnące drzewa i otulonego zielonym kokonem parku Henneberg.

Ten rejon idealnie nadawał się do podrzucenia zwłok, zreflektował się Fabel, parkując samochód: znajdował się w mieście, wewnątrz systemu miejskiej sieci dróg, a mimo to zapewniał pewną dozę odosobnienia.

Zanim Fabel zdołał dojechać na miejsce zbrodni, służby mundurowe zdążyły już odgrodzić je taśmami, ale Holger Brauner i jego zespół jeszcze się nie pojawili, żeby ustawić namiot do badań kryminalistycznych. Fabel zaparkował auto przy Saseler Damm, obok budy z kajakami do wynajęcia. Idąc wzdłuż krawędzi wody, minął dwóch policjantów w mundurach, spokojnym tonem rozmawiających z jakimś bladym mężczyzną w średnim wieku, który kurczowo zaciskał palce na wędce, jakby to była lina ratująca życie.

Werner Mayer czekał na Fabla na ścieżce holowniczej przy jeziorze. Za jego plecami, dwadzieścia metrów dalej, zwrócone twarzą ku ziemi, leżało nagie ciało młodej kobiety. Miała odwróconą na bok głowę, a mokre, splątane włosy lepiły się jej do policzków. Zupełnie inaczej niż w wypadku korpusu przyniesionego przez wodę po burzy, trzeba było dokładnie się przyjrzeć, by zyskać pewność, że dziewczyna faktycznie nie żyje. Gdyby nie całkiem odpowiednia pogoda, łatwo można by ją wziąć za plażowniczkę, która korzysta ze słońca.

– Zakładam, że znalazł ją ten koleś z wędką?

– Tak – odparł Werner. – Gdzie się podziewałeś? Próbowałem złapać cię przez komórkę, ale za cholerę nie mogłem się dodzwonić.

– Naprawdę? – Fabel zmarszczył brwi. – Od rana miałem włączony telefon. Kto ją wyłowił?

– Dwóch miejscowych policjantów. Facet z wędką zadzwonił do nich z komórki. Myśleli, że to może samobójstwo, ale potem zobaczyli ślady na karku i gardle... No i oczywiście od razu przyszło im na myśl, że to robota Zabójcy z Sieci.

– Rzućmy okiem...

Fabel wziął lateksowe rękawiczki, które podał mu Werner, i z trzaskiem naciągnął je na dłonie. Potem obaj wślizgnęli się pod taśmą i podeszli bliżej. Przykucnąwszy obok ciała, Fabel odsunął ciemne pasma włosów z twarzy martwej dziewczyny. Mogła mieć około trzydziestu lat, pomyślał. Sprawiała wrażenie osoby, która dbała o kondycję fizyczną. Obejrzał dokładnie jej ręce, zaczynając od paznokci; sprawdził, czy żaden z palców nie jest złamany, czy na spodzie i wierzchu dłoni oraz na nadgarstkach nie ma żadnych otarć... Nic. Z tego, co zdołał zauważyć,

nie było oznak uszkodzeń, świadczących o tym, że ofiara broniła się. Tak samo jak pozostałe.

Przetoczył ciało na plecy – delikatnie, jakby obawiając się zranić kogoś, kogo jednak już zranić nie można. Na tle asfaltu ścieżki holowniczej skóra nieboszczki wydawała się jasna i wyjątkowo blada. Fabel ponownie odsunął z jej czoła mokre pasma włosów. Dziewczyna miała zamknięte oczy, a jej wargi, leciutko sinawe, były rozchylone. Za życia musiała być całkiem atrakcyjna, pomyślał. Ostrożnie unióś jej powieki; białka oczu wydawały się zaczerwienione, bo popękały drobne naczynia krwionośne – takie krótkotrwałe krwawienie było oczywistym objawem uduszenia. Fabel dokładnie obejrzał twarz i przesunął wzrok w kierunku szyi. Tu także zauważył krwawe podbiegnięcie w kształcie rombu, na skórze w okolicy gardła, tuż ponad głównym naczyniem krwionośnym, gdzie obojczyki stykają się z mostkiem. Bez trudu dostrzegł, że na karku pozostały jedynie małe siniaki, w miejscach, gdzie morderca zacisnął palce, zanim wbił kciuki w krtań, żeby ją zmiażdżyć. Zasinienie było nieduże, ponieważ śmierć nastąpiła stosunkowo szybko i nie starczyło czasu, żeby siniaki stały się wyraźniejsze, domyślił się Fabel.

– Ten facet lubi czystą robotę, trzeba to przyznać – powiedział Fabel do Wenera, podnosząc się z ziemi. – Nie zostawia po sobie nic.

– Z wyjątkiem tego, że chyba nabrał ochoty, żeby pobawić się z nami w kotka i myszkę – zauważył Werner. – I dzięki temu w końcu go złapiemy. Te świrusy zawsze w końcu wymyślają coś takiego. Zupełnie jakby *chcieli*, żebyśmy ich złapali.

– O czym ty mówisz, Werner?

– No cóż, powiedziałbym, że to dość oczywiste, że on stara się nawiązać jakąś łączność z nami. Mam na myśli tego SMS-a. Tego, o którego pytałeś mnie i Annę. To musiał być on.

– Ale dlaczego teraz? Czemu nagle zmienił sposób postępowania? Wcześniej nigdy nie podsuszał nam wskazówek. Tak czy owak, to dość dziwne, że ten SMS został wysłany z telefonu Susanne.

Fabel wyciągnął komórkę i pstryknięciem włączył klawiaturę.

– Widzisz? – powiedział i przesunął palcem po liście odebranych wiadomości. – Czekaj, zaraz go znajdę...

Zmarszczył brwi.

– O co chodzi, Janie? – Werner zainteresował się.

– No, co za gówno...

– Cholera jasna! – przerwał mu Werner.

Otwartą dłońią klepnął Fabela po ramieniu, głową wskazując kierunek, z którego przed chwilą przyszli. Fabel odwrócił się i ujrzał Horsta van Heidena. Szef zdecydowanymi krokami zmierzał w ich stronę.

– Boże... – wymruczał Fabel. – Jakim cudem zdołał tu dotrzeć przed ekipą kryminalną? Chyba musi mieć stałe połączenie z dyżurnym w centrali.

Czym prędzej ukrył irytację za przyklejonym uśmiechem i skinął głową, żeby uprzejmie przywitać zbliżającego się van Heidena.

– *Herr Director*, niezbyt często zdarza się nam widzieć pana na miejscu zbrodni.

– Czy znamy nazwisko? – spytał van Heiden, podbródkiem wskazując postać leżącą na ścieżce holowniczej.

– Nie mamy nawet ubrania, nie mówiąc o danych osobowych. Trochę potrwa, zanim uda się nam ustalić jej dane.

– Ale to robota tego maniaka, który działa poprzez internet?

– Nie mogę tego potwierdzić, ale owszem, istnieje spore prawdopodobieństwo, że tak.

Podrzucenie ciała do kanału w środku miasta, jak najbardziej pasuje do jego metody działania.

– I oczywiście to on wysłał to tajemnicze ostrzeżenie, gdzie należy szukać ciała? To

wielka szkoda, Fabel, że nie domyślił się pan, iż jest to wskazówka, w którym miejscu zostaną podrzucone następne zwłoki... Naturalnie nie mogę pana za to winić. Nikt tego nie zgadł.

– Skąd pan...?

– Rozmawiałem z *Frau* Wolff. – Van Heiden popatrzył na martwe ciało i zmarszczył brwi.

– Zakładam, że nie przyjechał pan tutaj po to, żeby sprawdzić moją wprawę w zabezpieczaniu śladów na miejscu zbrodni? – zapytał Fabel.

– Właśnie – odparł van Heiden. – Musimy jak najszybciej schwycić tego szaleńca, Fabel. Słyszałem, że dziś po południu zamierza pan zrobić użytek z tych nakazów przeszukania i zatrzymania.

– No cóż... Raczej Anna, nie ja. Ja zostanę tutaj, żeby wszystkiego dopilnować. Na pewno nie zdołamy zatrzymać wszystkich, ale nakazy oznaczają, że będziemy mogli zabrać im komputery i przekazać je do departamentu Krögera. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się coś znaleźć. Tak samo mam zamiar dać Krögerowi swój telefon komórkowy.

– Żeby mógł wysledzić, kto wysłał tego SMS-a? – zainteresował się van Heiden.

Fabel westchnął ciężko.

– Niezupełnie... Nie mogę znaleźć tej wiadomości. Myślę, że ją skasowałem. Chyba przez przypadek. Chociaż nie bardzo wiem jak.

– Rozumiem...

Van Heiden miał zwyczaj wtrącać do rozmowy ze swoimi oficerami owo niewyraźne „rozumieć”, i to od rozmówcy zależało, jak to słowo zinterpretuje. Rozumiem... że znalazłem niewłaściwego człowieka do tej roboty; rozumiem... że tym razem naprawdę spieprzyłeś sprawę...

– Tylko przypuszczamy, że ten SMS miał jakieś znaczenie – wtrącił Fabel. – Przecież równie dobrze to mógł być czysty przypadek.

Van Heiden rzucił mu spojrzenie; ten sam rodzaj spojrzenia, którym obdarzyłyby kogoś, kto wkroczył do gmachu komisariatu i oznajmił, że został uprowadzony przez kosmitów.

– Okay – zgodził się Fabel. – Cholernie dużo tych zbiegów okoliczności. Wciągnę w to Krögera. Powiedział pan, że dziś rano szukał mnie pan... Dlaczego?

– Po prostu z tej przyczyny, że po naszej porannej dyskusji pomyślałem, że powinienem był wspomnieć o najnowszych zmianach w śledztwie dotyczącym podpalenia w Schanzenviertel. Właśnie się dowiedziałem, że Föttinger zmarł tej nocy. Tak więc mamy tu już do czynienia z zabójstwem, co oznacza, że to twoja działka, Fabel. Możemy jednak mieć kupę roboty z udowodnieniem, że to było zaplanowane morderstwo, biorąc pod uwagę, że Föttinger przebywał w kawiarni, kiedy przeprowadzono atak. Ostatecznie sam wszedł prosto w ogień, który go zabił.

– Może to wszystko było zamierzone: podłożyć ogień, żeby wywabić go na ulicę? – zastanowił się głośno Fabel. – Ale przypuszczam, że to nie jedyny powód, dla którego pan przejechał taki kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć.

– Nie, albo przynajmniej nie tylko. Chciałem zapytać, o czym pan rozmawiał z Bertholdem Müllerem-Voigtem, kiedy wyszliście razem po wczorajszym spotkaniu?

– Co pan ma na myśli? Dlaczego?

Van Heiden wziął Fabla pod rękę i pociągnął kilka kroków dalej, w głąb ścieżki holowniczej, z dala od miejsca zbrodni i zasięgu słuchu Wenera.

– Posłuchaj, Janie... Zapewne słyszałeś plotki na temat przeszłości Müllera-Voigta. Mam na myśli te oskarżenia pojawiające się w prasie na temat jego ewentualnego zaangażowania w ruch lewicowych ekstremistów we wczesnych latach osiemdziesiątych.

– Nie sędzę, żeby miał z tym coś wspólnego. Moim zdaniem, jego zaangażowanie zawsze miało czysto polityczny charakter – odparł Fabel.

Nie chciał informować van Heidena, że kiedyś dość głęboko grzebał w przeszłości polityka – w związku ze śledztwem, przez które po raz pierwszy miał styczność z Müllerem-Voigtem.

– Wszystko jedno, czy to prawda, czy też nie, czułem się jednak niezbyt komfortowo, gdy jako członek komitetu zabezpieczającego szczyt GlobalConcern Hamburg musiałem podzielić się z nim paroma informacjami. Niezależnie od swojej przeszłości, Müller-Voigt jest przekupną, podatną na manipulacje świnią. Wiem, że ty i on mieliście w przeszłości jakieś układy i dlatego byłem zaniepokojony, że być może będzie próbował wyciągnąć z ciebie jakieś informacje.

– Informacje dotyczące czego?

– Naprawdę nie wiem. Wiem jedynie, że zanim przyszedłeś, Müller-Voigt bardzo uporczywie wypytywał o coś Menkego. Koniecznie chciał się dowiedzieć, jakie ekstremistyczne grupy ekologów są obserwowane przez BfV. Naturalnie, biorąc pod uwagę barwną przeszłość Müllera-Voigta, Menke nie był skłonny do dzielenia się z nim niczym ponad to, czym musiał.

– Ale Müller-Voigt zajmuje wysokie stanowisko w rządzie Hamburga – odparł Fabel. – Nieważne, kim był albo kim nie był w przeszłości, został wybrany i sprawuje publiczny urząd. Osobiście byłbym zdania, że powinniśmy z nim współpracować tak dalece, jak to tylko możliwe.

– Oczywiście... – van Heiden sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. – Oczywiście, że powinniśmy współpracować. Jednak pytania, jakie stawiał Müller-Voigt, były... Sam nie wiem, jak to ująć... Były mocno oderwane od tematu.

– Cóż, mogę dać panu słowo, że Müller-Voigt nie rozmawiał ze mną w windzie o niczym, co mogłoby budzić niepokój. Zresztą spieszyłem się na odprawę Wydziału Zabójstw, więc nawet nie mieliśmy szansy dłużej porozmawiać.

– W porządku... – odpowiedział van Heiden z roztargnieniem i przez chwilę tarł podbródek. – W porządku... Po prostu chciałem zapytać. Müller-Voigt potrafi być sprytny.

Fabel sam nie wiedział, dlaczego właściwie nie poinformował van Heidena o tym, co tak naprawdę zaszło między nim a Müllerem-Voigtem. Po prostu czuł, że powinien zachować dyskrecję, przynajmniej na razie. Poza tym obiecał przecież, że wszystko potraktuje nieoficjalnie i utrzyma to w sekrecie.

Kiedy van Heiden odjechał, Fabel zajął się nadzorowaniem dochodzenia na miejscu zbrodni, jak to robił już setki razy na przestrzeni minionych lat. W końcu przybył Holger Brauner i w swoim, jak zwykle nieodpowiednim nastroju, zabrał się za oględziny zwłok, przyklejając taśmę do wszystkiego, co przyczepiło się do skóry martwej dziewczyny. Potem rozstawił ponumerowane tabliczki, zrobił zdjęcia, włożył ciało dziewczyny do zamykanego na suwak plastikowego worka i zabrał je z miejsca zbrodni. Umundurowani funkcjonariusze policji trzymali w odpowiedniej odległości gęstniejący tłum gapiów. Przyjechali Thomas Glasmacher i Dirk Hechtner i po zapisaniu zeznań wędkarza, rozpoczęli wędrowkę od drzwi do drzwi po najbliższej okolicy.

Tak wyglądała starannie wypracowana choreografia na początku śledztwa dotyczącego nowego morderstwa. W lekkiej, szarawej mżawce Fabel dyrygował tańcem. Tym razem nie zdarzył się żaden horror; nie było rozczłonkowania zwłok ani smrodu rozkładającego się ciała, tylko smutek po utracie młodego życia.

To była kolejna rzecz, do której Fabel nigdy nie zdołał się przyzwyczaić.

ROZDZIAŁ 18

Fabel zdążył wrócić do komisariatu akurat na czas, by zdążyć na początek prowadzonej przez Annę odprawy. Razem z Wernerem postanowili pozostawić na miejscu zbrodni Glasmachera i Hechtnera, żeby zajęli się dalszą robotą.

Henk Hermann właśnie zmierzał w kierunku sali konferencyjnej.

– Cześć, szefie – odezwał się na widok Fabla. – Sprawdziłem ten adres u zarządcy domu. W rejestrach nie figuruje nazwisko żadnej Melihy Yazar jako najemcy, a to mieszkanie jest wolne od zaledwie miesiąca. Nawet jeśli ta kobieta istnieje, to nigdy tam nie była.

– Istnieje, tego jestem pewien – odpowiedział Fabel. – To oznacza jedynie tyle, że musiała mieszkać gdzie indziej. W każdym razie wielkie dzięki, Henk.

– Tak przy okazji, to ciało wyniesione przez wodę na Fischmarkt, wie pan... to znaczy, ten korpus...

– Co z nim?

– Nie miałem pojęcia, że Schleswig-Holstein również interesuje się tą sprawą – odparł Henk. – Czemu w ogóle się w to mieszają?

– Posłuchaj, Henk – mruknął Fabel zniecierpliwionym tonem, zaglądając przez otwarte drzwi do sali konferencyjnej, która powoli wypełniała się przychodzącymi na odprawę policjantami. – Nie mam bladego pojęcia, o czym ty bredzisz.

– Do kostnicy przyjechał ktoś z Polizei Schleswig-Holstein, zdaje mi się, że z dywizji kilońskiej, żeby rzucić okiem na korpus tej niezidentyfikowanej osoby. Jakiś komisarz... – Henk przez chwilę marszczył czoło, intensywnie starając się przypomnieć sobie nazwisko. – Wydaje mi się, że komisarz Höner. Pokazał mi legitymację i powiedział, że wszystko jest z panem uzgodnione.

Fabel przez moment gapił się na Henka, przyswajając sobie to, co usłyszał.

– Natychmiast ściągnij tam paru mundurowych i weź rysopis albo najlepiej przejrzyjcie nagrania z kamer CCTV. Nikomu nie dawałem pozwolenia na oglądanie zwłok, wszystko jedno, czy ten ktoś był z Polizei Schleswig-Holstein, czy nie.

Gdy Fabel wpadł na odprawę Wydziału Zabójstw, sala konferencyjna wypełniona była po brzegi policjantami w mundurach i detektywami, a Anna rozpoczynała właśnie przydzielanie adresów poszczególnym zespołom.

– Pomyślałem, że poradzisz sobie z dodatkową parą zwłok – zwrócił się do Anny. – Tak czy owak, to twoje przedstawienie.

Odwrócił się do reszty zgromadzonych na sali.

– Chcę wam tylko powiedzieć, że stawka poszła w górę. Właśnie znaleźliśmy następane ciało. Tym razem to naprawdę wygląda na robotę Zabójcy z Sieci.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk.

– No dobrze, dobrze – wykrzyknęła Anna ponad głosami zebranych. – Posłuchajcie! Jeśli jest następna ofiara, to znaczy, że działamy pod jeszcze większą presją, przez co musimy jak najszybciej dorwać tego gościa. Jedziemy pod cztery konkretne adresy. To nie są te same adresy, pod które zamierzaliśmy uderzyć na początku...

– Co? – przerwał Fabel.

– Nadkomisarz Kröger skontaktował się z nami – wyjaśniła Anna. – Jego zespół wciąż pracuje nad zdobyciem danych z komputerów i telefonów komórkowych ofiar, ale jak dotąd udało się im tylko częściowo odzyskać wymianę korespondencji z czterema mężczyznami, wspólnymi dla wszystkich dziewczyn. W dodatku wszyscy robili to za pośrednictwem jednej

witryny. Cóż, może więcej niż witryny...

– Co masz na myśli?

– Wiesz, w sieci istnieją takie dziwaczne strony, gdzie ludzie prowadzą coś w rodzaju alternatywnej egzystencji. Po prostu wirtualne życie. Na przykład mają farmę, na której nie śmierdzi, budują w fikcyjnym świecie imperium finansowe... Takie tam bzdury.

– Tak, znam takich ludzi – odparł Fabel.

Znał, lecz nie rozumiał, dlaczego ktoś chce tracić tyle prawdziwego życia na funkcjonowanie w świecie fikcji.

– No cóż, ta konkretna witryna nosi nazwę Virtual Dimension. To częściowo portal społecznościowy, częściowo zaś służy do życia w wirtualnym świecie. Jej hasło to „konsolidacja rzeczywistości”.

– Co to znaczy, do diabła? Czemu ci ludzie nie mogą rozmawiać po niemiecku?

Anna wzruszyła ramionami na znak, że nie strzela się do posłańca.

– Zgodnie z założeniami strona Virtual Dimension celowo łączy ten obłąkany, nierzeczywisty świat z normalnym życiem w realu. Jak to funkcjonuje, nie mam pojęcia, bo według mnie to wszystko bujda. Tak czy owak, przynajmniej dwie z tych kobiet spotykały się z pewną liczbą mężczyzn, o ile w rzeczywistości faktycznie są mężczyznami, właśnie w wirtualnym świecie Virtual Dimension. A spośród tych mężczyzn czterech miało kontakt również z każdą z pozostałych ofiar, tyle że w innym chatroomie.

– Mmm... – zamruczał Fabel. – Brzmi obiecująco.

– Och! – Annie coś się przypomniało. – Skoro mowa o wirtualnej rzeczywistości, to szukał cię ten gliniarz z policji rzecznej, którego spotkaliśmy w miejscu, gdzie znaleziono korpus.

– Kreysig?

– Nie, ten drugi. Jego zastępca. Tramberger. Skontaktował się, żeby zapytać, czy nadal chcemy, aby wprowadził dane do tego swojego komputerowego modelu „Wirtualnej Łaby”.

– To na pewno nie zaszkodzi. Czy możesz sprawdzić u Holgera Braunera, ile ważyły tamte zwłoki i jak długo jego zdaniem przebywały w wodzie? Potem prześlij to Trambergerowi i niech on zobaczy, czy zdoła cokolwiek z tym zrobić.

– Och, to na pewno go uszczęśliwi. Jest bardzo dumny ze swojej zabawki. Śmieszne, ale on wcale mi nie wyglądał na komputerowca.

– A kto w tych czasach nie jest komputerowcem? Jeszcze coś?

– Taaak... Zaczęłam grzebać na temat Pharos Project i znalazłam kilka osób, które mogą coś o tym wiedzieć. Tylko że mam pełne ręce roboty z organizacją dzisiejszych akcji. Mówiłeś, że chętnie mi pomożesz i weźmiesz część pracy na siebie?

– Jasne. Co tam masz?

Anna wręczyła Fabelowi akta i nakaz z Biura Prokuratora.

– Jeden adres jest po drodze na Bilstedt, gdzieś pomiędzy Horn a Schiffbek. Adres IP należy do Johanna Reischa.

– To, że opłaca rachunki, jeszcze nie oznacza, że tylko on korzysta z komputera.

Anna potrząsnęła głową.

– Zgodnie ze spisem ludności, Johann Reisch, lat czterdzieści pięć, jest jedyną osobą mieszkającą w tym lokalu. A tak wygląda... – wręczyła Fabelowi wydruk strony komputerowej – ...internetowe wcielenie *Herr* Reischa.

Fabel rzucił okiem na wydruk. Młody mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i bez koszulki, którego od czterdziestych piątych urodzin dzieliły jeszcze ze dwie dekady, uśmiechał się do obiektywu, dumnie prężąc umięśniony tors. Na dole strony widniało jego imię:

Thorsten66.

– I jak, chcesz to wziąć?

– Może być. – Fabel wziął od Anny akta. – To twoje przedstawienie... szefowo.

Schiffbek znajduje się na wschód od centrum miasta. Informacje, które Anna podała Fablowi i Wernerowi, zaprowadziły ich na nieskazitelnie czystą uliczkę w pobliżu cmentarza, otoczoną dwoma rzędami segmentów.

Fabel zaparkował auto na samym końcu drogi, nakazując jadącym w radiowozie policjantom zatrzymać się tuż za nim; nie było sensu przedwcześnie sygnalizować o swojej obecności. Dwaj funkcjonariusze w mundurach poszli za Fablem i Wernerem do jednego z segmentów. Zbliżywszy się, Fabel zwrócił uwagę, że maleńki ogródek z przodu był starannie utrzymany, ale była na nim minimalna liczba nasadzeń, jakby komuś zależało, żeby się przy nim zbytnio nie napracować. Fabel zauważył także podjazd, zbudowany tuż przy schodach.

Werner nacisnął dzwonek przy drzwiach. Otworzyła jakaś niewysoka kobieta, ze sterczącymi dziko blond włosami i w okularach na nosie, ubrana w roboczy fartuch. Miała przypięty identyfikator Urzędu Miejskiego w Hamburgu, co natychmiast uzmysłowiło Fablowi, że ma do czynienia z pracownicą opieki społecznej. Z wyraźnym brakiem zainteresowania przeniosła spojrzenie z Fabla na Wenera, a następnie na dwóch policjantów za ich plecami.

– Tak?

– Polizei Hamburg – powiedział Fabel. – Mamy nakaz przeszukania tego lokalu. Chcemy porozmawiać z Johannem Reischem.

– Z Reischem? – zmarszczyła brwi. – Na litość boską, czego panowie chcecie od Reischa?

– Zakładam, że pani nie jest *Frau Reisch*? – Fabel jeszcze raz zerknął na identyfikator. Kobieta zaśmiała się.

– Nie ma żadnej pani Reisch. Nie ma jej od lat. Zwyczajnie zwiąła. Myślę, że chyba lepiej będzie, jeżeli wejdziecie.

Wpuściła ich do środka, a następnie poprowadziła krótkim, jasno oświetlonym korytarzem do salonu z przeszklonymi drzwiami, które wychodziły na małe patio na tyłach domu. Siedzący przy stole mężczyzna spoglądał w ekran ustawionego na blacie laptopa. Powoli podniósł wzrok, sztywno poruszając głową. Fabel zauważył, że na jego twarzy nie pojawił się wyraz zaskoczenia ani przestachu. Nie pojawiła się żadna reakcja.

– Pan Reisch? – odezwał się Fabel. – Główny nadkomisarz Fabel z Wydziału Zabójstw Policji Hamburga. Mam nakaz skonfiskowania całego sprzętu komputerowego, jaki znajduje się w tym domu.

– Nie może pan zabrać tego komputera – zaprotestowała kobieta w fartuchu. – To wszystko, co on ma.

– Ten nakaz jasno stwierdza, że mogę – odparł Fabel, podnosząc wysoko kartkę papieru.

– Proszę się nie wtrącać, albo może pani...

Zdanie zamarło mu na wargach, bo właśnie zauważył, że Reisch siedzi na elektrycznym wózku inwalidzkim i że jego głowa podtrzymywana jest przez kołnierz ortopedyczny. W odpowiedzi na słowa Fabla zwrócił ku niemu załzawione oczy, ale jego twarz nadal pozostała bez wyrazu.

– To wszystko, co mu pozostało – pracownica opieki społecznej nie przestawała protestować. – To cały jego świat.

– Czy on może mówić? – spytał Fabel.

– Tak, mogę – odpowiedział Reisch.

Jego głos zabrzmiał słabo, kolejne słowa przerywał płytki oddech.

– Przynajmniej na razie. Ale to także do czasu. Póki co, na razie mogę mówić i jestem *tutaj*, więc nie ma potrzeby, żeby mówił pan o mnie w trzeciej osobie.

– Proszę mi wybaczyć, panie Reisch. Czy to pański jedyny komputer?

– Tak. Dlaczego musi go pan zabrać? *Frau Rössings* ma rację, bez niego będę całkiem zagubiony. To musi być jakaś pomyłka...

– Nie ma mowy o pomyłce, *Herr Reisch*. Po prostu jest pan jedną z wielu osób, które... – Fabel urwał i odwrócił się do Wenera, który skinął głową, a następnie wyprowadził z pokoju panią Rössings oraz obu policjantów. – Bywał pan w chatroomie i kontaktował się tam z dwiema kobietami, które kolejno padły ofiarą morderstwa.

– Chodzi o Zabójcę z Sieci?

Słowa Reischa nadal były przerywane krótkimi, płytkimi oddechami, co pozbawiło jego wypowiedź intonacji, nie było więc słychać, czy jest zaskoczony lub zaszokowany.

Fabel pokazał mu wydruk strony z nickiem Thorsten66.

– Czy to jest... – przez chwilę na gwałt szukał właściwego słowa. – Czy właśnie to jest *tożsamość*, jakiej używa pan w sieci?

– Tak, na tej konkretnej stronie... Poza tym mam jeszcze kilka innych... – Reisch przerwał na moment. – Musi pan uważać, że jestem żaloszny.

– Niczego takiego nie uważam, panie Reisch. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, jak to jest znaleźć się w takim położeniu. Czy wolno mi zapytać, co spowodowało pańską niemoc?

– *Amyotrophic lateral sclerosis* – znów każde wypowiedziane słowo oddzielone było krótkim oddechem. – To rodzaj choroby neurologicznej, atakującej nerwy ruchowe.

– Czy to uleczalne?

– Jest tak niewiele rzeczy, o których lekarze mogą pana poinformować z absolutną pewnością, panie Fabel, ale ja jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że usłyszałem parę kategorycznych opinii na temat mojego stanu zdrowia. Ta choroba jest w stu procentach nieuleczalna i zawsze kończy się śmiercią. Mój system nerwowy powoli się wyłącza, kawałek po kawałku, funkcja po funkcji. W ciągu następnego roku przestanę mówić. Sześć miesięcy później nie będę mógł przełykać swojej własnej śliny ani samodzielnie oddychać. W końcu uduszę się. A wie pan, co w tym jest najśmieszniejsze? Jaka jest słodka ironia mojej sytuacji? Że przez cały ten czas pozostanę zupełnie sprawny umysłowo. Zdrowy umysł będzie zamknięty w rozkładającym się ciele.

– Bardzo mi przykro – odparł Fabel.

– Więc jak, czy naprawdę musi pan zabrać mój komputer? – pytał Reisch. – Myślę, że potrafi pan zrozumieć, że znaczy on dla mnie zdecydowanie więcej niż dla większości ludzi. Każdego dnia spędzam przed nim długie godziny. To moje okno na świat, ale już niedługo zostanie i ono dla mnie zamknięte.

– Jak pan go obsługuje? – zapytał Fabel. – To znaczy, zważywszy na pańskie ograniczenia.

– Wciąż jeszcze mogę poruszać rękoma, chociaż w małym stopniu. Mój komputer został ustawiony na rozpoznawanie głosu, więc mogę wydawać mu polecenia ustnie. Kiedy w końcu utracę zdolność wyraźnego wypowiadania słów, również ta możliwość zostanie mi odebrana.

Fabel spojrział na wydruk. Na *alter ego* Reischa. Na jego wyimaginowane „ja”.

– Pewnie zastanawia się pan, dlaczego... – odezwał się Reisch. – ...dlaczego udaję, że jestem młody i zdrowy? To całkiem proste: kiedy jestem na tych stronach, kiedy jestem w sieci, staję się właśnie kimś takim. Wybrałem tę fotografię, ponieważ ten facet wygląda trochę jak ja, kiedy byłem w jego wieku. Ma taki zuchwały wyraz twarzy, kiedy się na niego patrzy, podobnie jak ja. Kiedyś.

– Rozumiem.

– Nie, niczego pan nie rozumie. Nie krytykuję pana, ale pan nawet nie zaczął rozumieć. To niemożliwe, skoro nie spędził pan choćby chwili w tym cielesnym świecie.

– Kontaktował się pan z dwiema z czterech kobiet, które zostały zamordowane. Jednej z nich zaproponował pan nawet spotkanie. Czemu pan to zrobił? *Jak* pan mógł to zrobić?

Z ust Reischa wydobyło się dziwne rzeźenie, na dźwięk którego Fabel cofnął się o krok. Chwilę później doszedł do wniosku, że kaleki mężczyzna po prostu próbował się roześmiać.

– Owszem, spotykałem się z tymi kobietami. Spotykałem się z tuzinami kobiet. Niekiedy spędzaliśmy ze sobą całą noc. Ale nie tutaj. Nie w realnym świecie. Kiedy przeczyta pan wiadomości, w których umawiamy się na randkę, zrozumie pan, że wszystkie spotkania odbywają się wewnątrz Virtual Dimension. To wszystko to tylko gra fantazji. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nigdy nie mógłbym wrócić do cielesnego świata i spotkać się z którąkolwiek z kobiet, z którą rozmawiałem w internecie, ale dopóki jestem tam, w tamtej rzeczywistości, wierzę, że wszystko jest możliwe.

– I nigdy nie zaprosił pan żadnej z nich tutaj? Żeby złożyła panu wizytę?

– Nigdy. Teraz udowodnił pan, że niczego pan nie pojmuję. Ja istnieję w dwóch światach, odległych i osobnych. Nigdy nie próbuję ich łączyć.

Reisch znowu urwał, żeby zaczerpnąć kilka krótkich, płytkich oddechów. Sam odgłos ich wystarczył, żeby Fabel poczuł ucisk we własnej piersi.

– Czy pan wie... – mówił dalej Reisch – ...że w niedługiej przyszłości ludzie tacy jak ja będą prawdopodobnie na stałe podłączeni do wirtualnego świata, i to na tak długo, jak długo będą chcieli? W tej alternatywnej rzeczywistości będą mogli prowadzić w miarę normalne życie.

– Ale to nadal nie będzie prawdziwe życie – upierał się Fabel. – Osobiście wolałbym być kaleką w rzeczywistym świecie, niż żyć w jakiejś fantazji, gdzie otaczaliby mnie ludzie, którzy tak naprawdę nie istnieją.

– Rzecz w tym, że to wcale nie będzie tak wyglądało – odparł Reisch. – Ten świat zaludnią ludzie podobni do mnie: uciekający od zła, które ich spotkało, i chcący ze sobą współdziałać. Prawdziwi ludzie w urojonym świecie. Ale, oczywiście, dla mnie na wszystko będzie za późno. Właśnie dlatego włączyłem się do Virtual Dimension. W ten sposób mogłem przybliżyć się do tego typu alternatywnej rzeczywistości na tyle, na ile jest to możliwe.

– Czy ktoś inny ma dostęp do pańskiego komputera? – zapytał Fabel.

– Nikt.

– A *Frau Rössing*?

– Poza tym dostęp jest chroniony hasłem. Zresztą nie sądzę, żeby *Frau Rössing* wiedziała, jak obsługuje się komputer. Ona jest dość staroświecka.

– Rozumiem – odparł Fabel i przez chwilę nie wiedział, co ma dalej mówić i co dalej począć. – Bardzo mi przykro, że zakłóciliśmy panu spokój, *Herr Reisch*. Nie sądzę, żeby zabranie pańskiego komputera było konieczne, ale być może wpadnie tu jeden z naszych techników, żeby rzucić na niego okiem. Może znajdzie jakieś wiadomości od ofiar, które będą mieć związek z prowadzonym przez nas śledztwem.

– Tak, oczywiście – przytaknął Reisch. Jego słowa wciąż przerywane były krótkimi oddechami, a intonacja nadal pozbawiona jakichkolwiek emocji. – Będę współpracował w każdy możliwy sposób. Jedyne życzenie, jakie mam, to żebyście zostawili mi mój komputer.

Powoli robiło się późno. Fabel najpierw starał się złapać Susanne w hotelu, potem próbował zadzwonić się na komórkę, ale wciąż włączała się automatyczna sekretarka. W końcu nagrał wiadomość, mówiąc, że być może następnego dnia będzie musiała wrócić z lotniska taksówką. Zmarszczył brwi, zawahał się przez moment, a później dodał, sam właściwie nie

wiedząc, dlaczego to robi:

– Ten SMS nie został wysłany przez nikogo z pracy. Zresztą przypadkowo go wykasowałem, przynajmniej tak mi się zdaje. Mam zamiar oddać swój aparat do sprawdzenia. Zadzwoń jeszcze później, żeby podać ci numer zastępczej komórki.

Glasmacher i Hechtner zdążyli już wrócić z miejsca zbrodni w Poppenbüttel, więc Fabel poprosił ich, żeby od razu zaczęli pisać raport. Zadzwoił też do rezydencji Müllera-Voigta, ale polityk najwyraźniej był poza domem, bo Fabel znów trafił na automatyczną sekretarkę.

– Witam, panie senatorze. Obawiam się, że nie miałem dziś zbyt wiele czasu, żeby zająć się sprawą, o której rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Jednak mogę z całą pewnością stwierdzić, że ta pani zdecydowanie nie przebywa pod podanym przez pana adresem, dokładnie tak jak pan mówił. Postaram się przeprowadzić małe dochodzenie i skontaktuję się z panem, gdy tylko będę miał coś, co uznam za warte zakomunikowania.

Po zakończeniu nagrania Fabel zadzwonił do Krögera, do Jednostki do Walki z Cyberprzestępczością, i opowiedział o dziwnym SMS-ie, który w tajemniczy sposób zniknął z pamięci jego komórki. Kröger obiecał, że jak tylko przyśle aparat, jego ludzie postarają się jak najszybciej to sprawdzić. Potem Fabel poszedł do kantyny, uprzednio pobierając z działu technicznego telefon zastępczy. Postanowił, że usiądzie i wypije swoją kawę przy stoliku. Wiele wskazywało na to, że przesiedzi przy biurku pół nocy, więc pomysł spędzenia paru minut gdzieś poza biurem wydał mu się dość atrakcyjny. Od lunchu nie miał niczego w ustach, ale stwierdził, że teraz szkoda mu marnować czas na posiłek; zje coś po drodze do domu.

– Czy ma pan coś przeciwko temu, że się przyłączę?

Fabel podniósł wzrok i ku swemu zdumieniu ujrzał Menkego. Oficer z BfV stał nad nim, trzymając w ręku styropianowy kubeczek z kawą, i mierzył go bezbarwnym spojrzeniem bładoniebieskich oczu, ukrytych za szklami okularów bez oprawek.

– Nie... Nie, ależ skąd! – Fabel zmarszczył czoło. – Trochę późna pora, nawet jak na pana, panie Menke.

– Tak. – Agent usiadł naprzeciwko Fabla. – Przez cały dzień miałem spotkania z szefami jednostek MEK.

Menke miał na myśli siły szybkiego reagowania wyposażone w specjalny rodzaj broni, które stanowiły odrębne skrzydło Policji Hamburga.

– Wie pan, wszystko to w związku ze szczytem GlobalConcern Hamburg.

– Nie zazdroszczę – przyznał Fabel. – Przypuszczam, że znajdzie się więcej niż kilku wariatów, którzy przy okazji szczytu spróbują urządzić własny spektakl, żeby zwrócić na siebie uwagę świata.

– Ma pan rację – odparł Menke z emfazą. – Przyjechali dziennikarze z całego świata, żeby wszystko zobaczyć. Z pewnością możemy się spodziewać masowych demonstracji i może następnych aktów przemocy, takich jak to podpalenie wczorajszego dnia. Zresztą taki był główny cel moich spotkań z szefami MEK: ustalić strategię przeciwdziałania przemocy.

– Kocioł? – spytał Fabel z autentycznym zdumieniem. – To nie było legalne w sześćdziesiątym ósmym roku i teraz też nie jest. Nie sądzę, żeby *Herr* Steinbach aprobował takie metody.

Mówił o Hugonie Steinbachu, komendancie głównym Policji Hamburga.

Menke milczał przez chwilę, nie spuszczać z rozmówcy swojego bezbarwnego błękitnego spojrzenia, i spokojnie popijał kawę. Jego twarz wydawała się całkiem bez wyrazu. Fabel wrócił myślami do człowieka na wózku inwalidzkim, którego niedawno przesłuchiwał, i niespiesznie zastanowił się, czy przypadkiem Menke nie cierpi na emocjonalną odmianę dolegliwości Rejscha.

– Oczywiście wcale nie mówiłem o użyciu przemocy – odezwał się w końcu Menke. – Żyjemy w bardzo wyrafinowanych czasach, Fabel. Technologicznie wyrafinowanych. To oznacza, że mamy pewną przewagę, o której nie mogliśmy mówić wcześniej. Nasza akcja bardziej przypomina precyzyjną operację chirurgiczną niż użycie brutalnej siły. Kiedy mówię, że nasza strategia polegać będzie na przeciwdziałaniu, mam na myśli izolację i usunięcie konkretnych ekstremistów, którzy będą się ukrywać między protestującymi. Nasz wywiad działa dobrze i przez cały czas się doskonali. Nie zamierzamy tłumić ognia, lecz raczej zapobiec podpaleniu fajerki.

– Rozumiem – powiedział Fabel, mieszając resztki kawy i przyglądając się im uważnie. – Innymi słowy, w tamtych środowiskach ma pan swoich ludzi. Swoich donosicieli.

Menke przywołał na usta grymas, który od biedy można było uznać za uśmiech.

– Jak wspominałem, mamy do dyspozycji bardzo wyrafinowaną technologię. Ale ostatecznie wywiad jest i zawsze był domeną ludzkiej działalności.

Fabel wymówił się, tłumacząc, że musi wrócić do wydziału.

– Znalezione kolejne ciało, co w sumie daje cztery ofiary – wyjaśnił.

– A co z tym pozbawionym kończyn ciałem, którym Müller-Voigt wydawał się tak zainteresowany podczas wczorajszego spotkania? Czy udało się panu jednoznacznie je wykluczyć?

– Nie do końca. Ale coś mi tam nie gra – Fabel wstał i dopił kawę. – Dochodzenie w sprawie morderstwa, podobnie jak działalność wywiadowcza, także jest naszą domeną.

– Czy widział się pan dzisiaj z senatorem? – spytał Menke.

– Nie. A powinienem był?

– Niekoniecznie. Chodzi wyłącznie o to, że spodziewaliśmy się go na dzisiejszym spotkaniu. Prawdę mówiąc, oczekiwałem, że tego rodzaju spotkanie będzie dla niego absolutnym priorytetem... On postrzega sam siebie przede wszystkim jako strażnika ludzkich praw do wyrażania protestu, i szczerze mówiąc, myślę, że nam nie ufa... Tym bardziej byłem zaskoczony, że sobie to odpuścił. Przysłał nam maila z informacją, że nie da rady przyjechać.

– Ach tak... – mruknął Fabel.

Postanowił nie wspominać o tym, że poprzedniego wieczora był u Müllera-Voigta, ani też, że tego popołudnia bez powodzenia próbował się do niego dodzwonić.

– Bez wątpienia niebawem się zobaczymy, Menke.

Menke nie podniósł się z krzesła, tylko rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

– Oczywiście, Fabel.

Fabel już zdążył odwrócić się plecami, kiedy Menke znów się odezwał.

– A tak przy okazji... Widzę, że pani komisarz Wolff zbiera informacje o Pharos Project...

– Tak.

– Czy wolno mi zapytać dlaczego?

– Bo ja o to poprosiłem.

– A czy mogę wiedzieć, dlaczego pan ja o to poprosił? Czy to ma jakiś związek z tymi morderstwami?

Fabel westchnął ciężko. Nie chciał ujawniać przed funkcjonariuszem z BfV swojego zainteresowania Pharos Project, dopóki nie dowie się czegoś na temat tajemniczej Melihy Yazar, o której opowiadał Müller-Voigt. Jednak teraz, kiedy sprawa i tak wypłynęła, zdaniem Fabela nie było bardziej odpowiedniego człowieka niż Menke, żeby o to zapytać.

– Przyglądam się wielu różnym sprawom, Menke. Właśnie dlatego zwróciłem uwagę na Pharos Project. Lubię wszystko sprawdzić.

– Mógł pan przyjść z tym do mnie.

– Miałem taki zamiar. Biorąc pod uwagę naturę tej organizacji, to znaczy panujące ogólnie przekonanie, że jest to rodzaj sekty, mogłem zakładać, że z pewnością pozostaje ona w sferze zainteresowań pańskiego biura i że na pewno prowadzi pan dla niej akta.

– Och tak, rzeczywiście interesujemy się Pharos Project. – Menke zaśmiał się sardonicznie. – Ale nasz wydział nie prowadzi dla nich żadnych akt. Mamy pięciu ludzi zajmujących się tą sprawą w pełnym wymiarze godzin...

Fabel odsunął krzesło i z powrotem usiadł.

ROZDZIAŁ 19

Roman Kraxner spędził w Virtual Dimension całe dwie godziny. Właściwie to nawet więcej niż dwie.

Był zły na siebie za ten brak dyscypliny. Ale wszystko przez to, że coś mu się nie zgadzało. Od paru dni nie widywał się z Veroniką 534, a przecież sama wcześniej wyznaczyła dokładną godzinę, o której mieli się spotkać przy Moon Pools, na odległym krańcu laguny New Venice. Znow to samo. Takie rzeczy zdarzały się bez przerwy, ludzie nieoczekiwanie zostawali wciągnięci z powrotem w wir realnego świata i czasami nigdy nie wracali do Virtual Dimension. Ale Veronika 534 nie wydawała się osobą skłoną do tego typu uników. Fakt, że mnóstwo czasu spędzała z także Thorstenem66 – może w końcu się spotkali i połączyli w realu?

Roman miał paranoję na punkcie tego, że ludzie, z którymi nawiązał znajomość w Virtual Dimension, w końcu przejrzą na wylot utworzoną przez niego fasadę: że w końcu on zrobi albo powie coś, co pozwoli odkryć jego prawdziwą tożsamość. Roman był zarozumiałym człowiekiem; w najwyższym stopniu ufał swym zdolnościom intelektualnym i spoglądał z góry na resztę ludzkości jako na coś pośledniego. Ale jego przekonanie o swojej wyższości dotyczyło wyłącznie umysłu; tej części jego istoty, która była powiązana z technologią. Jeśli zaś chodzi o resztę, o fizyczną prezencję, to doskonale zdawał sobie sprawę, że w oczach wszystkich zainteresowanych jest wyłącznie nieatrakcyjnym grubasem. Tłustym komputerowym maniakiem, który poci się, cuchnie, prycha i rzeźzi.

Właśnie dlatego Roman tak bardzo obawiał się znajomych z Virtual Dimension. Nigdy, przenigdy nie mogło być mowy o spotkaniu w rzeczywistym świecie.

Kiedyś w jego życiu pojawiła się pewna dziewczyna. W rzeczywistym, normalnym życiu. Jedyna, z którą jak dotąd łączył go związek. Elena była zabawna i bardzo mądra. Oczywiście nie tak mądra jak Roman, ale i tak wyjątkowo inteligentna. Poznali się, kiedy przyniosła do serwisu swojego laptopa, żeby go naprawił. Podczas pracy nad nim Roman poszperał w każdym zakątku jej życia, uzyskując dostęp do osobistych informacji, zdjęć i zakupów, które robiła online. Wszystko wskazywało na to, że jest osobą tak samo samotną jak on. I w tajemniczy sposób, bez żadnego technologicznego pośrednika, Roman znalazł w sobie dość odwagi, żeby zaprosić tę dziewczynę na randkę. Nawzajem znaleźli w sobie pokrewne dusze i przez parę tygodni widywali się w miarę regularnie.

Jednakże okrutną prawdą – i prawdziwą ironią losu – było to, że Romanowi Elena wydawała się odrażająca fizycznie. Ona także była tłusta.

Jeżeli Roman czegoś nie cierpiał u kobiet, to tym czymś z pewnością była nadwaga.

Ta niechęć była zakorzeniona w jego umyśle. Z Eleną przyłgnęli do siebie dla towarzystwa, seks zaś wydawał się czymś, czym żadne z nich nie było zainteresowane, więc Roman z łatwością odsunął na bok odrazę, jaką budziła w nim jej tusza. Tak było aż do chwili, gdy pewnego wieczora wybrali się razem do kina. Zwykle spotykali się w amerykańskim fast-foodzie, który znajdował się mniej więcej w tej samej odległości od mieszkania każdego z nich, ale akurat tego dnia postanowili, że obejrzą film. Po drodze zauważyła ich grupka młodzieży. Rozwydrzeni smarkacze podążali ich śladem, trzymając się kilka metrów z tyłu i co chwila wybuchali śmiechem. Dosłownie ryczeli z uciechy, przedrzeźniali ich bez litości i nieustannie opowiadali wulgarne dowcipy, pozwalając sobie na sprośne uwagi na temat monsturalnych rozmiarów idącej przed nimi pary. W końcu młodzieńcy zmęczeni się i dali sobie spokój, ale było już za późno, szkoda została wyrządzona. Po filmie Roman i Elena pożegnali się jak zwykle, choć oboje wiedzieli, że więcej się nie spotkają. To wydawało się oczywiste,

wystarczyło, że się zobaczyli, dowodziły tego spojrzenia, jakimi się obrzucali. Spojrzenie pełne wzajemnej niechęci.

Po tamtym doświadczeniu Roman zaczął coraz bardziej odrywać się od rzeczywistego świata. Mniej więcej w tym samym czasie zrezygnował z pracy w sklepie komputerowym. Gardził klientami za ich ignorancję i głupotę, a jego stosunek do nich stawał się coraz bardziej wrogi – na tyle, że w końcu posypały się skargi. Zresztą wieczorami i tak zarabiał pięć razy więcej niż w sklepie, tyle że nielegalnie. Rezygnacja z pracy oznaczała, że mógł poświęcić jeszcze więcej czasu na swoją przestępczą działalność. Poza tym zniknęła też konieczność codziennego wychodzenia z domu.

Roman popatrzył na swój profil na Virtual Dimension. Fikcja wewnątrz fikcji, pomyślał. Sam sobie nadał angielskie imię – Ricky 334 – wymyślił całkowicie nieprawdziwą biografię i dołączył zdjęcie jakiegoś obcego faceta, ściągnięte z innej strony w sieci. Szczupłego, przystojnego, jasnowłosego faceta. W ten sposób jeszcze powiększał tę fikcję, ubierając swojego avatara w Virtual Dimension w ukradzione komuś ciało i dając mu cudzą twarz. Zasady głosiły, że możesz pozwolić ludziom obejrzeć swój „prawdziwy” profil jedynie wtedy, gdy znasz kogoś od pewnego czasu i spotykasz się z nimi w wirtualnym świecie New Venice – niewiarygodnie pięknym mieście, położonym w samym sercu urojonego wszechświata Virtual Dimension. Roman pozwolił, by Veronika 534 zobaczyła jego profil, ona zaś umożliwiła mu dostęp do swojego. Okazało się, że obydwójce mieszkają w Hamburgu, przez co możliwość spotkania w rzeczywistym świecie stawała się całkiem realna. Niebezpiecznie realna, przynajmniej tak myślał Roman. Potem odkrył, że to wcale nie jakiś niezwykły przypadek sprawił, że pochodzą z tego samego miasta. Virtual Dimension przyciągało ludzi z całego świata, lecz Roman przypuszczał, że po to, by dotrzymać obietnicy „konsolidacji” wirtualnej i fizycznej rzeczywistości, dokonywano analizy geograficznego pochodzenia konkretnych adresów IP i następnie łączono użytkowników w grupy, w zależności od tego, gdzie mieszkali.

Naturalnie Roman mógł temu zaradzić. Znał tuzin sposobów łączenia się z nieprzypisanych do żadnego regionu świata adresów IP, a nielegalne serwery umożliwiały mu ukrycie się za zarejestrowanymi danymi dotyczącymi innych użytkowników, lecz wchodząc na Virtual Dimension Roman, zawsze używał tego samego, niezmiennego i dokładnego pod względem geograficznym adresu IP. Niewiarygodne, ale był to prawdziwy i legalny adres, zarejestrowany w mieszkaniu, w którym Roman naprawdę przebywał. Wykorzystywał go jedynie w Virtual Dimension i nigdzie indziej, co w pewien sposób pozwalało mu na udowodnienie w pełni legalnego dostępu do internetu, wolnego od działalności związanej z defraudacją pieniędzy.

Roman zaparł się piętami o podłogę i jego masywne cielsko, wsparte na robionym na zamówienie krześle, gładko prześlizgnęło się i zatrzymało przed kolejnym monitorem. Poprzez firmę telekomunikacyjną z Buenos Aires zalogował się na swoim rachunku internetowym, stamtąd przeniósł się do bezpiecznej bankowości online w Hong-Kongu i przelał euro z rachunku w Londynie, które z kolei zakupił w Nowym Jorku za dolary. Po drodze napotkał kilka drobnych trudności, ale ich obejście nie zajęło mu więcej niż piętnaście minut, po upływie których był bogatszy o całe pięć tysięcy dolarów. Na koncie, które udało mu się okraść, figurowała okrągła suma ponad sześciu i pół miliona dolarów, i równie dobrze mógł je wyczyścić do zera, a nie zabrać jedynie skromne pięć tysięcy; jednak Roman zawsze działał w taki sposób. Stwierdził, że badający sprawę wyciągną zapewne taki wniosek, że jeśli któraś operacja była fałszerstwem, to konto równie dobrze mogło zostać opróżnione. Zatem stwierdzenie, że doszło do defraudacji pozbawione jest sensu. Potem przez całe miesiące będą grzebać w rachunkach, starając się dociec, co mogło się stać z tymi pięcioma tysiącami. W końcu dojdą do przekonania, że więcej

wydali na śledztwo, niż zostało zabranez konta, i umorzą sprawę, zmieniając ustawienia zabezpieczeń i zacieśniając monitoring.

Dlatego Roman nigdy nie uderzał po raz drugi w to samo miejsce. Zabierał mało, często i z różnych źródeł. Niepowiązane ze sobą defraudacje mogłyby zostać połączone z jego osobą tylko wówczas, gdyby jakiś śledczy uzyskał pełną wiedzę na temat wszystkich rachunków, na które Roman przelewał pieniądze. Ale oczywiście działał ponad granicami państw, więc jego działalność rozpracowywało wiele różnych agencji, z których każda miała ograniczone kompetencje.

Od czasu do czasu ogarniały go złe przeczucia; intuicja podpowiadała mu, że jego drobne kradzieże mogą zostać uznane za część zakrojonej na szeroką skalę operacji. Więc wtedy, na wszelki wypadek, okradał to samo konto po raz drugi; tym razem zabierając większą kwotę, żeby zasugerować, że złodziej robi się coraz bardziej pewny siebie. Potem włamywał się do banku albo do akt osobowych jakiejś korporacji i wpłacał nieuczciwie zdobyte pieniądze na rachunek jakiegoś niefortunnego urzędnika. Roman nigdy nie poświęcił ani jednej myśli na cierpienia jednostki, ani nie myślał o niesprawiedliwości, jaką powodowała jego działalność. Dla Romana ci ludzie nie byli prawdziwymi ludźmi, lecz jedynie strzępami informacji. Numerem pracownika i rachunkiem w banku. Danymi, unoszącymi się jak plankton w cybernetycznym oceanie.

Nie byli prawdziwymi ludźmi. Nie istnieli w rzeczywistym świecie.

Zorientował się, że wątek, za którym podążał, przypadkiem doprowadził go do zarządu pewnej korporacji, zajmującej się produkcją technologii przyjaznych środowisku, która mieściła się w San Francisco. Wycofał się stamtąd najszybciej jak mógł, po drodze zacierając swoje ślady. Roman nigdy nie atakował firm, które znajdowały się w Stanach Zjednoczonych albo w Rosji. Nie chodziło bynajmniej o to, że akurat te narody obdarzał szczególnymi względami. Amerykańskie FBI było powszechnie znane z wyszukanych metod – oraz nieustępliwości – w tropieniu hakerów i wszelkiego rodzaju kanciarzy. Jeśli przypadkowo włamałeś się do firmy, która dostarczała cokolwiek potężnej machinie wojskowej USA, wówczas FBI podążało twoim śladem aż na krańce świata, dokądkolwiek poszedłeś.

Zaś Rosjanie... No cóż, w wypadku Rosjan tak naprawdę nigdy nie było wiadomo, kogo faktycznie się okrada, a poza tym z tego kraju wywodzili się najbardziej utalentowani hakerzy świata. Amerykanie i Rosjanie mieli najlepszych cybergliniarzy i najlepszych internetowych oszustów na całej planecie. Jedynym rozsądnym wyjściem było trzymać się od nich z daleka.

Czym prędzej wycofał się z amerykańskiej korporacji. Po kolejnych piętnastu minutach był bogatszy o kolejne sześć tysięcy, tym razem euro, które podebrał z funduszu emerytalnego brytyjskich linii lotniczych.

Roman zawsze dokonywał transferów swoich pieniędzy, nieraz miesiącami przelewał je na różne konta: rozdzielał je, łączył ponownie, a potem znów rozdzielał, aż w końcu wpłacał niewielkie sumy na różne konta w niemieckich bankach, do których miał bezpośredni dostęp. Planował zbudować nowy komputer, który byłby szybszy niż ten, którym dysponował obecnie; prawdopodobnie również szybszy niż jakikolwiek komputer będący w posiadaniu gliniarzy. Jedyne, co musiał zrobić, to przelać wystarczającą sumę na rachunek, który obsługiwał kartę kredytową, żeby mieć fundusze na zakup dwóch interfejsów SATA HyperDrive Fives. Suma była o wiele większa niż te, które zwykle przysyłał jednym przelewem, lecz te napędy naprawdę były mu potrzebne.

Skończywszy, wyłączył cały sprzęt, co zajmowało trochę czasu i czego nie robił za każdym razem. Wówczas istniało większe ryzyko, że pojawią się jakieś problemy przy restartowaniu systemu. Unikał tego także z oczywistych względów, gdyby nagle do drzwi zapukali przedstawiciele którejś ze służb, restart uniemożliwiłby Romanowi natychmiastowe

podjęcie działań. Ale Roman lubił od czasu do czasu schłodzić twardy dysk. I zawsze miał w pogotowiu elektromagnes, zawsze gotowy do użycia.

Na wpół szurając, na wpół drecząc, powlókł się do kuchni, zabrał stamtąd torebkę przekąsek z oferty family size i zaniósł ją do salonu, gdzie usadowił się w wyżłobionym na stałe dołku, jakie jego cielsko pozostawiło na samym środku kanapy. Pilotem włączył telewizor, a następnie zajął się oglądaniem jakiegoś programu. Jedna kobieta, która chciała wrócić do pracy, musiała ściągnąć z Bawarii starą babcie, żeby ta nauczyła jej męża, jak prowadzić dom i utrzymywać mieszkanie w czystości przy użyciu przyjaznych środowisku, lecz tradycyjnych środków, czyli soku z cytryny, octu i innych tego typu rzeczy.

– Tylko po co? – Prychnął wzgardliwie, a potem wyłączył dźwięk w telewizorze i wziął do ręki telefon komórkowy, który dotąd leżał na stoliku.

Obejrzał dokładnie aparat. Całkiem niezły. Nokia 5800, z wbudowaną funkcją WiFi i nawigacją satelitarną.

Roman sam nie wiedział, dlaczego go ukradł. Siedział w kafejce jedząc lunch, kiedy do środka weszła ta dziewczyna i usiadła przy sąsiednim stole. Starał się na nią nie gapić, chociaż nie mógł nie zauważyć, jak bardzo była piękna: ciemne włosy, ogromne niebieskie oczy, wysoka, szczupła i elegancka sylwetka. Należała do tego rodzaju kobiet, które nigdy nie patrzą po raz drugi na kogoś takiego jak Roman, no chyba że rzucają mu spojrzenie pełne odrazy. Mimo to reprezentowała dokładnie ten typ kobiety, który budził w nim pożądanie; jedyny jaki budził w nim pożądanie. Była całkowitym przeciwieństwem Eleny.

Ale to wcale nie jej urodę zapamiętał najwyraźniej. W tej kobiecie z kawiarni – w jej spojrzeniu taksującym po obecnych, w sposobie, w jaki siedziała – było coś, co nie dawało mu spokoju. Mógłby przysiąc, że coś ją dręczyło. Wciąż zerkła na drzwi, jakby spodziewała się, że zaraz ktoś tam za nią wejdzie. Ale ponad wszystko zapadł mu w pamięć sposób, w jaki położyła na stole telefon – przykryła go papierową serwetką, a potem opuściła kawiarnię, zapominając, że go tam zostawiła. Roman zabrał ten telefon nie dlatego, że ona o nim zapomniała, on zaś dzięki temu miałby szansę, by go jej zwrócić, lecz dlatego, że całe to wyjście z kawiarni wydało mu się udawane. Ona wcale nie zapomniała o telefonie; celowo zostawiła go w miejscu, z którego łatwo mógł zostać skradziony, jeśli ktoś go znajdzie.

To było intrygujące. Ona była intrygująca. I nagle w tym jednym momencie, zaraz po jej wyjściu z kawiarni, Roman Kraxner – tłusty, łysiejący komputerowy maniak, trudniący się defraudacją pieniędzy – stał się samym sobą w wersji online, czyli Rickiem 334, prywatnym detektywem z New Venice. Czym prędzej zapłacił rachunek, po czym precyzyjnie swoje masywne cielsko obok stolika, przy którym przed chwilą siedziała tamta dziewczyna. Udał, że przypadkiem upuścił na blat przenośny, cyfrowy kalkulator, na którym wcześniej coś obliczał, i podnosząc go, nakrył dłonią tamtą nokię.

Cały wybieg okazał się całkiem niepotrzebny. Nikt nie patrzył w jego stronę. To właśnie było jedyną pociechą dla kogoś, kto był gruby albo paskudny: ludzie nie tylko cię nie zauważali, oni wręcz wysilali się, żeby cię nie zauważyć.

Zaciekawienie Romana wzrosło jeszcze bardziej, kiedy wrócił do domu i przejrzał zawartość aparatu. W książce adresowej nie było ani jednego kontaktu, jakby telefon został wyczyszczony na krótko przed podrzuceniem. Tak samo wykasowane zostały wszystkie wcześniejsze lokalizacje w nawigacji satelitarnej. Podobnie sprawa wyglądała z wiadomościami tekstowymi.

Jednak jedna rzecz pozostała nietknięta – dźwięk dzwonka. Taki sam dzwonek został ustawiony dla wszystkich funkcji: połączeń przychodzących, wiadomości tekstowych, alarmu. To była *Message in the Bottle* zespołu The Police. Kiedy Roman to odkrył, od razu wiedział, że

instynkt go nie zawiódł – nie pomylił się co do tej kobiety z kawiarni. Ona *celowo* zostawiła telefon, żeby on go odnalazł. Jak rozbitek, który wrzuca do morza butelkę z kartką, ona także zostawiła coś w tym telefonie. Jakąś wiadomość. Jedyne, co Roman musiał zrobić, to ją znaleźć.

Oczywiście nie stanowiło to dla niego problemu. Najwspanialszą rzeczą w telefonach komórkowych jest to, że mają mnóstwo różnych funkcji: telefon jest aparatem fotograficznym, kalendarzem, wyszukiwarką internetową, odtwarzaczem MP3... W przeciwieństwie do wcześniejszych modeli, ta generacja telefonów zasługiwała raczej na miano małych komputerów niż aparatów telefonicznych, a Roman dysponował oprogramowaniem, dzięki któremu mógł odzyskać dane.

Właśnie wtedy zaczęło się robić naprawdę interesująco.

ROZDZIAŁ 20

Anna Wolff stała przy oknie w biurze Fabla, przyglądając się ciemnym sylwetkom drzew w Winterhude Stadtpark. Na zewnątrz światło dnia zaczynało blednąć, a pozbawione chmur niebo przypominało płachtę ciemnoniebieskiego jedwabiu.

– To była całkiem długa przerwa na kawę... – Anna odwróciła się, kiedy Fabel wszedł do pokoju.

– O co ci chodzi? Monitorujesz nasz czas pracy? – mruknął i usiadł za biurkiem. – Przed chwilą odbyłem interesującą pogawędkę z Fabianem Menkem z BfV. O Pharos Project.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. O tym i o danych, które Sekcja Techniczna odzyskała z komputerów, zgarniętych przez nas dzisiajszego popołudnia – Anna popukała palcami w akta leżące na biurku. – To tylko wstępny materiał. Gdy my tu rozmawiamy, spece od komputerów ryją coraz głębiej w zawartości twardych dysków.

Zakrzywiła palce, pokazując pazury małego, pełzającego zwierzątka, zabawnie przy tym marszcząc nos.

– Znaleźli coś obiecującego?

– Absolutnie nic. – Westchnęła. – Wygląda na to, że każdy z tych facetów jest czysty jak łąza. Pokręcony jak diabli, ale czysty. Oczywiście, dzięki tobie wciąż *brakuje* nam jednego komputera.

– Nie mogłem mu go zabrać, Anno. Gdybyś była na moim miejscu... – Fabel zmarszczył brwi. – Chociaż nie... Gdybyś to ty tam była, na pewno zarekwirowałabyś komputer. I prawdopodobnie skonfiskowałabyś także wózek inwalidzki.

– Wiesz przecież, że i tak musimy sprawdzić komputer tego faceta – upierała się Anna. – Nawet jeśli jego zdrowie wyklucza go z grona podejrzanych, to nadal w jego korespondencji z ofiarami może znajdować się coś, co skieruje nas na właściwy trop.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Anno. Już to załatwiłem. Jeden z ludzi Krögera pojedzie do domu Reischa, żeby na miejscu zrobić przegląd twardego dysku. – Fabel wziął akta i przerzucił kilka stron znajdującego się wewnątrz raportu. – Mam wrażenie, że będziemy musieli dalej ryć. I zrobić nalot na kolejnych parę adresów IP.

– Można to tak ciągnąć w nieskończoność – zauważyła Anna.

– To wszystko, co na razie mamy – odpowiedział i skinął głową w kierunku krzesła. – Siadaj, Anno.

– Mnie jest tak całkiem dobrze – odparła z roztargnieniem. – Wolę stać. Siedziałam przez cały dzień i trochę cierpie mi noga.

Na ułamek sekundy Fablowi odjęło mowę. Anna odczytała to po swojemu.

– Janie, ze mną wszystko w porządku... Chciałabym, żebyśmy wreszcie przestali kręcić się dookoła tamtej sprawy. To nie była twoja wina.

Nie mówiąc ani słowa, gapił się na leżący przed nim raport – bardziej po to, by uniknąć kontaktu wzrokowego z Anną niż żeby poznać jego treść.

– To *była* moja wina – powiedział w końcu. – To ja dowodziłem akcją. Tak samo jak tamtej nocy, kiedy zginął Paul.

– Janie, wykonujemy niebezpieczny zawód. Ja o tym wiem i Paul także o tym wiedział. Nie możesz zabezpieczyć się na wypadek każdej ewentualności.

– Wiesz, on wciąż mi się śni – szepnęła Fabel bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem. – Właściwie prawie co tydzień, czasem co parę tygodni. Ten sen zawsze wygląda tak samo. Siedzimy w gabinecie mojego ojca, w domu moich rodziców w Norddeich, i Paul coś do mnie

mówi. To nie jest nic ważnego ani istotnego. Po prostu Paul tam siedzi i o czymś tam gawędzimy. Ale ja wiem, że on nie żyje. Ma ranę na czole i czasami tłumaczy, że trudno mu wyrazić opinię na temat czegoś, o czym właśnie rozmawiamy, ponieważ jest martwy.

– Myślałam, że te sny przestały się pojawiać – odparła Anna.

– Tak mówię Susanne. To oficjalna wersja. Wiesz, trudno żyć z psychopatą. Nie mam pojęcia, czy ona mi wierzy, ale właśnie to jej mówię. Rzecz w tym, że gdybym inaczej rozegrał tamtą sprawę, Paul nadal by żył, Maria Klee nie trafiłaby do szpitala dla czubków, a ty nie zostałabyś ranna... – Westchnął ciężko. – Bardzo przepraszam... Czy możemy zostawić ten temat?

– To ty jesteś szefem. – Anna uśmiechnęła się. – Wracając do Pharos Project, jeśli zapoznam cię z moimi odkryciami, czy powiesz mi o swoich?

– Mów... – Fabel z powrotem oparł się plecami o krzesło.

– Nie wiem, dlaczego poprosiłeś, żebym się tym zajęła, ale do mnie również dochodziły różne niemiłe wieści na temat Pharos. I nie pytam, skąd ty się o tym dowiedziałeś, ale bez wątpienia ta organizacja ma coś wspólnego z popełnionymi morderstwami.

Fabel sprawiał wrażenie całkiem oszołomionego.

– Czy właśnie dlatego mnie poprosiłeś, że wiedziałeś? – pytała Anna.

– Nie... Nie, wcale nie. Powiedziałem przecież, że z całkiem innego powodu.

– W takim razie to zbieg okoliczności – odparła Anna. – Trzeba było poświęcić trochę czasu na rozwikłanie zagadki, ale wyszło na jaw, że Dominik Korn, który jest szefem Pharos Project, kieruje także konsorcjum, które jest właścicielem i operatorem Virtual Dimension. To gra oparta na symulowaniu rzeczywistości; wszystkie ofiary były tam zarejestrowane. A więc *dlatego* zainteresowałeś się Pharos Project?

– Trudno powiedzieć... Myślałem, że może istnieć jakiś związek między nimi a tym ciałem, które ostatnio znaleźliśmy. Chodzi o ten korpus przyniesiony przez wodę – wyjaśnił Fabel i znów westchnął. – Jest pewna kobieta, która niedawno zaginęła. Nazywa się Meliha Yazar. Sądzę, że Pharos Project może mieć z tym coś wspólnego. Możliwe, że próbowała na własną rękę prowadzić jakieś śledztwo.

– Janie, w co ty się wpakowałeś?

Anna oderwała się od okna, podeszła do biurka, przy którym siedział Fabel, i oparła się o blat. Na jej twarzy pojawiło się prawdziwe zaniepokojenie.

– W coś, w co być może nie powinienem był się pakować – przyznał i naprawdę tak uważał. – Wrobił mnie w to Berthold Müller-Voigt. Anno, tylko niech to zostanie wyłącznie między nami...

Skinęła głową na znak zgody.

– Müller-Voigt jest związany z tą kobietą... – zaczął Fabel.

– I z połową żeńskiej populacji Hamburga, z tego, co słyszałam – prychnęła Anna.

– To nie tak. Müller-Voigt zwariował na jej punkcie. I naprawdę rozpacza z powodu jej zniknięcia...

Fabel w ogólnych zarysach przedstawił to, co zaszło między nim a senatorem Komisji do Spraw Ochrony Środowiska.

– Wiesz – powiedziała Anna, kiedy skończył – chyba jednak lepiej będzie, jeśli usiądę. Nie masz pojęcia, czego dowiedziałam się na temat Pharos Project. Jeśli ta laska od Müllera-Voigta naprawdę usiłowała przeprowadzić jakieś własne śledztwo, to mogła wpakować się w niezłą kabałę. Pharos Project został stworzony przez Dominika Korna... Słyszałeś o nim?

– Nigdy wcześniej, dopiero gdy Müller-Voigt wymienił to nazwisko – odparł Fabel.

– Nic dziwnego. Dominik Korn jest co prawda jednym z najbogatszych ludzi na świecie,

wartym grube miliardy, podobnie jak jego zastępca, Peter Wiegand, lecz jednocześnie jednym z tych, którzy upodobali sobie życie pustelnicze. Nikt poza Wiegandem i gronem najbliższych współpracowników od lat nie miał z nim kontaktu. Czasami bierze udział w wideokonferencjach z ludźmi, którzy zajmują ważne stanowiska w jego biznesowym imperium. Mieszka na ogromnym jachcie. Naprawdę ogromnym. Przy nim przeciętny rosyjski oligarcha może mieć kompleksy.

– Czemu żyje z dala od ludzi?

– Z tego, co udało mi się wytropić, podczas nurkowania przydarzył mu się jakiś wypadek, który zakończył się dla niego czymś w rodzaju rozległego wylewu, wywołanego chorobą dekompresyjną i innymi komplikacjami. Facet nie powinien był przeżyć i to prawdziwy cud, że udało mu się, chociaż jest w takim samym stanie jak ten gość, którego dziś przesłuchiwałeś. Od tamtej pory wymaga całodobowej opieki.

– I właśnie on jest główną postacią tej sekty?

– Guru numer jeden, jak się zdaje. Ktoś może odnieść wrażenie, że to skończony świr, ale podobno umysł ma tak samo wielki, jak wielkie są jego pieniądze i jacht. Krążą plotki, że jego IQ wykracza poza górną granicę skali. Studiował... – Anna zerknęła do notatnika. – W Stanach Zjednoczonych oceanografię, hydrologię i nauki ekologiczne... Nawiasem mówiąc, posiada podwójne obywatelstwo, amerykańskie i niemieckie... Potem obronił doktorat z hydrologii, a następnie został hydrometeorologiem.

Anna znowu zajrzała w notatki.

– „Zajmował się wzajemnym oddziaływaniem ogromnych zbiorników wodnych i klimatu”. Korn stał się światowym ekspertem w dziedzinie ekohydrologii. Właśnie nad tym pracował, kiedy zdarzył się wypadek. Stworzył jakiś unikalny pojazd podwodny, żeby z jego pokładu móc prowadzić badania, i właśnie odbywał na nim dziewiczą podróż, kiedy wszystko się spieprzyło.

– Masz na myśli wypadek?

– I olśnienie, jakiego doznał.

– Taaak... – mruknął Fabel. – Müller-Voigt wspomniał o jakimś objawieniu, którego Korn doświadczył na dnie morza...

– Bezpośrednio przed wypadkiem Pharos Project był ośrodkiem badań oceanograficznych. Korn wpakował w to przedsięwzięcie grube miliony, które pochodziły z jego własnej kieszeni. Na dnie oceanu prowadził masę badań, między innymi, jaki wpływ na środowisko mają rozmaite ludzkie działania. Ale potem, już po wypadku i po obrażeniach, jakich w nim doznał, Korn zmienił charakter Pharos Project. Najpierw organizacja stała się ciałem lobbystycznym, prowadzącym kampanię przeciwko eksploracji morskiego dna w poszukiwaniu ropy naftowej. Zdobyli wiarygodność, zwłaszcza po tym, co narobiło BP w Zatoce Meksykańskiej. Potem Korn zaczął popierać działania członków Pharos Project, angażujących się w protesty i bezpośrednie akcje. Później, mniej więcej dziewięć miesięcy po wypadku, Korn zaczął mówić o swoim objawieniu i o tym, co ono oznacza.

– Czyli?

– Przez całe swoje dorosłe życie Dominik Korn przedstawiał się jako zwolennik „głębokiej ekologii”, co najwyraźniej oznaczało dla niego, że ludzie nie powinni postrzegać siebie jako odrębnej części ogólnego ekosystemu, za to powinni kształtować środowisko z poszanowaniem jego praw, zachowując bioróżnorodność, i tak dalej. Jednak po wypadku odrzucił pierwotną koncepcję i stał się orędownikiem teorii rozłączenia. Twierdził, że po eksperymencie na głębokości pięciu tysięcy metrów objawiła mu się uniwersalna prawda.

– Jak wszystkim – odparł Fabel. – Biorąc pod uwagę liczbę sekt, tych uniwersalnych

prawd musi być od cholery i ciut ciut.

– No cóż, to konkretne objawienie Korna sprowadzało się do tego, że doznał uszczerbku na zdrowiu, ponieważ jako człowiek znalazł się w środowisku, w którym żadna ludzka istota nie miała prawa przebywać. Filozofia Pharos Project głosi, że ludzkość powinna sama usunąć się ze środowiska. – Anna wzruszyła ramionami. – Na tym polega rozłączenie, o którym mówił.

– Skąd wytrzasnąłeś te wszystkie informacje?

– Od chłopaków ze służb federalnych – odparła Anna. – Mam tam swoją wtyczkę. Szczerze mówiąc, mego byłego narzeczonego. Był dość ostrożny. Powiedział, że jego zdaniem to poważne wyzwanie dla BfV. Najwyraźniej również francuskie służby bezpieczeństwa i amerykańskie FBI na serio wzięły się za Pharos Project. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi i skąd to nagle zainteresowanie wszystkich, ale Pharos Project znajduje się na wszelkiego rodzaju gorących listach.

– Też tak wywnioskowałem. Twoje węszenie w moim zastępstwie zostało zauważone.

– Menke?

– Tak. Wie o twoich poszukiwaniach. Twój były chłopak najwyraźniej był tak ostrożny, że uważał, iż musi chronić swój własny tyłek.

– Co Menke ci powiedział? – zapytała Anna.

– Mniej niż ty, ale wystarczająco dużo, żeby rozumiał, że jeżeli Meliha Yazar faktycznie węszyła wokół Pharos Project, to Müller-Voigt miał wszelkie podstawy sądzić, że grozi jej niebezpieczeństwo. Menke obiecał, że później prześle mi nieco więcej informacji.

– Ale? – Anna uniosła jedną brew.

– Ale wyczułem, że nasze zainteresowanie nie jest mile widziane. Prawdę powiedziawszy, nie zwierzyłem się Menkemu z tego, co powiedział mi Müller-Voigt, ani z jego obaw o losy Melihy Yazar. Menke mówił, że Pharos Project spełnia wszystkie kryteria niebezpiecznej sekty, zwłaszcza jeśli chodzi o dyktatorską kontrolę nad członkami organizacji. Co prawda Menke nie podał żadnych szczegółów, ale mam wrażenie, że mamy do czynienia ze starymi, sprawdzonymi metodami: rozmowa staje się formą indoktrynacji, a indoktrynacja zmienia się w pranie mózgow. Menke mówił, że Korn dołożył swoje własne wypaczone pomysły tu i ówdzie. Inną kwestią, która wyróżnia Pharos Project, jest jego siła finansowa. Izba wewnętrzna Pharos Project składa się z zarządów rozmaitych spółek, które wchodzi w skład biznesowego imperium Korna. Z tego, co mówisz, dotyczy to również twórców Virtual Dimension.

– Może powinniśmy zmienić twoje potajemne niuchanie wokół Melihy Yazar w całkiem oficjalne śledztwo? Jeśli naprawdę uważasz, że to jej zwłoki mogły zostać przyniesione przez wodę... Możemy przecież pozyskać od jej krewnych próbkę DNA.

Ale Fabel pokręcił głową.

– To nie takie proste, jak ci się wydaje... Tak czy owak, wciąż myślę, że to może być szukanie wiatru w polu. – Zerknął na zegarek; dochodziła jedenasta trzydzieści. – Zrobiło się strasznie późno. Jadę do domu. Wrócimy jeszcze do tego tematu jutro z samego rana.

Gdy Fabel wysiadł z windy i szedł na ukos przez podziemny parking komisariatu, znów próbował zadzwonić na komórkę Susanne. Zaklął jak szewc, kiedy kolejny raz odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość, że dzwoni z zastępczego telefonu i że prosi, by się z nim skontaktowała.

Ostatni raz jadł w porze lunchu, ale nie miał ochoty gotować, więc postanowił, że po drodze do domu wstąpi na jakąś przekąskę. Prowadząc auto przez spowite nocą miasto, przebiegał myślami przez wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Dwa znalezione w wodzie ciała. Dwie kompletnie różne metody działania mordercy.

Należało przypuszczać, że rano prasa narobi szumu dookoła tych drugich zwłok, a van Heiden zacznie go dręczyć telefonami, żeby znów wygłaszał oczywiste stwierdzenia... Dziwne, ale najbardziej dręczyła go wczorajsza rozmowa z Müllerem-Voigtem, oraz wszystko, czego od tamtego czasu dowiedział się na temat Pharos Project.

Gdy tylko zatrzymał swoje bmw, dotarło od niego, że coś jest nie tak. Działał jak na włączonym autopilocie i odruchowo skierował auto w stronę portu. Wiedział, co go tu sprowadziło i od razu poczuł, że ciężki jak ołów smutek przygniata mu piersi. W związku z tym, że pracował do późnego wieczora i miał zamiar zjeść coś po drodze do domu – tak jak wiele razy przedtem – mimowolnie przyjechał tutaj, żeby kupić sobie piwo i coś gorącego w barze Schnellimbiss, należącym do Stellamannsa.

Dirk Stellamanns zaczął prowadzić bar z przekąskami, gdy zakończył pracę w Polizei Hamburg i przeszedł na emeryturę. Podobnie jak Fabel, Dirk był z pochodzenia Fryzyjczykiem, i jako doświadczony oficer wprowadzał młodszego kolegę w tajniki zawodu, kiedy ten rozpoczynał służbę. Wziął go pod swoje skrzydła i we dwóch gawędzili w dialekcie fryzyjskim. Lata mijały, i mimo iż Fabel szybko piął się po szczeblach kariery, ci dwaj pozostali sobie bliscy. Później, po odejściu na emeryturę, Dirk założył całkiem porządny barek – przyczepę z otwieranym jak lada oknem i baldachimem, otoczoną przez sięgające do pasa stoliki z zatkniętymi parasolami – oazę smaku w samym środku dawnego rejonu, gdzie niegdyś chodził na patrole, i w cieniu portowych żurawi, które majaczyły na tle nieba.

Fabel wpadał tam regularnie, żeby napić się piwa i coś przekąsić, zwłaszcza gdy dręczył go jakiś problem. Samo spotkanie z Dirkiem i wsłuchiwanie się w jego akcent – szeroki i płaski jak kraj, w którym obydwaj dorastali – natychmiast poprawiało mu humor. Stellamanns był właśnie takim rodzajem człowieka: nieważne, jak ciężkie wyzwania stawiało przed nim życie, on potrafił z filozoficznym spokojem podejść do każdego z nich.

Fabel wysiadł z auta, zatrzymał się w plamie światła na wybrukowanej ulicy i popatrzył na porośnięty krzakami beapański skrawek ziemi, który znajdował się tuż obok drogi prowadzącej do doków.

Rok wcześniej, w pewien szczególnie upalny letni dzień, Dirk miał wyjątkowo dużo roboty. Jego wierną klientelę stanowili przede wszystkim kierowcy ciężarówek, którzy zatrzymywali się tutaj po drodze do doków lub kiedy z nich wracali. Dirk stał właśnie nad piecykiem, kiedy przydarzyło się nieszczęście – rozległy atak serca, który zabił go, zanim zdążył upaść na podłogę.

Przez tych kilka chwil, kiedy myśli Fabla krążyły dookoła innych spraw, w jego podświadomości Dirk wciąż pozostawał żywy, a bar z przekąskami był otwarty dla klientów, tak jak zwykle.

Świat dookoła Fabla wciąż się zmieniał. I tak jak innym, jemu także czasami zdarzało się tracić kontakt z rzeczywistością. Ludzie, o których sądził, że są wieczni, i że zawsze będą na swoim miejscu, odchodzili nagle i niespodziewanie. Na moment całkiem zapomniał o tym, że Dirk nie żyje, i to przygnębiło go i zdenerwowało. Tak samo zachowywał się, wspominając swój dom rodzinny w Norddeich; czasami wydawało mu się, że dawno już nieżyjący ojciec wciąż jest z nimi, i że zsuniętymi na czubek nosa okularami siedzi w swoim gabinecie, pochylając się nad jakąś starą mapą wybrzeża. Właśnie tak to wyglądało: człowiek nosił w głowie cały wszechświat, ten sam wśród którego dorastał, i ten wszechświat wciąż tam był, niezmienny i stały.

– Nie ma już jej.

Fabel drgnął, zaskoczony czyjąś obecnością. Z mroku wysunęła się młoda kobieta i zatrzymała się w kałuży światła. Spojrzał w jedną i drugą stronę ulicy, ale nigdzie nie dostrzegł nawet śladu innego samochodu.

– Słucham?

– Nie ma już jej – powtórzyła. – Tej budki z przekąskami.

– Ach, tak... Tak, wiem o tym.

– Sama jej szukałam – powiedziała, a Fabel przez moment zastanawiał się, czy ma do czynienia z prostytutką, która zawędrowała poza ich rewir.

Ale ta kobieta była elegancko ubrana, w ciemnoszary kostium i pantofle na obcasie, zupełnie jakby pracowała w jakimś banku albo towarzystwie ubezpieczeniowym. Miała świetną fryzurę i regularne rysy twarzy. W sumie wydawała się dość atrakcyjna, chociaż z pewnością nie należała do tych, które pozostawiają po sobie niezatarte wrażenie.

– Nie zaglądałem tu od pewnego czasu – dorzucił Fabel.

– To tak jak ja – odpowiedziała.

– Gdzie zaparkowała pani samochód? – zapytał. – Nie widzę...

– Och, gdzieś tam. – Wykonała nieokreślony ruch ręką, mniej więcej wskazując pozostałą część drogi prowadzącej do doków. – Czy pan jest policjantem?

– Czemu pani pyta?

– Po prostu pańskie pytanie wydaje się typowe dla policjanta. Zresztą zdaje się, że ten człowiek, który prowadził bar, też kiedyś pracował w policji. Wśród jego klientów było mnóstwo dawnych kolegów... Poza tym nie wygląda pan na kierowcę ciężarówki.

– Tak sądzę. Co panią tu sprowadza?

– Jak już mówiłam, szukałam „Schnellimbiss”. Miałam ochotę coś przekąsić.

– To raczej marne wytłumaczenie.

– Tak naprawdę wcale nie... Dobrze go pan znał? To znaczy, tego gościa, który prowadził bar?

– Bardzo dobrze.

– Był bardzo miłym człowiekiem. Był... – próbowała odnaleźć właściwe słowo. – Był... taki dobronudny.

Fabel czuł się coraz bardziej niepewnie. W tej dziewczynie było coś, co nie dawało mu spokoju. Tak, jakby próbowała z nim flirtować, choć jej pozbawiona wyrazu twarz przywiodła mu na myśl Reische, człowieka na wózku inwalidzkim, z przerażająco jasną wizją swojej najbliższej przyszłości.

– Wciąż nie bardzo rozumiem, co pani tutaj robi – powiedział, wyjmując policyjną legitymację i otwierając ją pstryknięciem. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zobaczyć pani dowód.

– A jeśli mam coś przeciwko temu?

– Mimo wszystko i tak chciałbym go zobaczyć.

– Nie rozumiem, czemu pan się o mnie martwi. To nie ja tkwię w przeszłości i nie ja zapomniałam, że mój przyjaciel nie żyje.

Fabel nieco zeszywniał.

– Okay, proszę mi pokazać dowód.

– Oczywiście, panie władzo.

Uśmiechnęła się, ale to był sztuczny uśmiech; zrobiła tak, ponieważ tego od niej oczekiwano. Potem sięgnęła do torebki i wyjęła stamtąd dowód osobisty. Z dokumentu Fabel dowiedział się, że dziewczyna nazywa się Julia Henning i że mieszka w Eppendorf.

– Po prostu chciałam zamienić z panem kilka słów. Czy to coś złego?

– Nie, Frau Henning. Po prostu powinna pani być bardziej ostrożna. To dość odludne miejsce i sporo pani ryzykuje, spacerując tutaj sama.

– Nie jestem przecież sama, prawda? Chroni mnie policja. A może pan się martwi, że

umówiłam się przez internet na randkę z Zabójcą z Sieci?

– To bardzo dziwne, co pani powiedziała.

– Naprawdę? W połączeniu z pańską troską o moje bezpieczeństwo... On teraz pojawia się we wszystkich dziennikach... – Westchnęła. – Tak czy owak, już nie będę zwracać panu głowy. Dobranoc, panie nadkomisarzu.

– Skąd pani wie, jaki mam stopień?

Wzruszyła ramionami.

– Z pańskiej legitymacji. Tam wszystko jest napisane. Dobranoc. Mam nadzieję, że w końcu znajdzie pan miejsce, gdzie można coś zjeść.

Fabel obserwował ją, jak odchodziła w ciemność. Wsiadając z powrotem do swojego bmw, zadzwonił do komisariatu i podał nazwisko oraz adres w Eppendorf, gdzie była zameldowana ta dziewczyna. Dyżurny po chwili przekazał mu informację, że nazwisko oraz adres zostały sprawdzone i że ta kobieta nie figuruje w żadnych rejestrach. Fabel odczekał kilka chwil, włączył silnik i powoli skierował się w stronę doków – w stronę, w którą odeszła dziewczyna – chciał się upewnić, że bezpiecznie dotarła do samochodu. Po trzech albo czterech minutach dotarł do końca ślepej uliczki, czyli zamkniętej bramy, prowadzącej do doków.

Nigdzie nie dostrzegł nawet śladu tamtej dziewczyny. I po drodze nie minął go żaden samochód jadący w przeciwnym kierunku.

ROZDZIAŁ 21

Fabel obudził się zdjęty przerażeniem. Znowu przyśnił mu się jakiś sen i pamiętał, że było w nim coś okropnego, ale kiedy już otworzył oczy, za nic nie mógł przypomnieć sobie, o co chodziło. Miał jednak niejasne wrażenie, że pojawiła się w nim tamta kobieta, którą spotkał poprzedniego wieczora.

Za oknem nie zrobiło się jeszcze całkiem jasno, więc włączył stojącą obok łóżka lampę i zerknął na zegarek. Dochodziła szósta rano. Wyciągnął rękę, podniósł leżący na nocnej szafce telefon zastępczy i zmarszczył czoło. Susanne nie zadzwoniła. Nawet nie pofatygowała się napisać SMS-a i poinformować go, którym samolotem ma zamiar wracać.

Wstał z łóżka, wziął prysznic, ale nadal czuł się zmęczony. Zmęczony, ospały i niemrawy. Wyszedł z mieszkania wcześniej niż zazwyczaj, żeby wstąpić na śniadanie do pewnej kafejki. Bywał tu wystarczająco często, by go rozpoznawano, ale nie na tyle regularnie, żeby można było uznać go za stałego klienta. Dzięki temu mógł oszczędzić sobie trudu prowadzenia rozmowy o tak wczesnej porze. W kawiarni było cicho i spokojnie; poza nim jedynymi gośćmi była jakaś para siedząca przy stoliku na samym końcu, z dala od okna. Obydwoje, mężczyzna i kobieta, ubrani byli w identyczne szare garnitury, typowy strój ludzi zajmujących się biznesem. Obrzucili go obojętnym spojrzeniem, gdy wchodził do lokalu, i zaraz ze smutnymi minami powrócili do picia kawy.

Z jakichś, nie do końca zrozumiałych dla niego przyczyn, kawiarnia oferowała kilka rodzajów śniadań, z których każde nosiło angielską nazwę, powiązaną z którymś z portowych miast – również nie wiadomo dlaczego. W menu były: The Hamburg Breakfast, The Liverpool Breakfast, The Rotterdam Breakfast... Fabel zdecydował się na śniadanie w wersji Rotterdam i dostał danie w stylu holenderskiego Uitsmijter: gotowane jajko na podkładzie z szynki, sera i tostowego pieczywa, serwowane z filiżanką piekielnie mocnej kawy. Usiadł i przez dziesięć minut przesuwiał jedzenie po talerzu, jednocześnie obserwując przez szybę, jak drobna mżawka bez przekonania rozbija się o ciemne wody Łaby. Nagle ciszę przerwało brzęczenie komórki.

– Co się dzieje, do wszystkich diabłów? – zawołała z irytacją Susanne, nie siląc się na żaden wstęp.

– Ja też się cieszę, że wreszcie raczyłaś się odezwać – odparł z przekąsem. – Od paru dni staram się do ciebie dodzwonić. Czyżbyś nie dostała żadnego z moich SMS-ów?

– Jakich SMS-ów? Jediną wiadomością, jaką od ciebie dostałam, była ta wysłana dziś rano z nowego telefonu. Co się tam dzieje, Jan? Co się stało z twoim aparatem?

– Znowu nawalił. No wiesz, zwykłe problemy: brak sygnału, krótka żywotność baterii, samorzutne przepowiadanie, gdzie znajdziemy następną ofiarę Zabójcy z Sieci...

– Co takiego?!

– Ten SMS, o który cię pytałem... Pamiętasz? Poppenbütteler Schleuse. Dostałem wiadomość tej treści, a kilka godzin później w Poppenbütteler Schleuse wypłynęło ciało kolejnej ofiary.

– Żartujesz... – Susanne zmartwiała. – Udało ci się ustalić, kto faktycznie wysłał tę wiadomość?

– Właśnie w tym miejscu zaczynają się schody, bo wyobraź sobie, że ten SMS zniknął. W jakiś sposób sam się wykasował. Właśnie dlatego dostałem nowy telefon. Nasi spece pracują nad tym starym, starając się odzyskać wiadomość. Czy jedziesz już na lotnisko we Frankfurcie?

– Tak... Ale lot mam dopiero po południu. Najpierw chcę wybrać się na zakupy. Czy będziesz mógł mnie odebrać?

– Jasne. Kiedy przylatujesz?

Susanne odczytała podany w rozkładzie czas przylotu.

– Posłuchaj, Jan – powiedziała, a w jej tonie pobrzmiwał niepokój. – Mówiłeś, że wysłałeś do mnie wiadomości z tamtego telefonu?

– Tak. I nagrałem się na pocztę głosową.

– Nic do mnie nie dotarło. A z tego, co opowiadasz wynika, że ty również nie otrzymałeś ode mnie żadnych wiadomości.

– Zostawiłaś dla mnie jakieś wiadomości? Nie, niczego nie dostałem.

– Ale to nie ma sensu! Wiadomości głosowe nie są przecież przechowywane w pamięci telefonu, tylko w serwisie twojego operatora sieci. Spróbuj je odzyskać przy pomocy kodu PIN. Nie podoba mi się to, Janie. Zupełnie jakby ktoś uprowadził twój telefon. Sklonował go albo coś w tym rodzaju.

– Nie wiem, Susanne. To strasznie naciągana wersja. Może sam przypadkiem wykasowałem tę wiadomość? Tak czy owak, sekcja techniczna pewnie wkrótce da mi znać, co się stało... – Urwał na chwilę. – Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię – odpowiedziała Susanne. W jej głosie nadal słychać było nutkę zatroskania. – Zobaczmy się na lotnisku.

Fabel zapłacił za posiłek i zostawiwszy większą część Rotterdam Breakfast na talerzu, powędrował z powrotem do samochodu. Po zbyt mocnej kawie czuł się nieco rozdygotany i niespokojny, więc jadąc przez miasto do komendy włączył odtwarzacz MP3, żeby trochę się wyciszyć. Tym razem zdecydował się na Larsa Danielssona. Może powinienem był urodzić się Szwedem, pomyślał.

Muzyka podziałała na niego tak, jak się spodziewał, i kiedy parkował auto na parkingu pod gmachem Komendy Głównej, pomimo kołatania spowodowanego przez nadmiar kofeiny był gotów do stawienia czoła wszystkiemu, co miał przynieść ten dzień.

Nie mógł bardziej się pomylić.

ROZDZIAŁ 22

Gdy tylko Fabel wyszedł z windy, od razu wyczuł, że coś jest nie w porządku.

Po drodze do swojego biura minął Annę, idącą w przeciwnym kierunku. Na jego widok zawahała się i poruszyła ustami, jakby chciała coś mu powiedzieć, ale przeszkodził jej w tym van Heiden, który właśnie wychylił głowę na korytarz i zawołał, żeby Fabel przyszedł do Wydziału Zabójstw. Anna ruszyła w dalszą drogę, ale przedtem rzuciła mu spojrzenie tak naładowane sygnałami ostrzegawczymi, że poczuł nagły skurcz w żołądku.

W głównym biurze wydziału już na niego czekali: van Heiden, Fabian Menke z BfV i Werner, który uśmiechnął się na powitanie, lecz w jego uśmiechu kryło się współczucie zmieszane z frustracją i zdesperowaniem. Cokolwiek ścisnęło żołądek Fabla, kiedy mijał Annę, teraz zacisnęło się jeszcze bardziej.

Przez lata pracy Fabel zdążył przyzwycząić się do ponurych powitań w wykonaniu dyrektora Wydziału Kryminalnego, van Heidena. Często czuł, że jego przełożony jest człowiekiem o bardzo ograniczonym zasobie emocji. Fabel miał wrażenie, że van Heiden dysponuje tylko dwojaką ekspresją: ponurą powagą i jeszcze bardziej ponurą powagą. Jego markotny nastrój często obniżało niepożądane zainteresowanie prasy albo polityczne naciski na będące w toku śledztwo, bądź też krytyczne w stosunku do policji hamburskiej nagłówki w gazetach. Ale tym razem chodziło o coś innego, tego Fabel był pewien. I cokolwiek wywołało taki wyraz na twarzy dyrektora Wydziału Kryminalnego, on widział go po raz pierwszy.

– Dlaczego mam wrażenie, że przyjechałem na pogrzeb, tylko po to, żeby się dowiedzieć, że to mój własny? – zażartował, uśmiechając się do van Heidena, ale kompletny brak reakcji przypomniał mu, że jego szef miał poczucie humoru tak samo ograniczone jak zakres emocji. – Co się stało?

– Najlepiej, jeśli pójdziesz z nami – odparł van Heiden. – Pan także, komisarzu Meyer.

– Okay... – westchnął Fabel, gdy jechali windą na piąte piętro. – Czy możecie choćby zasugerować mi, o co chodzi?

– O Müllera-Voigta – zaczął Werner, ale zaraz umilkł pod ostrym spojrzeniem van Heidena.

Fabel pozwolił, by jego szef i człowiek z BfV poszli przodem. Jeśli pełnił funkcję taką jak Fabel albo był niższy rangą, piąte piętro gmachu Komendy Głównej Policji w Hamburgu było miejscem, do którego musiał zostać zaprowadzony. Na tym poziomie urzędowało całe kierownictwo i kiedy Fabel zorientował się, że idą prosto do biura komendanta, jego złe przeczucia natychmiast zwiększyły się na skali niepokoju o kreskę lub dwie. W końcu znaleźli się w sekretariacie i natychmiast zostali wpuszczeni do gabinetu komendanta.

Hugo Steinbach wyszedł zza ogromnego biurka, żeby powitać Fabla i pozostałych. Tak jak van Heiden nie mógł być nikim innym jak policjantem, tak Steinbach wyglądał na kogoś, kto z pewnością nie ma nic wspólnego z policją. Fabel zawsze uważał, że dobrotliwy, wiecznie uśmiechnięty Steinbach przypomina raczej wiejskiego doktora, który leczy całą rodzinę, lub jowialnego, gościnnego właściciela hotelu na prowincji. A jednak ten człowiek był policjantem z krwi i kości. Steinbach rozpoczął służbę w policji jako zwykły funkcjonariusz z patrolu i w czasie swojej kariery przeszedł przez wszystkie stopnie i przez każdy departament. Szczycił się tym, że kiedy rozmawiał z którymkolwiek ze swoich funkcjonariuszy, dobrze wiedział, na czym polega jego praca, bo poznał ją na własnej skórze. To było prawdą, nawet w wypadku Fabla: Steinbach niegdyś był wybitnym detektywem Wydziału Zabójstw Policji w Berlinie.

– Oj, czyżby chodziło o moje wydatki? – zapytał Fabel i zaśmiał się krótkim, nerwowym

śmiechem.

– Proszę, niech pan siada – odpowiedział Steinbach z łagodnością, która jeszcze bardziej pozbawiła Fabela odwagi.

Usiadł posłusznie, ale czuł, jak niepokój stopniowo zaczyna ustępować miejsca irytacji.

Steinbach od niechcienia przysiadł na rogu biurka, wziął do ręki jakieś akta i pobieżnie przejrzał ich zawartość.

– Wczoraj wieczorem dzwonił pan na komendę, żeby sprawdzić tożsamość pewnej kobiety. Kobiety, która nazywała się Julia Henning.

– Och, tak... Tak, faktycznie dzwoniłem. Co z nią?

– I potwierdził pan oficerowi dyżurnemu, że ona mieszka w Eppendorf... Dlaczego sprawdzał pan to konkretne nazwisko i adres?

– To wydarzyło się wkrótce po tym, jak wczoraj wieczorem wyszedłem z pracy. Miałem zamiar zatrzymać się gdzieś po drodze do domu i coś przekąsić, ale całkiem zapomniałem... – Fabel zatrzymał się w pół zdania.

Nagle wspomnienie o tym, że całkiem zapomniał o śmierci faceta, który przez dwadzieścia kilka lat był jego bliskim przyjacielem, wydało mu się niezbyt rozsądne. Siedział i myślał, że jeżeli ta rozmowa w rzeczywistości jest przesłuchaniem, to takie wyznanie musiałyby zabrzmieć co najmniej dziwnie.

– Zapomniałem, że budka, do której zmierzałem, została zamknięta. A potem, nie wiadomo skąd, pojawiła się tam pewna kobieta. Jej zachowanie było... No cóż, dość nietypowe. Sam nie wiem czemu, ale miałem wrażenie, że ona doskonale wie, kim jestem.

– Co sprawiło, że odniósł pan takie wrażenie? – zapytał Steinbach.

– Właściwie nie wiem – odpowiedział szczerze Fabel. – To chyba kwestia rzeczy, o których mówiła. Na przykład wiedziała wszystko na temat faceta, który kiedyś prowadził tę budkę z przekąskami. I wydawało mi się, że wie nawet, że ten człowiek był moim przyjacielem.

– Dirk Stellamanns? – spytał Werner, marszcząc brwi.

Fabel obawiał się takiej właśnie reakcji. Wiedział, że jego słowa musiały zabrzmieć dziwnie. Bez słowa skinął głową.

– Więc poprosiłeś tę kobietę o dokumenty, tak? – dorzucił van Heiden.

– Tak. Czy ktoś wreszcie wyjaśni mi, o co chodzi?

– Wszystko w swoim czasie, Fabel. – Steinbach postarał się uśmiechem załagodzić sytuację. – Wiem, że to wszystko jest dość niezwykle, ale chodzi o bardzo ważną sprawę, więc musimy ustalić kilka faktów i kolejność wydarzeń. Czy mógłby pan opisać tę kobietę?

Fabel w paru słowach przedstawił sylwetkę niczym niewyróżniającej się, ubranej w typowy biznesowy strój kobiety, którą spotkał w pobliżu doków. Kiedy mówił, uderzyła go pewna myśl: ta para, którą widział w kawiarni dziś rano, ubrana była całkiem podobnie. Odsunął od siebie to wspomnienie. Wszyscy oni wyglądają tak samo: klony pracujące w korporacjach.

– Powiedziałeś, że ona była blondynką? – dopytywał się van Heiden. – Na pewno nie brunetką?

– Była blondynką. Tak jak mówiłem.

– I wcześniej nie miał pan z nią kontaktu ani z nikim, kto nosił to samo nazwisko? – odezwał się Steinbach.

– Nie, nie miałem. Dlaczego nagle poczułem się tak, jakbym był podejrzany? Dlaczego ta kobieta jest aż tak ważna?

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości – powiedział Steinbach i wręczył Fabelowi fotografię, którą przed chwilą wyjął z akt.

Fabel wiedział, że ta fotografia została wykonana w kostnicy w Butenfeld, i natychmiast

rozpoznał, kogo przedstawia.

– Czy to ta kobieta? – spytał Steinbach.

– Oczywiście, że nie! Pan wie, że to nie ona. To jest kobieta, którą znaleźliśmy w Poppenbütteler Schleuse. Jakim cudem to mogłaby być ona? Ta dziewczyna od dawna była już martwa i leżała w kostnicy, a z tamtą kobietą rozmawiałem wczoraj wieczorem.

– Jan, już mamy jej dane osobowe – wyjaśnił Werner. – Nadeszły dzisiaj rano.

Z wyraźnym lękiem skinął głową w stronę trzymanej przez Fabela fotografii.

– To jest Julia Henning. Mieszkała w Eppendorf, pod tym samym adresem, który podałeś przez telefon.

– Shit! – zaklął Fabel po angielsku. – A więc kobieta, którą spotkałem, musiała mieć coś wspólnego z tymi zabójstwami.

– W tym momencie nie jest to naszym głównym zmartwieniem, Fabel – odezwał się van Heiden. – Mamy również raport nadkomisarza Krögera i Sekcji Technicznej w sprawie telefonu, który im przekazałeś. Według nich nie ma w nim śladu, że dostałeś wiadomość tekstową o treści „Poppenbütteler Schleuse”.

– Mówiłem przecież, że ta wiadomość w jakiś sposób się wykasowała.

– Herr Kröger zapewnia, że nawet jeśli jakaś wiadomość zostanie skasowana, jego zespół potrafi ją odzyskać. Poza tym oni sprawdzili także serwer twojego operatora. Znow to samo, żadnego śladu.

– Sam pan widzi, panie nadkomisarzu, dokąd to nas zaprowadziło – powiedział Steinbach. – Ponoć wiedział pan wcześniej, gdzie zostanie odnaleziona następna ofiara, potem podaje nam pan jej nazwisko i adres, jeszcze zanim uda się ustalić jej tożsamość.

Fabel z niedowierzaniem wpatrzył się w Steinbacha.

– Chyba nie mówi pan na serio, że ten zbieg okoliczności uczynił ze mnie podejrzanego?

– Sam w sobie nie... – po raz pierwszy odezwał się Menke. – Niestety, jest coś jeszcze.

Wczoraj wieczorem dość długo rozmawialiśmy o Pharos Project i polecił pan Frau Wolff zbierać wszelkie możliwe informacje na temat tej organizacji. To stało się zaledwie dzień po tym, jak senator Müller-Voigt uporczywie zasypywał mnie pytaniami na ten sam temat.

– A więc?

Fabel poczuł się urażony, że człowiek z BfV miesza się do takich rzeczy; ta sprawa należała do policji.

– Pytałem, gdzie byłeś przedwczoraj wieczorem. – wtrącił van Heiden. – Ale ty uchyliłeś się od odpowiedzi na tak proste pytanie. Dlaczego nie chciałeś mi powiedzieć, Fabel?

– Szczerze mówiąc, panie dyrektorze, to nie pańska sprawa. To, co robię w wolnym czasie, nie powinno pana interesować.

Fabel czuł, że zaczyna mieć przewagę. Wymienili z Wernerem pospieszne spojrzenia.

– Wręcz przeciwnie – oświadczył van Heiden. – Jeśli wykorzystujesz wolny czas, żeby bez mojej wiedzy spotykać się i dyskutować o sprawach policji z członkiem Senatu Hamburga, to uważam, że jak najbardziej jest to moja sprawa.

– Skoro pan wie, gdzie byłem, to czemu pan pyta?

– Czy rzeczywiście przedwczoraj wieczorem odwiedził pan Müllera-Voigta w jego domu? – spytał Steinbach.

– Tak, byłem tam. Kiedy nasze spotkanie w komendzie dobiegło końca, zapytał, czy mógłbym przyjechać do niego tego samego dnia wieczorem.

– W jakim celu?

Fabel wziął głęboki oddech i rozpoczął opowieść o zaginionej przyjaciółce Müllera-Voigta, o przekonaniu senatora, że ktoś celowo wymazuje ślady jej pobytu na terenie

Niemiec, o jego podejrzeniach względem Pharos Project i o tym, jak Müller-Voigt poprosił, by Fabel potraktował to śledztwo „nieoficjalnie”.

– Więc dlatego i pan, i on zadawaliście mi pytania na temat Pharos? – pytał Menke.

Fabel przytaknął.

– Im więcej się dowiadywałem, tym bardziej wydawało mi się prawdopodobne, że ta organizacja może mieć coś wspólnego ze zniknięciem tamtej kobiety.

– Od kiedy ma pan licencję na prowadzenie prywatnego dochodzenia, Fabel? – Oblicze van Heidena przysłoniło coś na kształt burzowej chmury. – Do diabła, co pan sobie myślał, godząc się na mieszanie się w nie swoje sprawy, tylko dlatego, że Müller-Voigt o to prosił?

W odpowiedzi Fabel podniósł obie ręce.

– Postawmy sprawę jasno: są pewne granice, do których moje śledztwo mogło pozostać „nieoficjalne”. Zaczynając od początku, od razu uprzedziłem pana Müller-Voigta, że nie ma mowy, żebym mógł poświęcić tej sprawie trochę czasu, ale potem doszedłem do wniosku, że istnieje spora szansa, że ten korpus przyniesiony przez wodę na Fischmarkt faktycznie może być ciałem Melihy Yazar. I to naprawdę był *jedyny* powód, dla którego zgodziłem się zająć tą sprawą. Muszę zaznaczyć, że senator Müller-Voigt bez zastrzeżeń przyjął warunek, że nie jestem mu w stanie zagwarantować zachowania nazwiska w sekrecie. Zresztą trzeba mu przyznać, że naprawdę interesuje się jedynie uzyskaniem informacji, co stało się z tamtą kobietą.

Nastąpiła chwila milczenia. Steinbach, van Heiden i Werner wymienili się nad głową Fabla spojrzzeniami. Nadkomisarz popatrzył na nich z rozdrażnieniem.

– Janie, senator Müller-Voigt nie żyje – powiedział w końcu Werner. – Został znaleziony dziś z samego rana, w swoim salonie przez kobietę, która przyszła posprzątać dom. Właśnie tam jechała Anna, kiedy wszedłeś do biura.

Fabel przez moment siedział jak ogłuszony; potem poderwał się z miejsca, zupełnie jakby ktoś potraktował go prądem.

– Muszę tam jechać...

– To byłoby niewskazane – odparł Steinbach. – Sam pan to zrozumie, zważywszy na okoliczności...

– Chyba nie sugeruje pan, że jestem podejrzany o popełnienie zbrodni?

– Nikt tego nie sugeruje – odparł van Heiden lekko urażony, co jednak ani trochę nie przekonało Fabla. – Ale *nie możesz* normalnie pracować, przynajmniej nie nad sprawami dotyczącymi tych obydwu śledztw. Po prostu nie możesz kierować dochodzeniem, w które w jakiś sposób jesteś zamieszany. Musisz to zrozumieć, Jan.

– Więc co teraz będzie? Zostanę zawieszony?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Steinbach.

– W takim razie domagam się, żeby oddano mi prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa Müllera-Voigta. – Fabel wciąż nie mógł uwierzyć, że śledztwo będzie dotyczyć śmierci człowieka, z którym siedział i rozmawiał nie dalej jak przedwczoraj wieczorem. – Ostatecznie to *moja* praca. I jestem w to osobiście zaangażowany...

– Właśnie w tym rzecz – odparł van Heiden. – Ze względu na twoje osobiste zaangażowanie musimy powierzyć śledztwo w tej sprawie innemu oficerowi.

– Proponuję, żebyśmy wszyscy pojechali na miejsce zbrodni – rzekł Menke. – Najwyraźniej kryje się tu więcej, niż widać na pierwszy rzut oka... Ale według mnie Herr Fabel nie naraził na szwank dobrego imienia policji: ktoś celowo postarał się, żebyśmy musieli wyłączyć go ze śledztwa.

Fabel popatrzył na Menkego; zdziwił się, że oficer wewnętrznego wywiadu przemówił w jego obronie.

– Całkowicie się z panem zgadzam – przytaknął Werner. – To cholernie naciągane, ta cała zabawa z wiadomościami tekstowymi i kobietą, która posługuje się tożsamością ofiary. Wszystko zostało tak zaplanowane, żeby Jan nie brał udziału w śledztwie. No chyba, że naprawdę wierzycie, że on jest podejrzany... W takim wypadku musicie także mnie uznać za podejrzanego.

Fabel rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Van Heiden, który teraz patrzył na Wenera groźnie, trzymał się przepisów na tyle, żeby pomyśleć o zbadaniu takiej możliwości.

– Werner, ty poprowadzisz za mnie to śledztwo – powiedział szybko. – Pan dyrektor ma rację. Jestem za blisko tego wszystkiego.

Odwrócił się do van Heidena.

– Mimo to nadal chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie zamordowano Müllera-Voigta.

Fabel siedział z tyłu mercedesa, który zabrał ich wszystkich do Altes Land. Werner jechał za nimi drugim autem. Wepchnięty na tylne siedzenie obok Menkego, obserwując ogromną przestrzeń nieba, zawieszoną nad przesuwającym się za oknem, płaskim jak stół bilardowy krajobrazem, Fabel w coraz większym stopniu czuł się jak podejrzany i powoli dochodził do wniosku, że nieustanna obecność człowieka z wywiadu wcale mu się nie podoba.

– Co Müller-Voigt powiedział panu o tej rzekomo zaginionej kobiecie? – zapytał nagle Menke.

Fabel przez chwilę milczał, wystarczająco długo, żeby Menke zrozumiał, że nie ma najmniejszej ochoty być przez niego przesłuchiwany.

– Oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, że pytam – dodał całkiem bez sensu. Fabel westchnął.

– Ona nie tylko rzekomo zaginęła, ona rzekomo w ogóle istniała. Müller-Voigt powiedział, że nie udało mu się natrafić na żaden ślad jej istnienia. Poprosił mnie o wszczęcie śledztwa, ponieważ obawiał się, że jeśli puści tę sprawę oficjalnymi kanałami, to wyjdzie na człowieka, któremu zaczyna brakować piątej klepki.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, że to wszystko się jakoś wiąże? – spytał Menke. – Pańskie spotkanie z kobietą, która pokazała panu dokumenty należące do kogoś, kto już wtedy nie żył, problemy ze znikaniem elektronicznych wiadomości tekstowych...

Van Heiden wykręcił się na przednim fotelu, kuląc przy tym swoje szerokie ramiona, żeby odwrócić się do Menkego.

– Herr Menke, jeśli posiada pan jakieś informacje, o których powinniśmy wiedzieć, to proponuję, żeby się pan z nami podzielił.

Menke wzruszył ramionami.

– Po prostu poczyniłem pewne obserwacje, to wszystko.

Holger Brauner razem ze swoim zespołem przebywali na miejscu zabójstwa Müllera-Voigta już od pewnego czasu. Kiedy Fabel, Menke, van Heiden i Werner weszli do domu, Anna Wolff stała w holu i rozmawiała z jakimś funkcjonariuszem w mundurze. Na ich widok podeszła bliżej i odezwała się bezpośrednio do Fabla, celowo ignorując obecność van Heidena.

– Müller-Voigt jest tam... – Wskazała wewnątrz salonu, gdzie dwa dni temu Fabel i Müller-Voigt przeprowadzili pamiętną rozmowę.

Ze swojego miejsca Fabel mógł dostrzec rozrzucone książki i gazety, które leżały na podłodze obok stolika do kawy. Stopy Müllera-Voigta były ledwo widoczne; najwyraźniej upadł między sofą a stolikiem. Na skórzanym obiciu zastygły rozpryskane krople krwi.

– Chcesz go zobaczyć?

Anna wręczyła Fablowi niebieskie ochraniacze na buty i parę lateksowych rękawiczek,

kolejny raz pomijając van Heidena. Dyrektor Wydziału Kryminalnego zaczynał wyraźnie pienieć się ze złości, więc Fabel rzucił Annie ostrzegawcze spojrzenie. Zrozumiała, o co chodzi, i czym prędzej podała dyrektorowi gotowy zestaw. Anna była wielce obiecującym oficerem – policjantką obdarzoną wielkimi możliwościami – lecz jej zbyt oczywisty problem z okazywaniem szacunku zwierzchnikom oznaczał, że raczej nie mogła liczyć na żaden awans. Dla Fabla było to frustrujące, lecz jednocześnie w głębi ducha czuł, że takie małe demonstracje dodają mu otuchy. Może bunt Anny jeszcze nie dobiegł końca.

– Są ślady walki? – spytał, zbliżając się do ciała.

– Minimalne – odparła Anna. – Wygląda na to, że znał swojego napastnika. Nie ma śladu włamania, a to wszystko... – wskazała ręką rozsypane na podłodze książki – ...mogło spaść, kiedy się przewracał, albo co najwyżej w czasie naprawdę krótkiej walki.

Fabel powitał skinieniem głowy Holgera Braunera.

– Czy mogę rzucić okiem?

– O ile nie zanieczyścisz mi miejsca zbrodni. – Holger uśmiechnął się od ucha do ucha.

Fabel popatrzył w dół na Müllera-Voigta, on zaś odwzajemnił się nieruchomym i zaskoczonym spojrzeniem, które zastygło na jego twarzy. Tak naprawdę to nie był żaden wyraz, Fabel dobrze to wiedział, lecz zwiotczenie mięśni na skutek ustępującego stężenia pośmiertnego. Jedna strona głowy polityka, tuż nad prawą skronią, była szkaradnie zdeformowana, jakby nagle zrobiło się w niej wklęśnięcie, włosy zaś rozdzielała głęboka, paskudna rana, którą zadano jakimś ciężkim przedmiotem. Dookoła zastygła obwódka ciemnej, lepkiej krwi. Fabel poczuł w żołądku nieprzyjemny skurcz, bo nagle uświadomił sobie, że Müller-Voigt ma na sobie to samo ubranie, które nosił podczas ich ostatniego spotkania.

– Jak długo on nie żyje, tak w przybliżeniu? – spytał, zwracając się do Braunera.

– Och, nie wygląda na świeżego nieboszczyka – odpowiedział szef Wydziału Medycyny Sądowej. – Na pewno więcej niż jeden dzień. Może nawet dwa.

Fabel zeszywniał.

– Co powiedziałeś? – spytał van Heiden.

Brauner zaśmiał się, spoglądając na niego figlarnie, a potem odwrócił się do van Heidena.

– Powiedziałem, że ofiara nie żyje dłużej niż jeden dzień. W czym problem?

– Widziałem się z nim przedwczoraj wieczorem – wyjaśnił Fabel matowym, głuchym głosem. – Tutaj, w jego mieszkaniu.

– Ach, tak... – mruknął Brauner i zmarszczył brwi.

– Zaczekaj! – zawołał Fabel, odwracając się tam, gdzie stał Menke. – Czy wydaje mi się, czy pan powiedział, że Müller-Voigt opuścił wczorajsze spotkanie, ale skontaktował się z wami, żeby wyjaśnić, dlaczego go nie będzie?

– Tak... Chociaż... – odparł Menke posępnym tonem. – Rzecz w tym, że nie mamy tego maila. Tak samo, jak wszystkich pozostałych, przynajmniej na razie. Obawiam się, że pańskie obawy dotyczące zabezpieczeń poczty elektronicznej jednak okazały się prawdziwe. Bo widzi pan, mail wysłany z komputera Müllera-Voigta zepsuł cały nasz system. Najwyraźniej wpuścił tego wirusa o nazwie „Klabautermann”. Choć oczywiście wysłanie maila wcale nie oznacza, że Müller-Voigt wtedy jeszcze żył, bo morderca mógł przecież wysłać maila z konta pocztowego ofiary.

– Müller-Voigt powiedział mi, że jego komputer został zainfekowany, ale że oddał go do wyczyszczenia i naprawy – powiedział Fabel. – Powiedział także, że komputer, którego teraz używa, jest nowy i bezpieczny. I że założył nowe konto pocztowe. Tak więc moim zdaniem ten zainfekowany mail nie mógł zostać wysłany przez niego.

– Herr Meyer... – zawołał van Heiden do Wenera. – Chciałbym panu powiedzieć, że

przejmuje pan *wyłączną* odpowiedzialność za kierowanie śledztwem.

Odwrócił się do Fabla.

– Sądzę, że rozumiesz moją decyzję, zważywszy sytuację, w jakiej się znalazłeś.

– O ile dobrze rozumiem, to jestem jedynym, który znalazł się w takiej *sytuacji* – odparł Fabel.

– Mówiłeś, że kiedy byłeś tu ostatnio, Müller-Voigt pokazał ci zdjęcie owej tajemniczej kobiety, po której ślad zaginął – powiedział van Heiden. – Gdzie ono jest?

Fabel wskazał na cyfrową ramkę do zdjęć.

– Na tym urządzeniu.

Brauner pochylił się ponad oparciem kanapy, sięgnął po pilota i chciał podać Fablowi, ale van Heiden go uprzedził. Wziął pilota i marszcząc brwi, zaczął przeglądać zdjęcia.

– Jak dotąd, to same scenki rodzajowe – oświadczył z niezadowoleniem.

– To cyfrowa ramka – powiedział Fabel. – Można w niej przechowywać setki zdjęć. Czy pozwoli pan...?

Po każdym naciśnięciu guzika na ekranie pojawiała się nowa fotografia. Panorama morza, mnóstwo zdjęć z morzem w tle, trochę widoków z okolic Altes Land, a także kilka fotografii wybrzeża, z tego większość z latarniami morskimi... Na żadnej nie było Müllera-Voigta. Fabel był pewien, że żadnego z tych zdjęć nie widział, gdy polityk przeglądał je w czasie ostatniego spotkania. I jeszcze zanim dotarli do połowy, zdał sobie sprawę, że na pewno nie znajdą tu podobizny Melihy Yazar.

– Zdecydowanie twierdzisz, że widziałeś tutaj zdjęcie tej kobiety, o której Müller-Voigt mówił, że zaginęła? – spytał van Heiden, kiedy przejrzelili całą zawartość cyfrowej ramki.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ktoś wykasował to zdjęcie. Podobnie jak mnóstwo innych.

– Czyli tak samo, jak tę wiadomość tekstową, o której mówiłeś, że podano ci w niej miejsce porzucenia ciała kolejnej ofiary.

– Tak... – mruknął Fabel z roztargnieniem, oddając ramkę Braunerowi. – Lepiej zapakuj to w foliową torebkę. Ktokolwiek załatwił Müllera-Voigta, bawił się również jego zabawkami.

Brauner skinął głową.

– Nawiasem mówiąc, zdaje się, że właśnie to jest narzędzie zbrodni – powiedział, podnosząc z podłogi wielką plastikową torbę na dowody rzeczowe. – Cholernie paskudna robota, gdyby mnie ktoś pytał. W każdym razie na tej figurce zostało mnóstwo krwi, włosów i fragmentów skóry, a ciężar i kształt wydają się pasować do uszkodzeń w czaszce denata... Zabierzemy ją do laboratorium, żeby zdjąć wszystkie odciski palców... Jan, co się stało?

Fabel gapił się jak urzeczony na torbę na dowody i jej ciężką, zabrudzoną krwią zawartość. W tym momencie poczuł, jak cała jego kariera, całe jego życie rozpadają się na drobne kawałki.

– Ta rzeźba jest z brązu i przedstawia Rahab. Tak Żydzi wyobrażali sobie potwora z morskich głębin.

Fabel mówił monotonnym, pozbawionym emocji głosem. Głosem pełnym rezerwy. Przez chwilę zmagał się sam ze sobą, żeby przywołać z pamięci dokładne słowa Müllera-Voigta.

– Rahab był twórcą burz i ojcem chaosu. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli od razu uprzedzę, że na tej figurce znajdziesz całkiem ładny zestaw odcisków palców. Moich palców.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 23

Kiedy Roman Kraxner skończył osiem lat, jego rodzice zaprowadzili go do lekarza rodzinnego, który długo kręcił nad nim głową i marszczył brwi, aż w końcu skierował ich do psychiatry dziecięcego; z kolei psychiatra wcale nie kręcił głową ani nie marszczył brwi. Prawdę mówiąc, Roman nie zauważył, żeby na twarzy specjalisty pojawił się wyraz jakiegokolwiek ekspresji. Zamiast kręcić głową albo marszczyć brwi, psychiatra rozmawiał z rodzicami Romana w chaotyczny, prawie bezładny sposób. Przynajmniej tyle Roman zapamiętał z tamtej wizyty. Pamiętał jeszcze ciężkie okulary w czarnych oprawkach, które tamten lekarz miał na nosie. Myślał wtedy, że zapewne po to, żeby się za nimi ukryć. Ukryć i nie musieć patrzeć nikomu prosto w oczy. Kiedy Roman zdał sobie z tego sprawę, cały jego niepokój nagle zniknął bez śladu. Tak samo jak obawy rodziców – psychiatra zapewnił ich, że Roman nie powinien mieć szczególnych trudności z przyswajaniem wiedzy ani że nie cierpi na chwiejność umyslową.

– Państwa syn ma zaburzenia osobowości charakteryzujące się objawami zbliżonymi, lecz znacznie lżejszymi niż te, które występują w schizofrenii – wyjaśnił, bawiąc się oprawkami okularów i uporczywie unikając kontaktu wzrokowego. – Ale on... To nie to... Nie choruje na zespół schizotypicznego zaburzenia osobowości ani na schizofrenię... Nie... Wykluczaliśmy także zespół Aspergera... Tyle że on... On wykazuje skłonności do tłumienia emocji i do nadmiernej introspekcji.

– Rozumiem, ale co to *znaczy*? – zapytał ojciec Romana.

– Roman... No cóż, Roman wykazuje brak rozwiniętych zdolności do funkcjonowania w grupie... Hmm... Będzie miał trudności z nawiązywaniem i utrzymywaniem więzi społecznych. Tak naprawdę nie potrafi zrozumieć emocji innych. Ale to wszystko jest typowe dla schizotypicznej osobowości i wcale nie oznacza, że chłopak nie będzie mógł prowadzić w pełni udanego i satysfakcjonującego życia. Pewne rzeczy będą mu to wynagradzać, bo taka wyraźnie ponadprzeciętnie rozwinięta inteligencja i schizotypiczna osobowość, mogą wyrażać się w ekstremalnie twórczym i obdarzonym niezwykłą wyobraźnią umyśle. Przykładem niech będzie całe mnóstwo wspaniałych kompozytorów, artystów, pisarzy, matematyków, fizyków... W wielu aspektach życia to schorzenie jest zaletą.

Roman siedział w milczeniu i zastanawiał się, dlaczego ten chaotyczny lekarz, ukrywający się za grubymi szklami okularów, zapomniał dopisać do swojej listy także znakomitych: *psychiatrów*.

Rodzice Romana nigdy w pełni nie zrozumieli ukrytego znaczenia tych słów. Po okresie względnego spokoju w ich myślach na nowo zakiełkowały dawne wątpliwości: w końcu psychiatra powiedział „schizotypiczna osobowość”, prawda? A to słowo brzmiało bardzo podobnie do schizofrenii. W tym czasie Roman z dziwaczного dziecka bez przyjaciół wyrósł na jeszcze bardziej dziwaczного młodzieńca, również bez przyjaciół. Nawet nie chodziło o to, że inni unikali jego towarzystwa – chociaż z pewnością tak w znacznej mierze to wyglądało – lecz że on sam nie chciał mieć z nikim do czynienia. W szkole znalazł się tylko jeden jedyny chłopiec, z którym Roman nawiązał coś w rodzaju przyjaźni: Niels Freese. Ale Niels był jeszcze bardziej dziwaczny niż Roman i często zabierano go ze szkoły na długie okresy terapii. Mimo to kiedy spędzali razem czas, mieli świadomość, że każdy z nich postrzegał świat zupełnie inaczej niż ich rówieśnicy, każdy na swój sposób.

Kiedy Niels na stałe został przeniesiony do szkoły specjalnej, Roman zaczął wystrzegać się wszelkiej formy bliskości albo kontaktu. Nie oznaczało to bynajmniej, że musiał jakoś szczególnie się wysilać: koledzy z klasy albo ignorowali go, albo unikali. Pozostali zaś dręczyli

go na wszelkie możliwe sposoby.

W czasie pokwitania Roman zdał sobie sprawę, że jego odrzucenie bliskości sięga głębiej niż przypuszczał. Towarzysząca okresowi dojrzewania burza hormonów zawiodła, jeśli chodzi o wzniesienie seksualnego pożądania do którejkolwiek płci. Myśl o fizycznej bliskości z inną osobą była nie tyle wstrętą, wydawała mu się ona raczej zbyteczna. Roman naprawdę nie widział w tym żadnego sensu.

Niemniej w końcu zdał sobie sprawę, że jednak nie jest całkowicie aseksualny. Przekonały go o tym dreszcze podniecenia, które czasami odczuwał w obecności dziewczyn i kobiet, choć one nie zwracały najmniejszej uwagi na już wtedy korpulentnego Romana. Jednak coś na kształt pożądania potrafił w nim wzniesić jedynie prawdziwa piękność: o idealnych kształtach, nieskazitelnej cerze i proporcjonalnej sylwetce. Lecz nawet wówczas jego pożądanie było jakby stłumione. Często zastanawiał się, czy do pięknych kobiet nie przyciąga go właśnie ich nieosiągalność – świadomość, że jego żądza nigdy nie zostanie zaspokojona i że w żadnym wypadku nie zakończy się prawdziwym cielesnym kontaktem.

Z biegiem czasu Roman coraz bardziej wycofywał się w głąb siebie samego. Rzadko wychodził z pokoju i większość czasu spędzał na czytaniu, słuchaniu muzyki, a najczęściej na dumaniu. Sny na jawie odgrywały teraz w jego życiu pierwszoplanową rolę; snuł fantazje, w których jego szczuplejsze, szczęśliwsze i bardziej przystojne *alter ego* było lubiane w towarzystwie, bogate i atrakcyjne. Bynajmniej nie chodziło o to, że w prawdziwym życiu Roman czuł się nieszczęśliwy; wycofywanie się w ów lepszy świat, który sam stworzył – było czymś, co całkiem mu odpowiadało.

I nagle pewnego dnia jego życie zmieniło się na zawsze.

Rodzice Romana bardzo martwili się o swoje jedyne dziecko. Przejmowali się nim. Niepokoiła ich jego rosnąca jak na drożdżach waga, denerwowali się, że zmarnuje swój oczywisty potencjał intelektualny. Dopiero po jakimś czasie Roman odkrył, że to jego matka wpadła na pomysł, żeby na czternaste urodziny kupić mu komputer. Nagle otworzył się przed nim wachlarz całkiem nowych możliwości. Starannie skonstruowany świat fantazji nareszcie mógł zaistnieć naprawdę.

Oczywiście rodzice byli zrozpaczeni decyzją Romana, że nie wybiera się na uniwersytet, choć z drugiej strony w pewnym sensie sprawiła im ona ulgę: nie musieli zamartwiać się, jak ich otyły, boleśnie nieśmiały i samotny syn da sobie radę w środowisku akademickim. Poza tym wkrótce stało się jasne, że Roman ma prawdziwy talent do projektowania gier komputerowych, a produkty jego wyobraźni świetnie się nadawały do sprzedaży. Bez trudu znalazł pracę w firmie zajmującej się produkcją oprogramowania, która była bardziej zainteresowana gramami, które Roman obmyślał w zaciszu własnej sypialni, niż jakimkolwiek potwierdzeniem jego kwalifikacji na papierze.

Ale ta sielanka nie trwała długo. Niezdolność Romana do nawiązywania stosunków z innymi ludźmi sprawiła, że mimo swojego niewątpliwego talentu został usunięty z firmy produkującej oprogramowanie. Wkrótce znalazł podobną pracę, ale i ona szybko się skończyła. Potem musiał zadowolić się gorzej płatnym zajęciem, aż w końcu wylądował w sklepie komputerowym, gdzie sprzedawał maki i pecety różnym cymbałom, stale zadającym pytania w stylu: „Ile ten sprzęt ma pamięci?”, choć nie mieli bladego pojęcia, co to w ogóle oznacza, a tym bardziej odpowiedź, którą mogli uzyskać.

Tkwiąc wciąż w mieszkaniu rodziców, Roman poczuł w pewnym momencie, że dłużej już nie może znieść smutku, który pojawiał się w ich oczach za każdym razem, gdy na niego patrzyli. Niemniej rodzice byli dla niego dobrzy i zawsze, gdy potrzebował pieniędzy na nowy sprzęt do zestawu komputerowego, starali się zapewnić mu środki finansowe. I tak któregoś

popołudnia – które zmieniło się w wieczór, a następnie w noc, kiedy on leniwie sobie surfował, udało mu się włamać na zabezpieczoną stronę pewnej firmy. Poszło całkiem łatwo i Roman nie miał zamiaru niczego z tym robić, przekonał się jednak, że może zrealizować online płatności należne dostawcom owej firmy. Więc je zrealizował. Nie przelał wielkich sum, zresztą z technicznego punktu widzenia trudno było uznać jego czyn za defraudację, ponieważ Roman nie odniósł żadnych osobistych korzyści – zrobił to, ponieważ *mógł* to zrobić. Powrócił na tę stronę następnego dnia, tylko po to, by przekonać się, że ustawienia zabezpieczeń pozostały niezmiennione, więc z powrotem przelał pieniądze tam, gdzie znajdowały się poprzednio. Wtedy zdał sobie sprawę, że jeżeli rozbieżność na koncie firmy zostanie odkryta, to sprawdzone zostaną adresy IP wszystkich, którzy mieli dostęp do strony. I doszedł do wniosku, że zanim spróbuje kolejny raz, musi stworzyć sobie odpowiedni kamuflaż.

Sześć miesięcy zabrało mu opracowanie szczegółowego systemu botów, fałszywych kont, serwerów proxy i bouncerów, które pomagały mu ukryć prawdziwą tożsamość. Pierwsza kradzież była naprawdę spora: ponad trzydzieści tysięcy dolarów, które od razu przelał na konto miejscowej instytucji dobroczynnej. Jak dotąd ta działalność nie przyniosła mu żadnych bezpośrednich zysków. Wciąż jeszcze pracował w sklepie komputerowym, więc swoją *prawdziwą* pracę musiał wykonywać wieczorami i w nocy. Upłynęły kolejne trzy miesiące, zanim stworzył rozrzuconą po całym świecie sieć rachunków bankowych i kredytowych, przez które mógł przepuszczać przychody z defraudacji. Monitorował transakcje na kontach, z których kradł pieniądze. Zwykle mijał cały miesiąc, zanim ktoś z firmy odkrył kradzież, i następny, nim domyślił się, że przestępstwo zostało dokonane online. Dopiero wtedy następowała zmiana i uszczelnianie systemu zabezpieczeń.

Wtedy Roman już wiedział, jak potoczy się jego życie.

Oczywiście, zawsze istniało ryzyko wykrycia przestępstwa. Aresztu. Skazania. Więzienia.

Jednak dla osoby, której olbrzymi potencjał intelektualny i tak był ograniczany masą jej własnego, niezgrabnego cielska, i która preferowała życie w osamotnieniu, groźba więzienia nie wydawała się wcale aż tak przerażająca. Poza tym prawdopodobnie wysłaliby go do więzienia Billwerder w Hamburgu, a tam, co Roman wiedział, prowadzono program kursów komputerowych. Zresztą nawet jeżeli go złapią, to i tak nigdy nie uda im się wytropić wszystkich nielegalnych transakcji, których dokonał. Wyjdzie z więzienia jako bogaty człowiek. Ryzyko było tego warte. Warte nagrody, warte dreszczu emocji.

Jego rodzice byli zaskoczeni, gdy obwieścił im, że teraz pracuje jako freelancer dla pewnej firmy zajmującej się projektowaniem gier opartych na wirtualnym symulowaniu rzeczywistości. Pokazał im ich stronę w sieci oraz wysłany listownie kontrakt. Naturalnie zarówno strona www, jak i kontrakt zostały spreparowane osobiście przez Romana. Jednak te wyjaśnienia zupełnie wystarczyły, by przekonać rodziców, że cały nowy sprzęt, który niebawem przybył, został dostarczony przez pracodawcę. Byli całkiem zadowoleni, gdy Roman w końcu oznajmił, że zarabia wystarczająco dużo, by wynająć sobie jakieś niewielkie mieszkanie, choć najlepiej będzie, jeżeli wynajmie je w ich imieniu. Aby ukoić ich obawy, wręczył im depozyt w wysokości ośmiu tysięcy euro.

Od tamtej pory Roman zgromadził prywatną fortunę w wysokości mniej więcej czterech milionów euro, którą miał rozmieszczoną w bankach na całym świecie. Wiedział, że nigdy nie wykorzysta nawet części tej sumy; mógł ją konsumować jedynie w małych kęsach. Zresztą i tak zdawał sobie sprawę, że w obliczu zdrowotnych problemów związanych z tuszą, będzie miał sporo szczęścia, jeśli uda mu się doczekać trzydziestych urodzin. Ustawiony automatycznie transfer załatwiał sprawy w ten sposób, że w wypadku śmierci Romana, kiedy pod koniec miesiąca nikt nie wprowadzi odpowiedniego kodu anulującego transakcję, konto należące do

rodziców zasili kwota w wysokości jednego miliona euro. Wśród swoich papierów zostawił rodzicom notatkę z wyjaśnieniem, że otrzymał olbrzymie honorarium autorskie za jedną ze stworzonych przez siebie gier i że zgromadzone odsetki należą do nich.

Roman siedział w swoim zrobionym na zamówienie krześle i z roztargnieniem gapił się przez okno. Z jakiegoś powodu odsłonił dziś rolety, choć zwykle tego nie robił. Niebo wisiało nad Wilhelmburgiem jak szara kurtyna, wykończona u dołu bladą, poziomą lamówką horyzontu, poprzerywaną tu i ówdzie kanciastymi sylwetkami innych apartamentowców. Dla Romana to, na co patrzył, nie było bardziej rzeczywiste niż świat, na który spoglądał przez okna monitorów swojego sprzętu komputerowego. Przez moment kontemplował widok, żeby za chwilę znów zanurkować w swoim środowisku naturalnym.

Jednym z jego zwyczajów, do którego uporczywie powracał, stało się podglądanie życia obcych ludzi.

Uważał, że jego ciekawość nie wyrządza nikomu krzywdy: nikt nie wiedział, że on tam jest, ani nie miał poczucia naruszenia prywatności, gdy pracowicie rozbierał warstwa po warstwie czyjąś tożsamość, odsłaniając ślady z przeszłości, poznając rodzinę, przyjaciół, hobby. Dzięki temu przez godzinę albo dłużej mógł delektować się cudzym życiem; doświadczać w ten okrężny sposób uczestniczenia w życiu społecznym, z którego czuł się wyłączony. Zwykle Roman wybierał na chybił trafił kogoś z Facebooka albo MySpace'a, czy też z niezliczonej liczby innych portali społecznościowych, a następnie tropił jego „cyberpromieniotwórczy podpis”. Sam wymyślił ten termin: według niego „cyberpromieniotwórczy podpis” najlepiej określał obecność – albo raczej *stopień* obecności – danej osoby w cyberprzestrzeni.

Roman wpadł na ten pomysł podczas pewnej bezsennej nocy. Jego otyłość wywoływała całe mnóstwo dolegliwości, które mogły go zabić każdej nocy, kiedy spał. Zawsze więc kładł się do łóżka z maską tlenową, przymocowaną tuż pod nosem, żeby przeciwdziałać napadom bezdechu oraz zwiększyć nasycenie krwi tlenem, którego poziom na skutek zespołu hypowentylacji związanej z tuszą oscylował dookoła niebezpiecznie niskiej granicy. Na ironię zakrawał fakt, że ktoś tak oderwany od fizycznego świata jak Roman musiał funkcjonować w ciągłym zagrożeniu, iż pewnej nocy zginie z powodu swojej monsturalnej tuszy.

Zdaniem Romana takie życie przypominało nurkowanie w głębokiej wodzie. Ryzyko śmierci z powodu niedotlenienia mózgu, na które był narażony za każdym razem, gdy kładł się spać, było dokładnie takie samo jak w przypadku pływaków i nurków, schodzących pod wodę bez skafandra. Czytał o syndromie utraty przytomności w płytkiej wodzie i syndromie utraty przytomności w głębokiej wodzie, kiedy w pełni zdrowi, doświadczeni nurkowie tracili przytomność, ponieważ zawodził ich instynkt oddychania, kiedy ilość dwutlenku węgla we krwi osiągała niebezpieczny poziom. Ich mózgi dosłownie usychały z braku tlenu, a wszystko działo się bez żadnego ostrzeżenia, bez wcześniejszych fizycznych objawów. Po prostu mdleli i umierali na skutek utonięcia. To musi być bezbolesna, spokojna śmierć, myślał Roman.

Zdarzyło się kilka, a może nawet więcej niż kilka nocy, kiedy celowo nie zakładał na noc maski tlenowej.

Jednak przez większość czasu Roman po prostu starał się unikać spania, a tym samym śmiertelnych niebezpieczeństw, które czaiły się w otchłani snu. Miał zwyczaj siedzieć przy biurku aż do świtu, a do łóżka iść jedynie wtedy, gdy zmogło go zmęczenie. Do tego czasu, niepomny na mijające godziny ani na otaczający go, rzeczywisty świat, Roman pracował albo bawił się w swoim naturalnym środowisku. Kiedy akurat nie zajmował się kradzieżą środków finansowych z kont firm rozsianych po całym świecie, spędzał czas na czytaniu i pracy badawczej. Często zapuszczał się w najbardziej tajemnicze i abstrakcyjne rejony nauki, mocno odległe od wszystkiego, czego mógłby potrzebować w udoskonalaniu swojego złodziejskiego

procederu. Mechanika kwantowa i fizyka, filozofia i studia nad świadomością, biotechnologia i historia nauki należały do jego ulubionych dziedzin. Potrafił całkowicie zatracić się w czytaniu lub słuchaniu wykładu na wideo, dotyczącego płątaniny kwantów, teorii chaosu albo symulacji komputerowych. Tym, co Roman lubił najbardziej, było dogłębne analizowanie każdego aspektu sprawy, oświetlanie reflektorem nawet najbardziej osobliwych jej zakątków. Na przykład uwielbiał badać pierwotne implikacje filozoficzne fizyki kwantowej, lecz interesował się również najbardziej dziwnymi pomysłami zwolenników New Age, które prezentowane były na wielu blogach przez rozmaite grupy wyznawców.

Holograficzna teoria wszechświata, która rozwiązywała problem czarnych dziur, zadając kłam drugiemu prawu termodynamiki, była pod koniec dnia jedynie nową interpretacją tego, jak zbudowany jest wszechświat, lecz Roman znalazł dwadzieścia stron poświęconych New Age i kilka blogów na temat spiskowej teorii, która głosiła, że ostatecznie wszyscy *naprawdę* żyjemy w Matriksie.

Przekonał się, że sam jest całkiem odporny na paranoję spiskową teoretyków i niedorzeczne duchowe znaczenie, jakie zwolennicy New Age przypisywali urodzie niektórych teorii kwantowych. Jak wiedział, taki objaw był wyjątkowo rzadkim zjawiskiem u ludzi takich jak on. Schizotypiczne osobowości słynęły z „myślenia magicznego”, jak określali je psychiatrzy, z wiary w zjawy i postrzeganie pozazmysłowe, UFO, telepatię i telekinezę. Tak samo wykazywały silną tendencję do paranoi. Ale Roman wiedział, że to wszystko jest stekiem wierutnych bzdur. Coś takiego jak duchy, złośliwe zjawy czy Bóg, po prostu nie istniało. Roman odkrył, że był w stanie oddawać się myśleniu magicznemu, jeśli jednak mieściło się ono w ramach królestwa nauki. Big Bang w Próżni zamiast Walnięcia Nocą³.

Właśnie ta wiedza – świadomość, że fizycy zaczęli traktować wszechświat raczej jako zbiór *informacji* niż materii – doprowadziła go do obmyślenia konceptu „promieniotwórczego cyberpodpisu”. Może, zastanawiał się Roman, hipoteza Bostroma jest prawdziwa i rzeczywistość, której doświadczamy, tak naprawdę wcale nie jest rzeczywistością, lecz wysoce wyrafinowaną, prototypową symulacją. W takim wypadku ludzkość była w przededniu wynalezienia własnego, symulowanego wszechświata, który będzie istniał *wewnątrz* tego obecnego, a fundamentem owego symulowanego wszechświata miał się stać internet.

Z kolei ta myśl zrodziła w nim przekonanie, że ludzie już zaczynają „istnieć” w internecie, oczywiście do takiego czy innego stopnia. Były osoby, które porozumiewały się z innymi *wyłącznie* poprzez sieć, które nigdy nie spotkały się i nie miały się spotkać w realnym życiu. Jeśli przyjmiemy założenie, że jakaś indywidualność jest sumą percepcji innych ludzi, to w takim razie musiały być indywidualności istniejące *tylko* w cyberprzestrzeni. To nie była pośrednia rzeczywistość, to nie była nawet wirtualna rzeczywistość. To był początek faktycznej i absolutnej – jakkolwiek alternatywnej – rzeczywistości.

Mimo to nie każdy mógł mieć swój udział w kreowaniu tej nowej rzeczywistości. Jeśli ktoś skończył pięćdziesiąt lat, było wielce prawdopodobne, że jego cybertożsamość jest nieznaczną, albo że w ogóle jej nie posiada. Im ktoś był młodszy, tym większe istniało prawdopodobieństwo, że internet jest jego podstawowym narzędziem stosowanym do nawiązywania i zacieśniania kontaktów społecznych i tym większą „masę” posiadał jego promieniotwórczy cyberpodpis. Roman zaczął myśleć o internecie w ten sam sposób, w który fizycy niegdyś myśleli o czasoprzestrzeni. To było continuum, a istniejący wewnątrz niego ludzie kreowali własne pole radiacyjne tak samo jak ich pomysły. Każdy rodzaj kontaktu był tutaj możliwy; każda osoba łączyła się z kręgiem innych osób, a każdy krąg krzyżował się z kolejnymi kręgami, zajmując coraz więcej miejsca w cyberprzestrzeni. Zaś w sercu każdej obecności znajdowało się imię: *quantum* tożsamości, najmniejsze, niepodzielne „ja”. Ludzie składali się

z rozproszonych faktów. Jądro było ich imieniem, sercem ich tożsamości, lecz oni sami mogli pojawiać się wszędzie – pod różnymi nazwami użytkownika, jednocześnie istniejąc w kilku lokalizacjach, lecz tak naprawdę nie istniejąc w żadnej z nich. Dokładnie tak samo wygląda nakładanie się *kwantów*, uprzytomnił sobie Roman.

Jednak wszystko jedno, jak rozproszona lub mglista była tożsamość, albo jak myląca nazwa użytkownika w sercu tożsamości – Roman i tak potrafił ją wytropić i nadać jej kształt. Pomiedzy swoimi zakrojonymi na szeroką skalę badaniami, pomiedzy surfowaniem i kradzieżą, wybierał z dowolnego portalu społecznościowego przypadkową osobę, a potem wyszukiwał jej cechy środowiskowe, wspólnych z innymi przyjaciół, miejsca, w których poprzednio bywała. W wielu wypadkach uzyskiwał dostęp do kont bankowych, członkostwa w różnych klubach, donacji na rzecz organizacji charytatywnych. Roman dysponował oprogramowaniem, które mogło w ciągu minuty prześledzić miliony alfanumerycznych permutacji haseł dostępu, i nieraz miał okazję przekonać się, że kiedy już raz złamał czyjeś hasło dostępu do jednej strony – że zwykle ten ktoś wykorzystywał to samo hasło do zabezpieczania mnóstwa innych stron, a czasami wszystkich, których używał. Większość ludzi wykorzystywała najwyżej dwa hasła, do tego utworzone w taki sposób, aby łatwo było je sobie przypomnieć. Dzięki temu ich złamanie nie nastroczało żadnych trudności. Zadziwiające, ile można odkryć, nawet bez zbyt dogłębnego badania. Sieć, jak przekonał się Roman, zmieniała ludzi w egoistów. Każdy głos, który nie był słyszalny w rzeczywistym świecie, tutaj mógł bez przeszkód wykrzykiwać swoje opinie.

Jednak mimo to *jej* nie mógł odnaleźć. Nigdzie.

Ona po prostu nie istniała.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było uszkodzenie funkcji roamingu w znalezionym w kawiarni telefonie komórkowym. Roman z każdą chwilą był coraz mocniej przekonany, że piękna dziewczyna, która porzuciła telefon na kawiarnianym stoliku, zrobiła to rozmyślnie, a jedynym powodem takiego postępowania, jaki przyszedł mu do głowy, była obawa, że poprzez ten telefon ktoś może wpaść na jej ślad. Zainstalował w swoim komputerze program do identyfikacji telefonów komórkowych, który potrafił z maksymalną dokładnością wykryć komórkę z odległości dziesięciu metrów. Jeśli więc jego domysły na temat tajemniczej kobiety były prawdziwe, to ktoś gdzieś mógł próbować wytropić jej telefon. Włączając aparat, Roman był bardzo ostrożny, to oczywiste, że wcale nie trzeba do nikogo dzwonić ani odebrać żadnej rozmowy, żeby ktoś mógł cię namierzyć. Gdy tylko nokia zostanie włączona, samorzutnie wyemituje sygnał, szukając sieci, żeby się z nią połączyć. Więc na samym początku Roman wymontował antenę i usunął ją.

I wtedy właśnie to znalazł: niestandardowy chip GPS. Ktoś zainstalował w tym telefonie jeszcze dokładniejsze narzędzie, służące wyłącznie do namierzania. Kiedy już Roman dostał się do środka aparatu, usunął chip, obejrzał go i natychmiast zniszczył. Czuł, że poci się jak mysz. Znacznie bardziej obficie niż zwykle. W powietrzu wisiało coś, co napełniało go niepokojem. Strachem.

Kiedy chip został usunięty, Roman mógł wreszcie przeładować zawartość telefonu na swój komputer, żeby odszyfrować ukryte albo chronione informacje.

I nie upłynęła nawet godzina, gdy zaczął szczerze nienawidzić kobiety, którą ujrzał w kawiarni. Nienawidził jej, ponieważ przez nią znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Zostawiając na stoliku swój telefon, żeby ktoś go odnalazł, przeniosła to niebezpieczeństwo z siebie na kogoś innego. Na niego.

Gapił się w migoczące mu przed oczyma monitory komputerów. Na swój portal do innego wszechświata. Na swój żywioł i na swój azyl. Ale nawet tam – *zwłaszcza tam* – oni mogli go odnaleźć.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że kiedy już go odnajdą, z pewnością go zabiją.

ROZDZIAŁ 24

Przesłuchanie trwało przez cały ranek i przeciągnęło się aż do późnego popołudnia. Van Heiden wydał polecenie, żeby lunch przyniesiono im z kantyny na górę.

To była najdziwniejsza sytuacja, w jakiej Fabel kiedykolwiek się znalazł. Co prawda nikt nie użył wobec niego słowa „podejrzany”, ale zdaniem Fabla właśnie ten rzeczownik najlepiej określał jego położenie. Zanim rozpoczęli rozmowę na temat śmierci Müllera-Voigta, van Heiden naprawdę przypomniał, jakie przysługują mu prawa, zagwarantowane Prawami Podstawowymi Republiki Federalnej.

– Po prostu mów, jak było – powiedział, przypuszczalnie dlatego, że całe przesłuchanie było nagrywane.

Podczas całej ich rozmowy był obecny także Fabian Menke, agent z BfV.

– Chyba nie sugeruje pan na poważnie, że mam coś wspólnego ze śmiercią Müllera-Voigta – zaprotestował Fabel.

– Oczywiście, że nie – odparł van Heiden. – Ale musimy załatwić wszystko uczciwie i zgodnie z literą prawa.

Tak więc siedzieli, całymi godzinami roztrząsając każdy szczegół konwersacji, którą Fabel przeprowadził z senatorem. Kiedy wyruszył, żeby złożyć mu wizytę i konkretnie o której godzinie dotarł na miejsce.

– Nie rozumiem, dlaczego tyle czasu pan tam jechał – odezwał się Menke.

– Bo po drodze trochę się zgubiłem – wyjaśnił Fabel. – W końcu pojechałem przez centrum Stade.

– Ale przecież już kiedyś był pan w domu Müllera-Voigta.

– Owszem, przed paroma laty.

Van Heiden, który nie należał do osób lubiących improwizować, miał przygotowaną w notatniku listę pytań. Odczytywał je po kolei; robił notatki, prosił o dodatkowe wyjaśnienia i co chwila robił przerwy, marszcząc brwi. Menke włączał się do rozmowy tylko czasami, ale Fabel zauważył, że te nieliczne pytania, które zadawał, były o wiele bardziej istotne i zdecydowane bardziej związane z tematem niż kwestie wygłaszane przez szefa Fabla. O trzeciej trzydziści van Heiden wyłączył nagrywanie, zaznaczając tym samym, że oficjalne przesłuchanie dobiegło końca.

– No więc? – zapytał Fabel. – Czy mam wracać do swojego biura, czy od razu pójść na dół, do cel dla aresztantów?

– To wcale nie jest zabawne – mruknął van Heiden.

– Wcale nie uważam, żeby to było zabawne, nawet w najmniejszym stopniu. Z tego, co wiem, ten człowiek został zamordowany w niespełną godzinę po tym, jak skończyliśmy rozmawiać. W dodatku sprawa dotyczy faceta, którego raczej lubiłem. A teraz ktoś w jakiś sposób usiłuje mnie zrobić w to morderstwo. I na dokładkę wplątać w sprawę seryjnego mordercy, nad którą spędziłem sześć miesięcy mojej pracy. Nie, panie dyrektorze kryminalny, dla mnie to absolutnie nie jest powód do śmiechu.

Fabel zdawał sobie sprawę, że zaczął podnosić głos.

– Oni wcale nie próbują... – przemówił Menke, nie patrząc przy tym na Fabla.

– Co takiego? – Fabel krzywo spojrział na człowieka ze służby bezpieczeństwa.

– Oni wcale nie próbują pana w to zrobić – powtórzył Menke. – Albo przynajmniej ja nie sądzę, żeby próbowali. Jak już mówiłem wcześniej, moim zdaniem, przede wszystkim starają się pana *skompromitować*. Zdjąć z afisza pańskie nazwisko. Sprawić, że stanie się niemożliwe, żeby

pan prowadził śledztwo w sprawie morderstwa Müllera-Voigta i śledztwo dotyczące Zabójcy z Sieci.

Fabel wziął głęboki oddech. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się odrobinę mniej osamotniony; ale w środku aż gotował się z wściekłości na myśl, że jego własny szef nie wyraził głośno wiary w jego niewinność.

– To misterna robota – powiedział.

– Dla pana lub dla mnie, tak. Lecz jeśli ma pan dostęp do odpowiedniej technologii i ekspertów, spowodowanie takiego zamieszania wymaga naprawdę niewielkiego zachodu. – Menke wzruszył ramionami, ale tym razem przez moment odwzajemnił spojrzenie Fabela.

– A więc co z tego dla mnie wynika? – Fabel zwrócił się do van Heidena.

– Może byłoby dobrze, gdybyś wziął sobie teraz trochę wolnego.

– W środku trzech poważnych dochodzeń o morderstwo? – zawołał Fabel z niedowierzaniem. – W takim razie ktokolwiek się za tym kryje, uzyska właśnie to, o co mu chodziło.

– Być może to wcale nie taki zły pomysł – powiedział Menke. – Na tę chwilę...

– Nie kupuję tego. Jestem szefem wydziału i jeśli mówicie, że ma być inaczej, to jeszcze dziś mogę złożyć rezygnację.

– Czyli robi pan to, czego oczekuje ten ktoś, kto zaplanował całą tę zbrodnię – odparł Menke.

Van Heiden nic nie powiedział; było jasne, że sytuacja go przerosła i że jest zaskoczony zapowiedzią Fabela o złożeniu rezygnacji.

– Niech pan posłucha, Fabel – odezwał się Menke. – Dyrektor kryminalny ma rację. Mówiąc prosto, pan najzwyczajniej nie może być odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa, kiedy sam pan jest jego częścią.

Odwrócił się do van Heidena.

– Może niech Werner Meyer przejmie oficjalnie odpowiedzialność za śledztwo w sprawie morderstwa Müllera-Voigta, a inny oficer poprowadzi dalej sprawę Zabójcy z Sieci? To sprawi, że *Herr* Fabel będzie mógł swobodnie zająć się dochodzeniem w sprawie ataku z bombą zapalającą w Schanzenviertel, w którym zginął Daniel Föttinger. Osobiście uważam, że jedynym słusznym rozwiązaniem będzie pełne informowanie go o postępach w dwóch pozostałych śledztwach. Wciąż przecież będzie kierował wydziałem.

Van Heiden wydawał się mniej niż niezbyt zadowolony z takiego rozwiązania, ale nic nie odpowiedział.

– Pozwoli pan, Menke, że powiem, iż wykazuje pan głębokie zainteresowanie działaniami Polizei Hamburg, jak również ochroną moich perspektyw zawodowych.

– No cóż, Fabel, w pewnych dziedzinach łączą nas wspólne interesy, jak zresztą już pan się domyślił – odparł Menke.

– Ci ludzie, jak pan powiada, muszą mieć doświadczenie technologiczne i odpowiednie środki, by urządzić taką aferę. Czy to Pharos Project?

Menke uśmiechnął się.

– Proponuję, żeby przeczytał pan akta, które panu dałem. Bardzo dokładnie.

Kiedy van Heiden i Menke opuścili biuro Fabela, do środka weszła Anna Wolff.

– Masz kłopoty – powiedziała prosto z mostu.

– Mów do mnie jeszcze – westchnął Fabel, opierając się plecami o tył krzesła.

– Bynajmniej nie chodzi mi ani o Robocopa, ani o Spooka. – Uśmiechnęła się szeroko. –

Przed chwilą dzwoniła Susanne.

– Psiakrew! – Fabel podskoczył i zerknął na zegarek. – Miałem ją odebrać z lotniska.

– Przed godziną, szefie. Ale nie martw się, kiedy zadzwoniła, była rzeczywiście mocno wkurzona, ale wytłumaczyłam jej, że jesteś zajęty *naprawdę* poważną sprawą. Zresztą wysłałam samochód, żeby ją zabrał i odwiózł do waszego mieszkania, ale na twoim miejscu chyba bym do niej zadzwoniła.

– Dzięki, Anno. Czy powiedziałaś jej cokolwiek o tym, co tutaj się dzieje?

– Jasne, że nie. Ale powiedziałam, że to poważne. Cóż, właściwie zawsze zajmujemy się poważnymi sprawami, ale że tym razem to coś wyjątkowego. Właśnie tyle ode mnie usłyszała. Że akurat przeżywasz ciężkie chwile, ale jestem pewna, że wszystko jej wyjaśnisz. – Anna skrzyżowała ramiona i zmarszczyła brwi. – Dobrze się czujesz?

– Co ci powiedział dyrektor?

– Że mamy przez cały czas trzymać cię pod ścisłym nadzorem i w żadnym wypadku nie wpuszczać do pokoju śledczych, żebyś nie zobaczył swojego zdjęcia na samej górze tablicy z podejrzanymi – Anna wygłosiła tę kwestię z miną kompletnie pozbawioną wyrazu.

– Bardzo zabawne. – Fabel spojrział na nią ze zniecierpliwieniem.

– Powiedział mi i Wernerowi, że sam wycofujesz się ze śledztwa w sprawie Müllera-Voigta i Zabójcy z Sieci, ale że nadal pozostajesz szefem wydziału. Tak jakby zasugerował, że masz zamiar zrobić sobie *przerwę*. Powiedział również, że teraz Werner będzie prowadził sprawę Müllera-Voigta, a główna nadkomisarz Brüggemann przyjedzie, żeby kierować dochodzeniem w sprawie Zabójcy z Sieci.

– Nicola Brüggemann?

– Na razie nadal mamy robić swoją robotę, ale to ona zdecyduje, co dalej.

Fabel skinął głową. Dobrze znał Nicolę Brüggemann: kierowała wydziałem zajmującym się przestępczością wobec nieletnich i z konieczności często zdarzało się, że musiała współpracować z Wydziałem Zabójstw.

– Nicola Brüggemann jest znakomitym oficerem – Fabel postarał się, żeby w jego tonie zabrzmiało ostrzeżenie. – Nie próbuj... Nie staraj się robić wszystkiego na przekór, tak jak zwykle, Anno. Nie jest winą Nicoli, że zostałem... Jak to określić... Nie zawieszony ani odsunięty... Już wiem: *przeniesiony*. Zależy mi, żebyście ty i Werner trzymali się śledztwa w sprawie Zabójcy z Sieci. I oczywiście chciałbym być na bieżąco informowany o wszystkich postępach. Na razie muszę się zająć zebraniem informacji dotyczących tego ataku z podpaleniem w Schanzenviertel.

Kiedy dotarł do domu, Susanne już na niego czekała. Na jej twarzy nie dostrzegł gniewu, jedynie zaniepokojenie. Poza tym wyglądała na zmęczoną. Jej niepokój pogłębiał się w miarę, jak Fabel opowiadał o wszystkim, co wydarzyło się podczas jej nieobecności.

– Na litość boską, Jan... Naprawdę nie można zostawić cię nawet na chwilę. No i co teraz będzie?

– Nie wiem. To ma związek właściwie ze wszystkim. Mam być personalnie odpowiedzialny jedynie za śledztwo w sprawie śmierci w Schanzenviertel... No wiesz, chodzi o tego gościa, który zginął, po tym, jak ktoś podpalił jego samochód. Oficjalnie nadal prowadzę pozostałe sprawy, ale...

– Jak myślisz, kto za tym stoi? To znaczy, wiesz, taka akcja wymagała niesamowitej organizacji, mnóstwa środków...

– Niedawno odbyłem rozmowę na ten temat. – Fabel podniósł akta. – Mój niezrównany kumpel, Fabian Menke, podejrzewa, że to dzieło Pharos Project. Co prawda nie bardzo rozumiem, jaki związek może mieć ekologiczna sekta z seryjnym gwałcicielem i mordercą, ale Müller-Voigt uważał, że oni naprawdę są groźni. Przypuszczał, że jego dziewczyna usiłowała śledzić ich poczynania i właśnie dlatego zniknęła bez śladu. Muszę przyznać, że to chyba więcej

niż zwykły zbieg okoliczności, że wszystkie oficjalne ślady, komputerowe dane, dotyczące pobytu tej kobiety na terenie Niemiec przypadły w tej samej czarnej dziurze, co moje wiadomości tekstowe. Tak samo wydaje mi się piekielnie podejrzanym zbiegiem okoliczności, że Virtual Dimension, ta kluczowa dla nas, główniana witryna, w której były zalogowane wszystkie ofiary Zabójcy z Sieci, również stanowi własność korporacji Korn-Pharos.

– Sądziś, że teraz ta sekta uwzięła się także na ciebie? – Susanne zmarszczyła brwi.

– Sądzę, że podejrzewali, iż Müller-Voigt wie znacznie więcej, niż w rzeczywistości wiedział, i że przekazał mi część tej wiedzy, wystarczająco dużo, żebym zaczął węszyć w miejscach, w których nie powinienem. Problem polega na tym, że nie jestem ani tak sprytny, ani tak dobrze poinformowany, jak podejrzewają.

– Ale jesteś funkcjonariuszem *policji*, na litość boską! Nie mogą przecież rzucić wyzwania policji czy rządowi i liczyć, że ujdzie im to na sucho!

– Z tego, co dotychczas udało mi się odkryć, Pharos Project i Korn-Pharos Corporation mają kilkaset razy większy budżet i dziesięciokrotnie więcej ludzi niż cała Polizei Hamburg. Zrozum, Susanne, to nie jest zwykły, zajmujący się handlem koncern ani dziwaczna sekta, to bardziej przypomina *państwo*, tyle że bez fizycznych granic. Nie ma mowy, żebym zbyt nisko ocenił Pharos Project albo zbagatelizował, do czego są zdolni, byle osiągnąć swoje cele. Moim zdaniem to byłby decydujący błąd.

– Jeśli ty i Menke jesteście przekonani, że za wszystkim kryje się Pharos Project, to dlaczego nie wezwiecie nikogo stamtąd i trochę go przepytacie?

– Bezpośrednio po moim *przesłuchaniu* przez van Heidena rozmawiałem z Biurem Prokuratora Generalnego. Nie mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby postarać się o nakaz. Zresztą rozmawiamy przecież o korporacji albo o sekcje, o grupie ludzi, a nie indywidualnych osobach. Wciąż jesteśmy daleko, bardzo daleko od tego, by przypisać konkretnych ludzi do któregoś z miejsc zbrodni. Och, nie, całkiem zapomniałem, jednej osobie z pewnością możemy udowodnić, że była na miejscu zbrodni... W magazynie dowodów znajduje się pewna figurka z brązu cała pokryta odciskami palców. Niestety tak się składa, że te odciski należą do mnie.

Fabel westchnął głęboko.

– Przepraszam. Sęk w tym, że wciąż nie mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby otrzymać nakaz sądowy, a nawet jeśli go w końcu dostaniemy, to i tak nie wiem, ani kogo, ani czego powinniśmy szukać.

Susanne podeszła bliżej i odgarnęła mu z czoła lok jasnych włosów.

– Zobaczysz, że w końcu będziesz wiedział. Tylko postaraj się nie denerwować. Rób to, co zawsze, i spróbuj spojrzeć na całą sprawę z dystansu. Nikt nie potrafi tego robić tak dobrze jak ty. Masz chęć coś zjeść?

Fabel pokręcił głową.

– Nie, muszę teraz nadrobić zaległości w czytaniu.

Położył akta na stole kuchennym.

– Może masz rację, ale dziwnym trafem odnoszę wrażenie, że tym razem ta perspektywa jest za szeroka, nawet dla mnie.

W miarę jak Fabel czytał akta dostarczone przez oficera BfV, nabierał coraz głębszego przekonania, że ma do czynienia z czymś bardziej złożonym i o szerszym zasięgu, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. I ze sposobem postrzegania świata, którego tak naprawdę nie potrafił objąć umysłem.

Czytał znów o tym, o czym już wcześniej mówili mu Anna i Müller-Voigt: że Dominik Korn, żyjący jak pustelnik geniusz i miliarder o podwójnym, amerykańsko-niemieckim

obywatelstwie, przejął po swoim ojcu jego biznesowe imperium i rozbudował je w Korn-Pharos Corporation, numer jeden na świecie w dziedzinie ekologicznych technologii; że inwestował ciężkie miliony w projekty ekologiczne, włączając w to nieszczęsną wyprawę na pokładzie Pharos One, w celu przeprowadzenia badań na dnie oceanu, żeby sprawdzić, w jaki sposób głębinowe wiercenia w poszukiwaniu ropy naftowej wpływają na środowisko naturalne. Jak się potem okazało, niepokój Korna był całkiem uzasadniony, co stało się jasne przy okazji katastrofy platformy BP Deepwater Horizon, która wydarzyła się w 2010 roku w Zatoce Meksykańskiej. Jednak również dziewicza podróż podwodnej jednostki Korna zakończyła się katastrofą, sam Korn zaś odniósł poważne obrażenia neurologiczne, będące skutkiem zbyt gwałtownego i niedostatecznie zabezpieczonego wynurzania.

Po tym wypadku nikt już nie widział Dominika Korna. Przez długie miesiące leczył się i tylko raz, mniej więcej rok później, na krótko pojawił się publicznie – na konferencji prasowej, podczas której siedział na wózku inwalidzkim i mówił sztucznie wytworzonym przez komputer głosem. Przemienił to swoje jedyne wystąpienie w dramatyczny apel do ludzkości, aby *odłączyła* się od środowiska i zredukowała do zera swój wpływ na naturę. Ten cel był zupełnie nieosiągalny, ale ekolodzy na całym świecie poczuli się zainspirowani odwagą Korna i jego poświęceniem. Fabel doskonale rozumiał, dlaczego młoda Meliha Yazar mogła przyrównywać go do Mustafy Kemala Atatürka. Korn rzeczywiście wydawał się proponować nową, radykalną wizję świata. Zakładał stworzenie nowej, kompletnie innej struktury politycznej, gdzie sprawy dotyczące *całego* świata, na przykład ochrona środowiska, byłyby rozwiązywane na poziomie *globalnym*. Według Korna żaden naród nie powinien mieć praw do eksploatacji bogactw naturalnych ani kontroli nad nimi. Większa część tego wczesnego rozumowania Korna wydawała się Fablowi całkiem słuszna, chociaż rozumiał, że takie oryginalne pomysły mogły być postrzegane jako zagrożenie, zarówno przez przedsiębiorstwa handlowe, jak i rządy poszczególnych państw.

Jednak po tym jedynym wystąpieniu Korn stał się coraz większym odludkiem, a jego oświadczenia, publikowane przez biuro prasowe koncernu Korn-Pharos, zdawały się coraz bardziej dziwaczne. Ogłosił utworzenie Pharos Project, który miał pełnić funkcję międzynarodowego ruchu ekologicznego, ale jego filozofia odłączenia się od środowiska radykalizowała się. Odkąd jednak zaczął wzywać do ścisłej kontroli ludzkiej populacji – włącznie z eutanazją i przymusową sterylizacją – dzwony zaczęły bić na alarm. Zwłaszcza w Niemczech.

Kiedy Pharos Project stał się organizacją quasi-religijną, a jego stosunek do oponentów nabrał agresywnego wydźwięku, coraz częściej wymieniane było jedno nazwisko: Petera Wieganda. Wiegand był zastępcą Korna. To właśnie on kierował akcją ratunkową po awarii Pharosa One, i to on – po tym, jak jego szef stał się niezdolny do działania – chwycił za cugle i sterował organizacją, dopóki Korn nie poczuł się na tyle dobrze, by znów przejąć kontrolę, chociaż z wózka inwalidzkiego i z dala od publicznego widoku. Wiegand był narodowości niemieckiej i w związku z tym europejska kwatera główna Pharos Project została założona w Republice Federalnej Niemiec, choć oficjalnie główna baza nadal mieściła się na terenie Stanów Zjednoczonych. Prawda wyglądała jednak tak, że niemieckie biuro firmy – architektonicznie innowacyjny Pharos na południowym brzegu Łaby – w rzeczywistości było uważane za faktyczną centralną siedzibę Pharos Project. Korn mógł być Królem, lecz z pewnością to Wiegand był jego Księciem Regentem.

Kiedy wydawca jednej z bulwarówek porównał niektóre z działań Pharos Project z działaniami nazistów i napomknął o zastępcy Korna jako o „Himmlerze Pharos Project”, Wiegand wytoczył mu proces, zażądał ogromnego odszkodowania. I wygrał.

Fabel rozumiał, skąd się wzięło zainteresowanie BfV: Pharos Project spełniał niemal wszystkie kryteria destrukcyjnej sekty, z anty-demokratyczną filozofią włącznie. Jak zwykle w takich wypadkach, wyznawano niekwestionowane uwielbienie dla przywódcy, który – co było bardzo wygodne – przebywał gdzieś daleko, i którego inwalidztwo zostało zamienione w manifest wyjątkowej ascezy. Poza tym w Pharos Project następowało całkowite uzależnienie jednostki: kiedy ktoś wstępował do organizacji, jego tożsamość zostawała pochłonięta i zatarta przez pojedynczą, większą świadomość. To oczywiście oznaczało, że każdy osobisty majątek stawał się własnością sekty. Tak wyglądał pierwszy krok na drodze do *rozłączenia* ze światem fizycznym. Jak większość sekt, także Pharos miał swój Sąd Ostateczny: Konsolidację.

Godzina zamieniła się w dwie, potem w trzy; w końcu Susanne przyszła do kuchni, zrobiła kanapkę i postawiła talerz na wierzchu otwartych akt, które Fabel czytał. Następnie wręczyła mu otwartą butelkę piwa Jever.

– Jedz – powiedziała, siadając przy stole naprzeciw niego.

– Czyżbyś nagle stała się domatorką? – zapytał i podejrzliwie obejrzał kanapkę.

– Właśnie doszłam do wniosku, że zrobiłam błąd, idąc na uniwersytet, robiąc karierę zawodową i tak dalej. Zdecydowałam, że wolę zostać w domu i zaspokajać wszystkie twoje zachcianki. – Susanne skinęła głową w stronę kanapki. – To mój autorski przepis: chleb, masło i ser.

Fabel uśmiechnął się, ugryzł kęs, a potem oparł się o tył krzesła i upił łyk piwa.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego Menke wydaje się taki chętny do współpracy – powiedział. – Wydział do Spraw Walki z Sektami wchodzący w skład BfV powołał cały zespół, który rozpracowuje Pharos Project. Na razie nie mają na nich nic konkretnego, podobnie jak FBI, które także nabrało podejrzeń. Pharos Project ma swoją europejską siedzibę kawałek dalej, nad Łabą, i nawet Polizei Niedersachsen stworzyła specjalną jednostkę, która monitoruje ich działalność.

– Na czym właściwie polega osobliwość ideologii Pharos Project? Czy z nieba ma spaść wielki meteor i przenieść ich do innej galaktyki? Może chodzi o ucieczkę przed wielkimi jaszczurami, które przebrały się za masonów? Albo po prostu czekają na Jezusa, który przybędzie na pokładzie pojazdu kosmicznego? Moim zdaniem każda z tych teorii wydaje się równie dobra.

– Wiesz, co to jest osobliwość matematyczna?

– Posłuchaj, mądralo! To, że zrobiłam ci kanapkę, nie oznacza jeszcze, że mój mózg zamienił się w papkę. Oczywiście, że wiem, co to jest osobliwość matematyczna: to przepowiedziany moment w historii, kiedy komputery i maszyny będą w stanie budować inne komputery i maszyny, których my nie będziemy w stanie stworzyć ze względu na ograniczenia ludzkiej inteligencji. Bóg jeden wie, ile filmów science-fiction zostało stworzonych na kanwie tego tematu.

– No widzisz, a Pharos Project przedstawia inną definicję – odparł Fabel. – Oni wierzą, że staniemy się znacznie bardziej inteligentni poprzez zjednoczenie z technologią. Że będziemy mnożyć się poprzez inżynierię genetyczną, powiększając samych siebie przez dodawanie zasadniczych elementów. Mam na myśli takie rzeczy jak nanochipy w mózgu, mikroskopijne urządzenia, wędrujące po całym organizmie w celu zniszczenia komórek nowotworowych albo usuwające cholesterol z naszych tętnic, co pozwoli nam dłużej żyć.

– Tak... Ja też słyszałam o takiej interpretacji. Transhumanizm, posthumanizm... Rozrusznik następnej fazy w ewolucji ludzkości.

– No cóż, zdaje się, że takimi właśnie rzeczami zajmuje się Dominik Korn.

– To całkiem zrozumiałe, jeśli ktoś spędza całe życie podłączony do rurek i komputerów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musi wierzyć, że to możliwe, by już niebawem

powstała jakaś lepsza maszyna, która pozwoli podtrzymać jego egzystencję.

– Cóż, z tego, co czytałem, wynika, że wyznawcy Pharos Project wierzą, że ludzkość zdoła odłączyć się od środowiska poprzez „załadowanie” siebie samej do czegoś w rodzaju gigantycznego komputera, znajdującego się w samym centrum wszechświata.

Susanne wyjęła z lodówki butelkę wina i nalała sobie kieliszek.

– Już kiedyś słyszałam te bzdury – oświadczyła. – O koncepcji, że będziemy mogli przerobić ludzką świadomość na jej cyfrową wersję, i przechowywać ją na czymś, w co ewoluują obecne komputery.

– Nie wierzysz w taką możliwość?

– Janie, ja jestem psychologiem. Codziennie zajmuję się umysłami ludzi. Istnieje pewna przypadkowość związana z tokiem ludzkiego myślenia, z elektrochemicznymi sygnałami w mózgu, z przewodzeniem impulsów pomiędzy dendrytami, która stwarza gmatwaną niemożliwą do skopiowania przez jakikolwiek komputer. Jeśli kieruję do ciebie słowo „drzewo”, to twój mózg przyjmuje dane wejściowe i wytwarza myśli związane z tym pojęciem. Komputer także może to zrobić, w porządku, przywoła pojęcie drzewa. Ale jeśli ja powiem do ciebie słowo „drzewo”, to w dziesięć sekund później, chociaż ty już dobrze wiesz, czym jest drzewo, bodziec, jakim stanie się pojedyncze słowo, wywoła w twoim umyśle tysiące nowych skojarzeń, kompletnie innych niż to pierwsze. Żeby stworzyć komputer zdolny pomieścić ludzki intelekt, najpierw musiałbyś przeprowadzić syntezę organicznych struktur mózgu. – Pokręciła głową z pełnym niedowierzaniem śmiechem. – Cyfryzacja ludzkiej świadomości? Wierutny stek bzdur, Jan. Tego nigdy nie uda się przeprowadzić.

– Skąd ta pewność? Na pewno w przyszłości...

– Okay, nawet nie próbujmy myśleć o komputerze. Transplantacja mózgu była tworzywem wszystkich horrorów, począwszy od Frankensteina. Mózg jest przecież schronieniem umysłu, kolebką osobowości, prawda?

– Oczywiście.

– Więc jeśli transplantacja mózgu byłaby możliwa, umysł i osobowość dawcy zostałyby przeniesione do ciała biorcy, zgadza się?

– Tak.

– Otóż nie. Jeśli przeszczepisz mózg, musisz podłączyć go do całkiem innego systemu wewnątrzwydzielniczego, do całkowicie innej fizjologii. Nasze nastroje, zmiany osobowości wywodzą się z enzymów, hormonów i związków chemicznych, produkowanych przez nasze ciała. Powód, dla którego mężczyźni są bardziej agresywni od kobiet, nie jest zbyt skomplikowany. Po prostu, mówiąc otwarcie, mężczyźni mają jaja, a kobiety nie. Ale jeśli przeniesiesz męski mózg do ciała kobiety, to on się sfeminizuje, ponieważ będzie połączony z zupełnie odrębną strukturą chemiczną, która wywoła w nim fizyczne zmiany. Tak samo jeśli zapiszesz cyfrowo ludzki mózg, żeby wprowadzić go do komputera, to w rezultacie nie otrzymasz mózgu, tylko w najlepszym wypadku indywidualny program komputerowy. Uwierz mi, Janie, ta koncepcja osobowości matematycznej człowieka maszyny, to jedna wielka błąka.

– No cóż, ale Pharos Project kolportuje tę błąkę, a Korn-Pharos Corporation czynnie prowadzi badania. W symulacjach komputerowych Korn-Pharos przewodzi światu. I wcale nie mam na myśli rozrywek tego typu, w jakie bawimy się na konsolach do gier. Ojciec Korna zbił fortunę, tworząc prototypy komputerów dla sił zbrojnych Ameryki, a później dla NASA. Te programy potrafią stworzyć cały system gwiazd, czarne dziury, i tak dalej. Wystartowali z prostym matematycznym modelem, a skończyło się na całym nadrealistycznym wszechświecie, istniejącym wewnątrz systemu komputerów. Zgodnie z tym, co twierdzi Dominik Korn, Korn-Pharos dzieli zaledwie dekada od wynalezienia sprzętu i oprogramowania, które

nieustannie będą się aktualizować i same naprawiać. Według Korna, gdy już nadejdzie ów wspaniały Dzień Konsolidacji, wszyscy członkowie Pharos Project zostaną przeniesieni w superrealistyczną symulację komputerową, dzięki czemu będą mogli żyć przez całą wieczność w świecie, który będzie wydawał się tak samo rzeczywisty jak nasz świat. W dodatku robiąc to, uratują prawdziwe środowisko – poprzez „odłączenie się od niego”.

– To brzmi jak jakaś pokręcona fabuła powieści „Cyberżycie po życiu”.

– „Po życiu” to zdecydowanie kluczowe sformułowanie. Przynajmniej tym aspektem interesuje się najbardziej BfV, Biuro Bezpieczeństwa Konstytucyjnego. Przeniesiesz swoją świadomość do innej rzeczywistości, i co dalej? Gdzie tak naprawdę wtedy będziesz? Twój umysł w tym samym czasie będzie przebywać w dwóch różnych miejscach, w prawdziwym świecie i w wirtualnej rzeczywistości. A więc, jeśli o ciebie chodzi, po tym wydarzeniu nic się nie zmienia. No chyba że...

– Że położysz kres swemu istnieniu w rzeczywistym świecie. – Susanne odstawiła szklankę i powoli pokręciła głową. – No i mamy zbiorowe samobójstwo.

– Raczej zbiorowe samobójstwo-zabójstwo. Spójrzmy prawdzie w oczy, to podstawowy wyznacznik wszystkich sekt. Jonestown, Świątynia Słońca, Brama Niebios, Szczep Dawidowy... Pomimo kostiumu hi-tech, który przybiera Pharos Project, mamy do czynienia z tą samą obietnicą przeniesienia do wyższego poziomu. Jedyne, co musisz zrobić, to umrzeć.

W tym momencie rozmowę przerwał dźwięk telefonu. Fabel ze zdziwieniem stwierdził, że dzwoniła Astrid Bremer z Sekcji Medycyny Sądowej. Astrid była zastępcą Holgera Braunera.

– Do późna pracujesz – powiedział.

– Tak... Tyram tak już trzeci tydzień – odparła. – Moje życie towarzyskie powoli zamiera. Chcesz usłyszeć dobre nowiny?

– Och, tak! Bardzo chcę! – zawołał Fabel.

– Pomyślałam, że powiem ci, że zrobiliśmy pełną analizę odcisków palców i śladów, które były na tej figurce wykorzystanej do zamordowania Müllera-Voigta. Tak jak przypuszczałeś, wszystkie odciski palców należą do ciebie albo do Müllera-Voigta i nie ma śladu DNA żadnej trzeciej osoby.

– Znakomicie – westchnął Fabel. – Dziwnie pojmujesz to, czym jest dobra nowina.

– No cóż, faktycznie jest dobra, a to z tego powodu, że na figurce nie ma odcisków palców innej osoby, ponieważ ten, kto zabił Müllera-Voigta, nosił rękawiczki. Są ślady wycierania i brudzenia, włączając w to twoje odciski. To dowodzi, że nie byłeś ostatnią osobą, która miała w rękach tę figurkę. Oczywiście to jeszcze nie oznacza, że nie założyłeś rękawiczek później, ale wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Dzięki, Astrid. Tak czy owak, to zawsze więcej niż nic.

– Jest jeszcze coś...

– Tak?

– Na miejscu zbrodni znaleźliśmy kilka włókien obcego materiału. Szarego materiału. Moim zdaniem te włókna pochodzą z męskiej marynarki. Czy tego wieczora nosiłeś szarą marynarkę?

– Nie. Müller-Voigt też był ubrany w coś innego.

– To już wiemy. Przeszukaliśmy jego garderobę i nie znaleźliśmy niczego, co by pasowało.

– Możesz to stwierdzić już teraz?

– Tak... – odparła Astrid. – Te włókna są bardzo nietypowe, bo zdaje się, że zawierają niewiarygodnie wysoki procent poliestru, a to, co nie jest poliestrem, jest jakimś innym syntetykiem. To najdziwniejsza rzecz, jaką dotąd widziałam. To znaczy, zdaję sobie sprawę, że

w latach siedemdziesiątych ludzie mieli bzika na punkcie takich syntetycznych materiałów, ale w obecnych czasach... W każdym razie mam zamiar wysłać te włókna do jakiegoś specjalistycznego laboratorium, żeby ktoś lepiej je zbadał i określił ich skład.

– Bardzo dziękuję, Astrid – odparł Fabel i odłożył słuchawkę, starając się zrozumieć, dlaczego nagle ogarnęło go poczucie, że przed chwilą Astrid powiedziała mu coś szalenie ważnego.

ROZDZIAŁ 25

Następnego dnia, jeszcze zanim dokądkolwiek pojechał, Fabel postanowił wstąpić do księgarni Jensena, która mieściła się w Arkaden, na nabrzeżu Elstery. Otto Jensen był jego bliskim przyjacielem, bliższym nawet niż Werner. Ta przyjaźń była nieskażona żadnymi zawodowymi sprawami. Fabel i Otto studiowali razem na uniwersytecie i ich zażyłość przetrwała, mimo że Otto od samego początku nie aprobował decyzji Fabela o wstąpieniu do policji.

– Szkoda na to takiej mądrej głowy – powtarzał wielokrotnie.

Fabel jeszcze jako chłopiec wiedział, że odznacza się niebywałym sprytem i że ma głowę nie od parady. Ale kiedy na uniwersytecie poznał Ottona Jensena, od razu zorientował się, że umysł kumpla pracuje na całkiem innym poziomie. Otto był osobą, do której Fabel przychodził, by rozmawiać o wszystkim, co wydawało mu się zbyt skomplikowane albo niezrozumiałe. I o cokolwiek by nie chodziło, Otto zawsze wiedział co nieco na ten temat. Jednocześnie Fabel zdawał sobie sprawę, że Otto jest całkowicie, spektakularnie wręcz pozbawiony rozsądku, który pozwala człowiekowi wieść normalne, codzienne życie. Fakt, że Jensen z powodzeniem prowadził księgarnię, był wyłączną zasługą jego żony, Else.

Fabel odczekał chwilę, podczas gdy Otto obsługiwał klienta. Przyglądając mu się z pewnej odległości, nagle ujrzał łysiejącego mężczyznę w średnim wieku i o zmęczonych oczach. To go zasmuciło, ponieważ za każdym razem, gdy myślał o przyjacielu, pojawiał się przed jego oczami wysoki, niezdarny młodzieniec z długimi, mizernymi blond włosami. Pewnie działał tu ten sam mechanizm, dzięki któremu na pewien czas zdołał wymazać z pamięci śmierć Dirka Stellamannsa. Obraz osoby, który zatrzymujesz w głowie, nigdy się nie starzeje; zostaje utrwalony w czasie, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy.

– Co to? – spytał Otto, kiedy Fabel podszedł do lady. – Napad?

– Przestań się pocić – odparł Fabel. – Na szczęście nie ma paragrafu zabraniającego człowiekowi być cwany dupkiem. Przynajmniej na razie. Jak tylko go wprowadzą, od razu wstawię cię na początek listy najgroźniejszych przestępców, i to tych poszukiwanych listem gończym. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy masz czas na kawę? Chciałbym, żebyś mnie trochę oświecił.

Otto poprosił kogoś z obsługi, żeby go zastąpił, i zaprowadził Fabela w kąt zastawiony sofami, gdzie w otoczeniu półek z książkami stał ekspres do kawy. Tam usiedli, jak na dwóch starych przyjaciół przystało, i pograżyli się w niezobowiązującej rozmowie. Dopiero po chwili Fabel opowiedział o wszystkim, co udało mu się ustalić na temat Pharos Project, o ich idei Konsolidacji, symulowanej rzeczywistości oraz idei głoszącej konieczność usunięcia rodzaju ludzkiego z obszaru biosfery.

– Nie pojmuję, w czym rzecz – powiedział Fabel na zakończenie. – Pharos Project jest rzekomo organizacją ekologiczną, a mimo to ci ludzie mają obsesję na punkcie symulowanej rzeczywistości. Poza tym głoszą dziwaczne teorie, że symulowana rzeczywistość pozwoli ludzkości usunąć się ze środowiska i w ten sposób ocalić je od zagłady... Zresztą tego także nie rozumiem: po co chronić coś, od czego chcesz uciekać? Nawiasem mówiąc, tutaj także nie widzę związku.

– No cóż, Janie, jesteś w błędzie. Te dwie idee w pewien sposób przystają do siebie. Wróćmy do końca dziewiętnastego wieku, do niektórych z czołowych wówczas na świecie geologów: do Eduarda Süssa, Nikołaja Fiodorowa, Władimira Wiernadskiego i całego mnóstwa innych, którzy rozwijali obie idee i uważali je za nierozzerwalnie połączone. Zresztą paru z nich

rzeczywiście stawiało sobie pytania, czy biosfera sama w sobie nie jest czymś w rodzaju symulacji.

– Tak... – Fabel zrobił sceptyczną minę. – Zawsze ci zwariowani Rosjanie...

– Nie, absolutnie nie powinieneś odnosić się do tego w tak pogardliwy sposób. Kilka idei z tamtego okresu dziś jest częścią głównego nurtu rozważań o świecie. Wracając do przeszłości, Wiernadski uważał, że najistotniejszą siłą, która kształtuje geologię Ziemi, jest ludzki intelekt. Niektórzy ze współczesnych geologów sądzą, że obecną erę powinniśmy nazywać antropocenem zamiast holocenu, ponieważ to *my* zmieniamy oblicze tej planety.

– Ale co takiego jest w tej symulowanej rzeczywistości, że ci z Pharos Project tak bardzo za nią obstają?

– No cóż, cofnijmy się nieco dalej: Fiodorow, który wywarł wielki wpływ na Wiernadskiego, naprawdę wierzył, że w odległej przyszłości ludzkość przekształci się w „prostetyczną społeczność”. Nie będzie już starzenia się ani śmierci. Tak samo sądził, że jesteśmy na najlepszej drodze do osiągnięcia czegoś w rodzaju „superosobliwości matematycznej” – pamiętaj przy tym, że wpadł na ten pomysł w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – dzięki czemu będziemy w stanie sporządzić kopię absolutnie *każdego* umysłu, co będzie oznaczało, że każdy, kto kiedykolwiek żył na Ziemi, mógłby z powrotem zaistnieć. To taka forma zmartwychwstania umysłów. Nieoczekiwanie nauka ateisty staje się religijną przepowiednią.

– Ależ to jakieś szaleństwo! – zaprotestował Fabel. – Jak w ogóle można stworzyć symulowany świat?

– Janie, jesteś starym technofobem. Zaręczam ci, że narobiłbyś w gacie ze strachu, gdybyś zobaczył, co potrafią dziś wyczyniać projektanci gier. To są hiperrealne, a jednak całkowicie sztuczne światy. Zresztą czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że tworzenie symulowanej rzeczywistości jest najłatwiejszą sprawą pod słońcem? Wszyscy to robimy... za każdym razem, gdy śni się nam jakiś sen. Kiedy śnimy, mamy przecież wrażenie, że to rzeczywistość. Jak często coś ci się śni, a potem, kiedy już się obudzisz, musisz długo się zastanawiać, co się wydarzyło naprawdę, a co tylko we śnie?

Fabel przypomniał sobie, jak żywe były jego sny na przestrzeni ostatnich lat, kiedy ukazywali mu się zmarli ludzie, wskazując na niego oskarżycielsko, ponieważ nie udało mu się złapać tego, kto był winien ich śmierci... Pomyślał o nocach, które spędzał we śnie w gabinecie ojca, rozmawiając z Paulem Lindemannem. Lindemann był młodym policjantem, który zginął od postrzału w głowę podczas operacji zorganizowanej i prowadzonej przez Fabla.

– Czy wiesz, że znajdzie się całkiem spore grono poważanych naukowców, którzy uważają za zupełnie nieprawdopodobne, żeby cokolwiek z tego, co tu widzimy... – Otto zatoczył ręką szerokie koło – ...było częścią rzeczywistości? Oni sądzą, że wszystko, czego doświadczamy, jest jedynie wysoce wyrafinowaną symulacją.

– Raczej wolałbym umrzeć, niż żyć w takim kłamstwie – odparł Fabel.

– Dlaczego? Czy to sprawia ci jakąś różnicę? Przecież to jest wszystko, czego dotąd doświadczalesz. To jest twoja *rzeczywistość*. I naprawdę nie ma znaczenia, czy istnieje wewnątrz czy na zewnątrz jakiejś symulacji. Może Bóg jest właśnie kimś takim...? Analitykiem systemowym. Czy naprawdę uważasz, że to przygnębiająca myśl?

– Otto, ale przecież to *jest* rzeczywistość.

– Rzeczywistość jest czymś, co istnieje w twojej głowie, Janie. Powinieneś przeczytać *Symulakry i symulację* Jeana Baudrillarda albo postarać się o kopię *Welt am Dracht* Fassbindera... Albo coś z psychologii Junga... Zapytaj Susanne. Chociaż zawsze sądziłem, że ona jest zwolenniczką Freuda. – Otto łypnął z ukosa. – Wszyscy jesteśmy zaprogramowani przez

swoje otoczenie, przez znaki i symbole. Ktoś powie słowo „kowboj” i już widzimy Johna Wayne’a, chociaż prawdziwi kowboje byli niscy, prawie tak jak dżokeje, ponieważ konie musiały taszczyć ich na grzbiecie po dwanaście godzin dziennie. Prawda jest całkiem prosta.

– Wiesz, Otto, jeśli chcesz, mogę ci dać numer telefonu do Pharos Project...

– Och, bardzo śmieszne. Wielkie dzięki, ale jest mi całkiem dobrze w tej rzeczywistości, w której żyję – Otto nagle spowaźniał. – Niemniej, wiem co nieco o Pharos Project, Janie, lecz nie są to dobre rzeczy. Oni terroryzują rodziny swoich byłych członków, nękają każdego, kto odważy się ich krytykować... Musisz być ostrożny w kontaktach z tymi ludźmi.

Fabel wysączył resztę kawy.

– Lepiej już pójść. Zadałeś mi cios prosto w serce, Otto, wiesz o tym?

– Może to właśnie jest mój *raison d'être*. Do zobaczenia, glino.

Fabel przejechał przez całe miasto i zaparkował samochód na ulicy, naprzeciw Schanzenviertel Cafe. Przed wizytą u Ottona spędził cały dzień na zapoznawaniu się z dowodami, które zebrano w sprawie Föttingera, i doszedł do wniosku, że jest wystarczająco dobrze przygotowany, aby zacząć rozmowy ze świadkami. To było coś, co robił zawsze sam, i co uważał za rzecz naturalną, chociaż nigdy nie polegał wyłącznie na zeznaniach świadków. Nie chodziło o to, że nie ufał policjantom, czy też sądził, że nie umieją zadawać właściwych pytań, lecz uważał raczej, że odczytywanie zeznań z akt odbierało im ludzki wymiar: czasami ważniejsze wydawało się nie to, *co* świadek powiedział, ale *jak* powiedział. Miliony drobnych mrugnięć czy tików mogły ujawnić czyjąś wątpliwość, niepewność albo uprzedzenie.

Jechał do Schanzenviertel pełen dziwnego optymizmu. Może sprawiła to pogoda, bo po raz pierwszy od tygodni poczuł w chłodnym wieczornym powietrzu prawdziwy powiew wiosny. Często się zastanawiała, jaki wpływ na jego nastrój wywiera pogoda, ale teraz ta myśl przypomniawszy mu słowa Müllera-Voigta: o związkach człowieka z naturą i o tym, jak człowiek utracił kontakt ze środowiskiem.

Przechodząc przez jezdnię, ujrzał, że w kawiarni dwa z czterech wielkich okien ze szlifowanego szkła zostały zasłonięte przez panele ze sklejk; drewno ram otaczających sklejkę było wyraźnie szerniałe. Fabel domyślił się, że to żar ognia z płonącego auta sprawił, że szyby popękały.

Kiedy wszedł do środka, zauważył, iż z ponad dwudziestu stolików tylko trzy były zajęte.

– Jakoś tu u was dzisiaj wyjątkowo spokojnie – powiedział do kelnera, wyciągając ku niemu policyjną odznakę.

Kelner, który właśnie pochylał się nad stolikiem, przesadnie zaszygnował mimiką, że wcale się tym nie przejął, a potem jeszcze wzruszył ramionami. Schanzenviertel należało do tych dzielnic Hamburga, w których obecność policji nie robiła na nikim wrażenia. To nie tak, że zamieszkiwali ją wyłącznie sami kryminaliści, lecz raczej dlatego, że w części miasta znanej z alternatywnej atmosfery policję instynktownie traktowano z lekceważeniem i nieufnością. Fabel wcale się tym nie przejmował. Prawdę mówiąc, raczej to doceniał: w takim zdrowym braku poszanowania dla władzy było coś, co sprawiało, że Hamburg był Hamburgiem.

– Śmieszne, co? – odezwał się kelner, powracając do wycierania i uprzątnięcia stołu, od którego przed chwilą odeszli goście. – Myśleliśmy, że jak dodamy do menu pieczonego klienta, to tłumy będą do nas walić drzwiami i oknami.

Ze znużeniem wyprostował plecy. Fabel zauważył, że jest starszy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka; wysoki, szczupły i przygarbiony, z pooraną zmarszczkami twarzą, ubrany był w sposób, który bardziej pasował do kogoś o dziesięć lat młodszego.

– Jak rozumiem, właśnie to jest powodem, dla którego pan się do nas pofatygował?

– Czy znał pan ofiarę? – Fabel zająrzył do notatnika – Daniela Föttingera?

– Jak już mówiłem tamtym gliniarzom, on był naszym stałym gościem. Przychodził tu w każdą środę, zawsze o tej samej porze i z tą samą kobietą. Jedli lunch, a potem wychodzili już razem.

– Co ma pan na myśli, mówiąc: „wychodzili już razem”?

Kelner westchnął ciężko.

– Zawsze przyjeżdżali dwoma samochodami, ale kiedy już zjedli, wsiadali do jej auta. Zauważyłem, że ten wielki merc kabriolet zawsze stał tu przez ładnych parę godzin, a potem znikał, po południu albo tuż przed wieczorem. Czasami nawet myślałem sobie, że gość trochę ryzykuje, zważywszy na to, ile tu dookoła zdarzyło się podpaień samochodów, ale nie wyobrażałem sobie, że coś podobnego wydarzy się w biały dzień, tuż pod naszymi drzwiami. Ani też, że ten biedny skurczybyk skończy jako żywa pochodnia.

– Co pan o nim wie?

– Tyle, co o wszystkich moich klientach: co zamawiają, co piją, ile zostawiają napiwku. On raczej nie należał do tych, co lubią sobie zamienić z kimś parę słów.

– Ale mimo to często do was zaglądał?

– Cóż mogę panu odpowiedzieć? Z niektórymi klientami łatwo jest się zapoznać, ale on taki nie był.

– Musiał przecież wyrzucić na panu jakieś wrażenie... Na przykład, jakim był człowiekiem.

Wychudzony kelner zaśmiał się krótko.

– Jakby najlepiej to ująć... Jego zachowanie raczej nie rzucało się w oczy, ale z tego, co zauważyłem, chyba był aroganckim dupkiem. Za każdym razem, kiedy przychodził, siadał przy stoliku z taką miną, jakby był tu pierwszy raz. Wie pan, co chcę przez to powiedzieć, zawsze go obsługiwałem, ale on udawał, że mnie nie poznaje. Niektórzy goście właśnie tacy są. Traktują nas jak powietrze albo jakbyśmy nie byli istotami ludzkimi. Jakbyśmy istnieli tylko i wyłącznie dla ich wygody.

– A ta kobieta?

– Och, ona nie była taka zła. Przynajmniej potrafiła powiedzieć parę słów i dawało się odczuć, że widzi we mnie człowieka. Była naprawdę superprzystojną babką i za cholerę nie mogłem pojąć, co ona robi obok takiego faceta. Rozumie pan, według mnie on był wyłącznie jednowymiarowy.

– Ale uważa pan, że byli parą?

– Tak. Ale jednak nie małżeństwem. I nie byli też znajomymi z pracy ani kolegami. Było oczywiste, że między nimi istnieje jakaś relacja. Kiedy ktoś obsługuje gości tak długo jak ja, łatwo może stwierdzić, jaki charakter ma dane spotkanie, co kryje się za wspólnym lunchem, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Ale między nimi było coś, co mi się nie kleiło.

Fabel podniósł brew.

– Och, sam nie wiem... – Kelner na nowo zajął się sprzątaniami stołu, zirytowany, że ktoś mu przeszkadza. – W jakiś sposób do siebie pasowali... On bogaty, ona śliczna... Ale mimo wszystko on wydawał się jakiś taki... No, nie wiem... Taki nieciekawym. Mówię panu, gdybym to ja siedział naprzeciwko tak pięknej kobiety, to na pewno nie spędzałbym tyle czasu na bawieniu się elektronicznymi gadżetami.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– On bez przerwy pisał jakieś SMS-y albo wydzwaniał do kogoś... Raz nawet zdarzyło się, że siedzieli we dwoje, a on przez połowę czasu, który spędzili w restauracji stuknął na swoim laptopie. Czasami myślę, że to wcale nie nasza znakomita kuchnia go tutaj przyciągała, ale raczej darmowe WiFi. Ale mówię panu, było widać, że ta jego przyjaciółka jest coraz bardziej

wkurzona takim zachowaniem. Moim zdaniem była bliska tego, żeby dać mu kosza.

– I pan dowiaduje się takich rzeczy wyłącznie w ten sposób, że obsługuje pan ludzi przy stole? – Fabel wcale nie miał zamiaru pytać protekcyjnym tonem, ale twarz wychudzonego kelnera natychmiast się zachmurzyła.

– Może gdyby gliniarze mieli obowiązek popracować chociaż przez sześć miesięcy jako kelnerzy, sami znacznie lepiej potrafiliby oceniać innych. Widać gołym okiem, że ludzie coraz bardziej się od siebie oddalają. Oddalają się od rzeczywistości, a wszystko przez tę głównianą technologię. Jeśli chodzi o mnie, to prowadzę tę knajpę, ponieważ mogę obserwować innych i żyć w realnym świecie – popatrzył z pogardą na Fabla. – Na przykład pan... Jest pan gliniarzem, ale sądząc po pańskim ubraniu i sposobie rozmawiania z ludźmi, uważa się pan za kogoś, kto różni się od reszty. Wystarczy spojrzeć na pana marynarkę: angielski krój, porządny tweed. To nie jest zwykły, pozbawiony indywidualności korporacyjny mundurek za dwieście euro, w jakie zawsze stroi się Hamburg Kripo. Powiedziałbym, że nie czuje się pan zbyt komfortowo jako gliniarz i że lubi pan sądzić, że ma pan odrobinę więcej pod kopułą, o tutaj... – Znacząco popukał się w skroń. – Bardzo się pan stara dopasować, ale poprzez niedopasowanie. Ale co ja tam mogę wiedzieć, he? Przecież tylko podaję do stołu.

– W porządku – odparł Fabel. – Jest więc pan Wielkim Obserwatorem, najlepszym analitykiem ludzkich zachowań. Powiedział pan funkcjonariuszom, że jeszcze przed atakiem zwrócił pan uwagę na jednego z podpalaczy. Nie przypuszczam, aby pańskie zdolności obserwacji były aż tak doskonałe, żeby umiał mi pan podać rysopis tego człowieka?

– Zgadza się, widziałem tego faceta. Kręcił się po drugiej stronie ulicy, pod tamtym drzewem... – Kelner cmoknął ze zniecierpliwieniem, kiedy przekonał się, że widok drzewa jest zasłonięty przez wstawioną w miejsce szyby sklejkę. – Tak czy owak, on tam był – dorzucił filozoficznie. – Z początku myślałem, że to jakiś narkoman. Trochę przeskakiwał z nogi na nogę, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca, bez przerwy grzebał nerwowo w takiej wielkiej czarnej torbie, którą trzymał w ręku...

– Czy potrafiłby go pan rozpoznać?

– Bardzo wątpię. Nosił na głowie coś w rodzaju wełnianej czapki, a kiedy zabrał się do podpalania tego samochodu, zsunął ją tak, żeby zasłaniała mu twarz. Ale jednak coś zauważyłem. Nie wspominałem o tym tamtym gliniarzom, bo za późno przyszło mi to do głowy...

– Tak?

– Ten facet kulał. Jestem dosyć pewny, że powłóczył jedną nogą. Albo było coś sztywnego w sposobie, w jaki chodził.

– Bardzo panu dziękuję – odparł Fabel.

Chudy kelner wzruszył ramionami i z powrotem zabrał się za sprzątanie stołów.

Z następną wizytą Fabel wybrał się do Harvestehude. Ogromny, ozdobiony od frontu stiukami budynek w stylu bawarskim usiłował skryć się za zasłoną starannie przystrzyżonych krzewów i drzew. Fabel odnalazł na tabliczce nazwisko, którego szukał, i nacisnął dzwonek.

– Policja... – powiedział do domofonu, w którym odezwał się czyjś skrzeczący głos. – Chciałbym z panią pomówić, *Frau Kempfert*.

– Proszę pokazać legitymację – odpowiedział głos. – Nad domofonem jest kamera.

Fabel podniósł legitymację do bulwiastego, elektronicznego oka i zaraz rozległo się niemiłe brzęczenie, zakończone krótkim kliknięciem. Wtedy popchnął ciężkie drzwi, prowadzące na wyłożoną ozdobnymi płytkami klatkę schodową i wszedł na trzecie piętro. Atrakcyjna, ciemnowłosa młoda kobieta przyglądała mu się podejrzliwie, stojąc w drzwiach prowadzących do jej apartamentu.

– Już opowiedziałam policji wszystko, o czym wiem.

– Wie pani, *Frau Kempfert*, że wszyscy mówią mi to samo. Ale ja lubię sam wysłuchać tego, co świadek ma do powiedzenia. Poza tym nigdy nie wiadomo, może coś się pani przypomni? Czy ma pani coś przeciwko temu, żebyśmy jednak porozmawiali?

– Nie... – Odsunęła się na bok, żeby wpuścić go do środka, ale na jej ustach nie pojawił się cień uśmiechu. – Proszę wejść.

Młoda kobieta poprowadziła go długim korytarzem do znajdującego się w narożniku salonu. Pokój był całkiem spory, z wysokimi francuskimi oknami, i wyjściem, które prowadziło na niewielki, otoczony balustradą balkon. Fabel domyślał się z tego, co widział po drodze, że mieszkanie posiada jedną, najwyżej dwie sypialnie, kuchnię połączoną z jadalnią, oraz łazienkę. Taka architektura była typowa dla *Harvestehude*: wysokie sufity, ogromne okna i nieco ostentacyjnie zdobna sztukaeria stanowiły echo bardziej poważnej i eleganckiej epoki. Mieszkanie nie jest duże, pomyślał Fabel, ale kosztowne jak diabli. Meble i obrazy o jaskrawych kolorach kontrastowały z białymi ścianami, wszystko zaś sugerowało wysoce wyrafinowany gust właścicielki.

Victoria Kempfert opadła na wielki, czerwony fotel i niedbałym gestem wskazała sofę naprzeciwko, co zapewne miało być zaproszeniem do zajęcia miejsca. Rozumiem, pomyślał Fabel, zajmuję ci czas. Nauczył się nie ufać ludziom, którzy przesadnie podkreślali, jak bardzo jest im nie na rękę rozmowa z policją. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli zdarzało się, że ktoś stracił życie, zwykle świadkowie aż nadto chętnie poświęcali swój czas. Pomagali odnaleźć jakiś sens w jakże często bezsensownej śmierci; dla większości fakt, że mogli na coś się przydać lub pomóc, był sposobem przywracania naturalnej równowagi świata.

– Czy zwykle po wspólnym lunchu przyjeżdżali państwo właśnie tutaj? – spytał Fabel. – Oczywiście mam na myśli panią i pana Föttingera.

– Tak. Przyjeżdżaliśmy tu, żeby się pieprzyć. – Patrzyła na niego buntowniczym wzrokiem, wyginając w łuk pięknie zarysowane brwi.

– Rozumiem – odparł Fabel rzeczowo i zapisał coś w notesie. – I gdzie się państwo pieprzyli? W sypialni czy tu, gdzie akurat siedzę?

Twarz Victorii Kempfert pociemniała jeszcze mocniej. Najwyraźniej szykowała jakąś ciętą ripostę, ale przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

– Proszę posłuchać, *Frau Kempfert* – uprzedził ją Fabel. – Wiem, że ma pani za sobą okropne doświadczenie. Wystarczająco jasno dała mi pani do zrozumienia, że gliniarze budzą w pani niechęć. Ja od bardzo, bardzo dawna jestem detektywem Wydziału Zabójstw i niewiele jest spraw na tym świecie, które mogą mnie jeszcze zaskoczyć, więc pani rozdrażnienie, jak również mało wyrafinowany dobór słów, nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Lecz jeśli ma pani ochotę, możemy utrzymać naszą rozmowę na takim właśnie poziomie... No więc, jak często pani i pan Föttinger pieprzyliście się tutaj?

Opuściła oczy. Była naprawdę piękną kobietą – o wyrazistych rysach i burzy gęstych, ciemnych włosów. Nieco podobną do Susanne, i bardzo w jego typie, jak mimo woli sobie uświadomił.

– Daniel i ja przyjeżdżaliśmy tutaj co tydzień, w każdą środę zaraz po lunchu. Czasami widywaliśmy się jeszcze raz w tygodniu, w zależności od naszego rozkładu zajęć. On często wyjeżdżał... – umilkła na chwilę. – Przepraszam, jeżeli byłam... Po prostu po tym, jak zobaczyłam, co się z nim stało...

Zagryzła wargi, a jej wzrok wyraźnie stężał. Było jasne, że bardzo stara się powstrzymać łzy.

– Rozumiem – powiedział Fabel o wiele delikatniej niż przedtem. – Czy oficerowie, z którymi pani rozmawiała, wspomnieli o programie wsparcia dla ofiar?

– Nie potrzebuję niczyjej *porady*, panie Fabel. Jakoś to przeboleję. W końcu...
– Czy widziała pani napastników?
– Nie... Tak... To znaczy, wtedy nie wiedziałam, że to są napastnicy. Ci gnoje po prostu stali i przyglądali się, jak Daniel płonie. Z początku myślałam, że to zwykli przechodnie, jak wszyscy pozostali, ale potem zauważyłam, że mają kominiarki albo coś w tym stylu... Naciągnęli je na twarze. Wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wszystko zaczęło się od podpalenia samochodu. Nie wiedziałam, co się wydarzyło.

– Czy zwróciła pani uwagę na coś szczególnego w ich wyglądzie albo w zachowaniu?
– Poza tymi kominiarkami? Nie. Byłam zbyt pochłonięta patrzeniem na Daniela.

A potem... Boże, dlaczego ktoś zrobił tak straszną rzecz?

– Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Chcę ustalić, czy rzeczywiście mieli zamiar dokonać tego, czego dokonali. W Schanzenviertel zniszczono w ten sposób mnóstwo luksusowych samochodów. Być może ich jedynym zamiarem było podpalenie auta.

– No nie wiem... – Kempfert powiedziała to wolno, a jej oczy zamglily się, jakby w pamięci odtwarzała tamtą okropną scenę. – Chodzi o sposób, w jaki czekali na rozwój wypadków. Jak obserwowali, co się stanie. Zwłaszcza jeden z nich.

– Może był to znak, że są zaszokowani konsekwencjami swoich działań.

Kempfert z zapalem pokręciła głową.

– Właśnie w tym rzecz... Pytał pan, czy zauważyłam coś szczególnego. No cóż... Ten gość w kominiarce, nim wskoczył na tylne siedzenie motocykla, którym obaj odjechali... Mogłabym przysiąc, że on się *śmiał!* Nie robi się tak, jeżeli człowiek jest zaszokowany konsekwencjami swoich działań.

– Nie... Pewnie nie. Ale może pani wierzyć lub nie, lecz to także może być rezultatem szoku. Albo uwarunkowań psychicznych. Paradoksalny śmiech.

– W tym nie było nic paradoksalnego. Ten drań śmiał się z tego, co zrobił!

Fabel przyglądał się jej przez moment.

– Jak długo spotykała się pani z panem Föttingerem?

– Ze dwa miesiące. Może trzy. Zresztą cała sprawa zmierzała już do końca.

– Czy wiedziała pani, że on jest żonaty?

– Nie robił z tego sekretu. A ja nie robiłam sekretu z tego, że nic mnie to nie obchodzi. Poznaliśmy się w pracy. Projektuję strony www i robiłam jakieś zlecenie dla jego firmy. Ale tamta robota skończyła się wiele miesięcy przed tym, nim zaczął się nasz związek, Daniel zatrudnił kogoś innego. A potem, przed dziesięcioma, może dwunastoma tygodniami, przypadkiem spotkaliśmy się na jakimś biznesowym przyjęciu. Wie pan, na takiej typowej kolacji z gumciastym kurczakiem, arkuszami kalkulacyjnymi i prezentacją na deser.

– Obawiam się, że nie wiem – odparł Fabel. – To nie moje środowisko, do pewnego stopnia oczywiście. A więc wtedy zaczęła się pani z nim widywać?

– Mniej więcej tydzień później zadzwonił i zaprosił mnie na lunch. Od tamtej pory widywaliśmy się raz w tygodniu, ale to powoli stawało się... męczące.

– W jakim sensie „męczące”?

– Na pozór Daniel był uroczym i interesującym człowiekiem. Ale czegoś w nim brakowało. Zupełnie, jakby składał się wyłącznie z okleiny, pod którą była tylko pustka. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale nawet w chwilach intymności miałam wrażenie, że on jest sam ze sobą. Prawdę mówiąc, czasami stawało się to wręcz nieprzyjemne. Zupełnie jakbym nie była dla niego rzeczywistą osobą. To szaleństwo, wiem. Lecz właśnie dlatego nie widziałam dla nas żadnej przyszłości.

Fabel zastanowił się nad tym, co właśnie powiedziała; niemal tak samo opisywał

Föttingera tamten kelner.

– Co pani wie na temat biznesu, który prowadził Föttinger?

– Tylko tyle, ile dowiedziałam się, projektując dla niego strony internetowe. Daniel zajmował się wszystkimi typami technologii wiązania węgla. Miał też wziąć udział w tym szczycie klimatycznym GlobalConcern Hamburg. Wie pan, o czym mówię, prawda?

– Słyszałem o tym. – Fabel zamilkł na chwilę. – A co z *Frau* Föttinger? Czy kiedykolwiek pojawiła się sugestia, że ona może wiedzieć o pani związku z jej mężem?

– Co? Że niby „piekło nie zna straszliwszej furii”? Nie, nie sądzę, żeby ona zapłaciła komuś za podpalenie samochodu Daniela, gdyby dowiedziała się o nas. Proszę mi wierzyć, Kirstin Föttinger nie była *zaangażowana* w taki sposób.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Pod pewnymi względami Kirstin jest bardzo podobna do Daniela, tylko w jeszcze większym stopniu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Żona Daniela ma prawdziwego hopla na punkcie ekologii. Na dodatek w dość radykalnej postaci. Jest skrajną weganką i twierdzi, że nasze oddziaływanie na planetę powinno być *zerowe*. Przystąpiła do jakiegoś ugrupowania skupiającego ludzi o podobnie dziwacznych poglądach. Daniel także był z nimi związany, ale nie w ten sam sposób co ona. Moim zdaniem to właśnie ona go tam wciągnęła. Smutne jest to, że według mnie kiedyś, i to wcale nie tak dawno temu, Daniel naprawdę kochał swoją żonę. Sam mówił mi, że ona po prostu przepadła... zniknęła. Myślę, że gdyby nie stała się taką okropną dziwaczką, on nigdy nie zdecydowałby się na związek ze mną. Najśmieszniejsze, że wyczuwałam, że to samo dzieje się z Danielem. On także zaczął się oddalać, zanikać. Coraz bardziej dziwaczał.

– Ugrupowanie? Jakiego rodzaju ugrupowanie? – zapytał Fabel, chociaż był pewien, że zna odpowiedź.

– To bardziej rodzaj sekty – wyjaśniła Kempfert. – Nazywają się Pharos albo jakoś tak.

Fabel powoli skinął głową, zaglądając do notesu. Celowo wykonał ten ruch, żeby ukryć przed Victorią Kempfert znaczenie tego, co przed chwilą mu powiedziała.

– Mówi pani, że on także był związany z tym ugrupowaniem, ale w mniejszym stopniu, tak?

– No cóż, tak. Z tego, co zdążyłam się zorientować, oni nie wierzyli w jakieś tam stopnie zaangażowania. Pharos wymagał całkowitego, bezwzględного oddania. Na samą myśl o tym dostawałam gęsiej skórki. Potwornej gęsiej skórki. Daniel był bystrym facetem. Miewał wspaniałe pomysły, tylko brakowało mu pieniędzy, żeby je realizować. Za to jego żona była cholernie nadziana. Zapewniła mu odpowiednie fundusze, żeby mógł zbudować swój biznes i zostać liderem w tej dziedzinie. Ceną, którą musiał zapłacić za jej pomoc, było przystąpienie do Pharos. Miał zwyczaj z tego żartować. – Kempfert zmarszczyła brwi. – A potem przestał... Prawdę mówiąc, przestał żartować z czegokolwiek.

– Zmienił się?

– Raczej zmieniał się. Mówiłam mu, żeby się stamtąd wynosił, jak się tylko nadarzy okazja. Jestem przekonana, że spora część jego „ja” chciała to zrobić, ale za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, ta część wydawała mi się słabsza. Zupełnie jakby wysysano z niego coraz więcej jego osobowości i jego wolnej woli. Właśnie to miałam na myśli mówiąc, że to wszystko stawało się coraz bardziej męczące... – zatrzymała się na chwilę. – Niech pan posłucha, *Herr* Fabel. I wcale nie byłam aż tak bardzo zaangażowana w związek z Danielem. Nawet na początku. To mnie po prostu bawiło, *on* mnie bawił, ale później wszystko zaczęło mnie męczyć. I jeszcze te dziwaczne poglądy, głoszone przez ugrupowanie, w które zaangażował się on i jego żona...

– Chciała pani zerwać?

– Powiedziałam mu o tym w czasie lunchu. Na chwilę przed tym, nim zdarzyło się tamto nieszczęście... Czy potrafi pan sobie wyobrazić, co teraz czuję?

– Nie mogła pani tego przewidzieć, *Frau Kempfert*. Jak on to przyjął?

– Dobrze. Tak dobrze, że prawdę mówiąc, mogło to nieco naruszyć moje ego. Zupełnie jakby go to nie obeszło. Właściwie wydawało mi się, że moja decyzja sprawiła mu ulgę.

Idąc na ukos przez ulicę do swojego auta, Fabel nawet nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, że Victoria Kempfert przyglądała mu się z okna swojego mieszkania. Była najeżona i oporna, prawie wroga. Doskonale wiedział, że po części jej zachowanie spowodowane było przez próbę zaprzeczenia temu, co się wydarzyło, co dzieje się zawsze w przypadku traumy tak wielkiej, jak ta, której doświadczyła. Ale Fabel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że chodziło o coś więcej. Wyraźnie chciała mu coś powiedzieć, ale albo czuła się zbyt niepewna, albo była zbyt przestraszona, by wyrazić to głośno, i wołała otoczyć się murem nieprzyjaznych, uszczypliwych uwag. Fabel wyjął z kieszeni komórkę; wybrał szybkie połączenie z Wydziałem Zabójstw i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku telefon zastępczy. Trwało dobrą chwilę, zanim przypomniał sobie numer i wystukał na klawiaturze właściwe cyfry. Jak na ironię, to właśnie technologia ułatwiająca życie przyczyniała się do tego, że człowiek zapomina, jak się załatwia najprostsze sprawy. W końcu udało mu się dodzwonić do Anny Wolff.

– Anno, chciałem cię prosić, żebyś sprawdziła dla mnie parę rzeczy. I żebyś zrobiła to w miarę szybko.

– Okay, czego się nie robi dla podejrzanego numer jeden! Ostatnimi czasy, kiedy tylko kazałeś mi kogoś sprawdzać, gość kończył jako nieboszczyk.

– Niech pani mnie posłucha, pani komisarz Wolff: kiedy ta sprawa wreszcie się skończy, przeniosę panią do Buxtehude, gdzie najciekawszym wydarzeniem tygodnia, a może i miesiąca, będzie kradzież roweru.

– Och, tylko nie to! – zawołała z udawanym przerażeniem. – To stanowczo za daleko od więzienia Billwerder i nigdy nie uda mi się przyjechać do ciebie w odwiedzin. No więc, kogo mam dla ciebie sprawdzić?

– Faceta, który zginął w tym podpaleniu auta w Schanzenviertel. Nazywał się Daniel Föttinger. I kobietę, która wtedy była razem z nim, Victorię Kempfert.

– W porządku. Jedziesz już z powrotem?

– Będę trochę później. Muszę wpaść z wizytą do jeszcze jednego domu.

Fabel pilotem odblokował zamek bmw i wśliznął się na fotel kierowcy. Zerknął we wsteczne lusterko. Tak, on wciąż tam był.

– Anno, jest jeszcze coś, co chciałbym, żebyś wrzuciła w komputer. Tylko zatrzymaj to dla siebie. Ktoś mnie śledzi. To nowy volkswagen z napędem na cztery koła, zdaje się, że Tiguan. Przez cały dzień wyskakuje mi we wstecznym lusterku. Podejrzewam, że to ktoś z naszych albo z zespołu BfV, ale po prostu chcę się upewnić.

– Cholera... Chyba nie sądzisz, że ktoś naprawdę podejrzewa...

– Wątpię – przerwał jej Fabel. – Ale może pilnują mnie, żeby wszystko było „jasno i uczciwie”, jak by powiedział dyrektor kryminalny van Heiden.

– Numery rejestracyjne?

Fabel wyteżył wzrok, żeby dostrzec cyfry we wstecznym lusterku, i przeczytał je na głos.

– Daj mi parę minut – powiedziała Anna.

Architektura Hamburga w dyskretny i pozbawiony wszelkiej ostentacji sposób daje człowiekowi do zrozumienia, że w tym mieście można zarobić prawdziwe pieniądze. Dom Daniela Föttingera znajdował się tam, gdzie Nienstedten zmienia się w Blankensee, i swoim

wyglądem świadczył o niesłychanym bogactwie właścicieli. Postawiono go na pełnych czterech hektarach gruntu, i to w okolicy, która należała do najdroższych w całych Niemczech. Biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju firmę prowadził Föttinger, Fabel oczekiwał takiej samej, ultranowoczesnej i nie zawierającej węgla struktury, jak dom Müllera-Voigta w Altes Land. Zamiast tego zobaczył elegancką, białą arystokratyczną willę z dziewiętnastego wieku, z zielonymi żaluzjami w oknach i dwupiętrową oranżerią-ptaszarnią, dobudowaną od wschodniej strony. Otaczające ją tereny urządzone zostały w stylu parku angielskiego, gdzie gładką połąć trawników przerywały tu i ówdzie wiekowe dęby.

Fabel zdecydowanie nie spodziewał się czegoś takiego. Za to domyślał się, że wdowa po Föttingerze nie będzie sama. I tu miał całkowitą rację.

Zważywszy na wspaniałość otoczenia, w pierwszej chwili Fabel przypuszczał, że przysadzisty, nienagannie ubrany mężczyzna z ogoloną na łyso czaszką i kozią bródką, który otworzył mu drzwi, jest po prostu lokajem, jednak jego szyty na miarę garnitur i pewne siebie zachowanie jasno dawały do zrozumienia, że nie ma on nic wspólnego ze służbą domową. Mężczyzna bez słowa wskazał drogę do ogromnego, przestronnego salonu. Tam, obok ustawionego pod przeciwną ścianą fortepianu, stał inny mężczyzna – młodszy i również ubrany w garnitur, tyle że szary i nie tak doskonałej jakości. Uwagę przyciągał kontrast pomiędzy jego bladą cerą a niezwykle krótkimi, czarnymi włosami.

Poza nimi w pokoju przebywała jeszcze mniej więcej trzydziestopięcioletnia kobieta, spoczywająca na kozetce z palisandru. Była szczupła, a jej długie do ramion, falujące włosy w żywym, kasztanowym kolorze zaczesane zostały do tyłu, odsłaniając delikatnie pomalowaną, bladą i lekko piegowaną twarz. Miała na sobie prostą, czarną suknię bez rękawów, która opinała jej figurę w taki sposób, w jaki układają się tylko najdroższe tkaniny, i siedziała w tak doskonale wystudiowanej pozie, że wydawała się prawie nie dotykać kozetki.

W pierwszej chwili, gdy Fabel ujrzał Kirstin Föttinger, odniósł wrażenie, że oto siedzi przed nim laleczka z cienkiej porcelany.

Bez wątpienia żona Föttingera była równie atrakcyjna jak jego kochanka, tylko w całkowicie odmienny sposób. Podczas gdy Victoria Kempfert należała do kobiet budzących w mężczyznach pożądanie, Kirstin Föttinger przypominała raczej kruchy, piękny i kosztowny przedmiot, który się kolekcjonuje i chroni. Poza tym miała w sobie coś, pomyślał Fabel, co wydawało się z całkiem innego świata.

– Cieszę się, *Frau Föttinger*, że znalazła pani czas, żeby się ze mną spotkać – powiedział.
– Wiem, że musi być pani w szoku po tym, co się wydarzyło.

Na jej twarzy pojawił się uprzejmy porcelanowy uśmiech. Prawdę mówiąc, zdaniem Fabla wcale nie wyglądała na osobę znajdującą się w szoku, a jeszcze mniej na kobietę pograżoną w żałobie. Może wymuszone opanowanie tymczasowo pozbawiło ją ekspresji.

– *Frau Föttinger* wzięła coś, co jej pomaga. Lekki środek uspokajający, przepisany przez lekarza – odezwał się starszy mężczyzna, który wprowadził Fabla do salonu.

– A pan jest... – Fabel odwrócił się do niego.

– Peter Wiegand. Jestem przyjacielem rodziny. Byłem także współnikiem Daniela.

– Peter Wiegand? Więc to pan jest zastępcą szefa Pharos Project, prawda?

– Pracuję z Dominikiem Kornem od blisko trzydziestu lat. Moją główną funkcją jest stanowisko wiceprzewodniczącego i dyrektora operacyjnego Korn-Pharos Corporation. Ale zgadza się, udzielam się również w Pharos Project. Zarówno Kirstin, jak jej mąż byli członkami Pharos Project, więc jestem tutaj, aby w tym trudnym momencie udzielić jej wsparcia i pocieszenia.

– Rozumiem... – Fabel znacząco popatrzył na drugiego mężczyznę.

– Och, proszę o wybaczenie – zreflektował się Wiegand. – To jest *Herr* Baedorf, szef ochrony naszej organizacji. Biorąc pod uwagę tragiczne okoliczności śmierci Daniela, czułem, że powinienem go tutaj przywieźć.

– Organizacji? – teraz Fabel mówił wprost do Baedorfa. – Czy to oznacza Korn-Pharos Corporation, czy raczej Pharos Project?

– Nie należę do członków Pharos Project – przemówił Baedorf, Fabel zaś od razu zwrócił uwagę na jego południowy akcent. Przypuszczał, że facet musi pochodzić ze Szwabii. – Pracuję dla grupy Korn-Pharos. Może pan wierzyć lub nie, panie nadkomisarzu, ale nikt nie jest zobowiązany ani tym bardziej zmuszany do wstąpienia do Pharos Project tylko dlatego, że pracuje na rzecz tej organizacji.

– Rozumiem – powtórzył Fabel.

Niemniej pamiętał, co przeczytał w aktach Pharos Project, które dostarczył mu Menke; przypomniał sobie pogłoski na temat Biura Konsolidacji i Przystosowania, którego nazwa brzmiała tak, jak gdyby chodziło o fuzję i biznesową etykę, ale które w rzeczywistości było tajną policją Pharos Project. I gdy Fabel spoglądał na Baedorfa, był całkiem pewien, że znalazł się twarzą w twarz z jednym z konsolidatorów, w dodatku starszym rangą. Fabel musiał wcześniej ustalić telefonicznie termin wizyty i wiedział, że robiąc to, daje szefom Pharos Project okazję do wysłania na miejsce kogoś ze swoich ludzi, by pochlebstwem skłonił Kirstin Föttinger do udzielenia właściwych odpowiedzi.

Z powrotem odwrócił się do świeżo owdowiałej piękności o kasztanowatych włosach.

– *Frau* Föttinger, zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności...

– Wolalabym, żeby panowie Wiegand i Baedorf zostali ze mną. Pan Wiegand jest dla mnie wielką podporą.

– Jak pani sobie życzy. Czy mogę... – Fabel wskazał fotel naprzeciw kozetki, na której spoczywała Föttinger.

Warto było spróbować, chociaż Fabel wiedział doskonale, że nie było możliwości, by pozwolono mu zadawać pytania wdowie po Föttingerze bez obecności kogoś z Pharos Project. *Frau* Föttinger skinęła głową, więc usiadł na wskazanym miejscu.

– Wiem, że to bolesny temat, *Frau* Föttinger, ale czy zdawała sobie pani sprawę ze związku, jaki pani mąż utrzymywał z Victorią Kempfert?

– Nie wiedziałam o niczym aż do chwili, gdy powiedziano mi o tym już po śmierci Daniela – jej odpowiedź zabrzmiała jak dobrze wyuczona lekcja.

– Czy zna pani Victorię Kempfert?

– Nie, nigdy się nie spotkałyśmy.

– A czy ma pani jakiś pomysł, dlaczego ktoś mógłby chcieć zrobić pani mężowi krzywdę albo nawet go zabić?

– Przekonano mnie, żebym uwierzył, że śmierć Daniela była tylko zwykłym wypadkiem... – odezwał się Wiegand. – No dobrze, nie całkiem zwyczajnym wypadkiem, ale że intencją sprawców było jedynie podpalenie samochodu w czasie nieobecności Daniela.

– *Frau* Föttinger? – Fabel zignorował wtrącanie się Wieganda.

– Nie. Na pewno nie z powodów osobistych. Daniel nie należał do ludzi, którzy mają wrogów. Ale całkiem możliwe, że pewne grupy nie darzyły go zbyt dużym zaufaniem z powodu działań podejmowanych przez jego firmę.

– Na przykład jakich działań?

– Föttinger Environmental Technology jest liderem we wprowadzaniu technologii wychwytywania węgla na dnie morza. Poza tym Daniel był inicjatorem i organizatorem szczytu GlobalConcern w Hamburgu.

– Czemu ktoś miałby sprzeciwiać się wychwytywaniu węgla?
– Chodzi o sposób, w jaki to przeprowadzaliśmy. Daniel udoskonalił bardziej wydajny sposób zasiewania żelaza.
– Zasiewania żelaza?
– Może ja wytłumaczę – wtrącił Wiegand. – Właśnie w tej dziedzinie firma pana Föttingera współpracowała z Korn-Pharos Corporation. Zasiewanie żelaza jest dokładnie tym, na co wskazuje jego nazwa: dotyczy wprowadzania w głąbiny oceanu żelaznego pyłu.
– W jakim celu? – zapytał Fabel.
– Mówiąc prosto: po to, by uwięzić na dnie morza atmosferyczny dwutlenek węgla. Ta teoria krążyła już od pewnego czasu po świecie nauki i nawet podejmowano próby zastosowania jej w praktyce, ze zmiennymi rezultatami. Przypuszczam, że nawet funkcjonariusze Polizei Hamburg zdają sobie sprawę, że główne niebezpieczeństwo, z którym przyjdzie się nam zmierzyć, to wzrost stężenia dwutlenku węgla w atmosferze, co w końcu doprowadzi do katastrofy globalnego ocieplenia. Dwie najważniejsze przyczyny to emisja gazów do atmosfery i wycinanie lasów, co redukuje zdolności ziemskiej biosfery do przetwarzania dwutlenku węgla. Co pan wie na temat planktonu, *Herr Fabel*?
– Że to pokarm dla wielorybów. Mniej więcej tyle.
– Są dwa rodzaje planktonu: fitoplankton i zooplankton. Faktycznie fitoplankton jest mikroskopijnym światem roślinnym, zaś zooplankton światem zwierzęcym. W zasiewaniu opiłkami żelaza morskiego dna najważniejsze jest to, że żelazo działa jako czynnik użyźniający. Wywołuje eksplozję populacji fitoplanktonu. Natomiast fitoplankton, ponieważ składa się z roślin, służy nam do procesu fotosyntezy: absorbuje dwutlenek węgla, uwalniając z powrotem do atmosfery czysty tlen. Prawdę powiedziawszy, fitoplankton nawet w obecnym stanie odpowiedzialny jest za olbrzymi procent ziemskiego „oddychania”. Teoria zakłada, że zwiększając zasoby fitoplanktonu w oceanach, nadrabiamy straty na lądzie, spowodowane kurczeniem się lasów tropikalnych oraz innych wielkich obszarów roślinności. Wiele testów wykazało, że rzeczywiście nastąpił olbrzymi wzrost ilości fitoplanktonu. Poza tym w procesie fotosyntezy tworzą się materiały organiczne oraz cukry, co powoduje, że fitoplankton usuwa się ze światła w głąbiny oceanów, wydajnie blokując na dnie dwutlenek węgla. Jak na ironię, ten martwy fitoplankton po upływie czasu geologicznego zamieni się w zapasy ropy naftowej.
– Więc czemu nikt inny nie zajął się wdrażaniem tej technologii? – zapytał Fabel.
– Bo istnieje pewien problem. Z grubsza rzecz ujmując, rośliny produkują tlen, a zwierzęta dwutlenek węgla. Zooplankton, który *wytwarza* dwutlenek węgla, także żyje w oświetlonych przez słońce wodach oceanów i żywi się fitoplanktonem. To zaś oznacza, że w rejonach, gdzie prowadzono próby z wysiewaniem pyłu żelaza, zooplankton rozmnażał się w takich samych proporcjach co fitoplankton. Oczywiście to stwarza zagrożenie zneutralizowania wszelkich korzyści z rozmnażania fitoplanktonu. Dlatego wśród części środowisk proekologicznych temat zasiewania żelaza pozostaje mocno kontrowersyjny. Niektórzy uważają, że to niebezpieczeństwo, nie zaś remedium.
– Czy to mogło wystarczyć, by pan Föttinger narobił sobie wrogów, którzy skłonni byli go zabić?
Wiegand wzruszył ramionami.
– To pan jest policjantem, Fabel.
– Skoro zasiewanie żelaza budzi tyle kontrowersji, to dlaczego pan i Föttinger Environmental zdecydowaliście się na zastosowanie tej metody? – spytał Fabel.
Zdawał sobie sprawę, że nie przesłuchuje osoby, dla której tutaj przyjechał, lecz celowo pozwolił sobie na chwilową zmianę tematu.

– Ponieważ jeśli wypalimy ten problem żelazem, proszę wybaczyć mi ten kalambur, ewentualne korzyści mogą być ogromne. Dosłownie: może to ocalić nam życie. Inny powód jest taki, że badania przeprowadzone przez Daniela prawie doprowadziły do pomyslnego rozwiązania potencjalnych trudności. Dzięki dodaniu pewnych elementów do mieszanki można przyspieszyć cały proces, powodując tym samym szybsze opadanie fitoplanktonu. Zooplankton nie przeżyje zanurzenia poniżej trzystu metrów, jeżeli więc po zakończonej fotosyntezie uda się nam opuścić na tę głębokość większe ilości fitoplanktonu, zanim zooplankton będzie miał okazję się pożywić, otrzymamy pożądane rozwiązanie.

– Rozumiem. Czy w tej dziedzinie ma pan rywali...? Może współzawodników?

Wiegand roześmiał się.

– Nikogo takiego, kto posunąłby się do morderstwa, byle uzyskać nad nami przewagę. Przemysł technologii ekologicznej nie działa w ten sposób. Dobro planety zawsze jest ważniejsze niż zysk.

Fabel z powrotem zwrócił się ku Kirstin Föttinger. Szybko zadał jej szereg zwykłych w takich okolicznościach pytań, starając się ustalić tak szczegółowy przebieg zdarzeń dotyczących nieboszczyka, jak tylko było to możliwe. Skończywszy, ponownie przejrzał wszystkie odpowiedzi.

– *Frau Föttinger*, z tego, co mi pani powiedziała, pani mąż, a właściwie państwo obydwójce, regularnie spędzaliście wieczorami przynajmniej sześć, a nawet więcej godzin w internecie albo używając komputera w inny sposób? – spytał po chwili.

– Zgadza się – odpowiedziała obojętnie, a na jej porcelanowej twarzy nie pojawił się nawet ślad refleksji, że takie zachowanie może wydawać się dziwne. – To częściowo wynikało z jego pracy, a także z tego, jakim był człowiekiem. I kim ja jestem, naturalnie. Oboje lubiliśmy stale być z kimś w kontakcie.

Fabel skinął głową i nie drażył tematu, choć zapisał sobie w pamięci, by przedyskutować ze swoim zespołem możliwość uzyskania nakazu sądowego na zajęcie i zbadanie zawartości komputerów, które należały do państwa Föttinger. Nie, to daremny trud. Zanim eksperci Polizei Hamburg zdążyliby dobrać się do twardych dysków, jeszcze lepsi eksperci z Pharos Project usunęliby z nich wszystko, co mogłoby okazać się kłopotliwe dla sekty.

– Jaki mi się zdaje, pani mąż dość dobrze znał Bertholda Müllera-Voigta?

– Właściwie niezbyt dobrze. Choć rzeczywiście obaj dość często się spotykali.

– Ale przecież Müller-Voigt był członkiem rady nadzorczej Föttinger Environmental Technology...

– Ale nie członkiem zarządu. Berthold pełnił wyłącznie funkcję doradcy.

– Mógłbym pomyśleć, że występował tu konflikt interesów. Pan Müller-Voigt zasiadał jednocześnie w senackiej Komisji do Spraw Środowiska.

– Zgłosił ten fakt w senacie jako swoją jawną działalność biznesową. Zresztą nasza firma nie prowadzi żadnych interesów na terenie Hamburga. Nie ma mowy o żadnych kontraktach ani niczym podobnym.

– Jednak rozumie pani, że muszę zbadać wszelkie powiązania pomiędzy pani mężem a senatorem Müllerem-Voigtem?

– Czy naprawdę uważa pan, że jest tu jakiś związek? – odezwał się Wiegand. – Przecież okoliczności śmierci obydwóch są zupełnie inne, prawda? Być może śmierć biednego Daniela nawet nie była zamierzona, zaś Berthold, z tego co czytałem, został zamordowany przez kogoś, kogo sam wpuścił do swojego domu.

Fabel odwrócił się do Wieganda i przez chwilę patrzył mu prosto w oczy. Ta ostatnia uwaga kryła całkiem jasną sugestię: Wiegand skądś wiedział, że Fabel był w domu

Müllera-Voigta na krótko przed jego śmiercią.

– Nie wiem, czy tutaj jest jakiś związek, czy też nie – powiedział w końcu. – Póki co. Zakładam, że pan również znał *Bertholda*.

– Prawdę mówiąc, tak. Naturalnie nasze ścieżki skrzyżowały się ze względu na wzajemne zaangażowanie w sprawy ochrony środowiska.

– Rozumiem – odparł Fabel. – Czy miał pan okazję poznać także jego partnerkę? Niejaką Melihę Yazar?

– Niestety nie przypominam sobie, bym ją poznał – oznajmił Wiegand z nieprzeniknioną miną.

– A pani, *Frau Föttinger*?

– Niestety, to nazwisko nie wydaje mi się znajome – powiedziała. – Sądziłam, że Berthold nie jest z nikim związany. Miał opinię kobieciarza, o czym zapewne pan doskonale wie.

Fabel podziękował Kirstin Föttinger za poświęcony mu czas, jeszcze raz wyraził słowa żalu z powodu straty, jaka ją dotknęła, a następnie opuścił dom. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest jak aktor schodzący ze sceny: nic w tym przesłuchaniu nie było spontaniczne ani naturalne. Niczego więcej nie mógł się tu dowiedzieć. Gdy wchodził do tego domu, Peter Wiegand postarał się odegrać rolę jego eskorty i grał ją aż do chwili, gdy detektyw zakończył wizytę.

– Pańskie *stowarzyszenie* intryguje mnie, *Herr Wiegand* – powiedział Fabel, gdy doszli do samochodu. – Proszę mi powiedzieć, czy pan naprawdę wierzy w Konsolidację? W to, że możecie wszyscy zostać przeniesieni do cyberprzestrzeni?

– *Herr Fabel*, każda religia, każde wierzenie posiadają jakiś główny dogmat, który można interpretować na wiele sposobów. I w zależności od wierzenia, niektórzy zwolennicy będą przyjmować ten dogmat dosłownie, inni zaś traktować go jako przenośnię... W każdym z tych wypadków, z tego, co wiem, to *wszystko*... – Wiegand zatoczył ręką zamaszyste koło, obejmując ogrody dookoła willi, drzewa oraz to, co znajdowało się poza nimi – ...to wszystko może także być Konsolidacją? Może to wcale nie jest prawdziwa rzeczywistość, a my wszyscy jesteśmy posiadającym własną świadomość programem w wygenerowanym po zagładzie ludzkości modelu środowiska? Lecz jeśli to jest rzeczywistość, a mocno wierzę, że tak, to zmierza ona ku końcowi, i nie przestanie, o ile nie podejmiemy radykalnych kroków, w dodatku szybko – Wiegand zamilkł na chwilę i zmierzył Fabla taksującym wzrokiem. – Zapraszam pana, *Herr Fabel*, żeby złożył nam pan wizytę. Czy widział pan na wybrzeżu w Hörne latarnię Pharos, naszą tutejszą kwaterę główną? Prawdę mówiąc, znajduje się całkiem niedaleko od domu Bertholda Müllera-Voigta, a jak mi się zdaje, był pan u niego.

– Nie, nie wydaje mi się, żebym miał okazję widzieć latarnię Pharos – odparł Fabel, odmawiając połknięcia przynęty.

– W takim razie koniecznie powinien pan przyjechać! To naprawdę wyjątkowa architektura. Pharos został wzniesiony jako przybudówka do istniejącej w dziewiętnastym wieku latarni morskiej. Cały projekt zakładał, że część budynku będzie wysunięta nad powierzchnię wody. Mamy nawet część podłogi zrobioną ze szkła, żeby mógł pan popatrzeć sobie na morze rozbijające się o brzeg dwadzieścia metrów niżej – Wiegand wręczył mu wizytówkę. – Proszę nas odwiedzić, Fabel. Jesteśmy otwarci dla wszystkich, nawet dla policjantów. Ale muszę prosić, by wcześniej pan zadzwonił, żebyśmy wiedzieli, kiedy pana oczekiwać. Poza tym jedyną rzeczą, o przywiezienie której jeszcze pana poproszę, jest otwarty umysł.

– Żeby mógł go pan zamknąć?

– W przeciwieństwie do tego, co mogli naopowiadać panu koledzy z BfV, nie jesteśmy *sektą*. Jesteśmy organizacją proekologiczną.

– Muszę przyznać, że niezbyt podoba mi się pomysł, że będę zawieszony nad powierzchnią morza – powiedział Fabel.

– Czyżby bał się pan wody, *Herr Fabel*?

– Nie... Tu nie chodzi o strach przed wodą. Wychowałem się w Norddeich. Darzę ją czymś w rodzaju szacunku.

– Jedyna woda, której ja się obawiam... – Wiegand nagle stał się mniej ugrzeczniejszy, za to o wiele bardziej poważny – ...to ciemna woda. Czy wie pan, co to jest efekt albedo? Albedo to odbijanie promieni słońca od powierzchni. Lodowce polarne odbijają promienie słoneczne, zapobiegając w ten sposób ociepleniu mórz. Im więcej lodu, im zimniejsze morze, tym stabilniejszy jest klimat. Im wyższy jest stosunek powierzchni ciemnych wód do białego lodu, tym szybciej następuje nagrzanie planety. Co roku na biegunach jest coraz mniej lodu, za to coraz więcej ciemnej wody. Chcę, żeby pan zrozumiał, Fabel, niezależnie od tego, co myśli pan o mnie lub o Pharos Project, że ja naprawdę obawiam się kataklizmu, który nas czeka, i że jestem gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, użyć każdej dostępnej mi broni, aby zapobiec temu, co ma się wydarzyć. Tu nie chodzi o żadne rozgrywki, *Herr Fabel*. To jest bitwa o to, żeby przeżyć.

Fabel z zadumą skinął głową. W tym momencie rzeczywiście zastanawiał się, jak daleko Wiegand może się posunąć i jaką broń przygotował, żeby jej użyć w razie konieczności. Ale przeczytał także informację o tym, że osobisty majątek Wieganda liczy się w raczej miliardach niż w milionach; taki zysk można wyciągnąć z każdej apokalipsy.

– Może rzeczywiście wpadnę pana odwiedzić, *Herr Wiegand* – powiedział i spojrzał na wizytówkę. Widniał na niej ten sam motyw stylizowanego oka, który wcześniej zauważył na plakacie podczas jazdy na lotnisko. – I to całkiem niedługo.

Ledwie Fabel z powrotem znalazł się w samochodzie, od razu włączył komórkę. Telefon odezwał się niemal natychmiast. Dzwoniła Anna Wolff.

– Super – powiedziała. – To zaczyna być całkiem interesujące. Kazałam sprawdzić te kilka nazwisk i dowiedziałam się, do kogo należy samochód z rejestracją, którą mi podałeś... Jeśli faktycznie ten samochód jechał za tobą, to nie ma on nic wspólnego z nami ani z BfV. Został zarejestrowany na Seamark International, która jak mi powiedziano, jest prywatną morską firmą ochroniarską.

– Co?! Do diabła, czemu jakaś prywatna firma ochroniarska miałaby mnie śledzić?

– Może chcesz, żebym wysłała kogoś do ich biura i uzyskała odpowiedź?

– Nie, jeszcze nie teraz. Nie chcę ich powiadamiać, że wpadłem na ich trop. Jeśli zobaczę, że ten sam samochód nadal siedzi mi na ogonie, to zmuszę go, żeby zjechał na pobocze. Jedyne, co teraz możesz dla mnie zrobić, to sprawdzić Seamark International. Jestem gotów postawić całą miesięczną pensję, że ta firma okaże się w jakiś sposób zależna od Korn-Pharos Corporation. A co z tymi nazwiskami, które dostałaś do sprawdzenia?

– Victoria Kempfert jest czysta jak łąka. Żadnych wyroków skazujących czy pobytów w areszcie, żadnych znaczących kontaktów z policją... Ale za to Daniel Föttinger sprawił, że się zainteresowałam. Jak się zdaje, należał do facetów, którzy nie rozumieją słowa „nie”. Miał na koncie jedno oskarżenie o molestowanie seksualne, złożone w zeszłym roku przez pracownicę z jego firmy, oraz dwa oskarżenia o gwałt. Pierwsze z czasów, gdy był studentem, a drugie z 1999 roku. Wszystkie trzy oskarżenia zostały wycofane, gdy tylko policja wszczęła śledztwo. Najwyraźniej tatuś Föttingera dysponował na tyle pokaźnym majątkiem, że mógł zneutralizować wszystkie nieprzyjemności... Oczywiście Föttinger junior postępował później dokładnie tak samo.

– Rzeczywiście, to zaczyna być interesujące.

– Jest jeszcze więcej. Po tym wybryku z czasów studenckich rodzice Föttingera umieścili

go w pewnym szczególnym szpitalu w Bawarii. W szpitalu psychiatrycznym. Poprosiłam o nakaz sądu, żeby udostępniono nam jego akta. Myślę, że będziesz chciał je zobaczyć. Nie wiem, jak bardzo są istotne, ale myślę, że istnieje szansa, że ktoś chciał się na nim zemścić.

– Dobra robota, Anno – pochwalił ją Fabel, jednocześnie zastanawiając się nad tym, co właśnie mu powiedziała. – Wydobądź nazwiska i adresy ofiar, dobrze? Chcę z nimi porozmawiać. Chociaż z jedną.

– Jasne, szefie, ale musisz mi dać trochę czasu. Na razie jestem na komendzie, ale o dziesiątej będę się przemieszczać. Muszę pojechać do tego kaleki, Johanna Reischa, żeby zamienić z nim parę słów. Jadą ze mną dwaj policjanci, jeden z Sekcji Technicznej, drugi z Wydziału Cyberprzestępczości sprawdzą jego komputer. Nawiasem mówiąc, wcale nie ucieszyli się z tego, co zrobiłeś. Mówią, że opóźnienie w dostarczeniu komputera oznacza, że gość mógł usunąć z niego wiele dowodów.

– Anno, Reisch nie jest człowiekiem, którego szukamy. Tak mi podpowiada niezawodny instynkt policjanta, a nie jakaś technologia.

– No cóż, kłopot w tym, że oni już dotarli do Reischa, i nikt im nie otwiera. A Reisch miał na nich czekać. Uzgodnili z nim przez telefon, o której przyjadą.

– Cholera, to nie wróży niczego dobrego, Anno... Reisch raczej nie wychodzi z domu. Ściągnij mundurowych, żeby z tobą pojechali. Jeśli nikt wam nie otworzy, rozwalcie drzwi. Ja już tam jadę. Chociaż właściwie lepiej powstrzymaj ich, dopóki nie dotrę na miejsce. I sprawdź, czy uda ci się znaleźć numer tej jego opiekunki. Psiakrew, zapomniałem, jak ona się nazywa...

– *Frau Rössing*... Już go znalazłam. Niedługo się zobaczymy.

ROZDZIAŁ 26

Jak się okazało, nie było konieczności forsowania drzwi w domu Johanna Reischa. *Frau Rössing*, opiekunka kalekiego mężczyzny, zjawiała się z kluczem dokładnie wtedy, kiedy Fabel przyjechał. Od razu zwrócił uwagę na jej autentycznie zatroskaną minę.

– Kiedy rano wychodziłam, pan Reisch był w całkiem dobrej formie – powiedziała, wygrzebując z pęku kluczy ten właściwy.

– Proszę zaczekać – uprzedziła ją Anna, kiedy kobiecina otworzyła drzwi. – My musimy wejść tam pierwsi.

Fabel i Anna znaleźli Reischa dokładnie w tym samym miejscu, w którym przebywał podczas ostatniej rozmowy z Fablem – siedział przy stole, wpatrzony w monitor swojego laptopa. Tyle tylko, że dzisiaj Reisch patrzył na ekran przez przezroczysty plastikowy worek, który został naciągnięty na jego głowę i ciasno związany sznurkiem na szyi. Worek był całkiem duży i rozdęty jak balon, jakby ktoś napompował go powietrzem. Fabel odniósł wrażenie, że Reisch ma na sobie zbyt duży hełm kosmonauty albo osłonę na głowę z jednego z tych kombinezonów, jakie zakładają ludzie zajmujący się radioaktywnymi materiałami. Reisch wciąż siedział sztywno wyprostowany, bo szelki przytrzymujące go na wózku inwalidzkim zapobiegły osunięciu się ciała, i nieobecny wzrokiem gapił się wprost na wyświetlacz laptopa.

Fabel przyłożył dwa palce do szyi Reischa, tuż pod ciasno opinającym szyję sznurkiem, a potem odwrócił się do Anny i pokręcił głową.

– Psiakrew... – Anna wpatrywała się w siedzącego na wózku nieboszczyka. – Czy sądzisz, że ktoś zamordował go ze względu na jego związki z Virtual Dimension?

Fabel nie odpowiedział. Zamiast tego pstryknięciem otworzył telefon i wybrał numer komendy, żeby zapytać, kto dziś ma dyżur w Sekcji Medycyny Sądowej.

– Zajmij się tą opiekunką, Anno, zadbaj, żeby tu nie weszła – rzekł cicho, kiedy zakończył rozmowę. – Ale możesz jej powiedzieć, że Reisch nie żyje. Holger Brauner i jego zespół już są w drodze.

Kiedy Anna i policjant w mundurze opuścili pokój, Fabel dokładnie rozejrzał się po biurku Reischa. Na samym wierzchu leżała nieporządnie rozdarta paczuszka z przesyłką pocztową, a tuż obok znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało nieduży pojemnik z tlenem, do którego dołączony był kawałek rurki. Fabel wyjął z kieszeni lateksową rękawiczkę, ale jej nie założył, tylko użył jako osłony, żeby dwoma palcami odwrócić pojemnik na drugi bok. Na wierzchu widniał symbol He. A więc to nie tlen, tylko hel.

Popatrzył na ekran laptopa. Reisch, kiedy umierał, wciąż był zalogowany w Virtual Dimension i teraz jego avatar błąkał się bez celu po surrealistycznie realnym świecie, wytworzonym przez grafików komputerowych. Właśnie na to patrzył, gdy odchodził. To była ostatnia rzecz, jaką zarejestrował gasnący umysł. Nawet teraz Reisch wciąż sprawiał wrażenie, jakby obserwował swoje cybernetyczne alter ego.

Kiedy Brauner i jego zespół przybyli na miejsce, Fabel wyszedł na zewnątrz, do Anny i umundurowanego policjanta. Brauner przebywał w domu zaledwie od piętnastu minut, kiedy zawołał Fabela z powrotem.

– Jeśli pytasz mnie o zdanie, Jan, to o tym gościu możesz zapomnieć – oznajmił stanowczo. – Oczywiście możesz sobie poczekać na wyniki autopsji, ale to nie jest morderstwo. To samobójstwo, a takie sprawy chyba cię nie interesują.

– Ale ktoś zawiązał mu tę torbę na szyi. Gdyby zrobił to sam, to w chwili, gdy zaczął się dusić, instynkt przeżycia kazałby mu zerwać worek z głowy.

– Wcale nie, Jan. To tak zwana „torba ostatecznego wyjścia”, czyli inaczej mówiąc, podręczny zestaw dla samobójców. Worek przytrzymuje taśma, którą zaciągasz własnoręcznie. A ten „instykt przeżycia”, o którym wspomniałeś, nazywa się sygnałem ostrzegawczym przed nadmiarem dwutlenku węgla. To panika, która ogarnia człowieka, kiedy poziom dwutlenku węgla w twoim organizmie podnosi się niebezpiecznie, zaś twój mózg podpowiada ci, że musisz zacząć szybciej oddychać. On nie doświadczył niczego podobnego. Po to potrzebny mu był ten pojemnik: napełnia się worek albo płuca, albo i jedno, i drugie, obojętnym gazem, jak nitrogen albo hel. To wprowadza w błąd mózg, który lekceważy sygnał ostrzegawczy. Samobójca czuje się tak, jakby oddychał normalnie, bez żadnego bólu ani paniki, a potem traci przytomność i już nigdy się nie budzi. Możesz mi wierzyć lub nie, ale „torbę ostatecznego wyjścia” możesz bez problemu kupić w internecie albo ściągnąć instrukcję, jak zrobić ją samemu. Zabezpieczyliśmy tę paczuszkę z poczty, więc będziesz sam mógł sprawdzić, gdzie on to zamówił. Poza tym sądzę, że znajdziesz coś także na tym... – Brauner głową wskazał stojącego na stole laptopa.

– Czyli jesteś absolutnie pewien, że to było samobójstwo?

– Nie znalazłem niczego, co świadczyłoby o tym, że jest inaczej. Czemu ten gość jeździł na wózku?

– Bo cierpiał na jakąś chorobę neurologiczną, która odebrała mu możliwość poruszania się. Biedny skurczybyk.

– W takim razie nie obwiniaj go. Sam bym zrobił to, co on, dopóki mógłbym to jeszcze zrobić samodzielnie. Zresztą, mówiąc szczerze, te „torby ostatecznego wyjścia” wcale nie są najgorszym rozwiązaniem. Naturalnie, jeśli naprawdę nie chcesz, żeby ktoś ci przeszkodził i cię uratował. Spróbuj zrobić sobie próbę z czymś takim, a twój mózg zamieni się w papkę...

Do pokoju weszła funkcjonariuszka z Wydziału Cyberprzestępczości prowadzonego przez Krögera. To była ta sama dziewczyna, która zaalarmowała Annę i czekała, dopóki zespół medycyny sądowej nie zakończył pracy. Zupełnie nie wyglądała na policjantkę: mała i drobna, z kasztanowymi włosami związanymi w koński ogon, ubrana w dżinsy oraz w zwykłą, sięgającą talii kurtkę. Wyglądała, jakby wciąż była studentką, która właśnie wybiera się na wykład. Coś w niej przypominało Fabelowi jego własną córkę, Gabi, która miała takie same kasztanowe włosy i również wyrażała chęć pójsia w ślady ojca w Polizei Hamburg. Fabel zauważył, że młoda kobieta stara się omijać wzrokiem martwego człowieka, który siedział przypięty do wózka.

– Dobrze się czujesz? – spytał ją.

– Tak, panie główny nadkomisarzu. Przepraszam. – Zmarszczyła czoło. – Zastanawiałam się tylko, czy nadal życzy sobie pan, żebyśmy zabrali ten laptop do zbadania?

– Oczywiście – odparł Fabel.

Znowu popatrzył na ekran. Thorsten66, wirtualne „ja” Reischa, wciąż wędrowało po Nowej Wenecji w fałszywym świecie Virtual Dimension. W rogu ekranu, pod fotografią umięśnionego młodzieńca, którego wybrał Reisch, ponieważ przypominał mu młodszą wersję samego siebie, znajdowały się wiadomości od innych użytkowników, zapraszające Thorstena66 na przyjęcia przy lagunach albo do wzięcia udziału w olimpiadzie w Nowej Wenecji. Nie przez przypadek umierający Reisch tę właśnie scenę miał przed oczyma, dokładnie na linii wzroku. Może wierzył, że w chwili śmierci siłą woli uda mu się przenieść do tej zastępczej, lecz nieskończenie miłszej rzeczywistości?

Młoda policjantka z Wydziału Cyberprzestępczości pochyliła się, żeby zamknąć laptopa i zabrać go ze stołu.

– Zostaw! – krzyknął Fabel i zaraz dodał znacznie łagodniej – Nie wyłączaj go jeszcze. Za chwilę go wam przyniosę.

W drodze powrotnej do prezydium Fabel wciąż zerkał we wsteczne lustro, lecz nigdzie

nie dostrzegł śladu volkswagena z napędem na cztery koła i nawet zaczął się zastanawiać, czy paranoja przypadkiem nie jest zaraźliwa. Zawsze uważał za dziwne, że w związku z pracą przydarzają mu się pewne rzeczy. Nie zawsze chodziło o narażanie się na przemoc albo okropności, ani o stały kontakt z najgorszymi ludzkimi wadami: kiedy jechał w stronę Alsterdorf i głównej siedziby policji, prześladował go widok konającego Reischa, który umierał przed swoim komputerem, zatapiając się w kłamstwie. To właśnie czyjś smutek, bezbronność i desperacja były tym, co najbardziej dręczyło Fabela w jego codziennej pracy.

Cały zespół był już na miejscu; właśnie rozpoczynało się zwyczajne podsumowanie dotychczasowych ustaleń we wszystkich śledztwach oraz zapoznawanie się z nowymi informacjami dotyczącymi każdego morderstwa. Tak jak zostało ustalone z van Heidenem, Nicola Brüggemann przejęła kierowanie sprawą Zabójcy z Sieci.

Budowę ciała Nicoli matka Fabela określiłaby jednym eufemizmem: *mollig*⁴. Jednak postać Głównej Komisarz do spraw Nietletnich raczej nie budziła miłych skojarzeń. Brüggemann nosiła swoją pulchność na ciele mierzącym ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i była tak szeroka w ramionach, że na ich widok zawodnik futbolu amerykańskiego zarumieniłby się ze wstydu. Jej czarne włosy, krótko obcięte na skroniach i gęste na czubku głowy, jeszcze bardziej upodabniały ją do mężczyzny. Była, Fabel doskonale o tym wiedział, rezolutną mieszkanką Holsztynu, której maniery najlepiej można określić jako szorstkie, zaś poczucie humoru jako cierpkie. Bynajmniej nie cechował jej ten sam rodzaj uszczypliwości, który Fabel regularnie napotykał u Anny, lecz bezkompromisowy, bezpośredni profesjonalizm. Mówiąc policyjnym żargonem, Nicola Brüggemann gwarantowała „czystą robotę” i dlatego Fabel darzył ją ogromnym poważaniem, jako koleżankę po fachu. Doceniał to, że zapoznając się z postępami śledztwa w sprawie Zabójcy z Sieci, nie omieszkała spytać go o zgodę na rozmieszczenie środków i ludzi. Na każdym kroku podkreślała, że Fabel nadal jest szefem Komisji.

Gdy Brüggemann skończyła podsumowanie, Fabel w krótkich słowach nakreślił, co wydarzyło się w domu Reischa w Schiffbek. Jego zdaniem było absolutnie nieprawdopodobne, żeby ta sprawa nie miała żadnego związku z pozostałymi śledztwami.

Thomas Glasmacher i Dirk Hetchner w ogóle nie wyglądali na zgrany zespół: Glasmacher był wysokim, krzepkim blondynem, Hechtner zaś szczupłym, niedużym brunetem. Glasmacher był pełen rezerwy, Hechtner zaś wylewny i otwarty. Fabel zwerbował ich i połączył w zespół już ponad rok temu, i bardzo cieszył się widząc, jak dobrze się do siebie dopasowali. Dirk zawsze przejmował na siebie ciężar rozmowy i teraz to właśnie on potwierdził, że przysłano pełny raport z sekcji ciała znalezionej w Poppenbütteler Schleuse. Podobnie jak wcześniejsze ofiary, Julia Henning została zgwałcona i uduszona, i znów na ofierze nie znaleziono żadnych śladów obcego DNA, które mogłyby zostać wykorzystane przez zespół kryminalistyczny albo przez patologa.

Jednak autopsja ujawniła coś nowego.

– Zdaje się, że jej zwłoki nie były tak świeże, jak nam się z początku wydawało – wyjaśnił Dirk.

– To znaczy?... – Nicola Brüggemann i Fabel równocześnie zadali to samo pytanie.

– To znaczy, że podczas analizy krwi ofiary znaleziono dowody na to, że ciało było przechowywane w zimnym pomieszczeniu. Nie w zamrażarce, ale w bardzo niskiej temperaturze, na przykład w jakimś zimnym magazynie.

– Czyli ktoś próbował wprowadzić nas w błąd przy ustalaniu czasu zgonu, tak? – spytał Fabel.

– Wygląda na to, że tak – odparł Thomas Glasmacher. – Nie ma sposobu, żeby określić, jak długo ona leżała w zimnym pomieszczeniu ani ile czasu trzymano ją potem w temperaturze pokojowej. Ale i tak wygląda na to, że morderca próbował wprowadzić nas w błąd co do czasu,

w którym zginęła. I najgorsze, że mu się udało.

– Ale po co? – zastanawiał się Werner. – Czemu akurat teraz? Nigdy wcześniej nie robił czegoś podobnego.

– No chyba, że nasz gość czuje, że popełnił jakiś błąd – powiedział Dirk. – Albo może sądzi, że ktoś go widział. Może być tak, że próbuje zafałszować czas zgonu, żeby nie mógł zostać skojarzony z miejscem zbrodni.

Fabel rozważył to, co powiedział Hechtner.

– Możliwe, ale niezbyt pasuje do tego, co już wiemy o jego metodach działania. Nie wiem, Dirk... To dość niezwykła zmiana zachowania, bez wątpienia.

Zostawili na moment tę kwestię; Thomas Glasmacher i Dirk Hechtner wrócili do raportu na temat ofiary. Nie znalazło się tam nic ponad to, że Julia Henning była uroczą, bystrą, lecz zamkniętą w sobie i niezwiązaną z nikim młodą prawniczką, która pracowała w biurze prawa handlowego w Hamburgu, głównie zajmując się sporami dotyczącymi prawa autorskiego. Thomas i Dirk rozmawiali z jej rodzicami, kolegami i przyjaciółmi, których miała względnie niewielu. Pomimo że była atrakcyjna, Julia widywała się z zaledwie kilkoma chłopcami, a w okresie kiedy zniknęła, nie spotykała się z nikim. Mieszkała sama w apartamencie, którego adres podała Fablowi owa tajemnicza kobieta, spotkana w pobliżu doków, i nikt nie widział jej od chwili, gdy w piątek po południu wyszła z pracy. Mogła zostać zabita o dowolnej porze, właściwie przez cały weekend.

Jedna tylko rzecz się nie zgadzała. Kiedy przeszukiwali mieszkanie, wszystko było w idealnym porządku. Dopiero gdy wychodzili, Dirk nagle doszedł do wniosku, że czegoś brakuje. Czegoś, czego nieobecność od razu wydawała się podejrzana. Brakowało komputera. Przecież wszystkie ofiary Zabójcy z Sieci poznały go poprzez któryś z portali społecznościowych.

– Pomyśleliśmy więc, że skoro ona nie miała komputera, to może łączyła się z internetem przez telefon.

– Czekaj, niech zgadnę... – wtrącił Fabel. – Telefonu także nie było.

– Julia Henning musiała być jedyną dwudziestosiedmiolatką w całym Hamburgu, która nie posiadała komputera ani komórki. Tak więc wycofaliśmy się z jej apartamentu i zadzwoniliśmy po zespół kryminalistyczny. Jest dość oczywiste, że ktoś tam wcześniej przyjechał i zabrał cały sprzęt. Może nawet sam morderca.

– Czy sąsiedzi widzieli cokolwiek?

Tym razem odpowiedział Thomas Glasmacher, ten większy i spokojniejszy z nich dwóch.

– Nie... Nikt nie zauważył niczego niezwykłego ani nie zwrócił uwagi, żeby do mieszkania wchodził lub wychodził zeń ktoś, kogo nie znali. Znaleźliśmy pudełko po butach, pełne rachunków i kwitów, i przejrzelśmy dokładnie jego zawartość. Poprosiliśmy też bank, w którym miała rachunek, o podanie pełnej listy przelewów. Założę się, że znajdzie się tam obciążenie salda na rzecz jakiegoś operatora telefonii komórkowej. Ale udowodnienie, że Julia Henning miała komputer i komórkę, nie zbliża nas ani na jotę do ich odnalezienia.

Fabel mruknął coś w odpowiedzi. Znow wszystko wskazywało na to, że będą błądzić jak we mgle.

– Jednak jest tutaj coś wyjątkowego – odezwał się w końcu, pocierając ręką podbródek. – Najwyraźniej ktoś próbuje zatrzeć ślady i wprowadzić nas w błąd, jeśli chodzi o czas zdarzenia. Tylko, jak mówił Werner, dlaczego akurat teraz? Czemu morderca nagle poczuł, że właśnie w tym wypadku powinien wprowadzić jakieś zmiany?

Przeszli do śledztwa w sprawie śmierci Müllera-Voigta. Werner zapoznał ich z postęпами i potwierdził to, co już powiedziała Fablowi Astrid Bremer na temat odcisków palców i strzępka

szarego materiału. Fabel poczuł rosnące w pokoju napięcie, gdy Werner mówił, że jedynymi śladami, które znaleziono na narzędziu zbrodni, były odciski palców należące do Fabela i do ofiary. Poza tym śledztwo w sprawie śmierci polityka wydawało się trwać w stagnacji, pomimo oczywistych wysiłków Wenera, by pomijać milczeniem wszelkie sugestie – wszystko jedno, jak ulotne – że jego szef mógł być zamieszany w to morderstwo.

Następnie wątek przejęła Anna Wolff.

– Tajemnicza przyjaciółka Müllera-Voigta stała się odrobinę mniej tajemnicza – oznajmiła. – Choć w rzeczy samej, niewiele mniej.

– Tak? – spytał Fabel z nagłym zainteresowaniem.

– Müller-Voigt miał wiele ulubionych restauracji, do których zabierał swoje kobiety.

Byłoby łatwiej, gdyby hołdował jakimś przyzwyczajeniom, a tak musiałam sprawdzić wszystkie. Nikt nigdzie nie widział go z kobietą, której wygląd pasował do rysopisu Melihy. Potem wpadłam na pomysł, że może to ona przejęła inicjatywę i sama decydowała, dokąd pójść coś zjeść. A skoro była Turczynką, pomyślałam, że może należy zajrzeć do paru tureckich knajpek, których pełno w naszym mieście. Wierz mi, w Hamburgu naprawdę jest ich całe *mnóstwo*. Pozwoliłam sobie skorzystać z przywileju, jaki daje mi mundur, i puściłam w obieg zdjęcie Müllera-Voigta oraz rysopis Melihy. I w końcu w Eimsbüttel trafiliśmy na żyłę złota, a ostatecznie to nie jest coś, co się przytrafia każdego dnia. Przy Schulterblatt w Schanzenviertel znajduje się pewna restauracyjka, której właściciel przysięga, że Müller-Voigt i Meliha należeli do stałych bywalców. Rozpoznał Müllera-Voigta na zdjęciu, choć oczywiście nie miał pojęcia, że ten facet jest politykiem, i pamięta Melihę, bo ona odezwała się do niego po turecku. Podobno powiedziała mu, że pochodzi z Silviri, miasteczka nad brzegiem morza. Parę razy przyszła sama, ale właściciel nie posiada żadnych wydruków z karty kredytowej, ponieważ albo ona, albo Müller-Voigt zawsze płacili gotówką. Niestety, obawiam się, że to wszystko i zwyczajnie nie potrafił powiedzieć mi niczego więcej. Chociaż wspomniawszy jeszcze, o pewnym kelnerze, który zawsze ich obsługiwał, ale jest akurat na urlopie; na szczęście w tym tygodniu wraca do pracy. Właściciel powiedział także, że odniósł wrażenie, że ta kobieta nie lubiła, kiedy ktoś zadawał jej pytania. Poza tym zawsze zachowywała się bardzo życzliwie i wydawało mu się, że tę parę łączą bardzo bliskie więzi.

Kolejny psycholog amator w fartuchu kelnera, pomyślał Fabel.

– No cóż, Anno, to zawsze coś. Nawet więcej, to kawał świetnej roboty. Przynajmniej teraz możemy wykazać, że Meliha Yazar naprawdę istniała.

Powrócił do oficjalnej procedury ustaleń śledztwa, w nadziei, że nagle coś mu wpadnie do głowy. Zwykle praca w Wydziale Zabójstw polegała na odnalezieniu podobieństw pomiędzy różnymi sprawami i na ustaleniu, w jaki sposób one się ze sobą wiążą. Jednak teraz, myślał Fabel, problem polegał na tym, że wciąż napotykali na podobieństwa i powiązania tam, gdzie nie powinno ich być. Sprawa Zabójcy z Sieci w żaden sposób nie mogła mieć nic wspólnego z pozbawionym kończyn korpusem, który woda wyrzuciła na Fischmarkt. Przypadek Müllera-Voigta *jakoś* mógł się łączyć z korpusem, ale logicznie rzecz ujmując, śmierć Daniela Föttingera, przypuszczalnie niezamierzona śmierć, powinna być rozpatrywana w oderwaniu od pozostałych spraw.

A jednak tu były powiązania. Było zbyt wiele wspólnych cech. Albo przynajmniej było tyle zbiegów okoliczności, że przekraczało to granice prawdopodobieństwa.

Zaginiona przyjaciółka Müllera-Voigta prowadziła dochodzenie dotyczące Pharos Project, zaś bezgłowe ciało unosiło się w wodzie prawie tak samo długo, ile trwało zniknięcie Melihy. Müller-Voigt był członkiem zarządu Föttinger Environmental Technologies, a obydwój, Daniel Föttinger i jego żona Kirstin, należeli do organizacji Pharos. Nawet sprawa Zabójcy

z Sieci miała nieoczekiwane, niekoniecznie przypadkowe powiązanie z Pharos Project, poprzez stowarzyszenie, które stworzyło witrynę Virtual Dimension. Oczywiście pozostawał jeszcze fakt, że ktoś zrobił wszystko, co w jego mocy, by wplątać Fabela w sprawę Zabójcy z Sieci i w morderstwo Müllera-Voigta; ktokolwiek to był, miał do dyspozycji niesamowite środki techniczne i zaplecze finansowe. Jak Pharos Project.

– Ale jaki może być związek między Pharos Project i kobietami, które zostały namierzone przez maniaka seksualnego, a następnie zgwałcone i uduszone? – zapytała Nicola Brüggemann. – Już prędzej mogłabym uwierzyć, że to rytualne morderstwa. Tak samo prawdopodobna wydaje się eliminacja byłych członków, choć z tego co wiemy, żadna z tych kobiet nie miała nic wspólnego z Pharos Project.

– Poza udziałem w Virtual Dimension, który należy do spółki Korn-Pharos – zaznaczył Werner.

– Prawda, ale to żaden niezwykły zbieg okoliczności. Pośród innych spółek należących do grupy, to właśnie Korn-Pharos tworzy cholernie dużo treści w internecie.

– Janie, a co z tym gościem o nazwisku Reisch? – przypomniał Werner. – Jego śmierć to także jakiś piekielny zbieg okoliczności. On także uczestniczył w Virtual Dimension i z tego, co wiemy, utrzymywał kontakty z tymi zamordowanymi kobietami. Może jego samobójstwo było spowodowane przez wyrzuty sumienia z powodu tamtych zgonów?

– Ale on był fizycznie niezdolny do popełnienia zbrodni – wyjaśnił Fabel.

– Moim zdaniem Werner może mieć rację – odezwała się Brüggemann swoim głębokim kontraltem. – To, że sam nie mógł popełnić zbrodni, nie oznacza jeszcze, iż nie był w nią w jakiś inny sposób uwikłany. Może był członkiem zespołu zbrodniarzy, może uprawiali jakieś gówno w stylu *folie à deux* albo *folie à trois*. Może on w tej cyberprzestrzeni przeżywał coś w rodzaju wzwołu, wiedząc, że ma współnika, który w jego zastępstwie gwałci ofiary.

– Nie, Nicola. To zupełnie się nie klei. Ale tak czy owak, trzeba zbadać ten wątek. Wydział Cyberprzestępczości zabrał jego komputer, żeby sprawdzić zawartość twardego dysku. Może dzięki temu dowiemy się czegoś nowego. Ale ja osobiście uważam, że Reisch był tylko biednym dupkiem, który został dotknięty największym nieszczęściem, jakie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. I po prostu w którymś momencie zdecydował, że ma dość. Przynajmniej takie jest moje zdanie.

– A co z Biurem Prokuratora Krajowego? Czy wreszcie uda nam się wyciągnąć od nich jakiś nakaz? – dopytywał się Hank Hermann.

– Zwyczajnie nie mamy dość dowodów, żeby dobrać się do Pharos Project. Szczerze mówiąc, Biuro Prokuratora Krajowego dość niechętnie reaguje na próby podjęcia oficjalnych działań przeciwko Pharos Project, dopóki nie mają stuprocentowej pewności, że wiedzą, na czym stoją – Fabel westchnął ciężko. – I wcale nie mam im tego za złe. Rozmawiamy przecież o organizacji, która ma do dyspozycji środki finansowe równe budżetowi małego państwa. *Musimy* znaleźć coś więcej na Pharos Project. Coś ewidentnego i niezaprzeczalnego. Żadnych dodatkowych zbiegów okoliczności.

– To dziwne – odparł Henk. – Zwykle na górze listy podejrzanych mamy jakąś konkretną osobę. A teraz z naszych ustaleń wynika, że podejrzana jest grupa ludzi, w dodatku nieokreślona i anonimowa. To coś jak korporacyjna zbrodnia.

Fabel wpatrzył się w niego. Patrzył tak długo, że młodszy oficer poczuł się niepewnie, aż wreszcie rozeźmiał się nerwowo.

– Co?

– Masz całkowitą rację, Henk – powiedział Fabel z ożywieniem. Zerwał się z miejsca i chwycił akta, które dał mu Menke. – Zbrodnie nie są popełniane przez korporacje. Gdzieś tu

czytałem o tym... – Z determinacją przerzucał kolejne strony raportu BfV. – O, tutaj to jest! Jedna z filozofii kultu podkreśla istotę *ergregore*, zbiorowego umysłu.

Fabel zaczął odczytywać na głos wspomniany fragment.

– „*Ergregore* jest pojęciem obecnym w okultyzmie i mistycznej filozofii od ponad wieku, ale Pharos Project dostosował je do wymogów współczesności, łącząc z regułami biznesu i prawa handlowego, gdzie wspólnota może posiadać jednostkowy umysł albo zbiorową kulturę, rozumiane w kategoriach zbiorowej odpowiedzialności i skłonności. Jak wszystkie destrukcyjne sekty Pharos Project stara się pomniejszać poczucie indywidualności i wywyższać koncepcję pojedynczego „zbiorowego umysłu”. Żeby osiągnąć pożądany skutek, członkowie Pharos są przez długi czas poddawani psychologicznemu programowaniu, a także zmuszani do przestrzegania wysoce zdyscyplinowanej, zhierarchizowanej i usystematyzowanej rutyny dnia codziennego. Wytwarzaniu poczucia wspólnoty służy także używanie wyłącznie angielskiego jako języka komunikacji; Pharos Project zapożyczył to rozwiązanie od wielkich niemieckich korporacji, w których każde spotkanie kierownictwa wyższego szczebla odbywa się po angielsku, nawet gdy wszyscy obecni są rodowitymi Niemcami. Kolejnym elementem służącym wytworzeniu kultury korporacyjnej jest noszenie przez wszystkich zwolenników Pharos Project jednolitych strojów. Ponieważ istnieją restrykcyjne przepisy, zabraniające politycznym lub quasi-politycznym grupom noszenia uniformów, Pharos Project zastosował proste rozwiązanie, polegające na wymaganiu od wszystkich swoich członków ubierania się w identyczne garnitury biznesowe: jasnoszary kolor oznacza szeregowych, ciemnoszary wskazuje na przynależność do Konsolidatorów, zaś czarny zarezerwowany został dla ważniejszych postaci w organizacji. To pozwala uniknąć kłopotów związanych z federalnymi nakazami oraz wprowadza element anonimowości, ponieważ stroje członków Pharos Project nie różnią się w znaczący sposób od strojów obowiązujących w normalnym biznesie...”

Fabel z trzaskiem zamknął akta.

– Werner, czy mógłbyś się skontaktować z Astrid Bremer i poprosić ją, żeby przekazała nam wszystko, co udało się ustalić na temat tego szarego materiału, który znaleziono w domu Müllera-Voigta? Powiedziała mi, że ten materiał wydaje się szczególnie niezwykły, ponieważ jest całkowicie syntetyczny. Założę się, że Pharos Project kupuje swoje mundurki w wielkich ilościach u jakiegoś hurtownika, zajmującego się wyłącznie dostarczaniem ubrań dla korporacji. Anno, ty musisz powdzięczyć się do tego swojego kumpla w Biurze Prokuratora Krajowego i powiedzieć mu, że potrzebujemy ograniczonego nakazu przeszukania, by zabrać z Pharos Project dwie marynarki, które są nam potrzebne do porównania.

Nagle opamiętał się i spojrzał na Nicolę Brüggemann.

– Rób, co uważasz za stosowne – powiedziała z lekką nutką wrogości. – Ostatecznie to twój departament.

– Dziękuję – odparł Fabel i zmarszczył brwi, jak ktoś, kto usiłuje przypomnieć sobie, gdzie zostawił kluczyki od samochodu. – Tamta kobieta, którą spotkałem przy dokach... Ona miała na sobie ciemnoszary garnitur.

– Na Boga, Janie! – Nicola Brüggemann jęknęła. – Chyba trochę przesadzasz. W sumie garnitur to garnitur.

– Być może. Ale jestem dziwnie przekonany, że była jednym z Konsolidatorów. Nareszcie wszystko zaczyna się układać. Morderstwa popełnione przez Zabójcę z Sieci mają jakiś związek z Pharos Project. Ale na razie za cholerę nie wiem, jaki.

Wstał i zabrał kurtkę wiszącą na oparciu krzesła.

– Nicola, zostawiam wszystko na twojej głowie. Ja muszę wyjść.

– Dokąd się wybierasz?

– Muszę pojechać na wycieczkę do latarni morskiej nad Morzem Północnym.

ROZDZIAŁ 27

Susanne wciąż jeszcze była w Instytucie Medycyny Sądowej, kiedy Fabel zadzwonił do niej z samochodu, po raz kolejny kierując się w stronę Altes Land i Stade. Tym razem ominął miasto i zjechał na wijącą się jak wstążka drogę, która biegła równoległe do linii brzegowej. Od morza osłaniał ją falisty wał usypany nad samą wodą, która teraz znajdowała się na prawo od Fabla. Po lewej stronie rozciągał się łąd, podzielony na wąskie poletka, jasnozielone, ciemnozielone lub w kolorze przyćmionego złota. Każde z tych poletek otoczone było torfowym nasypem, to o nich wspominał Müller-Voigt. Rzeczywiście, wyglądało to jak pozszywana z kawałków materiału patchworkowa narzuta, tyle że nieskazitelnie wyprasowana – z wyjątkiem rąbka przy linii wody, utworzonego przez wał.

Upłynęła kolejna godzina, zanim Fabel dotarł do Pharos. Wcześniej zatrzymał się na poboczu i wysiadł z auta, żeby z pewnej odległości podziwiać panoramę, która roztaczała się przed jego oczyma. Światło dnia zaczynało powoli przygasać, a gęsta kołdra z chmur przykrywała niebo ciemną zasłoną, ale nawet w tak niekorzystnych warunkach Fabel mógł przekonać się, że Müller-Voigt miał rację: Pharos rzeczywiście zasługiwał na miano wyjątkowego dzieła sztuki. Wzniesiona na brzegu latarnia, wysoka na cztery lub pięć pięter, wspierała się o skrzydło nowego budynku. Sama latarnia była przykładem tradycyjnej architektury Północnych Niemiec – nie wysmukła, lecz masywna, krępa, zbudowana na planie czworoboku, z ogromną galerią, wzmocnioną ułożonymi na krzyż metalowymi prętami, wewnątrz której umieszczono reflektory. Najwyraźniej ostatnio przeszła gruntowną renowację i prezentowała się wręcz znakomicie, zupełnie jakby dopiero co została wzniesiona, a nie stała tutaj od ponad półtora wieku, mocno wrośnięta w krajobraz.

Jednak na Fablu największe wrażenie wywarł główny budynek, połączony bokiem z oryginalną latarnią. Składał się z trzech elementów, a właściwie bardziej modułów niż elementów. Pierwszy, o który wspierał się bok latarni, był długim, zaledwie dwupiętrowym budynkiem – najwidoczniej architekt celowo zaprojektował go w ten sposób, by z żadnej strony nie ograniczać widoku pierwotnej budowli. Ta część była rozciągnięta w kierunku morza na mniej więcej pięćdziesiąt metrów. Następny moduł stanowił wysoki na pięć pięter budynek, z profilu przypominający masywny równoległobok – romboedr, jak nagle przypomniał sobie Fabel z lekcji matematyki – który doprowadzał budowlę do morskiego brzegu i sterczał ponad lustrem wody. Konstrukcja tego modułu została wzmocniona betonowymi belkami, lecz boczne ściany w całości wypełniało szkło. Trzecia część stanowiła w rzeczywistości przedłużenie górnego piętra poprzedniego budynku i wystawała ponad nurt Łaby, wspierając się na dwóch rzędach słupów, wbitych w dno rzeki. Z dachu tego zawieszono nad wodą poziomu strzelało w górę bładoniebieskie światło lasera, doskonale widoczne o zmierzchu, wkluwając się w wiszące nad nim chmury. Światło Pharos.

To coś więcej niż zwykły budynek, pomyślał Fabel. To przekaz: dobitne zakomunikowanie własnej siły i bogactwa. Taki sposób podkreślania dominacji człowieka nad naturą wydawał się dość agresywny, zwłaszcza w przypadku ugrupowania rzekomo zajmującego się ekologią, tak przynajmniej uważał Fabel. Poza tym miał przecucie, że ten przepych kryje za sobą jakiś złowieszczy cień.

Pojechał dalej wąską nadmorską dróżką, aż znalazł się na końcu drogi prowadzącej do latarni Pharos. Z bliska wspaniałość budowli jeszcze bardziej zapierała dech w piersiach. Dolny poziom pierwszego modułu ozdobiony był naturalnymi materiałami: drewnianą palisadą, szkłem i wielkimi blokami z kamienia. Fabel skręcił z głównej drogi na podjazd i wkrótce zatrzymał się

przed zamkniętą bramą. Po drugiej stronie ogrodzenia znajdował się nieduży kamienny domek i Fabel musiał kilkakrotnie nacisnąć klakson, zanim wreszcie ktoś wyszedł na zewnątrz. Wcale go nie zaskoczyło, że młody człowiek z krótko obciętymi, jasnymi włosami, który wynurzył się z wnętrza domku, miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i ciemnoszary krawat. Młodzieniec przystanął za siatką z grubego drutu i beznamiętnie spoglądał na przybysza, nie czyniąc najlżejszego ruchu, świadczącego o tym, że zamierza otworzyć bramę.

Fabel wysiadł z samochodu. Na pierwszy rzut oka ocenił, że parkan po obu stronach musi mieć przynajmniej trzy metry wysokości i jest wystarczająco solidny, by powstrzymać najbardziej nawet zdeterminowanego intruza.

– Chciałbym porozmawiać z *Herr* Wiegandem – powiedział Fabel, podnosząc wysoko policyjną odznakę.

Mężczyzna przy bramie pozostał milczący i nieporuszony.

– Teraz – dodał Fabel z naciskiem.

– Nikt nie może tu wejść, jeśli nie ma wyznaczonego spotkania – odezwał się odzwierny, a jego głos był beznamiętny i przytłumiony, taki jak się Fabel spodziewał. – Nie wpuszczamy nikogo do Pharos, jeśli nie zostało to wcześniej ustalone.

– Nie potrzebuję niczego ustalać – burknął Fabel. – Jestem z policji.

Zwrócił uwagę, że dozorca ma w uchu słuchawkę bluetooth.

– W takim razie musi pan mieć wyznaczone spotkanie albo nakaz.

– Mam wrażenie, że się nie rozumiemy – powiedział Fabel ze znużeniem. – Przyjechałem na specjalne zaproszenie pana Wieganda. Pańskiego dyrektora generalnego.

Dozorca nadal wpatrywał się w Fabla; cokolwiek snuło mu się po głowie, z pewnością zadbał o to, by nie przedostało się na powierzchnię.

Wreszcie, po czasie, który zdawał się wiecznością, młody człowiek zdecydował się przerwać milczenie.

– Niech pan poczeka.

Odszedł kilka metrów dalej i odwrócił się plecami; Fabel domyślił się, że rozmawia z kimś w centralnym budynku. Po chwili dozorca wrócił i otworzył bramę.

– Proszę zostawić samochód – wyjaśnił. – Za tę bramę nie wpuszczamy żadnych pojazdów.

Fabel wzruszył ramionami. Pilotem zamknął auto i wkroczył na teren posiadłości. Dozorca poprowadził go w stronę głównego wejścia, gdzie już czekał następny strażnik, tak samo ponury jak sto nieszczęść i wyposażony w bezprzewodową słuchawkę. Fabel z bliska obejrzał całą budowlę. Bez wątpienia budziła przerażenie. Nie przez przypadek Pharos Project wykorzystywał symbolizm i słownictwo międzynarodowego korporacyjnego handlu: ten budynek pod każdym względem wykraczał poza granice wszystkiego, co ludzkie. Zupełnie jak centralne zarządy wielonarodowych firm, Pharos został wzniesiony po to, by gloryfikować wspólnotę i pomniejszać jednostkę. Ten sam trik stosowali architekci średniowiecznych katedr, gdzie rozmach budowli miał odzwierciedlać wielkość i moc samego Boga, choć naprawdę reprezentował wyłącznie wielkość i moc Kościoła – największej wielonarodowej korporacji wieków średnich.

Fabel został zaprowadzony do przestronnego atrium, w którym panował półmrok. Powodem było coś, co, jak się domyślał, znajdowało się w samym centrum pomieszczenia. Nagle krąg zmieniających barwę promieni wystrzelił ku górze, oświetlając coś, co zdaniem Fabla przypominało zawieszoną w powietrzu olbrzymią meduzę, prześwitującą i przepiękną, z sercem w kolorze głębokiej czerwieni i ze spódniczką z przezroczystych macek. Musiał przyznać, że ktoś doskonale wykonał swoją pracę: holograficzna projekcja przedstawiała trójwymiarowy

obraz meduzy, która pulsowała i zmieniała kolor, zupełnie jakby była żywym stworzeniem. Jednak Fabla najbardziej zaskoczyła własna reakcja, przez ułamek sekundy meduza wyglądała niewiarygodnie prawdziwie, a jednak instynkt natychmiast podpowiedział mu, że to tylko zręczna sztuczka.

Wnętrze budynku także było godne uwagi. Gdy prowadzono go przez hole i labirynt korytarzy, a potem wieziono windą na ostatnie piętro, Fabel przez cały czas widział otaczający go krajobraz. Nieważne, gdzie akurat się znajdował – wszędzie, nawet w windzie, przez przeszklone ściany widział okolice latarni. Zwrócił też uwagę, że wszyscy spotykani po drodze ludzie nosili te same szare garnitury, choć niektórzy, łącznie z jego eskortą, ubrani byli ich w nieco ciemniejszy odcień. Minęli mnóstwo pokoiów o przeszklonych ścianach, które według Fabla wyglądały tak samo jak wszystkie inne biura. Mimo starań eskorty, by iść dość żwawym krokiem, Fabel starał się dostrzec maksymalnie dużo szczegółów. W każdym pokoju stały tuziny biur z konsolami komputerowymi, ale takich, jakich nigdy wcześniej nie widział: monitory były niewiarygodnie cienkie, zaś ludzie pisali na klawiaturach o tak nikłym zarysie, że nie mógł ich widzieć. Dlaczego ich nie widział, zorientował się nieco później, kiedy przechodzili obok mniejszego biura, gdzie miejsce pracy znajdowało się bliżej szklanej ściany. Palce ubranej na szaro kobiety biegały po wirtualnej klawiaturze, utworzonej przez światło na blacie biurka.

Fabel przypomniał sobie, że czytał kiedyś, jak toksyczne dla środowiska są ciężkie metale, używane do produkcji napędów, twardych dysków czy monitorów komputerowych, i pomyślał, że jak na organizację walczącą o ochronę środowiska, Pharos Project nieco zbyt wyraźnie lubuje się w takich gadżetach. Inną rzeczą, która przyszła mu do głowy podczas tej wędrówki, było to, że Pharos wygląda raczej jak zwyczajne biuro, a krążący po budynku mężczyźni i kobiety nie przypominają członków sekty ani mistycznych akolitów, lecz pracowników międzynarodowego banku.

Peter Wiegand oczekiwał go w swoim gabinecie, choć Fabel z trudem mógł określić mianem gabinetu pomieszczenie tak obszerne, jak to, do którego został wprowadzony. Wiegand zarządzał należącą doń firmą z pokoju znajdującego się na wysuniętym najwyższym piętrze. Jego biuro zajmowało całkowitą szerokość budynku, ale i tak było dłuższe niż szersze. Wszystkie trzy zewnętrzne ściany zostały zrobione ze szkła, co otwierało widok praktycznie na każdą stronę. To właśnie w tym miejscu Łaba zaczynała rozszerzać swój nurt, płynąc na spotkanie z morzem. Woda stanowiła dominujący element krajobrazu. Fabel zwrócił uwagę, że nawet w podłodze znajdował się wielki prostokąt ze szkła, przez który widać było spienioną czerń wodnej otchłani. Nie omieszkał podkreślić, że to zauważył, starannie omijając szklany panel.

– Proszę, *Herr* Fabel – odezwał się Wiegand, wychodząc zza biurka, przy którym biurko van Heideny wydawało się zupełnie nieodpowiednie dla szefa. – Proszę się nie niepokoić. To wzmocnione szkło jest twardsze niż beton i bezpiecznie można po nim chodzić.

Ucisnął dłoń Fabla i poprowadził go w stronę krzesła, gościnnie wskazując miejsce.

– Bardzo interesujący jest ten... – Fabel przez chwilę próbował odnaleźć odpowiednie określenie – ...ten *eksponat*, który znajduje się w pańskiej portierni. Mam na myśli hologram. Jest rzeczywiście przepiękny, ale muszę przyznać, że zdziwił mnie wybór obiektu. Czyżby zdecydował się pan na meduzę z powodu podmorskiej wyprawy Dominika Korna?

– Nie ja ją wybierałem. To było natchnienie Dominika. Ta meduza symbolizuje prawie wszystko, co jest istotą Pharos Project.

– Ach tak?

– Istotą naszego istnienia jest posłannictwo, *Herr* Fabel. Dominik wybrał jako środek przekazu hologram, aby oddać holograficzną naturę wszechświata, który składa się ze strzępków informacji. Naturalnie na tym właśnie odkryciu opiera się wielka filozofia Dominika: że prawie

wszystko może zostać przekształcone w informację i przeniesione. Przechowane.

– Nie miałem pojęcia, że wszechświat jest hologramem. – Fabel nie zdołał powstrzymać się od drwiny.

– W takim razie nie jest pan zaznajomiony z najnowszymi odkryciami fizyki kwantowej. Nie propaguję bynajmniej żadnego mistycyzmu New Age, jeśli o to mnie pan podejrzewa. Mam na myśli wyłącznie ostatnie postępy w badaniu teorii cząsteczek.

– Ach, więc to jest ta pańska jedyna w swoim rodzaju teza, którą wystawia pan na sprzedaż? Cyfrowa nieśmiertelność?

Wiegand nie dopuścił, żeby z jego uśmiechu zniknęła pewność siebie.

– Proszę pozwolić, że zadam panu jedno pytanie: czy wierzy pan w nieśmiertelność?

– Nie. Wszystko umiera. Takie jest prawo natury, prawo wszechświata. Wiem, że wierzy pan w opcję wiecznego życia w komputerowym mainframie, ale to nie jest życie. Nawet nie egzystencja, ponieważ nie miałyby nic wspólnego z rzeczywistością, pan zaś nie byłby tam sobą. Nie doświadczałby pan tego osobiście. Nieśmiertelność jest czymś absolutnie nierealnym. Każda żywa istota musi umrzeć.

– *Herr Fabel*, i znowu osiągnął pan jedynie tyle, że udowodnił pan swoją ignorancję. Nieśmiertelność *istnieje*. Istnieje tutaj i teraz, w pańskiej rzeczywistości. Holograficzny obraz, który widział pan w atrium, to *Turritopsis nutricula*. Jest piękna, ale jej wyobrażenie w atrium jest kilka tysięcy razy większe niż stworzenie, które występuje w naturze. W rzeczywistości nasza meduza mierzy zaledwie cztery albo pięć milimetrów. Czy wie pan, dlaczego pan Korn wybrał *Turritopsis nutricula* na nasz symbol?

Fabel wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale sądzę, że zaraz mnie pan oświeci.

– Bo jest prawdziwie, niezaprzeczalnie nieśmiertelna. To jedyna żywa istota na naszej planecie, która rzeczywiście jest nieśmiertelna.

– Jak to możliwe? – zawołał Fabel, zaintrygowany wbrew własnej woli.

– Wszystkie meduzy rodzą się, dojrzewają i parzą. Normalnie po akcie seksualnym dojrzałe osobniki giną. Ale nie nieśmiertelna meduza, bo również tak nazywana bywa *Turritopsis nutricula*. Przechodzi proces zwany różnicowaniem, podczas którego dosłownie przekształca strukturę własnych komórek. Podczas przekształcania komórki te z powrotem nabierają młodzieńczych cech. W ten oto sposób meduza omija proces starzenia i oszukuje śmierć, ponownie stając się polipem. Później znów dojrzewa, obcuje płciowo, różnicuje się i staje polipem. I tak w nieskończoność. Tak więc sam pan widzi, Fabel, nieśmiertelność naprawdę *istnieje*. Znajdujący się w atrium hologram przedstawia połączenie cyfryzacji i nieśmiertelności. Niesie również przekaz ekologiczny: pierwotnie *Turritopsis nutricula* spotykana była jedynie na Karaibach, ale potem znalazła się w zbiornikach balastowych statków, one zaś rozwiozły ją po całym świecie. Nasza działalność przyczyniła się do lawinowego wzrostu populacji tego niewielkiego stworzenia, populacji gatunku, który rozmnaża się i mnoży, ale nigdy nie umiera.

– Wie pan, *Herr Wiegand*, co mi przychodzi na myśl? Wiem, że jest pan drugą najważniejszą figurą w waszej organizacji, i jestem pewien, że ogromna większość jej członków kupuje w ciemno te bzdury o wiecznym życiu w cyberprzestrzeni, głównie dlatego, że wcześniej zostali poddani praniu mózgow. Ale pan? Jakoś wątpię, że wierzy pan w choćby jedno słowo z tego, co pan głosi. Moim zdaniem wszystko służy jedynie sprawowaniu kontroli nad ludźmi i pomnażaniu bogactwa. Mnie zaś szczególnie interesuje to, do czego pan zmierza. Pan stanowczo coś ukrywa.

Wiegand uśmiechnął się tym swoim uśmiechem miliardera – uprzejmym, lecz nieco protekcjonalnym.

– Miał pan okazję na własne oczy zobaczyć, jak ogromne ilości szkła wykorzystujemy we wszystkich naszych budynkach – odparł. – Robimy tak z dwóch powodów: po pierwsze, pozwala to zredukować nasze uzależnienie od sztucznego oświetlenia i ogrzewania. We wszystkich oknach znajduje się szkło pochłaniające energię, a cały dach w zasadzie jest jednym wielkim panelem solarnym. Po drugie, chcemy zakomunikować wszystkim naszym członkom oraz gościom takim jak pan, że Pharos Project jest, mówiąc dosłownie, transparentny. Nie mamy nic do ukrycia, panie Fabel. Nic.

– Może faktycznie rozciąga się stąd wspaniały widok – odparł Fabel. – Ale nie jestem pewien, czy wielkie okna robią jakieś wrażenie na tych z zewnątrz, którzy uważają pana za zakonspirowanego manipulatora; którzy widzą, jak wyzyskuje pan swoich wyznawców i prześladuje każdego, kto odważy się na krytykę pańskich poczynań.

– Cieszę się, panie nadkomisarzu, że przyjął pan moje zaproszenie. – Wiegand całkiem zignorował wypowiedź Fabla. – Może podczas tej wizyty doświadczy pan czegoś w rodzaju oświecenia i uwierzy, że w Pharos Project nie ma nic złowrogiego ani kultowego. Chociaż wolałbym, żeby następnym razem uprzedził pan nas telefonicznie, tak jak prosiłem. Jestem dość zajęty człowiekiem i w związku z licznymi obowiązkami wiceprzewodniczącego Korn-Pharos Corporation, wizytami w Americas Pharos w Maine, a także ze względu na moje zaangażowanie w rozmaite programy ekologiczne na całym świecie, rzadko tutaj bywam.

– Jednak, *Herr* Wiegand, w ciągu ostatnich miesięcy spędził pan tu mnóstwo czasu. Widocznie jest tutaj coś, co w danym momencie budzi pańskie szczególne zainteresowanie.

– Szczególne zainteresowanie? Och, tak bym tego nie określił. Chyba... Czyżby pan miał na myśli ten ekologiczny szczyt Hamburg GlobalConcern? Oczywiście, że poświęcam temu mnóstwo czasu!

– Nie, wcale nie to miałem na myśli. Zastanawiałem się, czy ma to coś wspólnego z Melihą Yazar.

– Z kim? Ach tak, ostatnio wspominał pan o niej. To ktoś z kim rzekomo związał się nieszczęsny Berthold... Nie, obawiam się, że nie rozumiem pańskiego pytania. Nic nie wiem na temat Melihy Yazar.

– Proszę pozwolić, że odświeżę pańską pamięć. To ta kobieta, która przedarła się przez szczelny mur pańskiej ochrony i dokonała zaskakującego odkrycia o Pharos Project. Tak zaskakującego, że mogło być ono dla pana wielce szkodliwe. Być może nawet dla pana osobiście.

Wiegand oparł się o zagłówek fotela i z uśmiechem obserwował Fabla. Jednak nie był to już ów zwyczajny, dobrotliwy uśmiech człowieka biznesu, który Fabel dotąd otrzymywał przy każdej utarczce z miliarderem. W tym uśmiechu kryło się coś mrocznego. Coś złowrogiego.

– Muszę przyznać, *Herr* Fabel, że znalazł pan doskonale miejsce na wyprawę na ryby. – Wiegand wykonał nieokreślony ruch ręką, wskazując rzekę za oknami.

– Czy przyznaje pan, że ma pan niemal obsesję na punkcie ochrony? Jestem przekonany, że w landzie Hamburg są więzienia, gdzie strażnicy wydają się bardziej zrelaksowani niż ten koleś, który wita pańskich gości. To sugeruje, że istnieje coś, co za wszelką cenę chce pan ukryć przed światem. Każda osoba, którą werbuje pan do Pharos Project, nie tylko przechodzi pranie mózgu, ale wcześniej jest dokładnie sprawdzana. Ale Meliha Yazar jakoś zdołała obejść te zabezpieczenia. Dotarła do samego serca pańskiego wielkiego sekretu, prawda?

– Chyba już wystarczająco jasno dałem do zrozumienia, że nie mam pojęcia, o kim pan mówi. Poza tym tu nie ma żadnego „wielkiego sekretu”. Naturalnie, że musimy wykazywać szczególną dbałość o sprawy bezpieczeństwa. Jest mnóstwo ludzi i mnóstwo organizacji, które wykazują nieprzychylnie nastawienie wobec nas. Muszę niestety powiedzieć, że jedną z tych

organizacji jest BfV. Niech pan posłucha: może pan nas oskarżać, mówić, że jesteśmy bandą oszustów, dziwaków i niebezpieczną sektą, ale fakt pozostaje faktem – świat zmierza ku zagładzie. Pharos Project jest przedmiotem wszelkiego rodzaju plotek, podejrzeń i śledztw, ale nikt z taką skrupulatnością i zaangażowaniem nie bada działalności spółek, które kontynuują poszukiwania nowych złóż ropy naftowej, żeby wykrwawiać, zanieczyszczać i zatrwać innych wyłącznie po to, by samemu się wzbogacić. Nie rozumiem, czemu BfV nie poświęca tyle samo czasu i środków ludzkich do ścigania międzynarodowych firm, które hektar za hektarem wycinają tropikalne lasy, a potem urządzą tam pastwiska dla bydła, żeby jakiś tłusty nastolatek z Minnesoty mógł się opychać tanimi hamburgerami.

– Czy dlatego współpracuje pan ze Strażnikami Gai? – spytał Fabel. – Albo może raczej to oni pracują dla Pharos Project? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że założył pan organizację, która do złudzenia przypomina państwo. A każde państwo musi posiadać swoje zbrojne ramię. Musi posiadać armię. Czy właśnie tak wygląda pański układ ze Strażnikami Gai?

Odpowiedzią znowu był uśmiech, tylko jeszcze bardziej lodowaty.

– *Herr* Fabel, chyba nie muszę panu tłumaczyć, co się dzieje z dzisiejszym światem. Gwałtowne podziały polityczne z przeszłości utraciły dawne znaczenie. Siły, które sprawują kontrolę nad naszym życiem, nie są już polityczne; są korporacyjne. Państwa narodowe w rzeczywistości nie mają takich wpływów jak niegdyś. To międzynarodowe towarzystwa. To państwa *korporacyjne* kształtują losy każdej kobiety, każdego mężczyzny i dziecka na naszej planecie. Pharos Project powstał jako dzieło umysłu Dominika Korna, który w pierwszym rządzie jest dalekowzrocznym, genialnym *biznesmenem*. Dlatego mamy taką samą strukturę jak nasi najwięksi wrogowie, globalne korporacje. Naszymi polami bitewnymi są sale konferencyjne i komitety, nic innego. Zresztą Dominik Korn jest zdecydowanym pacyfistą, podobnie jak ja i każdy, kto należy do Pharos Project. Więc, jeśli Strażnicy Gai angażują się w akty przemocy, nieistotne, do jakiego stopnia rozumiemy prowokację, to z naszej strony czeka ich zdecydowane potępienie. U nas nie ma miejsca na przemoc. Wszystkie działania Pharos Project zmierzają do powstrzymania przemocy, która dokonuje się na naszym ekosystemie.

– W takim razie, jeżeli to wszystko jest prawdą, nie będzie pan miał żadnych obiekcji, żeby wyświadczyć mi małą przysługę. Czy mogę prosić, żeby na chwilę przyszedł do nas ten dżentelmen, który mnie tutaj przyprowadził?

Wiegand westchnął, jakby chodziło o zaspokojenie kaprysu rozpuszczonego dzieciaka.

– Skoro pan sobie życzy...

Nacisnął guzik i powiedział parę słów po angielsku. Do gabinetu wszedł ów młody człowiek, który towarzyszył Fabelowi od wejścia do siedziby organizacji aż do biura Wieganda.

– Rozumiem, że ma pan magazyn pełen takich garniturów? – spytał Fabel. – Rozumiem, że sam pan zaopatruje w nie swoich pracowników...

– Owszem, właśnie tak. Troszczymy się o wszystkie potrzeby materialne członków naszej organizacji.

– W takim razie może mu pan zapewnić drugą marynarkę, jeżeli poproszę, by mi oddał swoją?

– Na litość boską, do czego panu potrzebna jego marynarka? Mogę dostarczyć nieużywaną, prosto z naszych magazynów.

– Proszę spełnić moją zachciankę, panie Wiegand. Muszę mieć pewność, że marynarka, którą zabieram, jest dokładnie tego samego rodzaju jak ta, którą nosi obecny tu dżentelmen. – Odwrócił się do stojącego przy drzwiach mężczyzny. – Mam rację, sądząc, że jest pan pracownikiem Biura Konsolidacji?

Konsolidator nie odpowiedział, tylko popatrzył na Wieganda, jakby czekał na polecenie,

co ma robić.

– Proszę dać panu nadkomisarzowi swoją marynarkę. Do czego jest ona panu potrzebna, *Herr Fabel*?

– Chciałbym porównać materiał, z którego została uszyta, ze strzępkami materiału, który znaleziono na miejscu zabójstwa Müllera-Voigta.

– Ach, rozumiem... Wiegand poderwał w górę dłoń, żeby powstrzymać Konsolidatora, który zdążył zdjąć marynarkę i właśnie miał wręczyć ją Fablowi. – W takim wypadku, jeśli w grę wchodzi sugestia jakiegoś oskarżenia, może powinien pan postarać się o nakaz.

– Czy rzeczywiście będzie potrzebny nakaz? Chce pan przez to powiedzieć, że odmawia pan współpracy?

Wiegand przez chwilę milczał, a następnie skinął ręką, żeby Konsolidator oddał Fablowi marynarkę.

– Mam więc rozumieć, że przyjął pan założenie, iż ktoś z Pharos Project jest zamieszany w morderstwo Bertholda Müllera-Voigta? – spytał Wiegand, gdy Konsolidator opuścił gabinet. – To naturalnie śmiechu warte, ale jeśli zaistniało takie podejrzenie, powinien był pan wcześniej mnie powiadomić. Zapewniam, że Pharos Project będzie z pełnym oddaniem współpracował z policją w każdym śledztwie, muszę jednak zaznaczyć, że to zupełnie niemożliwe, żeby ktoś z naszych członków był zamieszany w podobną sprawę. W naszej społeczności działają doradcy i mentorzy, którzy od razu rozpoznają osobę ze skłonnościami do przemocy lub jednostki społeczne.

– Nawet bym nie pomyślał, że będzie pan popierał jakąkolwiek formę indywidualnego działania. Mam wrażenie, że Pharos Project określa sam siebie jako *ergregore*. Zbiorowy umysł.

– No dobrze, więc czemu cała wspólnota Pharos Project miała by chcieć wyrządzić krzywdę Bertholdowi Müllerowi-Voigtowi? – pytał Wiegand.

Nadal nie tracił zimnej krwi. Nawet jeśli Fabel trafił w czuły punkt, Wiegand nie miał zamiaru niczego po sobie okazać.

– Być może dlatego, że pojawiło się podejrzenie, że Meliha Yazar powiedziała mu to, czego dowiedziała się o Pharos Project. Może w grę wchodzi coś o tak doniosłym znaczeniu, że każdy, kto choćby przypuszczalnie posiada tę wiedzę, znajduje się w niebezpieczeństwie.

– To czysta fantazja, *Herr Fabel*. Dodatkowo, muszę to powiedzieć, bardzo podobna do tych wyssanych z palca bredni, które władze w Niemczech bez skrępowania kierują przeciw nam. Ale obiecuję panu, Fabel, że jeśli podobne oskarżenia powtórzy pan poza tym gabinetem, będzie pan musiał udowodnić je w sądzie.

– Właśnie taki mam zamiar, *Herr Wiegand*.

Wiegand wstał, na znak, że dyskusja dobiegła końca. Fabel pozostał w pozycji siedzącej.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym omówić...

Fabel starannie złożył leżącą na jego kolanach marynarkę, przesuwając palcami po materiale. Mógłby przysiąc, że jest taki sam, jak ten opisywany przez Astrid Bremer: niemiły w dotyku i podobny do nylonu.

– Jak bez wątpienia jest pan poinformowany, prowadzimy obecnie śledztwo dotyczące zabójstw czterech młodych kobiet. Namierzył je ktoś, z kim kontaktowały się przez internet...

– Ma pan na myśli Zabójcę z Sieci. Tak, ta sprawa jest mi znana.

– No cóż, kilka dni temu wieczorem podeszła do mnie pewna osoba, ubrana w strój do złudzenia przypominający ten... – Fabel wskazał złożoną marynarkę. – Podała mi fałszywe nazwisko. Prawdę mówiąc, jako swoje podała mi nazwisko następnej ofiary Zabójcy z Sieci, i to jeszcze zanim odnaleźliśmy ciało, co wydaje się szczególnie interesujące, bo kiedy już to się stało, okazało się, że wcześniej przechowywano je przez pewien czas w jakimś chłodnym

pomieszczeniu...

– I...?

– Nic... Nic poza tym, że nasuwa mi się przypuszczenie, że ciało leżało w chłodzie wystarczająco długo, bym wcześniej poznał nazwisko ofiary, a także bym utrudnił nam ustalenie czasu zgonu. Zupełnie jakby było ważne, żebyśmy uwierzyli, że ta kobieta zginęła znacznie później niż w rzeczywistości.

– Jakie to ma znaczenie, jeśli chodzi o mnie? – zapytał Wiegand ze znużeniem.

– Bardzo długo łamałem sobie nad tym głowę, ale wydaje mi się, że zrozumiałem, w czym rzecz. I myślę, że dzięki tej sprawie dowiem się, co odkryła Meliha Yazar...

– Czyli?

– Chyba zostawimy to sobie na następną rozmowę – Fabel wstał. – Dziękuję, *Herr* Wiegand, że poświęcił mi pan tyle czasu. Już cieszę się na myśl o naszym kolejnym spotkaniu.

Rozejrzał się po gabinecie, po szklanych ścianach, po zamglonej przestrzeni wód otaczających budynek.

– Myślę, że następnym razem spotkamy się w moim biurze.

Było już całkiem ciemno, gdy Fabel ruszał z powrotem wąską drogą, która prowadziła do Stade. Poza nim na jezdni nie było nikogo, więc bez trudu mógł dostrzec, że we wstecznym lusterku nie odbijają się światła żadnego samochodu. Zresztą Wiegand i tak doskonale wie, gdzie jestem i którędy będę wracać do miasta, pomyślał Fabel. Nie musi więc przyczepiać mi ogona, dopóki nie znajdę się z powrotem w sieci głównych dróg.

Jan Fabel był człowiekiem, który w każdej sytuacji lubi postępować we właściwy sposób – lubi trzymać się zasad. Ciężka mu myśl, że właśnie zrobił coś, na co nigdy nie pozwoliłby żadnemu z młodszych oficerów, to znaczy celowo wystawił się na niebezpieczeństwo. Fabel wiedział, że w normalny sposób nigdy nie udałooby mu się wszcząć śledztwa przeciwko organizacji tak potężnej, sprytnej i ultranowoczesnej jak Pharos Project, więc jedyne, co mu pozostało, to sprowokować ich do działania. Sprowokować Wieganda. Kilka chwil temu powiedział on do Fabla, że ten wybrał się na połów i miał całkowitą rację – tyle tylko, że Fabel sam sobie wyznaczył rolę przynęty. Celowo napomknął, że posiada tę samą wiedzę co Meliha Yazar, która z tego powodu została uprowadzona i najprawdopodobniej zamordowana. Müller-Voigt skończył z głową rozbita na miazgę wyłącznie dlatego, że istniało podejrzenie, że *być może* usłyszał tę informację. A teraz tamci mieli powody sądzić, że i Fabel wie o wszystkim. W dodatku był kimś, kto mógł narobić nieskończenie więcej szkód niż Yazar albo Müller-Voigt, więc bez wątpienia rzuca się za nim w pościg.

Prawdę mówiąc, powoli zaczynał wierzyć, że naprawdę *wie*, co takiego odkryła Meliha Yazar. Jednak udowodnienie tego przed sądem było zupełnie inną sprawą.

Właśnie zbliżał się do Stade, gdy zabręczała komórka.

– Czy pan nadkomisarz Fabel? – spytał męski głos.

Brzmiał bardzo nisko i odrobinę automatycznie, co chwila przerywał go głęboki, chrapliwy oddech. Fabel zdał sobie sprawę, że głos został elektronicznie zmieniony.

– Kto mówi?

– Proszę mnie nazywać Klabautermann, to odpowiednia nazwa.

– Chyba żartujesz – zaśmiał się Fabel. – Chcesz, żebym nazywał cię Klabautermannem? Coś mi się zdaje, kolego, że czytasz za dużo komiksów. Czekać, jak one teraz się nazywają? Aha, już wiem: graficzne powieści. Teraz posłuchaj mnie uważnie: rozmawiasz z funkcjonariuszem policji, więc proponuję, żebyś przestał marnować mój czas i...

– Niech pan zaczeka! – groza elektronicznie zmienionego głosu zniknęła w miarę, jak skrywająca się za nim osoba stawiała się coraz bardziej wzburzona. – Pan musi mnie wysłuchać!

– Zdejmij to gówno i przestań udawać Dartha Vadera, to porozmawiamy.

Na chwilę zapadła cisza, a potem w słuchawce coś kliknęło.

– Kto mówi? – zapytał ponownie Fabel.

– Nie mogę powiedzieć.

Teraz głos był całkiem naturalny. Bez wątpienia należał do mężczyzny, choć brzmiał dość piskliwie i wciąż przerywały go charczące oddechy. Ten ktoś musiał mieć sporą nadwagę, domyślił się Fabel.

– W takim razie nie możemy rozmawiać.

– Oni mnie zabiją – powiedział głos, a w jego tonie pojawiło się coś takiego, że Fabel natychmiast mu uwierzył.

– Kto pana zabije?

– Ci sami ludzie, którzy zabili Melihę Yazar. Wiem wszystko o niej, wiem o Müllerze-Voigcie, wiem o Danielu Föttingerze...

Fabel zjechał na pobocze i włączył światła awaryjne. Chwyając komórkę ze stojaka, wyłączył system głośnomówiący.

– Co pan wie?

– Na razie nie mogę nic powiedzieć. Oni pewnie teraz nas słuchają. To, że zmusił mnie pan do zdjęcia tego urządzenia zmieniającego głos, na pewno ułatwi im zadanie, chociaż w końcu i tak by mnie znaleźli. Jeśli chodzi o technologię, potrafią zrobić wszystko. Niech pan o tym pamięta, Fabel. Niech pan nie używa żadnych technologicznych wynalazków.

– Gdzie jest Meliha Yazar? – w głosie Fabla pojawiła się determinacja. – Co się z nią stało?

– Przecież pan wie. Powinien się pan raczej martwić, *dlaczego* się jej to przydarzyło. Mam coś, czego oni szukają. Coś, co Meliha zostawiła, żeby to znalazł... Zginę, ponieważ to znalazłem. Teraz oni na pewno mnie znajdują, Fabel. Znajdą i zabiją. Pana też zabiją i zabiją każdego, o kim będą myśleli, że zna ich tajemnicę.

– Tajemnicę? Jaką tajemnicę? Niech pan posłucha, jeśli naprawdę uważa pan, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie, proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest. Będziemy pana chronić.

Po drugiej stronie rozległo się prychnięcie.

– Proszę nie składać obietnic, których nie będzie pan mógł dotrzymać... – głos zamilkł na moment. – Skontaktuję się z panem później. Muszę wymyślić jakiś sposób, dzięki któremu nie uda się im tego przechwycić. Czy pan rozumie?

Fabel zmarszczył brwi i zastanowił się.

– Tak, rozumiem.

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 28

Fabel zdawał sobie sprawę, że nie spotka się z serdecznym przyjęciem. Zadzwoił, żeby umówić się na spotkanie z Tanją Ulmen, pierwszą rzekomą ofiarą Föttingera, ona zaś zapytała, czy nie mogliby załatwić sprawy przez telefon. Teraz była szczęśliwą mężatką, miała dzieci i mieszkała w Bad Bramstedt – małym miasteczku między Hamburgiem i Kilonią – a jej rodzina nic nie wiedziała o incydencie, który wydarzył się dawno temu, gdy studiowała razem z Danielem Föttingerem. Fabel wyjaśnił jej, że to część śledztwa w sprawie morderstwa, więc rozmowa przez telefon nie wchodzi w grę. Tak naprawdę jednak nie lubił, gdy cokolwiek nie pozwalało mu obserwować reakcji ludzi, których przesłuchiwał. Tanja Ulmen niechętnie zgodziła się porozmawiać z nim po pracy. Jak wytłumaczyła, jest nauczycielką w miejscowej średniej szkole. Był lekko zaskoczony, kiedy Ulmen zażądała, żeby na przesłuchanie przywiózł ze sobą jakąś policjantkę.

Czterdzieści minut trwało, zanim Fabel i Anna dotarli do Bad Bramstedt, i kolejne dziesięć, nim znaleźli parking postojowy przy drodze numer dwieście siedem, na zachód od miasteczka. W czasie podróży Anna zwróciła uwagę, że jej towarzysz częściej niż zwykle spogląda we wsteczne lusterko.

– Czy on znów tam jest? – spytała. – Ten wóz z napędem na cztery koła?

– Nie. Przez chwilę myślałem, że jest... Ale nie. Może na starość dopadła mnie paranoja?

– Jeśli naprawdę uważasz, że ktoś cię śledzi, zwłaszcza przy okazji tego całego gównianego rozgardiaszu ze znikającymi mailami i SMS-ami, to moim zdaniem powinniśmy spaść z wizytą do Seamark International i uzyskać od nich parę odpowiedzi.

– To może nic takiego – odparł Fabel. – Może to był zbieg okoliczności. Może też pomyliłem się, biorąc dwa albo trzy różne samochody za jeden i ten sam... Zanim wykonamy jakiś ruch, najpierw chcę się upewnić. Zresztą, sama widzisz, że teraz go nie ma – zawahał się, a po chwili dodał niepewnie – Jest jeszcze coś, Anno... To znaczy, coś poza tymi mailami i SMS-ami. Wczoraj wieczorem miałem telefon. Anonimowy telefon od kogoś, kto twierdził, że wie o wszystkim, że wie, co się stało z Melihą Yazar i Müllerem-Voigtem.

– I mu uwierzyłeś? – w głosie Anny brzmiało niedowierzenie. – Nie uważasz, że po wszystkim, co tu się dzieje, jest całkiem prawdopodobne, że to dalszy ciąg tej samej zabawy?

– Też się nad tym zastanawiałem. Ale... Sam nie wiem... W tym telefonie było coś, co mnie poruszyło. Gość mówił, że tamci go znajdują i zabijają, i wierzę, że naprawdę tak myślał. Może on jest byłym członkiem albo ma z nimi inny związek?

– Więc *rzeczywiście* jesteś przekonany, że za całą sprawą stoi Pharos Project?

– Nawet więcej, Anno. Zaczynam powoli mieć wyobrażenie o tym, co tu naprawdę się wydarzyło. Spójrz, to chyba ona...

Na parkingu stał jeden jedyny samochód: wiekowy citroen. Parking od drogi oddzielała gęsta zasłona drzew, a po drugiej jego stronie rozciągał się jeszcze gęstszy las. *Frau* Ulmen nalegała, żeby spotkanie odbyło się właśnie tutaj; znajdowało się na tyle daleko od miasteczka, żeby nikt jej nie zauważył, i na tyle blisko, by mogła wrócić do domu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– Powiedziała dzieciom, że muszę zrobić zakupy, ale że za godzinę wrócę – powiedziała na powitanie bez ogródek, wsiadając na tył samochodu Fabla. – Mówił pan, że chce porozmawiać ze mną na temat Daniela Föttingera?

Fabel wiedział z raportu, że Tanja Ulmen ma trzydzieści kilka lat, ale wyglądała na tak zmęczoną życiem, że w innym wypadku trudno byłoby na pierwszy rzut oka odgadnąć jej wiek.

Rozczochrane jasne włosy, spięte były wielką, drewnianą klamrą, ozdobioną motywem celtyckiego łuku, a luźne ubranie, które miała na sobie, nieco przypominało cygański strój. W każdym calu pasowała do wyobrażeń o ekscentrycznej nauczycielce malarstwa, choć Fabel wiedział, że w rzeczywistości Tanja Ulmen wykłada informatykę.

– Tak, *Frau* Ulmen – potwierdził. – Chcielibyśmy porozmawiać z panią o Danielu Föttingerze. Czy pani wie, że on nie żyje?

– Owszem. Czytałam o tym w gazetach.

– Więc wie pani, w jaki sposób umarł?

– Tak. W bardzo bolesny sposób. I jestem z tego zadowolona. Mam nadzieję, że ten bydlak umierał długo, bardzo długo.

– Obawiam się, że niestety tak – odparł Fabel. – Trudno sobie wyobrazić gorszy rodzaj śmierci.

– Czy mam rozumieć, że przyjechał pan po to, żeby oskarżyć mnie, że miałam z tym coś wspólnego?

Na twarzy Tanji Ulmen pojawiła się zaciętość. Bunt. Fabel przypuszczał, że bardzo chciała cieszyć się ze śmierci Föttingera, ale nie potrafiła.

– Nie, *Frau* Ulmen. Poprosiłem panią o rozmowę, ponieważ próbuję stworzyć sobie jakiś obraz Daniela Föttingera. Dlatego chcę zapytać, co się wydarzyło pomiędzy nim a panią.

– Między nami nic się nie wydarzyło. Ten gnojek po prostu mnie zgwałcił.

– Więc czemu nie ścigała go pani sędownie? – wtrąciła Anna. – Czy pani wie, że on potem popełnił przynajmniej jeszcze jeden domniemany gwałt?

– No cóż, jego ojciec zapłacił mi „rekompensatę”, jak był łaskaw to określić. Ale zanim pani pomyśli, że zwyczajnie mnie przekupił, dodam, że wcześniej starsuszek Föttinger upewnił się, że ma w ręku i kij, i marchewkę. Föttingerowie byli obrzydliwie bogaci i bardzo mocno ustosunkowani. Postawił sprawę jasno, że jeśli się nie zgodzę, źle się to dla mnie skończy. Bardzo źle. Nie ma co mówić, oni byli siebie warci – ojciec i syn.

– Co pani dokładnie chce przez to powiedzieć? – spytała Anna.

– Obaj uważali, że mogą dostać wszystko, czego zapragną i kiedy zapragną. Ludzie nie mieli dla nich żadnego znaczenia.

– Proszę, *Frau* Ulmen – powiedział Fabel. – Będzie to dla mnie wielką pomocą, jeśli mi pani opowie, co wydarzyło się z Föttingerem.

– Daniel zaprosił mnie na randkę, kiedy obydwójce byliśmy studentami. On studiował filozofię...

– Filozofię? – Fabel mocno się zdziwił. – Pomyślałbym, że ktoś taki jak on powinien wybrać raczej jakiś ścisły albo związany z technologiami kierunek.

– Może zrobił to później, ale wtedy studiował filozofię. W dodatku z wielkim zaangażowaniem. W każdym razie Daniel zaprosił mnie na randkę. Był uroczy i bardzo przystojny, ale było w nim coś takiego, że cierpła mi skóra. Tak więc powiedziałam „nie”. Nie mógł tego zrozumieć. Po prostu nie potrafił przyjąć do wiadomości faktu, że ktoś odmawia mu czegoś, czego on zapragnął. Zupełnie, jakby coś nie zgadzało mu się w obliczeniach. Tak właśnie myślę o nim i o jego ojcu: żaden z nich nie był w stanie zrozumieć, że wszechświat nie kręci się wokół nich.

– Więc nie przyjął do wiadomości, że pani odmawia, tak? – spytała Anna, najdelikatniej jak umiała.

– Wynajmowałam mieszkanie wspólnie z przyjaciółmi; przyszedł, kiedy akurat ich nie było w domu. Znów wypróbował na mnie swój zabójczy urok, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że ktoś zdołał mu się oprzeć. Kiedy jednak i to nie podziałało, spróbował bardziej bezpośrednich

awansów. Po prostu przyłożył mi nóż do szyi.

– Wiem, że to dla pani trudne... – zaczęła Anna.

– Nie, wcale nie. To zdarzyło się dawno temu i jakoś udało mi się wypracować w sobie świadomość, że dotyczy to kogoś całkiem innego... Że to tylko jakaś tam historia, a nie część rzeczywistości. Taki był mój sposób poradzenia sobie z tą traumą i to poskutkowało. Podobno mówi się, że co siedem lat albo coś koło tego każda komórka w ciele człowieka zostaje zamieniona na nową, więc przekonałam samą siebie, że to, co się wydarzyło, dotyczyło całkiem innego ciała, innej osoby niż ta, którą jestem teraz. Ale nigdy nie przestałam go nienawidzić i pogardzać nim za jego arogancję.

– Chciałam zapytać o to, jak on się wtedy zachowywał – powiedziała Anna, wyrażając miną niezadowolenie, że musi być aż tak nietaktowna. – Mam na myśli, że pewne rzeczy, które napastnik robi, jakies jego szczególne zachowanie, wiele mogą nam powiedzieć o jego stanie duchowym.

– Po prostu trzymał ten nóż przytknięty do mojego gardła. Poza tym nie zastosował żadnej przemocy. Jego ojciec postarał się podkreślić fakt, że nie miałam na ciele żadnych siniaków, które mogłabym pokazać policji. Żadnych znaków, że walczyłam o swoją cnotę, jak to ujął ten cholerny, stary łajdak.

Tanja Ulmen przez chwilę spoglądała przez okno na ciemną zieleń lasu.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, naprawdę dziwnie, ale mam wrażenie, że Daniel nawet przez sekundę nie pomyślał, że robi coś złego. Przez te wszystkie lata zastanawiałam się nad tym mnóstwo razy; tak jak mówiłam, wyobrażając sobie, że tylko czytam o czymś, co przydarzyło się komuś całkiem innemu... dzięki temu łatwiej mi było zdobyć się na obiektywną ocenę. Tak czy siak, kiedy wracam myślami do tamtej chwili, mam wrażenie, że on tak naprawdę wcale nie rozumiał, że ja też tam jestem... Wiecie, chodzi mi o teorię umysłu czy symulowania, czy jak to tam nazywają psycholodzy. Myślę, że oni obaj, ojciec i syn, w jakimś sensie byli psychopatami. Nie jestem zawzięta, naprawdę tak uważam. Uważam, że Daniel Föttinger nie rozumiał, że ma do czynienia z kimś niezależnym, kto naprawdę może dać zgodę na coś albo ją wycofać.

– Tak, jakby pani w ogóle tam nie było, tak? – podpowiedział Fabel.

Tanja Ulmen popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tak, dokładnie tak – odparła z ożywieniem, po raz pierwszy od początku rozmowy. – Zupełnie jakby mnie tam nie było.

W drodze powrotnej do Hamburga Fabel spytał Annę o adres tej tureckiej restauracji, w której często jadali Müller-Voigt i Meliha Yazar.

– Czy mogłabyś tam zadzwonić i sprawdzić, czy ten kelner wrócił już z urlopu? – poprosił. – A jeżeli tak, to czy zgodziłby się zamienić z nami parę słów, kiedy tam dojedziemy?

Anna zadzwoniła i potwierdziła, że kelner będzie czekał.

– Czy widziałeś raport, który przysłał Tramberger, ten chłopak z ekipy ratunkowej? – spytała. – Dotarł do nas dziś rano.

– Aha, tę symulację z jego „Wirtualnej Łaby”? Nie, jeszcze nie miałem okazji.

– Powinieneś to zobaczyć. Zgodnie z wzorcem, a mówił, że sprawdził kilka razy, ten korpus został wyrzucony trzy kilometry dalej, w górnym biegu rzeki, i dokładnie na samym środku, w głębokim korycie.

– Z łodzi?

– Na to wygląda. Tramberger twierdzi, że powinniśmy ściągnąć patologa, żeby sprawdził, czy nie ma śladów, że zwłoki były obciążone. Sądzi, że ktokolwiek wyrzucił ciało w tym miejscu, zrobił tak właśnie dlatego, że to najgłębsza część Łaby. Tam pływa niewiele większych jednostek, za to więcej barek, więc było mniejsze prawdopodobieństwo, że spieniona woda

wypchnie ciało na powierzchnię. Tramberger uważa, że morderca dołożył wszelkich starań, żeby ten korpus pozostał na dnie rzeki i nigdy nie został odnaleziony. To ma sens, Janie. Osobiście przypuszczam, że głowa i kończyny też leżą gdzieś tam na dnie. Ktokolwiek to zrobił, naprawdę nie chciał, by zwłoki zostały zidentyfikowane.

Pałac Ottomana był o wiele mniej wspaniały niż sugerowała jego nazwa, mimo to posiadał pewien styl. Na ścianach nie wisiały żadne reprodukcje ani plakaty z reklamami turystycznych atrakcji Turcji. Była to zwyczajna jadalnia ozdobiona kilkoma nierzucającymi się w oczy pamiątkami, jak kolorowe dekoracyjne tkaniny na ścianach, które poza daniami w menu przypominały o kulturze kraju. Kiedy czekali na Osmana – kelnera, który zwykle obsługiwał Müllera-Voigta i jego przyjaciółkę – Fabel dokładnie obejrzał wnętrze restauracji. To wnętrze raczej nie przypominało lokali, w których zwykle bywał Müller-Voigt; wybór takiego miejsca – wszystko jedno, czy dokonała go Meliha, czy Müller-Voigt – gwarantował pełną dyskrecję.

W drzwiach prowadzących do kuchni pojawił się niewysoki człowieczek w wieku mniej więcej dwudziestu pięciu lat, o jasnobrunatnych włosach i usługowym uśmiechu. Przedstawił się Fabelowi jako Osman i zaraz dodał, że byłby szczęśliwy, mogąc służyć pomocą w czymkolwiek. Osman należał do ludzi, którzy swoim wylewnym dobrym humorem zarażają innych, nieważne jak bardzo tamci starają się to zignorować.

– Mówiła z akcentem ze Stambułu – wyjaśnił Osman, gdy tylko Fabel zapytał, czy pamięta Melihę. – Sądząc po tym, jak rozmawiała, była dobrze wykształconą i dość zamożną osobą. Jej ubranie wyglądało na drogie. Poza tym była piękną kobietą.

– Ale właściciel powiada, że wydawało mu się, że nie lubiła mówić o sobie.

– Och, z pewnością. Oczywiście, kiedy jakiś klient odzywa się do mnie po turecku, a do tego tak bezbłędnie i doskonale, od razu pytam, skąd pochodzi. Kiedy zadałem jej to pytanie, rzeczywiście poczułem się tak, jakbym zrobił coś niewłaściwego. Z klientami czasem naprawdę bywa zabawnie. Człowiek uczy się szybko zmieniać temat rozmowy. Bo oczywiście ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzymy, to żeby nasi stali klienci czuli się niezbyt komfortowo.

– Rozumiem, że ta pani była szczególnie wrażliwa na dociekanie, skąd pochodzi?

– Takie odniosłem wrażenie. Kiedy zapytałem, odparła, że z Silviri, na wybrzeżu niedaleko Stambułu, ale potem od razu nabrała wody w usta, rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

– Czy wydawali się szczęśliwi?

– Bardzo. Zwłaszcza on. Zresztą w ogóle byli przemiłą parą. Dobrze razem wyglądali, jeśli wie pan, co mam na myśli. Oczywiście była między nimi znaczna różnica wieku, ale wydawali się totalnie zafascynowani sobą.

– Czy zauważył pan, żeby kiedykolwiek z kimś rozmawiali? Może zdarzyło się, że przyprowadzili ze sobą przyjaciół albo zaprosili gości?

– Nie. Zawsze przychodzili tylko we dwoje. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś podszedł do nich i choćby w przelocie powiedział „dzień dobry”. Siadali zwykle tutaj... – Osman wskazał najbardziej odległy stolik, ustawiony na samym końcu restauracji, przy końcu części przeznaczony dla gości.

To potwierdziło teorię Fabela, że wybrali tę restaurację, ponieważ gwarantowało im to pełną anonimowość. Nikt nie przechodził obok ich stolika w drodze do wyjścia albo do toalety. Jedyne, co Meliha i Müller-Voigt musieli ścierpieć, to przyjacielskie uwagi Osmana.

– Osman, chcę, żebyś teraz mocno się nad czymś zastanowił – powiedział Fabel. – Czy było w nich coś, cokolwiek niezwykłego, co zwróciło twoją uwagę?

Osman zmarszczył czoło, jakby starał się zrobić dokładnie to, o co prosił go Fabel, ale po

chwili pokręcił głową.

– Nie. Bardzo mi przykro, ale nic sobie nie przypominam. Byli zwyczajną, szczęśliwą parą, która wydawała się bardzo w sobie zakochana... Zrobiło mi się przykro, kiedy usłyszałem o Müllerze-Voigcie. Naprawdę chciałbym móc zrobić coś więcej...

– Dziękujemy, Osman. Bardzo nam pomogłeś. – Uśmiechnął się Fabel.

Widział, że młody kelner starał się z całych sił przypomnieć sobie najdrobniejsze szczegóły, które mogły okazać się przydatne. Podziękował właścicielowi restauracji i razem z Anną ruszyli w stronę drzwi.

– Nawet dziwiłem się, że ona nie zaglądała do nas częściej – rzucił za nimi Osman, kiedy wychodzili. – Mieszkała przecież tak blisko.

Oboje, Anna i Fabel, zastygli w pół kroku. Bez słowa cofnęli się do środka, pozwalając, żeby drzwi się za nimi zatrzasnęły.

– Wiesz, gdzie mieszkała? – spytał Fabel. Poczł delikatne mrowienie na karku.

– No cóż... Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje. No chyba, że szła do kogoś z wizytą, ale dla mnie wyglądało to tak, jakby tam mieszkała.

– Co masz na myśli? – odezwała się Anna.

– Trzy skrzyżowania stąd stoi dom z mieszkaniami na wynajem. Któregoś dnia przechodziłem tamtędy, bo mój kuzyn mieszka w sąsiednim budynku, i zauważyłem, jak Yazar wchodzi przez główne drzwi, niosąc siatkę z zakupami.

– Zakładaj kurtkę... – mruknął Fabel do Osmana i otworzył drzwi na oścież.

Po trwającej nie dłużej niż kwadrans rozmowie z sąsiadami, ponad wszelką wątpliwość udało się ustalić, że Meliha Yazar mieszkała w tym domu i zajmowała lokal na trzecim piętrze. Był to nowoczesny budynek z mieszkaniami, znajdujący się rzeczywiście w odległości trzech przecznic od Pałacu Ottomana, tak jak mówił Osman.

Kiedy już byli pewni, że znaleźli właściwe miejsce, Fabel odesłał Osmana z powrotem do restauracji, a młody człowiek promieniał ze szczęścia, że udało mu się przypomnieć sobie coś znaczącego. Fabel zdołał rozproszyć jego jedyne zmartwienie, że Meliha Yazar miała jakieś kłopoty z policją.

– Absolutnie nie – zapewnił Fabel. – Próbujemy pomóc *Frau* Yazar. Ty bardzo jej pomogłeś.

I Osman z uśmiechem powędrował z powrotem do pracy.

Wkrótce jednak stało się jasne, że Meliha Yazar wcale nie jest Melihą Yazar.

– Ach, ma pan na myśli *Frau* Kebir... – powiedziała młoda matka, która otworzyła drzwi sąsiedniego mieszkania na trzecim piętrze, trzymając na biodrze malutkiego berbecia. – Nie widziałam jej od wieków. Może nawet przez cały miesiąc. Ona strasznie często wyjeżdżała, co pewnie miało związek z jej pracą. Pomyślałam nawet, że może wróciła do Turcji.

– Wie pani, na czym polegała jej praca? – spytała Anna.

– Nie umiem powiedzieć.

– Więc w tym mieszkaniu od miesiąca nikogo nie było?

– Tego nie powiedziałam. *Jej* nie było od miesiąca, ale najwyraźniej kazała coś tam u siebie zrobić w mieszkaniu. Mniej więcej przed trzema tygodniami, zaraz po tym, jak wyjechała, zjawiała się tutaj ekipa robotników. Ale muszę przyznać, że zachowali się w porządku, bo parę dni wcześniej wsunęli mi kartkę pod drzwi, żeby mnie uprzedzić.

– Rozumiem – odparł Fabel. – Czy pani Ya... To znaczy, pani Kebir, przypadkiem zostawiła u pani klucze?

– Och, nie. – Młoda kobieta kołysała w ramionach marudzące dziecko. – Ona była bardzo spokojna. Bardzo skryta.

Fabel podziękował i młoda matka zniknęła za drzwiami swojego mieszkania.

– Wiesz co, Anno – mruknął Fabel, gdy stali pod drzwiami apartamentu. – Oni nie są wcale tak dobrzy, jak głosi ich PR.

– Kto?

– Ci z Pharos Project – odparł Fabel. – Przez cały czas myślałem, że to oni wymazali wszystkie ślady istnienia Melihy Yazar. Ale to wcale nie była ich robota. Fałszywy adres, który podała Müllerowi-Voigtowi, przybrane nazwisko... Zgrabne posunięcie, muszę jej to przyznać: zachować tylko imię, na wypadek, gdyby ktoś, kogo znasz z przeszłości, wpadł na ciebie w publicznym miejscu... To wszystko był jej pomysł. To *ona* nie chciała za sobą zostawiać żadnych śladów istnienia Melihy Yazar.

– Myślisz, że chodziło o jakieś oszustwo? Chcesz powiedzieć, że wplątała się w coś takiego?

Fabel pokręcił głową.

– Nie, zdecydowanie nie. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że prowadziła jakieś potajemne dochodzenie.

Anna przez moment gapiała się na masywne drzwi wejściowe, prowadzące do mieszkania Melihy.

– Chcesz, żebym postarała się o awaryjny nakaz wejścia?

W odpowiedzi Fabel wymierzył drzwicom solidnego kopniaka. Przy drugim powtórzeniu drewno dookoła zamka rozłupało się i drzwi ustąpiły.

– Mamy powody przypuszczać, że najemca tego mieszkania znajduje się w niebezpieczeństwie – odpowiedział. – W takim przypadku nakaz nie jest potrzebny.

Za frontowymi drzwiami znajdował się długi przedpokój. Był jasny i nieskazitelnie czysty, a na przeciwległej ścianie wisiał oprawiony w ramki plakat, przedstawiający przystojnego mężczyznę w średnim wieku, który patrzył na Fabla przenikliwymi, jasnymi oczyma. Mężczyzna miał na sobie staromodny garnitur, a oba kciuki trzymał zatknięte w kieszeniach kamizelki. Z jego bladych oczu biła niewiarygodna determinacja, choć jedno oko nieco uciekało w bok. Fabel wiedział, że to skutek rany odniesionej po wybuchu szrapnela podczas pierwszej wojny światowej.

– Tak, to na pewno jej mieszkanie – powiedział, podbródkiem wskazując na plakat.

– Kto to? – spytała Anna.

– Jej ikona. Mustafa Kemal Atatürk, ojciec współczesnej Turcji. Meliha Yazar albo Kebir, czy jak tam się naprawdę nazywała, szukała nowego Atatürka. „Atatürka ekologii”, tak przynajmniej mówił Müller-Voigt. Chodź. Sprawdzimy, co tutaj jest.

Ostrożnie przesuwali się od pokoju do pokoju. W mieszkaniu pełno było książek, po turecku, niemiecku i angielsku. Klasyka literatury, traktaty o ochronie środowiska, podręczniki z zakresu geologii i ekologii... Fabel wszedł do sypialni. Łóżko było posłane i wszędzie panował nienaganny porządek, tak samo zresztą jak w całym mieszkaniu. Niewiarygodny porządek.

– Była schludna, to trzeba jej przyznać – odezwała się Anna gdzieś za plecami Fabla.

– Za schludna – odparł, biorąc do ręki trzy książki w miękkiej oprawie, które leżały na stoliku przy łóżku. – Oni przeszukali wszystko. Zajrzeli w każdy kącik. W każdy zakamarek i do każdego schowka. Założę się, że wcześniej zrobili zdjęcia, a kiedy już skończyli przeszukiwanie, postawili wszystko z powrotem na swoim miejscu. Staranna robota, trzeba przyznać.

– Mówisz o tej ekipie, o której wspominała sąsiadka?

Fabel nie odpowiedział; właśnie zajął się dokładnym przeglądaniem trzech książek w miękkich okładkach, powoli przewracając kartki każdej z nich. Angielskie wydanie 1984 George'a Orwella, niemieckie wydanie książki *Sędzia i jego kat* Friedricha Dürrenmatta,

egzemplarz *Milczącej wiosny* Rachel Carson, znowu po angielsku... Jeszcze raz obejrzał wszystkie trzy. W doborze tytułów na pewno było coś znaczącego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu wyszedł z sypialni, wciąż trzymając w ręku książki. Zanim skończyli, w mieszkaniu zjawił się oddział z Zakładu Kryminalistyki.

– Dotykałeś jeszcze czegoś, o czym powinienem wiedzieć? – spytał Braun Holger, znacząco spoglądając na książki.

– Niczego tu nie znajdziesz, Holger – odparł Fabel. – Lepiej rozejrzyj się dookoła. Co ci nie pasuje na tym obrazku?

Brauner przecesał spojrzeniem cały pokój, a potem odwrócił się do Fabla i wzruszył ramionami.

– Tu mnie masz... Nic nie widzę, poza tym, że to cholernie porządne mieszkanko.

– Po prostu ktoś nas uprzedził – wyjaśnił Fabel. – W dodatku to byli prawdziwi zawodowcy. Zatarli po sobie wszelkie ślady.

– Chciałabym, żeby tak u mnie posprzątali – westchnęła Anna. – To by mi załatwiło wiosenne porządki.

– Ale to nie wszystko, co nie zgadza się na tym obrazku. Rozejrzyj się, Anno. Zauważyłaś coś dziwnego?

Obydwoje jeszcze raz obejrzelili całe pomieszczenie. Anna na chwilę zmarszczyła brwi, a potem jej twarz rozjaśniła się, jakby doznała olśnienia.

– To samo, co z ostatnią ofiarą Zabójcy z Sieci?

– Właśnie – odparł Fabel.

Brauner zrobił zakłopotaną minę.

– Brakuje komputera – wyjaśnił Fabel. – Nie ma komputera, telefonu komórkowego, ładowarek, kart pamięci, nawet elektronicznego kalkulatora.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Brauner. – Że buszował po tym mieszkaniu Zabójca z Sieci?

– Mogę ci zagwarantować, Holger, że nie był to Zabójca z Sieci... Tego jestem absolutnie pewien. Zrobił to ktoś inny, ktoś, kto nie tylko przewrócił do góry nogami to mieszkanie, ale także zabrał komputer oraz komórkę, które były własnością Julii Henning. Ktoś, kto nie chce, żebyśmy dowiedzieli się, kim był Zabójca z Sieci, ani co mu się przydarzyło.

– Teraz nawet ja straciłam wątek – odezwała się Anna.

– Wszystko w swoim czasie... – odpowiedział Fabel. – Tymczasem czy mogłabyś kontynuować naszą pracę tutaj? Ja muszę wracać do komendy, żeby jak najszybciej porozmawiać z Fabianem Menkem o...

Przerwało mu brzęczenie telefonu.

– Cześć, Janie, tu Werner. Nie uwierzysz, ale... Mamy następne ciało, które znalezione w wodzie. Policja portowa właśnie powiadomiła nas, że w pobliżu ujścia Peutehafen wyłowili z rzeki zwłoki. Właśnie przewożą je do Butenfeld.

Werner użył skrótu, który w żargonie policyjnym oznaczał nazwę kostnicy w Instytucie Medycyny Sądowej, dokąd trafiają wszyscy ci, którzy zmarli nagłą i podejrzaną śmiercią.

– Zaraz tam będę – odparł Fabel.

ROZDZIAŁ 29

Fabel, Nicola Brüggemann i Werner Meyer stali w milczeniu, przypatrywali się ciału, które pracownik kostnicy przywiózł na wózku do głównej sali. Taka dłuższa chwila ciszy mogłaby być potraktowana jako okazanie szacunku, lecz było to pozorne, bo tak naprawdę cała trójka zachowywała się w sposób typowy dla funkcjonariuszy policji. Trzeba poświęcić moment na przyjrzenie się zwłokom, dokładne oględziny i ocenę, żeby z perspektywy spojrzeć na czyjąś śmierć.

Ciało na noszach było blade i chude; spod przezroczystej skóry wystawały żebra, a ramiona wydawały się cienkie jak kości kurczaka. Mimo oczywistego śladu zarostu na podbródku, ten człowiek wyglądał raczej na chłopca niż na dorosłego mężczyznę. W jego czaszce ziały cztery dziury, teraz już bezkrwawe – dwie tuż ponad linią włosów i dwie poniżej, przekuwając gładką powierzchnię szerokiego czoła. Fabel dostrzegł ciemne cętki nad brwią denata: resztki prochu strzelniczego, świadczące o tym, że strzały oddano z bliskiej odległości. Pewnie klęczał, pomyślał Fabel. Przypuszczalnie błagał, żeby darowano mu życie.

Poniżej szczęki znajdowała się większa, bardziej paskudna rana – to w tym miejscu kula wyszła z ciała. Poza tym na lewej piersi widniał ciemnozielony tatuaż w kształcie odwróconej pętli.

– Wszystko wskazuje na to, że mamy przed sobą doczesne szczątki niejakiego Haralda Jaburga – odezwał się Werner z taką miną, jakby przed chwilą skosztował czegoś kwaśnego. – W kieszeni džinsów znaleźliśmy jego dowód tożsamości. Miał dwadzieścia osiem lat i nigdzie nie pracował.

– Myślałem, że był młodszy – zauważył beznamytnie Fabel i odwrócił się do Nicoli Brüggemann. – Obciążenie pracą systematycznie nam rośnie, więc wydaje mi się, że powinienem przyjąć twoją propozycję – oświadczył, ignorując nieme pytanie Wenera.

– On ma na piersi tatuaż – powiedziała Brüggemann. – Tuż nad sercem. To chyba jakiś symbol.

– Też to zauważyłem – odparł Fabel. – Według mnie wygląda jak prymitywna wersja greckiej litery gamma. – Podniósł ręce nieboszczyka, żeby obejrzeć wewnętrzną stronę obu przedramion. – Nie widzę żadnych innych śladów.

– Moim zdaniem on niezbyt wygląda na wielbiciela klasyki – zauważył Werner.

– Nie... – przytaknął Fabel. – Moim też nie. Czy wiadomo, gdzie mieszkał?

– W Billbrook. Już tam wysłaliśmy mundurowych – odpowiedział Werner. – Chryste Panie, Jan, jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli wynająć łódź rybacką i ciągnąć sieci po Łabie, żeby wyłowić tych wszystkich sztywniaków.

– Nigdy nam na to nie pozwolą – odezwała się Brüggemann. – I tak już przekroczyliśmy narzuconą przez Unię normę wydatków.

– Mów do mnie jeszcze – odparł Fabel. – Werner, wiem, że jesteś po uszy zawałony robotą, a Annę zostawiłem w mieszkaniu Melihy, ale chciałbym, żebyście ty i Henk zajęli się także tą sprawą. Wrzuć nazwisko denata w komputer i pogadaj z Wydziałem Przystępczości Zorganizowanej. To mi wygląda na porachunki gangów narkotykowych, choć akurat ten koleś sam nie brał, o ile zdążyłem się zorientować. Zapytaj ich, czy w okolicy działa jakaś grupa, która używa jako znaku rozpoznawczego litery gamma.

– Okay, Janie. Ale moim zdaniem on wygląda na członka gangu w jeszcze mniejszym stopniu niż na miłośnika klasyki.

– Może to zwykła płotka – wtrąciła Brüggemann. – Ktoś, kogo podejrzewali o oszustwo

albo o to, że jest kapusiem. Ale owszem, zgadzam się, że nie bardzo pasuje na gangstera.

Pracownik kostnicy powrócił, taszcząc ze sobą wielki worek z grubego plastiku. Bezceremonialnie rzucił go na klatkę piersiową martwego mężczyzny.

– Pytaliście o jego ciuchy – powiedział. – Zostały zapakowane, bo pytali o nie ci z Zakładu Kryminalistyki. Nadal są mokre, więc lepiej, żeby szybko wyjęli je z tego wora, bo inaczej zapleśnią.

– Uroczy chłoptaş – powiedział Werner, kiedy pracownik kostnicy ponownie zostawił ich samych. – Widać, że ta robota wyzwala w nim niepohamowany optymizm.

Fabel odczytał na głos listę dowodów dołączoną do worka.

– „Czarna albo ciemnoszara bluza z kapturem. Czarne albo ciemnoszare džinsy. Ciemnozielony T-shirt. Ozdobiona ćwiekami skórzana przepaska na rękę, prawy nadgarstek. Zegarek na szerokim, skórzanym pasku, lewy nadgarstek. Łańcuszek ze stopu metali z wiszącą ozdobą...”

Przechylił torbę i potrząsnął nią. Wewnątrz znajdowało się sporo oleistej wody, która wyciekła z ubrania, ale zdołał zauważyć wymieniony na liście łańcuszek. Tak jak podejrzewał, wisiorek także przypominał kształtem grecką literę gamma.

– „...Ciemnoczerwone skarpetki do kostek. Czarne, skórzane buty do jazdy na motocyklu. Skórzany portfel z dowodem tożsamości, dwudziestoma pięcioma euro w banknotach, piętnastoma euro w monetach. Białe bokserki...”

– Zabawne – prychnęła Nicola Brüggemann. – Według mnie wygląda na takiego, co zawsze nosi krótkie gacie.

Fabel nie odpowiedział, tylko wyjął notes i przerzucił w nim kilka kartek. Kiedy znalazł to, czego szukał, pochylił się nad ciałem do Wenera i wręczył mu otwarty notatnik. Werner przeczytał zapiski Fabela i zmarszczył brwi.

– Nie... – odparł, oddając notatnik. – Chyba nie sądzisz... – Głową wskazał na leżące pomiędzy nimi zwłoki.

– Jego ubranie dokładnie pasuje do opisu ciuchów, które miał na sobie tamten motocyklista.

– To chyba dość typowy strój, szefie.

– Mówicie o tamtym podpaleniu? – wtrąciła się Brüggemann.

– Musimy ustalić czas śmierci tego gościa – powiedział Fabel. – Idę o zakład, że zginął już *po* ataku w Schanzenviertel.

– Wciąż chcesz, żebym skontaktował się z Wydziałem Przeszeczności Zorganizowanej? – zapytał Werner.

Fabel skinął głową na znak potwierdzenia.

– To jednak może być coś innego. Ale mam pewien wątek śledztwa, za którym chciałbym podążyć osobiście...

Tym razem Fabel nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości. Ledwie zdążył oddalić się o pięćdziesiąt metrów od mieszkania Melihy Yazar, gdy pomyślał, że chyba właśnie minął olbrzymiego volkswagena tiguana, który dotąd stał ukryty za zaparkowanym vanem, a który teraz oderwał się od krawężnika, włączając się do ruchu jakieś cztery albo pięć samochodów dalej. Niebawem jednak stracił go z oczu i przez całą jazdę do kostnicy Butenfeld w Eppendorf nie zauważył za sobą nawet śladu tamtego wozu. Ale gdy tylko wyszedł z kostnicy, tigan znowu się pojawił i znowu trzymał się w odległości czterech lub pięciu samochodów. Czasami Fabel miał wrażenie, że kierowca volkswagena wcale nie potrzebuje mieć go na oku. Parę razy, gdy wóz z napędem na cztery koła niknął mu za rogiem ulicy, Fabel nagle skręcał w jakąś przecnicę i jechał całkiem nową trasą – tylko po to, by ujrzeć, jak tigan zjawia się kilka kwartałów dalej.

Fabel nadal kierował się do celu swojej podróży, to znaczy do doków. Tutaj ruch był znacznie mniejszy i volkswagenowi znacznie trudniej było maskować swoją obecność za coraz rzadszą zasłoną z innych samochodów. Teraz trzymał się w odległości zaledwie dwóch aut. Fabel skorzystał z komórki, żeby skontaktować się z komendą. Telefon odebrała Anna, która właśnie wróciła z mieszkania Melihy Yazar.

– Anno, mam dobre i złe wieści. Dobra wieść jest taka, że na stare lata jednak nie dopadła mnie skłonność do paranoi.

– Znow masz ogon? Jesteś pewien?

– Tym razem w stu procentach. Właśnie minąłem Fischmarkt. Czy mogłabyś skontaktować się z dyspozytornią i poprosić, żeby oznakowany radiowóz czekał w gotowości, na skrzyżowaniu Grosse Elbestrasse i Kaistrasse? Tam jest spokojnie, żebyśmy dali radę ściągnąć ich bliżej i uciąć sobie małą pogawędkę.

– Zaraz to zrobię. Ja też tam przyjadę.

Anna odłożyła słuchawkę, zanim Fabel zdążył odpowiedzieć. Kierując się na zachód, nie dostrzegł we wstecznym lusterku volkswagena. Wcześniej zatrzymała ich zmiana świateł na skrzyżowaniu i tiganu najwyraźniej skorzystał z okazji, by nieco powiększyć przestrzeń, która dzieliła go od samochodu Fabla.

Znajdował się już na St. Pauli Hafenstrasse, kiedy znowu go zobaczył, trzy albo cztery samochody za sobą. Ci faceci są naprawdę dobrzy w swoim fachu, pomyślał. Albo mają jakąś pomoc. Teraz zaczął się zastanawiać, co takiego mogło zostać doczepione do jego auta, gdy on odbywał po Pharos wycieczkę z przewodnikiem.

Anna zadzwoniła na jego komórkę.

– Mundurowi już są na miejscu.

– Znakomicie. Ten koleś wciąż siedzi mi na ogonie. Właśnie jestem na Hafenstrasse. Czy możesz uprzedzić tych w radiowozie, żeby byli gotowi go zwinąć?

– Jasne. Za parę minut sama tam będę.

Fabel rozłączył się i sprawdził w lusterku, jak wygląda sytuacja. Między nim a wielkim volkswagenem jechał już tylko jeden samochód. Wydawało mu się, że przez zaciemnione szyby dostrzega wewnątrz sylwetki dwóch mężczyzn.

– No cóż, postarajmy się, żeby to było naprawdę interesujące – mruknął pod nosem.

Kątem oka dostrzegł wąską wybrukowaną uliczkę, która odchodziła od głównej drogi. Najwyraźniej prowadziła do stojących wzdłuż rzeki zabudowań i do brzegu rzeki. To był dojazd, którego nie wykorzystywano w normalnym ruchu. Na przeciwnym pasie akurat nie jechał żaden samochód, więc Fabel śmignął w lewą stronę bez użycia kierunkowskazów, i wdepnął hamulec, zjeżdżając w zatoczkę postojową przy samym nabrzeżu. Jadący dotąd za nim samochód przemknął obok, rykiem klaksonu sygnalizując, że nie podobał mu się ten zwodniczy manewr. Fabel ujrzał, że volkswagen także przelatuje obok ślepej uliczki: albo kierowca czuł, że nie da rady wykonać nagłego skrętu, albo próbował przekonać Fabla, że wcale go nie śledzi.

Zadzwonił do Anny.

– Tiganu właśnie mnie minął. Nie dałem mu wyboru. Powiedz kolegom z radiowozu, że kieruje się w ich stronę i że mają go capnąć. Ja będę jechał zaraz za nim. Dam ci znać, jeśli wcześniej się zatrzyma albo jeśli zobaczę, że ma wsparcie.

Właśnie zaczął odwracać się na fotelu, żeby cofnąć się z powrotem na główną drogę, gdy ujrzał, jak w jego kierunku pędzi wóz z napędem na cztery koła. Ledwie zdołał zarejestrować ten obraz w pamięci, gdy tamten rąbnął prosto w zderzak należące do Fabla bmw. Fabel gwałtownie poleciał do przodu, ale zatrzymał go pas bezpieczeństwa, boleśnie wbijając mu się w ciało.

– Ty łajdaku! – wrzasnął na cały głos we wsteczne lusterko.

Wcisnął pedał hamulca, jednocześnie rozpinając pas bezpieczeństwa i próbując rozeznaczyć, co się właściwie stało. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że ten wóz z napędem na cztery koła jest innej marki niż auto, które dotąd jechało za nim. Czyżby śledziły go dwa samochody?

Przynajmniej pod jednym względem ułatwiło mu to sprawę: teraz mógł aresztować kierowcę terenówki za nieostrożną jazdę albo na podstawie podejrzenia, że prowadzi po alkoholu. Odwrócił się i przez ramię ujrzał, jak terenowy samochód wycofuje się na wstecznym biegu. Towarzyszył temu okropny zgrzyt gnieczonego metalu, do którego zaraz dołączyło blaszane dzwonięcie, gdy jakiś fragment tylnej części samochodu Fabla uderzył o kocię łby nadbrzeżnej uliczki. Teraz Fabel wyraźnie zobaczył, że to wcale nie był tamten volkswagen; tym razem atakującym go pojazdem był land rover.

Fabel już sięgał do klamki, gdy land rover ponownie wbił się w zderzak jego auta. Znowu poleciał naprzód, ale tym razem nie zatrzymały go pasy, i potężnie uderzył klatką piersiową o kierownicę, wyrzucając z płuc zapas powietrza. Zdyszany, krótkimi haustami próbował złapać oddech, bo jego ciało gwałtownie domagało się tlenu, jednocześnie po omacku grzebał palcami, poszukując kabury, w której tkwił służbowy pistolet. Wtedy nastąpiło kolejne uderzenie. Automatyczny SIG-Saür wyskoczył spomiędzy rozdygotanych palców Fabla i upadł w jakiś zakamarek pod nogami. Nadkomisarz znowu odwrócił się i spojrzał przez ramię: land rover szybko cofał się na wstecznym biegu. Z braku tlenu zrobiło mu się mdło i słabo, klatka piersiowa boleśnie dawała o sobie znać przy każdej próbie zaczerpnięcia powietrza, ale mimo to Fabel desperacko starał się zapanować nad sytuacją. Sięgnął po telefon. We wstecznym lusterku zamajaczyło ogromne, ciemne cielsko tamtego wozu i chwilę później znowu poczuł wstrząs, gdy land rover rąbnął w tył bmw. Ale to uderzenie było inne. Tym razem silnik land rovera ryczał z wysiłku, bo kierowca z całej siły wdepnął pedał gazu.

Fabel od razu zorientował się, o co chodzi. Ten skurwiel usiłował zepchnąć go z nabrzeża, prosto w nurt rzeki.

Instynktownie nacisnął pedał hamulca. To bezcelowe, pomyślał natychmiast, więc czym prędzej wrzucił wsteczny bieg, żeby odeprzeć napór terenowego potwora. Rozpoczęła się nierówna walka; opony bmw piszczały i dymiły, bezsilnie obracając się po gładkich kamieniach bruku.

Musiał się stąd wydostać. Musiał się wydostać, zanim auto przechyli się przez krawędź nabrzeża. Ale siedział po niewłaściwej stronie – po stronie wody. Wbił oszalały wzrok w kratownicę land rovera, która wypełniała cały widok we wstecznym lusterku. Wypełniała cały wszechświat. Fabel właśnie podjął decyzję, że zaryzykuje skok na zewnątrz, kiedy nagle poczuł, że staje się lekki jak piórko. Zdał sobie sprawę, że jego samochód właśnie przeleciał ponad betonową krawędzią.

Moment później nastąpiło kolejne uderzenie – samochód zderzył się z powierzchnią wody, a siła wstrząsu rzuciła Fabla o ścianki metalowej klatki, w którą zamieniło się wnętrze auta. Potem wszystko zalała czerń i detektyw przez moment miał wrażenie, że chyba stracił przytomność – aż do chwili, gdy zdał sobie sprawę, że to tylko zimna, ciemna i oleista woda, która wdarła się z impetem do środka kabiny. I że właśnie osuwa się na dno Łaby.

ROZDZIAŁ 30

Zaskakująco łatwo odszukał jej imię. Złamanie zabezpieczeń wcale nie było trudne. Roman musiał poświęcić niecałe pół dnia, żeby odkodować informacje i przenieść je.

Meliha Yazar.

Kobieta, którą widział wtedy w kawiarni, nazywała się Meliha Yazar. Ogarnął go głęboki smutek na myśl, że tak piękna kobieta jest już martwa. On także będzie martwy, i to całkiem niedługo.

Przestał nienawidzić Melihę za to, że specjalnie zostawiła ten telefon, żeby on go znalazł. Tym czynem – wcale nie tak przypadkowym, jak mu się z początku zdawało – podarowała mu niezwykle prezent. Być może ona sama zwróciła na niego uwagę, być może coś w nim dostrzegła; dzięki niej Roman wiedział teraz o sobie coś, o co się nigdy wcześniej nie podejrzewał. Był odważny. Zawsze myślał o sobie jak o skończonym tchórze, teraz zaś doszedł do wniosku, że wcale nie boi się śmierci. Tamci z pewnością go zabiją, ale zanim to zrobią, on musi zyskać pewność, że informacje, które posiadał – które ona powierzyła mu tym prostym posunięciem, jakim było pozostawienie telefonu w kawiarni – zostaną przekazane policjantowi o nazwisku Fabel i innym funkcjonariuszom. Zdawał sobie sprawę, że wysłanie wiadomości drogą mailową niczego nie załatwi. Zdażył zorientować się, jak wyrafinowaną techniką tamci dysponowali i jaki był zasięg ich możliwości. Naprawdę podziwiał niektóre ich osiągnięcia. Zasługiwały na miano prawdziwie kreatywnych.

Jednak niewątpliwie byli niebezpieczni. Pierwszą rzeczą, którą zrobią po wytropieniu Romana, będzie wymazanie całej jego działalności mailowej i wykasowanie obecności na blogach. Uciszenie elektronicznego śpiewu.

Tak samo wiedział, że nie może polegać na Fablu, bo istniało spore ryzyko, że on także wkrótce zostanie zabity. Obaj, Roman i Fabel, stanowili zagrożenie związane z rozprzestrzenianiem informacji; zagrożenie, które należało czym prędzej wyeliminować. Krąg musiał zostać ponownie zamknięty.

Ale to wszystko dotyczyło rzeczywistego świata, Roman zaś istniał bardziej „tam” niż w świecie rzeczywistym. Odkrył prawdę i wiedział jak fałszywa jest ich fantazja na temat cyfrowej alternatywnej rzeczywistości. Ona istniała, lecz podróż do niej była możliwa tylko pod warunkiem unicestwienia własnego ego. Zresztą i tak była jedynie bezdusznym cieniem prawdziwej rzeczywistości. Dobrze o tym wiedział. Ostatecznie spędził tam znaczną część swojego młodego życia.

Zakończył odcyfrowywanie plików. I oto miał to coś przed oczyma – sekret Pharos Project. Tamci zrobią wszystko, by nigdy nie ujrzał światła dziennego. Musieli być szaleni, sądząc, że uda im się zachować coś takiego w tajemnicy przed światem... Ale wiadomo, że Wielkie Kłamstwo zawsze bywa najbardziej trwałe, najłatwiejsze do podtrzymywania.

Gdy tylko zakończył zapisywać pliki na kilku kartach pamięci, przeszedł się po mieszkaniu i odsunął zasłony. Przez chwilę walczył z dwoma na pół zarośniętymi brudem oknami, ale w końcu zdołał je otworzyć i wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza.

Potem wyszedł na miasto.

Był piękny, słoneczny dzień. Pierwszy naprawdę słoneczny dzień tego roku. Ulica Wilhelmsburg wydawała się strasznie hałaśliwa po ciszy, która panowała w jego mieszkaniu. Pomyślał o Albańczykach, którzy mieszkali piętro niżej i którzy wcale nie byli uciążliwymi sąsiadami. W rzeczywistości to on, Roman, był nietolerancyjny, ponieważ okazał się niezdolny do uczestniczenia w realnym życiu. Tacy jak on pojawiali się już na przestrzeni dziejów. Na

przykład średniowieczni mnisi, którzy wybierali surowość klasztornych cel i wirtualną rzeczywistość religii; antyczni filozofowie, którzy kryli się w pieczarach albo beczkach i komentowali stan ludzkości, od której właściwie się odłączyli.

Wędrówka do miasta zabrała mu mnóstwo czasu, ale był zdeterminowany, żeby tam dotrzeć. Od czasu do czasu musiał opierać się o ściany, żeby złapać oddech, i za każdym razem, gdy napotykał komunalną ławkę, korzystał z okazji i siadał na niej, wyczerpany. Raz nawet musiał przysiąc na pokrywie kosza do śmieci.

Widział, że ludzie przyglądają mu się z pogardą, ale nic go to dzisiaj nie obchodziło. Dzisiaj miał do wypełnienia misję; miał jakiś cel, przynajmniej ten jedyny raz nie dotyczyło to wyłącznie jego osoby. Najpierw udał się do oddziału Deutsche Post, gdzie zakupił pięć sztuk wyscielanych kopert, do każdej wsunął kartę pamięci i napisany odręcznie list. Zatrzymał się na chwilę, zanim wypuścił je z palców, żeby wpadły do skrzynki; w tym momencie przywołał w pamięci obraz Melihy – kobiety spotkanej w kawiarni, kobiety, która przyczyniła się do odkrycia prawdy. Miał nadzieję, że tam, gdzie teraz jest, w jakiś sposób wie, co on dla niej robi.

Po załatwieniu spraw na poczcie Roman powędrował do bankomatu i wypłacił pięćset euro. Starannie złożył banknoty, a następnie schował je do szóstej koperty. Po drodze do domu odwiedził jeszcze dwa bankomaty, za każdym razem używając innej karty. W nich także podjął po pięćset euro. Zanim z powrotem dotarł do frontowych drzwi budynku, w którym mieściło się jego mieszkanie, sapał jak miech i zalewał się potem. Oparłszy się o ścianę, podniósł wzrok ku niebu. Wysoko w oddali, połyskując w słońcu, samolot pasażerski zostawiał za sobą smugę; podobny był do igły, która ciągnie za sobą białą nitkę przez niezmierną połą błękitnego jedwabiu. Nie ma czegoś takiego jak jedna rzeczywistość, pomyślał obserwując samolot i zastanawiając się, jak z wysokości jego pasażerowie widzą Wilhelmsburg. Pomyślał, że przecież jest tyle rzeczywistości, ilu ludzi na tej planecie, bo rzeczywistością jest to, co mieszka w głowie każdego z nas. Kiedy oni mnie zabiją, myślał, skończy się moja rzeczywistość, ale ja nie będę miał poczucia, że ona się kończy. Tak samo, jak nie byłem niczego świadomy przed moim urodzeniem, tak samo nie będę i po śmierci, ponieważ czas istnieje tylko wówczas, gdy sobie to uświadamiam. Czas zaczął się wraz ze mną i wraz ze mną się skończy. Jestem nieśmiertelny.

Kiedy odzyskał wystarczająco dużo sił, by iść dalej, wszedł do wnętrza budynku i rozpoczął długą, bardzo mozolną wędrówkę po schodach. Zanim jednak dotarł do drzwi mieszkania poniżej jego, oddychał z jeszcze większym trudem niż wcześniej. Kiedy Albańczyk otworzył drzwi i rozpoznał Romana, jego twarz pociemniała z przytłumionego gniewu. Potem najwyraźniej zauważył, w jakim stanie jest Roman, i gniew ustąpił miejsca zaniepokojeniu.

– Czy pan źle się czuje? Nie wygląda pan zbyt dobrze...

– Jetmir... – Roman wyrzucał z siebie słowa, przerywając je wilgotnymi charkotami. – Chyba tak masz na imię, zgadza się? Jetmir?

Albańczyk skinął głową i wysunął się z mieszkania, żeby pomóc Romanowi. Ten prawie się zaśmiał: Jetmir był małym, żyłastym mężczyzną, którego Roman zapewne przygniótłby na śmierć, gdyby się na niego przewrócił.

– Proszę wejść. Nie czujesz się dobrze. Może zawołam doktora?

– Nie chcę doktora, Jetmir... Bardzo mi przykro... To ja byłem tą osobą, która stale dzwoniła na policję. I tak wiedziałeś, że to ja, ale chciałem osobiście ci powiedzieć, że to ja i że bardzo cię przepraszam.

Wcisnął Albańczykowi do ręki kopertę, w której było tysiąc pięćset euro.

– Weź to. Chcę, żebyś to wziął. Wiem, że nie masz za dużo pieniędzy.

Albańczyk gapił się na gotówkę jak oniemiały.

– Ale dlaczego? – wykrztusił, nie czyniąc jednak najłżejszego ruchu, żeby zwrócić pieniądze.

– Ponieważ byłem złym sąsiadem. I ponieważ chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Potraktuj to jako zapłatę z góry.

Roman zamilkł, bo nagły ból przeszył na wskroś jego klatkę piersiową i powędrował do prawej ręki. Chwycił Albańczyka za przód koszuli i przyciągnął do siebie, zaś drugą ręką wcisnął mu w rękę następną kopertę.

– To dla policji – wyszeptał. – Bardzo ważne, żeby to dostali. Tu przyjdą bardzo źli ludzie, Jetmir. Przyjdą po mnie.

– Może od razu wezwać policję...

– Nie! – wrzasnął Roman, jeszcze mocniej zaciskając palce na koszuli małego Albańczyka. – Nie. To byłoby niebezpieczne dla ciebie i dla twojej rodziny... Posłuchaj, jeśli przydarzy mi się coś złego, musisz dopilnować, żeby ta koperta trafiła w ręce policji. Masz ją oddać tylko jednemu policjantowi, który nazywa się Fabel. Jan Fabel. Jego nazwisko jest napisane na kopercie. Zrozumiałeś? Nie oddawaj jej nikomu innemu.

Albańczyk z zapalem pokiwał głową.

– Zaczekaj, przyniosę ci wody.

Musiało upłynąć całe piętnaście minut, żeby ból trochę zelżał i żeby Roman, małymi łykami popijając wodę, odzyskał odrobinę tchu. Przez ten kwadrans siedzieli we dwóch na schodach i rozmawiali. Gawędzili o najbardziej błahych rzeczach, o domu Jetmira w Albanii, o jego dzieciach i o tym, jak dają sobie radę z niemieckim. Ale przez cały czas niepokój nie schodził z twarzy Albańczyka. Roman przypomniał sobie, jak tamten próbował do niego zagadać, kiedy przeprowadził się tutaj z całą rodziną, jak dokładał wszelkich starań, żeby się z nim zaprzyjaźnić... Na samą myśl o tym czuł się źle. Ostatecznie Jetmir i jego rodzina byli prawdziwymi ludźmi, a nie tylko hałasem czy poczuciem irytacji, snującymi się po peryferiach egzystencji Romana.

– Nie martw się o mnie – powiedział w końcu, powoli i z wysiłkiem podnosząc się ze schodów. – Dam sobie radę. Tylko nie zapomnij o tym, co mi obiecałeś.

– Nie zapomnę. Teraz jesteśmy dobrymi sąsiadami. Jesteś mój *fqinj*. Będziemy nawzajem troszczyć się o siebie.

Albańczyk pomógł Romanowi przebyć resztę schodów, która dzieliła ich od jego mieszkania.

– Teraz sam sobie poradzę. Dziękuję za pomoc, Jetmir.

Roman otworzył kluczem zamki, uśmiechnął się i poczekał, aż z niższego piętra dobiegnie trzask zamykanych drzwi. Dopiero wtedy nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Rozejrzał się dookoła. To mogło być całkiem przyjemne mieszkanie, gdyby tylko utrzymywał większy porządek. Teraz tego żałował. Było mnóstwo rzeczy, których teraz żałował. Stał oparty o drzwi, walcząc z własnym oddechem.

W mieszkaniu było ich trzech. Żaden z nich nie odezwał się nawet słowem. Ubrani byli w identyczne szare garnitury, a w uchu każdego z nich tkwiła słuchawka bluetooth, zupełnie jakby była przyrośnięta. Jeden z nich siedział przy komputerach Romana, drugi trzymał w ręku telefon Melihy. Trzeci zatrzymał się tuż przed Romanem i patrzył na niego wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek uczuć.

Roman wiedział, że ich tu zastanie. Zanim wyszedł na miasto, żeby wykonać swoje zadania, z powrotem zmontował telefon Melihy, wkładając także nadajnik GPS, i zostawił aparat włączony. Jak świetlną boję. Jak cyfrową latarnię morską. Oni znakomicie posługiwali się tym rodzajem metafory, pomyślał.

Już miał się roześmiać z absurdu tej sytuacji, kiedy stojący najbliżej Konsolidator wysunął się naprzód, zarzucił Romanowi na głowę duży plastikowy worek, który trzymał w odzianych w rękawiczki dłoniach, i mocno zawiązał taśmę.

ROZDZIAŁ 31

Fabel wiedział, że panika będzie tym, co go zabije. Zmusił swój umysł, by rozważa i logiczne myślenie wciąż były na pierwszym miejscu. Pierwsze uderzenie pozbawiło go tchu i teraz w jego płucach wciąż brakowało dostatecznej ilości powietrza; pierwotny instynkt nakazywał mu otworzyć usta i oddychać – zassać brudną, rzeczną wodę, wciągnąć do płuc coś, cokolwiek.

Naturalna wyporność ciała pchała go na brezentowy dach auta, które szybko nabierało głębokości; zdawał sobie sprawę, że razem z nim on także jak kamień opada na dno Łaby. Nabrzeże początkowo zamierzano wykorzystywać jako miejsce załadunku towarów, co oznaczało, że woda była wystarczająco głęboka, żeby mogły tu cumować nawet wielkie statki. Głęboka i ciemna.

Fabel przestał widzieć cokolwiek. Znajdował się w środku samochodu, który był jego własnością od dziesięciu lat, ale wewnątrz auta nagle zmieniło się w kompletnie obce środowisko. Obce i toksyczne. Wiedział, że jedno okno było otwarte i że przez nie może szybko wydostać się na zewnątrz. Drugie było zamknięte. Pozostawała prosta decyzja: w tę stronę, albo w przeciwną. Przepchnął się w kierunku, który jego zdaniem był tą właściwą stroną samochodu, nie natrafiając rękoma na kierownicę. Palcami wymacał krawędź okna i przecisnął się przez ramę. Był na zewnątrz samochodu i płynął ku górze. Pozbawione tlenu płuca krzyczały o oddech, a palący ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, przecinał na dwoje jego pierś. Teraz mógł dostrzec nad sobą jaśniejszą powierzchnię wody, ale miał wrażenie, że wcale się do niej nie zbliża. Światło na górze zaczęło przygasać, woda dookoła robiła się coraz ciemniejsza. Znowu poczuł przypływ paniki, kiedy zdał sobie sprawę, że lada chwila zemdleje. Straci przytomność i już nigdy jej nie odzyska. Ręce i nogi znowu stały się tak ciężkie, jakby zrobiono je z ołowiu i Fabel uświadomił sobie, że z powrotem opada na dno.

W jednej chwili opuścił go cały strach, a długo powstrzymywany oddech wyrwał się na wolność w eksplozji małych, bulgoczących bąbelków.

Nagle coś zakryło mu usta i ucisnęło nos. Czyjaś ręka. Ktoś był w wodzie, tuż obok niego. Druga ręka wślizgnęła mu się pod pachy i otoczyła klatkę piersiową. Fabel instynktownie walczył z tą ręką, która brutalnie wzięła w kleszcze jego nos i usta; logiczna myśl, że ktoś po prostu usiłował w ten sposób zapobiec wciągnięciu przez niego do płuc brudnej wody, zagubiła się w ataku pierwotnej paniki.

Wiedział, że zapewne płyną ku górze, ale woda dookoła robiła się coraz ciemniejsza. Czarna. Już nie czuł własnych kończyn, chłodu wodnej toni, ogłuszającego łomotania serca...

Nagle zorientował się, że znowu siedzi w gabinecie ojca, w domu w Norddeich. Za oknami było już ciemno i gabinet oświetlała jedynie stojąca na biurku lampka. Gdzieś zza okna, z drugiej strony wału, dobiegał grzmot szalejącego na morzu sztormu. Fabel przysłuchiwał się porywom wiatru i kroplom deszczu walącym o szybę, i nagle zobaczył, że naprzeciwko niego siedzi Paul Lindemann. Dookoła rany po pocisku, na samym środku czoła, zastygł zaskorupiały pierścień dawno wyschniętej, czerwono-czarnej krwi.

– Czy to boli? – spytał Fabel.

– Teraz już nie.

– Strasznie mi przykro.

– To nie była twoja wina. To nie była niczyja wina. Zdarzyło się i już. Po prostu nadszedł mój czas.

– A mój czas nadszedł teraz. Czy to rzeczywistość?

– To nie jest twój czas – odparł Paul i uśmiechnął się. – Nie wiem, czy to jest rzeczywistość. Czy pamiętasz pewne dochodzenie, które prowadziłeś? Tę sprawę, w której morderca uważał, że został wymyślony, i że wszystko, łącznie z nim samym, jest tylko częścią bajki?

– Tak, pamiętam go.

– Może ostatecznie on miał rację. Może nie ma czegoś takiego jak rzeczywistość... – Paul zawahał się. – Czy widziałeś książki?

– Jakie książki?

– Te, które trzymała przy łóżku.

– Tak, widziałem.

– Masz je przy sobie? Czy są razem z tobą w wodzie?

– Ja nie jestem w wodzie, Paul. Jestem tutaj.

– Jesteś w wodzie, Janie. Czy masz przy sobie te książki?

– Nie, zabrała je Anna. Są w torbie.

– Pamiętaj o książkach. – Paul spojrzął z ukosa, marszcząc rozerwaną przez pocisk skórę dookoła rany. – Nie zapominaj o książkach.

Fabel chciał coś mu odpowiedzieć, ale stawał się coraz bardziej śpiący. W pokoju szybko zapadała ciemność, a odgłosy burzy zamierały w oddali.

Obudził go palący ból; ból, który penetrował każdy milimetr jego ciała. Poza tym co chwila słyszał ogromny łoskot, podobny do huku uderzających o brzeg fal, lecz następujący zbyt szybko jeden po drugim. Każdy huk na nowo wzniecał w nim falę cierpienia i w końcu Fabel zorientował się, że to jego własny oddech. Coś nadal ścisnęło mu usta i nos, więc uchwycił to coś palcami, lecz zanim zdążył szarpnąć, czyjaś ręka złapała go za nadgarstek.

– Spokojnie – odezwał się kobiecy głos, w którym stanowczość mieszała się z otuchą. – To tylko maska tlenowa.

Próbował się podnieść, lecz tym razem delikatnie powstrzymało go więcej par rąk.

– Tu Anna, szefie. Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy w ambulansie i jedziemy do szpitala.

Nagle wróciła mu zdolność widzenia i ujrzał Annę oraz ratowniczkę medyczną, które pochylały się nad nim. Pełna świadomość powróciła jak elektryczny wstrząs.

– Złapaliście ich? – starał się usiąść, ale znowu został powstrzymany. Pulsujący w głowie ból przyprawiał go o mdłości. – Wepchnęli mnie do wody. Próbowali mnie zabić.

Zobaczył, że w ambulansie jest ktoś jeszcze. Na ławeczce obok Anny znajdowała się jakaś postać. Fabel zobaczył mokre włosy i koc otulający skulone ramiona.

– Janie, to jest *Herr Flemming* – wyjaśniła Anna. – To właśnie *Herr Flemming* wyciągnął cię z wody. Zobaczył, jak twój samochód spada z nabrzeża, i skoczył, żeby cię ratować.

Fabel przypomniał sobie rękę zakrywającą mu nos i usta, i ramię, które owinęło się wokół jego ciała i ciągnęło go w górę.

– Pan uratował mi życie?

Flemming wzruszył ramionami.

– No cóż, byłem we właściwym miejscu o właściwej porze.

– Chyba trochę więcej. Pan ryzykował własnym życiem, żeby przyjść mi z pomocą.

– Janie... – Fabel wyczuł w tonie Anny jakąś niepewność. – *Herr Flemming* pracuje w Seamark International.

– Ale ja myślałem...

– Miał pan rację, *Herr Fabel* – odezwał się Flemming. – Śledziliśmy pana. Ale jesteśmy po tej samej stronie, że tak powiem. Teraz proszę odpoczywać. Mnie także wiozą do szpitala,

więc porozmawiamy później.

– Czy to pan dzwonił do mnie wczoraj wieczorem? Czy to pan jest Klabaubermannem? Flemming roześmiał się.

– Cóż, być może dzisiaj faktycznie byłem Klabaubermannem, ale to nie ja dzwoniłem do pana.

Fabel opadł na nosze. Tlen ułatwiał mu oddychanie, więc mógł zamknąć oczy i skoncentrować się na zwalczaniu mdłości, które wzbierały w nim coraz większymi falami. Ambulans ruszył z miejsca, a kiedy nabierał prędkości, podskoczył gwałtownie na jakiejś koleinie, Fabel jednym ruchem zdarł z twarzy maskę tlenową, przekręcił się na bok i zwymiotował. Sanitariuszka trzymała mu głowę, gdy zwracał, a gdy skończył, spytała, czy czuje się lepiej i ponownie ułożyła go w pozycji leżącej. Kiedy tak leżał na noszach i czuł na nadgarstku delikatny ucisk jej palców, gdy badała mu puls, Fabel poczuł, jak ogarnia go przysłonięte zdziwienie. Chwilę później opadły mu powieki i zapadł w głęboki sen.

Susanne przyjechała do szpitala mniej więcej pół godziny po tym, jak Fabel został tam przyjęty. Była wyraźnie wstrząśnięta i gdy siadała przy jego łóżku, Fabel spostrzegł, że bardziej martwi się o nią niż o stan swojego zdrowia. Była z nim w szpitalu przez cały czas, nawet wówczas, gdy po godzinie robiono mu ponownie badania. Mars na jej czole za nic nie chciał się rozchmurzyć; na nic się zdawało to, że często zapewniał ją, iż czuje się całkiem dobrze, ani ile razy lekarze powtarzali, że nie ma czym się martwić.

– Wcale nie opilem się tej wody – mówił Fabel. – Postarał się o to ten gość, nazywa się Flemming. Naprawdę szybko wyciągnął mnie na powierzchnię. Susanne, uczciwie przyznaję, że czuję się całkiem dobrze.

Położył dłoń na jej policzku i uśmiechnął się. Susanne nakryła jego dłoń swoją dłonią.

– Janie, oni próbowali cię zabić – oświadczyła z niedowierzaniem. – Czy ci maniacy naprawdę uważają, że mogą targnąć się na życie wyższego rangą funkcjonariusza hamburskiej policji i że ujdzie im to na sucho?

– Szczerze powiedziawszy, o ile zdążyłem się zorientować, na razie wszystko uchodzi im na sucho. Nie mamy niczego, co pozwoliłoby powiązać ten wóz, który we mnie uderzył, z Pharos Project albo ze Strażnikami Gai. Albo z kimkolwiek, jeśli o to chodzi. Zawsze mogą twierdzić, że to był przypadkowy atak jakiegoś szaleńca. Nie wiem. Ale ich dorwiemy, Susanne, możesz być spokojna. Na pewno ich dorwiemy.

Do pokoju weszła Anna Wolff. Kiedy zobaczyła, jak Susanne ściska Fabla za rękę, przez chwilę poczuła się niezręcznie.

– Wszystko w porządku, Anno – zawołała Susanne.

Fabel wyczuł w jej uśmiechu odrobinę chłodu. Susanne wstała z miejsca i demonstracyjnie cmoknęła go w czoło.

– Chyba pójde napić się kawy – powiedziała. – Za chwilę wracam.

– Przepraszam, szefie – mruknęła Anna. – Nie miałam zamiaru...

– W porządku, Anno. Co jest?

– Lekarze pozwolili Flemmingowi się wypisać i wracać do domu, ale kręci się po korytarzu, bo myśli, że będziesz chciał z nim porozmawiać. Jeśli czujesz się na siłach, zaraz go przyprowadzę.

– Oczywiście, że jestem na siłach i cholernie chcę z nim pogadać. Czy powiedział ci, dlaczego jechał za mną?

– Lepiej sam go zapytaj o wszystkie szczegóły, ale z tego, co zdążyłam się zorientować, Seamark International pracuje dla jakiejś firmy o nazwie Demeril Importing. Ta firma zajmuje się sprowadzaniem tureckich dywanów i materiałów, ma magazyn w Speicherstadt. Seamark

pracuje dla mnóstwa takich firm, zapewniając ochronę importowanych i eksportowanych dóbr, włącznie z ludźmi, którzy na pokładzie statku czuwają nad całością ładunku. Najwyraźniej mają nawet coś w rodzaju własnego wydziału śledczego. Głównie dlatego, że towary i ładunki, których mają strzec, przechodzą przez tyle różnych jurysdykcji i agencji.

– Do diabła, co to ma wspólnego z czymkolwiek, czym się zajmujemy?

– Właścicielem Demeril jest niejaki *Herr* Mustafa Kebir. Tak się składa, że jego brat, znany turecki archeolog i działacz ekologiczny, Burhan Kebir, jest mocno zaniepokojony losem swojej córki...

– Melihy?

– Tak. Meliha Kebir albo Meliha Yazar, jak wolisz, jest działaczką organizacji ekologicznych i tajną dziennikarką śledczą. Powód, dla którego nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów jej istnienia, wydaje się całkiem prosty: ona nie pisuje ani jako Meliha Kebir, ani Meliha Yazar. Publikuje swoje prace pod pseudonimem „Syrenka” na stronach internetowych różnych organizacji proekologicznych. Obnażyła działalność kilku różnych firm, które zatruwają środowisko, a w dwóch wypadkach internetowa burza, którą wywołała, przelała się do mainstreamowych mediów i przeciw tym firmom zostały wniesione formalne oskarżenia.

Fabel ostrożnie dzwignął się na łóżku, krzywiąc się z wysiłku. Głowa wciąż bolała go jak diabli.

– Czyli była tego rodzaju osobą, której Pharos Project za nic nie chciałby dopuścić do swoich spraw.

– Skontaktowałam się z sanatorium dla umysłowo chorych w Bawarii, gdzie Föttinger został umieszczony przez swoich rodziców. Udało mi się zdobyć federalny nakaz dostępu do akt i wiesz, co odkryłam?

– Że mieli tajemniczą awarię systemu komputerowego i wszystkie akta w dziwny sposób zostały wykasowane?

Anna sprawiała wrażenie nieco rozczarowanej, że nie udało jej się rzucić bomby.

– Zgadłeś?

– Raczej wykoncypowałem. Coś jeszcze?

– Tak. Nicola Brüggemann przyjechała, żeby się z tobą zobaczyć.

– Jak sobie dajesz z nią radę?

– Nieźle. Tak jak mówiłeś, ona jest dobrym gliniarzem.

– To wszystko?

Anna wzruszyła ramionami.

– Och, nie, jest coś jeszcze. Dzwonił Fabian Menke, żeby odwołać wasze spotkanie. Mówił, że ułożył wszystko tak, żebyście mogli się spotkać, ale coś mu wyskoczyło i musiał przesunąć cię na jutro, na tę samą porę i w tym samym miejscu.

Fabel zmarszczył brwi.

– Właśnie do niego jechałem, kiedy wepchnięto mnie do rzeki.

– Pozbierasz się na tyle, żeby jutro się z nim spotkać?

– Jedyne, czego potrzebuję, to zastrzyk w tyłek, żeby nie dostać tężca. Czuję się całkiem dobrze. Przeżyłem tylko lekki wstrząs, to wszystko.

– Oni chcą cię tu zatrzymać przez całą noc. Na obserwacji, jak powiedzieli.

– Mogą obserwować mnie z daleka. Będiesz tak dobra i przyniesiesz mi moje ciuchy, kiedy będę rozmawiał z Nicolą? Susanne przywiozła mi z domu czyste ubranie. Tylko postaraj się uwinąć, dopóki ona nie wróci. Na pewno będzie chciała, żebym został w szpitalu.

Cześć, Janie, jak się miewasz? – spytała głębokim kontraltem Nicola Brüggemann, siadając na brzegu łóżka. – Masz chwilę, żeby pogawędzić? To znaczy, jeśli nie masz niczego

innego w planach? Jakies zawody pływackie albo...

– Bardzo śmieszne, Nicola, naprawdę. Czyżbyś pobierała lekcje sarkazmu u Anny Wolff?

– Jest bardzo niewiele rzeczy, których nasza mała Anna mogłaby mnie nauczyć. I to nie jest jedna z nich.

W tym momencie Anna wróciła do pokoju i podała Fablowi jego rzeczy.

– Lepiej się pospiesz – powiedziała. – Zdaje się, że oni porozmawiali z przełożoną pielęgniarek, która właśnie podążyła tu energicznym krokiem. Załatwisz to, prawda?

Gdy wyszła, Fabel zaczął stroić miny do Nicoli, która w końcu domyśliła się, o co chodzi i odwróciła się plecami, żeby mógł wstać z łóżka i się ubrać. Wtedy przekonał się, że głowa wciąż go boli i że ledwie trzyma się na nogach.

– Pamiętasz całą tę pieprzoną gadkę, że muszę pokierować śledztwem w sprawie Zabójcy z Sieci, ponieważ ty jesteś skompromitowany... – odezwała się Brüggemann. – Rozmawiałam z dyrektorem kryminalnym van Heidenem i zgodził się ze mną, że po zamachu na twoje życie tamte wszystkie bzdurne zarzuty trzeba uznać za zasrane łągarstwo.

– Zasrane łągarstwo? – Fabel uśmiechnął się od ucha do ucha. – Zakładam, że nie użyłaś tego sformułowania w obecności Horsta van Heidena? Już możesz się odwrócić. Jestem przyzwoicie ubrany.

Z powrotem popatrzyła na niego.

– Właśnie tak powiedziałam, jeśli chcesz wiedzieć. No wiesz, jak na policjanta, który jest w służbie tak długo jak on i który na pewno niejedno w życiu widział, to rzeczywiście łatwo go zaszokować. Tak czy owak, zgodził się ze mną, że ktokolwiek próbował cię skompromitować, najwyraźniej zdecydował się załatwić sprawę bardziej zasadniczymi metodami, więc choćby z tego powodu powinieneś zostać przywrócony do dawnych obowiązków.

– Chcesz się wycofać? – spytał Fabel.

– Niekoniecznie. Już zajęłam się tą sprawą i chciałabym się jej trzymać. Oczywiście pod twoim kierownictwem. Jeśli ci to pasuje. Zresztą przecież właśnie tak było. Nieoficjalnie, rzecz jasna.

– Jak odnosili się do ciebie ludzie z zespołu?

– Wspaniale. Muszę przyznać, że stworzyłeś znakomity oddział, Janie. Werner to prawdziwa gwiazda, Dirk, Henk, Thomas i inni też naprawdę świetnie dają sobie radę. Tylko Anna potrafi być trochę... trudna.

Nicola Brüggemann uśmiechnęła się przy ostatnim słowie.

– Nicola, czy mam uważać, że to twoje podanie o pracę?

– Może i tak, Janie. Wiem, że jesteś starszy rangą, odkąd Maria Klee... – zająknęła się. Wszyscy nauczyli się na paluszkach omijać temat tego, co przydarzyło się Marii. – Chodzi o to, że zawsze dobrze nam się razem pracowało, a poza tym uważam, że może to być dla mnie niezłe wyzwanie. I wiem, że robisz kawał dobrej roboty, jeśli masz wsparcie. Oczywiście, jeśli sądzisz, że zamierzam...

– Nie bądź głupia, Nicola. Wiesz przecież, jak bardzo cię cenię. Po prostu chodziło mi o to, że masz swój własny zespół. Jesteś pewna, że znowu chcesz grać drugie skrzypce?

– Janie, twój zespół cieszy się znakomitą opinią w całej republice. Zapewniam cię, że nikt nie będzie uważał, że zrobiłam krok wstecz. Zresztą istnieje granica tego, jak długo możesz pracować w jednostce zajmującej się przestępstwami wobec nieletnich. Inaczej możesz wysiać psychicznie.

Fabel skinął głową; potrafił to sobie wyobrazić. Ta specjalna jednostka kryminalna mieściła się na tym samym piętrze co Wydział Zabójstw i Fabel często przechodził obok. Był tam pewien pokój, położony na uboczu, osobliwie jasny i kolorowy na tle stonowanych wnętrz

komendy, pełen zabawek, książek dla dzieci i gier. Został stworzony po to, żeby przywiezione tutaj dzieci mogły poczuć się swobodnie; żeby było to miejsce, gdzie bezpiecznie jest być dzieckiem. Jednak mijając ten pokój w drodze do pracy, Fabel często zastanawiał się, jak wielką cenę musiało zapłacić każde z przebywających w nim dzieci, żeby móc spokojnie się tam pobawić.

– Kolejna rzecz: mam pewne doświadczenie w załatwianiu spraw z tym maniakiem komputerowym, Krögerem. Wyczuwam, że raczej nie przepadacie za sobą, a ja dość blisko współpracowałam z nim w Jednostce do spraw Nieletnich. Czasami bywa nieoceniony i dobrze się rozumiemy. Jeśli zostanę w śledztwie dotyczącym Zabójcy z Sieci, może będę mogła nawiązać owocne kontakty z Wydziałem Cyberprzestępczości.

– Och, tak! Jesteś mi potrzebna ze względu na twoje umiejętności interpersonalne. – Fabel uśmiechnęła się. – W porządku, Nicola. Jednak najpierw muszę pogadać z dyrektorem kryminalnym. Nie będę udawał, że nie zależy mi na twoim doświadczeniu i umiejętnościach, ale van Heiden musi znaleźć kogoś na twoje miejsce.

– Moja zastępczyni jest gotowa wziąć tę posadę, ale oczywiście wtedy trzeba będzie zastąpić ją.

– No więc, zakładam, że poza wciskaniem mi swojego CV masz do mnie jeszcze jakiś interes?

– Tak. Kiedy ty postanowiłaś dla zdrowia dać nura do Łaby, ja czytałam raport z sekcji Julii Henning, ostatniej ofiary Zabójcy z Sieci. Nie bardzo rozumiem, dlaczego morderca postanowił przechowywać ją w jakiejś lodówce. Tak jak mówiłaś, to po prostu do niczego nie pasuje. Czemu nagle próbował zmylić nas co do czasu jej śmierci?

– Nie próbował. To nie morderca wsadził ją do tej lodówki. Posłuchaj, Nicola, wydaje mi się, że wszystko już mi się ułożyło w głowie w logiczny ciąg, co oczywiście nie oznacza, że umiem cokolwiek udowodnić. Muszę zebrać zespół i wyjaśnić wszystkim, co *moim zdaniem* się wydarzyło. Ale najpierw zamienię parę słów z Flemmingiem. To ten facet, który wyciągnął mnie z rzeki.

Do pokoju wróciła Susanne i przywitała się z Nicolą. Znały się od pewnego czasu, ponieważ właśnie Susanne wystawiała diagnozy psychologiczne dla Jednostki Kryminalnej do Spraw Nieletnich – zarówno ofiar przestępstw, jak podejrzanych o ich popełnienie. Ale słowa powitania zastygły jej na ustach, a na twarzy pojawiło się niezadowolenie, gdy zobaczyła Fabla w ubraniu i gotowego do wyjścia. Od razu poderwał do góry obie ręce w geście usprawiedliwienia, a potem przez chwilę albo dwie sprzeczali się, czy to dobrze, czy źle, że zdecydował się wyjść ze szpitala na własną odpowiedzialność. W końcu Susanne dała za wygraną.

– Chyba lepiej będzie, jak weźmiemy mój samochód – powiedziała, a w jej głosie wciąż pobrzmiwała irytacja.

– Mój samochód... – jęknął Fabel, jakby dopiero teraz uprzytomnił sobie, że jego bmw spoczywa na dnie Łaby.

– Ale upewnij się, Susanne, że to ty będziesz prowadzić dobrze? No chyba, że zdążyłaś wpaść do domu po kostium kąpielowy... – Ani Susanne, ani Fabel nawet się nie uśmiechnęli, więc Nicola Brüggemann mówiła dalej: – Ściągnęli tam dźwig i właśnie teraz powinni wyciągać z rzeki twój samochód. Lars Kreysig powiedział, że postara się osobiście nadzorować całą operację, ale i tak będziesz musiał spisać go na straty.

– Kochałem ten wóz... – Zauważył Fabel melancholijnie.

– Cóż, w takim razie nie powinieneś był próbować jeździć nim po wodzie – odparła Brüggemann. – Wiem, że wszyscy w komendzie uważają, że potrafisz po niej chodzić, ale...

Fabel zareagował pełnym sarkazmu uśmiechem i odwrócił się do Susanne.

– Wydaje mi się, że zważywszy na to, co się stało, powinienem zorganizować nam jakąś eskortę na drogę powrotną. Chcę też, żeby sprawdzono nasze mieszkanie. Susanne, za moment do ciebie wracam. Muszę zamienić parę słów z facetem, który uratował mi życie.

Flemming czekał na Fabla w pobliżu recepcji, popijając kawę ze styropianowego kubka. Miał na sobie ciemnoniebieski kombinezon.

– Wybłągałem od szpitala, żeby mi to dali – wyjaśnił, skubiąc materiał. – Wyślę ci rachunek za czyszczenie na sucho mojego garnituru – dodał z szerokim uśmiechem.

– Możesz mi nawet wysłać rachunek za całkiem nowy garnitur... Już myślałem, że ze mną koniec. Sam nie wiem, jak mam zacząć dziękować ci za to, co dla mnie zrobiłeś.

– Na początek może być Armani – uśmiech Flemminga stał się jeszcze szerszy.

Był potężnym mężczyzną o szerokich ramionach, ale poza tym sprawiał wrażenie szczupłego. Wyglądał na kogoś, kto uprawia fitness nie tylko dla przyjemności. W przybliżeniu miał pewnie czterdzieści parę lat, a pod ciemnymi, kręconymi włosami skrywał bliznę, która biegła aż do łuku brwi.

– Co wcześniej robiłeś? – spytał Fabel. – To znaczy, przed Seamark International?

– Przez dziesięć lat służyłem w Policji Portowej w Kilonii... A przedtem w Kampfschwimmer Kompanie.

Fabel uniósł brew.

– Och, czyli naprawdę miałem szczęśliwy dzień.

Kampfschwimmer Kompanie była specjalnym oddziałem niemieckiej Marynarki Wojennej. Jednostką komandosów płetwonurków.

– Jak długo?

– Przez dwanaście lat... Więc taki skok, żeby wyciągnąć cię z wody, to dla mnie naprawdę drobnostka. Żeby dostać się do *Kompanie*, człowiek musiał pływać bez aparatu tlenowego na głębokości przynajmniej trzydziestu metrów i wytrzymać co najmniej sześćdziesiąt sekund bez oddychania. Sam więc rozumiesz, że to dzisiejsze nurkowanie to nie był żaden wyczyn.

– Wierz mi, dla mnie był – mruknął Fabel. – Czy przynieść ci jeszcze kawę?

– Dzięki, już wystarczy.

Kiedy wymiana uprzejmości dobiegła końca, Fabel przybrał bardziej rzeczowy ton.

– No dobrze, czy będziesz łaskaw mi powiedzieć, z jakiego powodu jeździłeś za mną przez kilka ostatnich dni? – spytał.

– O rany, więc tak długo o tym wiedziałeś? – zaśmiał się Flemming. – Mój błąd.

– No więc?

– Mustafa Kebir jest dla mnie kimś więcej niż zwykłym klientem. Jest przyjacielem. Wie o mojej przeszłości, więc kiedy zaginęła jego siostrzenica, przyszedł prosto do mnie. Naturalnie pierwszą radą, jaką mu dałem, było to, żeby poszedł na policję, ale on na to odparł, że Meliha miałyby mu to za złe. Była nastawiona bardzo antyustrojowo.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że podawanie się za funkcjonariusza policji jest poważnym przestępstwem?

– Fabel, nie mam pojęcia, o czym pan mówi – oświadczył Flemming ze szczerze zdumioną miną.

Jest naprawdę niezły, pomyślał Fabel.

– Ktoś miał na tyle stalowe nerwy, żeby wkroczyć do Butenfeld, bezczelnie machnąć odznaką Polizei Schleswig-Holstein i zapytać o zwłoki, które zostały wyrzucone po sztormie na Fischmarkt. Z początku uważałem, że to był ktoś z Pharos Project, ale...

Flemming wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

– Czy to nie niesamowity zbieg okoliczności, że „komisarz Höner” okazał legitymację służbową właśnie z dywizji w Kilonii? No wiesz, akurat z twojej jednostki... Posłuchaj, Flemming. – Fabel odwrócił krzesło, żeby znaleźć się twarzą w twarz z potężnym mężczyzną. – Po tym, co dziś dla mnie zrobiłeś, nie chcę narobić ci kłopotów. Ale *mógłbym* ściągnąć kogoś z kostnicy i sprawdzić, czy uda im się rozpoznać tu osobę, która choć trochę przypomina tego detektywa ze Schleswig-Holstein, który przyjechał obejrzyć zwłoki...

– Okay. To byłem ja. Chciałem przekonać się, czy to przypadkiem nie jest Meliha.

– I?

– Widziałeś ciało. Jedyna droga, żeby zidentyfikować te zwłoki, to sprawdzić DNA kogoś z krewnych, ale zostawiam to tobie, bo już wiesz, gdzie znaleźć członków rodziny.

– A co ci podpowiada instynkt?

– Nic. Kiedy zobaczyłem ten korpus, był już odgazowany, no wiesz, żeby zapobiec rozsądzeniu, ale wciąż dość napuchnięty. To mogła być Meliha, ale równie dobrze ktoś inny. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić, przez te wszystkie lata widziałem mnóstwo topielców, którzy długo moczyli się w wodzie, i zawsze bardzo trudno było określić ich wiek i rozmiary. Ten korpus znaleziony na Fischmarkt z pewnością przez długi czas pływał w wodzie, a im dłuższy jest okres zanurzenia, tym trudniej jest dokładnie ocenić czas zgonu nieboszczyka. Jeśli zaś chodzi o mój wybieg, to nic dobrego z tego dla mnie nie wynikło.

– W porządku. Zorganizuję porównanie DNA ofiary z DNA *Herr* Kebira. Tymczasem trzymaj się z daleka od oficjalnych śledztw i nie wtykaj wścibskiego nocha w policyjne sprawy.

Flemming westchnął i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Dobrze. Ale jeśli jest coś, cokolwiek, co *mógłbym* zrobić, chciałbym, żebyś dał mi znać.

– Doceniam twoje chęci – odparł Fabel. – Możesz zacząć od opowiedzenia mi wszystkiego, co wiesz na temat Melihy Kebir...

Następnego dnia Fabel zjawił się w komendzie dość wcześnie. Zerwał się z łóżka, zdjęty przerażeniem, bo pamiętał, że poprzedniego dnia przytrafiło mu się coś okropnego, ale przez parę sekund nie był w stanie przypomnieć sobie, co to było. Siedział wyprostowany na łóżku, zlany zimnym potem, aż w końcu powoli doszedł do siebie.

Susanne zawsze martwiła się, że z powodu pracy Fabel żyje w permanentnym stresie. Był okres, kiedy z powodu sennych koszmarów, które dręczyły go niemal co noc, poważnie zastanawiał się nad porzuceniem posady w Polizei Hamburg. Ale to, co ujrzał na twarzy Susanne tego ranka, przekraczało wszystko, co widział do tej pory; to był raczej strach niż niepokój. Ktoś próbował go zamordować i prawie mu się to udało.

Gdy zegnali się rano, przywarła do niego całym ciałem. Susanne pracowała w Instytucie Medycyny Sądowej i – odwrotnie niż do tej pory – teraz to ona podwoziła Fabla do komendy. W dodatku stała się bardzo punktualna, co najbardziej go martwiło.

Kiedy wszedł do Wydziału Zabójstw, powitał go nastrój ponurej determinacji. Cały zespół oczekiwał na jego przybycie, włącznie z policjantami, którzy mieli dziś wolne. Było jasne, że wezwała ich tutaj Nicola Brüggemann i że wcześniej urządziła im krótką odprawę, informując o tym, co zaszło wczorajszego dnia. Kilka osób od razu podeszło do Fabla, żeby ze stosowną powagą zapytać go, czy dobrze się czuje i oferując swoje wsparcie. Fabel zauważył, że na biurku za plecami Nicoli Brüggemann stoi kuloodporna kamizelka z kewlaru.

– Przedyskutowaliśmy tę sprawę, szefie – oświadczyła Nicola z zaciętą miną, specjalnie używając nieformalnego tytułu, żeby nie pozostawiać najmniejszych wątpliwości, kto tutaj jest dowódcą. – Wszyscy czujemy, że potrzeba ci dodatkowej ochrony. Werner...?

Odsunęła się na bok, żeby Fabel w pełni mógł podziwiać przygotowaną dla niego zbroję; Werner jedną ręką ujął kamizelkę i pociągnął ku sobie – jak magik, który błyskawicznie odkrywał klatkę z niedawno zaginionymi gołębiami. Nagle cały pokój eksplodował śmiechem: na biurku, ukryte pod kuloodporną kamizelką, stały dwa jaskrawożółte, nadmuchiwane rękawki w kształcie kaczuszek – z szyjkami, łepkami i jasnoczerwonymi dziobami.

Zanosząc się od śmiechu, Fabel zrzucił marynarkę; naciągnął nadmuchiwane rękawki na rękawy koszuli i dopiero wtedy zauważył, że w pokoju nagle zapadła cisza. Odwrócił się ku drzwiom i ujrzał dyrektora kryminalnego van Heidena, który zatrzymał się w progu.

– Fabel... Proszę na słowo.

Fabel z zakłopotaniem zsunął rękawki, starając się nie zwracać uwagi na złośliwe uśmieški podwładnych, i podążył za van Heidenem do jego biura.

Chodziło jedynie o krótkie pouczenie; Fabel wyczuwał, że van Heiden obrał taki właśnie sposób, by wyrazić wsparcie dla młodszego oficera. Dyrektor kryminalny osobiście potwierdził wszystko, o czym Brüggemann powiedziała już w szpitalu: że Fabel z powrotem przejmuje pełną kontrolę nad poprzednio prowadzonymi śledztwami i w związku z tym może powziąć wszelkie kroki, które uzna za stosowne, oraz zażądać wszystkich środków, które będą mu potrzebne. Wydawało się jasne, że van Heiden wciąż nie może pojąć – bardziej niż przedtem – jak to się stało, że ktoś ośmielił się targnąć na życie jednego z jego ludzi. Ta sprawa obudziła w nim instynkt policjanta.

– Nie rozumiem, co tu się dzieje – oznajmił z autentycznym zakłopotaniem.

– A ja rozumiem – odpowiedział Fabel. – Właśnie dlatego zostałem wepchnięty do rzeki. Tylko że na razie nie potrafię niczego udowodnić. I bardzo wątpię, czy kiedykolwiek będę mógł, choćby częściowo. Ale ponieważ istnieje realne niebezpieczeństwo, że ktoś po raz kolejny zorganizuje zamach na moje życie, będzie lepiej, jeśli o wszystkim panu opowiem.

Ujawnienie tego, co udało mu się ustalić, zabrało Fabelowi pełne dziesięć minut. Van Heiden siedział w milczeniu, chłonąc każde słowo, lecz nawet na chwilę nie zmienił wyrazu twarzy.

– Napiszę to wszystko w raporcie – powiedział Fabel na zakończenie. – Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, nie prześlę tego mailem, lecz każę komuś osobiście dostarczyć do pańskiego biura. Nie wiem, do jakiego stopnia został zainfekowany nasz system poczty elektronicznej.

– Rozumiem, że pan wierzy, że to wszystko prawda? – zapytał van Heiden.

– Tak, ale jak mówiłem, nie mogę tego udowodnić. Zadzwoń do pana Menkego, żeby przedyskutować z nim tę sprawę. W tym wypadku będziemy potrzebować pomocy z każdej możliwej strony.

Kiedy Fabel do niego zadzwonił, Fabian Menke zaproponował spotkanie, ale z jakiegoś powodu nie chciał umawiać się w budynku komendy, ani w biurze BfV. Osobiście wolał spotkać się w pobliżu południowego nabrzeża rzeki, tuż przy dokach. Fabel wziął więc samochód służbowy, pojechał we wskazane miejsce i zaparkował za bmw trójką Menkego. Bardzo korporacyjny wóz, pomyślał Fabel, zastanawiając się, czy agent służby bezpieczeństwa przypadkiem nie zajmował się w swoim czasie sprzedażą polis ubezpieczeniowych. Dopiero po wyjściu z samochodu zorientował się, że znalazł się na nabrzeżu ludząco podobnym do tamtego, na którym był poprzednio, i że jego auto stoi bardzo blisko linii rzeki. Nagle wstrząsnął nim dreszcz przerażenia, co stanowiło dla niego zupełną niespodziankę; Fabel zdał sobie sprawę, że woda zaczęła budzić w nim lęk.

– Dobrze się czujesz? – spytał zaniepokojony Menke, kiedy wymienili uściski dłoni.

– W porządku. Tyle tylko, że moja ostatnia wycieczka nad rzekę okazała się

wstrząsającym doświadczeniem.

– O Boże, tak – odparł Menke. – Powiniennem był o tym pomyśleć. To dość niefortunne miejsce. Bardzo przepraszam. Może wolisz pojechać gdzie indziej?

– Nie, możemy tu zostać.

Menke poprowadził go wzdłuż nabrzeża, skąd Fabel mógł podziwiać rozciągniętą w luk panoramę Hamburga, od mostu Köhlbrandbrücke aż po Speicherstadt i HafenCity. Ta strona Łaby, jej południowy brzeg, stanowiła przemysłowe serce miasta. Ogromne dźwigi za ich plecami rozmieszczały okrętowe kontenery, ustawiając je w wysoko wypiętrzone rzędy jak budowlę z dziecięcych klocków.

– Zanim zaczniemy... – powiedział Menke. – Czy masz przy sobie komórkę?

– Oczywiście. Ale wyłączyłem ją i zostawiłem w samochodzie.

– Doskonale – odparł Menke. – Najwyraźniej rozumiesz, z czym mamy do czynienia.

– Mamy do czynienia z ideą, nie z rzeczywistością – odpowiedział Fabel. – Wiem, że ci ludzie mają do dyspozycji imponujące środki technologiczne i są wprawni w posługiwaniu się nimi. Ale mimo to uważam, że nie są tak wszechwiedzący, jak głosi ich PR.

– Nie? – powiedział Menke. – Fabel, ja pracuję w biznesie, który polega na obserwowaniu innych. I ja także mam do dyspozycji technologię, której nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Mogę znajdować się obok czyjegoś domu i wiedzieć, co jego właściciele widzą na monitorze swojego komputera; i bynajmniej nie mam tu na myśli włamywania się do ich WiFi ani niczego w tym stylu. W dodatku wcale nie muszą być podłączeni do serwera ani do sieci. Mamy nawet analizator uderzeń w klawiaturę, więc wiemy, co zostało napisane na komputerze bez konieczności sprawdzania twardego dysku... Wszystko to robione jest całkowicie z zewnątrz. Albo popatrzmy na miejsce, w którym teraz stoimy... Przynajmniej pięć narodowych agencji wywiadowczych ma dostęp do technologii satelitarnej tak wyrafinowanej, że mogą spróbować odcyfrować to, co tutaj mówimy. Przeczytałeś materiały o Pharos Project, które ci przekazałem? – zapytał, kiedy dotarli do końca falochronu.

– Tak, przeczytałem. Im dłużej czytałem, tym mocniej byłem przekonany, że Pharos Project jest powiązane ze śmiercią Bertholda Müllera-Voigta i ze zniknięciem Melihy Yazar. Tak samo jestem przekonany, że oni pośrednio lub bezpośrednio przyczynili się do zamordowania Daniela Föttingera i myślę, że wiem dlaczego. Chciałem z tobą porozmawiać, ponieważ wydaje mi się, że możesz mi pomóc poskładać kawałki śledztwa w sprawie Föttingera.

– Zrobię wszystko, co będę mógł, *Herr* Fabel.

Fabel podziękował skinieniem głowy.

– Wyłowiliśmy z rzeki pewne ciało i wydaje mi się, że są to zwłoki motocyklisty zamieszanego w atak na Föttingera. Wysłałem ci notkę na temat tego chłopaka; nazywał się Harald Jaburg.

– Wiem – odpowiedział Menke. – Masz rację, że śmierć Föttingera została zaplanowana. Zamilkł i przez chwilę spoglądał w ciemną toń wody, po czym znów odwrócił się do Fabla.

– Czy wiesz coś na temat fizyki kwantowej, superpozycji, ujednocionej teorii przepływu strumieniowego, zasady holograficznej i innych tego typu rzeczy?

– Mówiąc krótko: nie.

– Teoria kwantowa postuluje rzeczy, od których może cię rozboleć głowa. I każda sekta, każdy mesjasz z rogu ulicy, guru ideologii New Age czy zwyczajny szaleniec, wykorzystują to, próbując w jakiś sposób uwiarygodnić swoją pokręconą filozofię. A oni używają ich, żeby schwytać w sidła tych członków społeczeństwa, którzy są najbardziej podatni i słabi – Menke wyciągnął paczkę papierosów i zaproponował poczęstunek Fablowi, ale on pokręcił głową. –

Harald Jaburg jak najbardziej był obiektem zainteresowania naszego biura. Kiedy tylko jego nazwisko pojawiło się w systemie, obudziło to we mnie czujność. On jest jak czerwona flaga, wiadomo, że należy do grupy ekologicznych ekstremistów, znanej jako Strażnicy Gai.

– Czy to jedna z tych radykalnych organizacji ekologicznych, o których nie chciałeś opowiadać Müllerowi-Voigtowi? – spytał Fabel.

– Dokładnie tak. Ta robota wpędza mnie w paranoję. Strażnicy Gai wierzą w skuteczność bezpośrednich akcji przeciw osobom, grupom lub organizacjom, które ich zdaniem zagrażają środowisku. Jak dotąd było więcej protestów, za to mniej aktów wandalizmu.

– Na przykład podpaleń samochodów? – wtrącił Fabel.

– Między innymi. Ale nasz wywiad wskazuje, że ich działania stają się coraz ostrzejsze i bardziej wojownicze.

– Nie ma nic bardziej wojowniczego niż cztery kule, które pakuje się komuś w łeb – mruknął Fabel.

Menke dobitnie potrząsnął głową.

– Nie, to nie jest właściwy kierunek. Z tego co wiemy, jak dotąd nie zdarzyło się, żeby komukolwiek, kogo uważali za wroga, wyrządzili krzywdę, nie mówiąc już o przeprowadzaniu wewnętrznych egzekucji. Dziwna sprawa, co do tego nie ma wątpliwości. Wspomniałeś w notatce, że Jaburg miał charakterystyczny tatuaż. Zielona gamma na piersi jest symbolem i oznacza Gaję.

– Grecką boginię Ziemi?

– Z imienia, tak. Ale ich rozumowanie bardziej przypomina *Gaia Hypothesis* z lat siedemdziesiątych. Wtedy wydawało się to dziwaczne i bardzo w stylu New Age, ale teraz naukowy mainstream coraz bardziej skłania się w kierunku takiej właśnie interpretacji. Istnieje przekonanie, że ziemską biosferę, której część stanowimy również my, jest pojedynczym, zintegrowanym i żywym systemem. Organizmem, który rządzi się swoimi prawami.

– Jak dotąd brzmi to dość niewinnie – zauważył Fabel.

– Owszem. No cóż, Strażnicy Gai mają wyraźnie paramilitarną strukturę. Ich zdaniem Gaja umiera, ludzkość zaś jest infekcją, która ją zabija. Tak więc jestem pewien, że rozumiesz, dlaczego ta grupa wzbudziła nasze zainteresowanie. Oni sami uważają się za żołnierzy, żołnierzy zaangażowanych w walkę z globalizacją i industrializacją. I w pewnym sensie także z ludzkością.

Fabel pomyślał o chudym, bladym ciele młodego mężczyzny, które spoczywało na wózku w kostnicy.

– Myślę, że ktoś mógł po prostu wystrzelić pierwszy pocisk.

– Harald Jaburg był najmniejszą z płotek w grupie Strażników. Takim chłopcem na posyłki. I zdecydowanie niepasującym do typu zamachowca.

– Szoferem, który miał zapewnić możliwość ucieczki?

– Całkiem możliwe. Nasz wywiad donosi, że Jaburg przy paru atakach współpracował z Nielsem Freese, popaprańcem całkiem innego rodzaju. Na jego temat wiem nawet więcej niż na temat Jaburga.

– Innego rodzaju? W jakim sensie?

– Freese jest osobnikiem z całkiem spaczoną wizją świata. Jest nieprzewidywalny i skory do gniewu. Ma za sobą bogatą przeszłość składającą się z szeregu poważnych chorób umysłowych.

– Więc raczej mało prawdopodobne, żeby zaplanował i przeprowadził atak w Schanzenviertel?

– Tego nie powiedziałem. A nawet daleko mi do tego. Freese oficjalnie jest niepełnosprawny. Z powodu niedotlenienia przy porodzie, chociaż to nie wpłynęło w znaczący

sposób na jego inteligencję. W wielu dziedzinach może on normalnie funkcjonować, ale ma mnóstwo problemów, głównie neurologicznych, które czasami powodują, że wszystko mu się miesza. Mimo to jest całkiem rozgarnięty... Niemniej należy do osób podatnych na manipulację, na sugestię. Taki stan umysłowy powoduje, że człowieka można przekonać prawie do wszystkiego, o ile zostanie to w odpowiedni sposób wyartykułowane i dopasowane do jego spaczony percepcji świata.

– Na czym polega jego problem? – spytał Fabel. – Tak konkretnie?

– To prawdziwa tragedia. Ten człowiek przeżywa rzeczywistość w zupełnie inny sposób niż reszta nas: przede wszystkim przez prawie cały czas cierpi na uporczywą paramnezję. To szalenie niepokojący stan, który polega na tym, że gość stale ma wrażenie *déjà vu*. Poza tym często zdarzają mu się epizody czegoś, co szarlatani od psychologii nazywają powtarzającą paramnezją. Kiedy doświadcza czegoś takiego, biedny skurczybyk myśli, że ktoś uprowadził go z prawdziwego świata i stworzył wokół niego doskonałą, lecz całkiem fałszywą imitację rzeczywistości.

– Muszę spytać o to moją partnerkę. Nawiasem mówiąc, ona jest jednym z tych szarlatanów, jak ich nazywasz.

– Naprawdę? – Menke wydawał się mimowolnie zakłopotany. – No cóż, w takim razie z pewnością opowie ci o tym znacznie dokładniej niż ja. Tak czy owak, taki stan umysłu sprawia, że Freese jest osobą, na którą łatwo można wpływać, karmiąc jego paranoje. Właśnie „wpływać”, a nie „kontrolować”. Natura tego schorzenia sprawia, że Freese jest podatny na każdy rodzaj bezsensownej paplaniny o rzeczywistości kwantowej czy ekologicznej osobliwości matematycznej.

– Czyli na słowa, którymi posługują się Strażnicy Gai?

– Nie tylko Strażnicy Gai. Także Pharos Project.

– Czy między nimi jest jakieś powiązanie?

– Na pewno nie takie, które możemy udowodnić – odparł Menke i zamilkł.

Przez chwilę obaj obserwowali płynący w ciszy frachtowiec, zastawiony niewiarygodnie wysokimi stosami kontenerów.

– Mimo wszystko pojawiła się sugestia, że Strażnicy Gai są bezpośrednio kontrolowanym, zbrojnym ramieniem Pharos Project.

– Ale przecież ich filozofie są całkiem różne.

Menke wręczył mu kartkę papieru z napisaną odręcznie notatką.

– To ostatni znany nam adres Nielsa Freese'a. Drugie nazwisko jest nazwiskiem osoby, o której istnieniu nie wie nikt poza BfV... A od teraz wiesz również ty. Ten człowiek, jak sądzimy, jest obecnie komendantem hamburskiego oddziału Strażników Gai. Jeśli Freese przeprowadził tamten atak, w którym zginął Föttinger, a to naprawdę wciąż wielka niewiadoma, to masz przed sobą nazwisko człowieka, który wydał mu rozkaz.

– Jens Markull... – przeczytał na głos Fabel. – Czemu trzymacie jego nazwisko w tak wielkiej tajemnicy?

– Bo on jest... A w zasadzie *był* jednym z nas. Sam kiedyś sugerowałeś, że musimy mieć ludzi, którzy infiltrują organizację, potajemnie pracujących dla nas. No cóż, mamy. On był właśnie jednym z nich.

– Czyli on jest oficerem BfV?

– Nie. Markull po prostu jest kimś, kto uważa, że zasady są towarem na sprzedaż. Ale wygląda na to, że wydarzyło się coś, po czym zwinął manatki. Dostawaliśmy od niego naprawdę cenne materiały, a potem źródło wyschło. Ostatnim, co o nim słyszeliśmy, było to, że spotykał się z jakimiś ludźmi z Pharos Project. Potem nagle został awansowany na komendanta

hamburskiego oddziału Strażników Gai i odtąd nie przejawiał chęci, żeby z nami rozmawiać.

Fabel wsadził kartkę do kieszeni, po czym ruszyli z powrotem w kierunku samochodów.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem zapytać w związku z Nielsem Freesem – odezwał się w pewnej chwili Fabel.

– Wal śmiało.

– Chodzi mi o te jego neurologiczne problemy. Czy one mogły spowodować problemy z chodzeniem?

Menke zatrzymał się i ze zdziwieniem spojrzął na Fabla.

– Tak. On faktycznie utyka na jedną nogę. To rezultat lekkiego paraliżu, który był skutkiem niedotlenienia przy porodzie.

ROZDZIAŁ 32

Heiner Götz był tęgim mężczyzną, który jeszcze nie przekroczył sześćdziesiątki. Przerzedzające się, siwe włosy nosił zaczesane do tyłu, co odsłaniało szerokie, masywne czoło i ogromne krzaczaste brwi. Para okularów w drucianej oprawie, które służyły mu do czytania, stale spoczywała na jego sporym nosie, balansując na samym jego koniuszku. Fabel zawsze czuł, że te okulary to zamierzony wybieg – coś, co pozwalało Götzowi złagodzić wrażenie, że jest tylko zwykłym robotem pracującym na jakiejś budowie. Jednak Heiner Götz nie był murarzem; pełnił funkcję prokuratora generalnego w Hamburgu.

Teraz siedział i gapił się przez okno gabinetu na Georg-Fock-Wall, podczas gdy Fabel, po raz trzeci tego dnia, opowiadał o swoich podejrzeniach dotyczących Pharos Project oraz roli, jaką ta organizacja odegrała w zniknięciu i przypuszczalnym morderstwie Melihy Kebir, a także w zabójstwach Bertholda Müllera-Voigta, Daniela Föttingera i Haralda Jaburga.

Fabel starał się jak mógł, lecz wiedział, że brakuje mu twardych dowodów, którymi mógłby poprzeć swoje słowa. W tej sytuacji trudno było mieć nadzieję na uzyskanie jakiegokolwiek nakazu... Fabel spojrział na zegarek, a potem zerknął na Wenera Meyera, którego tu z sobą przyprowadził. Ta rozmowa zabrała im większą część poranka i Fabel bardzo pragnął wrócić już do komendy. Po rozmowie z Menkem poprzedniego dnia zainicjował szeroko zakrojone polowanie na Nielsa Freese'a.

Götz nawet nie odwrócił się od okna, gdy Fabel skończył mówić. W żaden sposób nie okazał, że w ogóle słyszał to, co miał mu do powiedzenia główny nadkomisarz policji. Fabel cierpliwie czekał, nie odzywając się ani słowem. Niezliczoną liczbę razy załatwiał z Götzem różne sprawy i wiedział, że prokurator generalny potrzebuje sporo czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Albo może po prostu delektował się myślą, że oficerowie policji tak rozpaczliwie pragną dobrać się do podejrzanego.

– Więc wszystkie te zabójstwa zostały zatwierdzone wyłącznie po to, by utrzymać sekret, tak?

– Tak właśnie uważam.

– Ale nie ma pan żadnego konkretnego dowodu?

– Żadnego, *Herr Götz*. Potrzebujemy nakazu, żeby zająć ich komputery i wymusić zeznania. To jedyna droga i bez tego nie uda nam się dotrzeć do sedna sprawy.

– Fabel, wystarczająco długo jest pan policjantem, żeby wiedzieć, że jeżeli wystawię nakaz na podstawie tego rodzaju spekulacji, a realizacja tego nakazu nie dostarczy żadnych konkretnych dowodów, to w niedługim czasie obaj, pan i ja, będziemy musieli poszukać innej pracy. Bo gdyby poprosił pan o zezwolenie na prowadzenie inwigilacji podsłuchu, przechwytywania maili, i innych tego typu działań, dzięki którym stopniowo moglibyśmy pozyskać bardziej przekonujące dowody, to mógłbym się na to zgodzić.

– Ale czy pan nie rozumie, Götz – Fabel rozpaczliwie starał się powstrzymać ton frustracji – że takie środki są daremne w wypadku przeciwnika, który jest nieskończenie lepiej od nas wyposażony technologicznie? Nie istnieje żadna forma elektronicznej inwigilacji, która by natychmiast nie została przez nich namierzona i unieszkodliwiona.

Znów zapadła cisza. Götz znowu gapił się przez okno.

– Ten cały internet to nowe środowisko zbrodni, a my nie mamy ani odpowiedniego prawa, ani nawet podstawowej orientacji, jak się w nim poruszać i jak je zwalczać – powiedział w końcu. – Sześć miesięcy temu miałem do czynienia ze sprawą, która prowadzona była nie przez pański wydział, lecz jedną z agencji zajmujących się ochroną dzieci. Pewna dziewczynka,

piętnastoletnia, o ile dobrze sobie przypominam, rzuciła się pod S-bahn, ponieważ była ofiarą tak zwanego „cybernetycznego mobbingu”. Nie mogła się od tego uwolnić. To było nieubłagane, stale przysyłano jej na komputer i na telefon najbardziej okrutne, niegodziwe treści... Jednym słowem, była to prawdziwa kampania nienawiści, mająca na celu pognębienie ludzkiej istoty, a jej nośnikiem stała się właśnie ta technologia, która podobno miała ułatwiać nam życie... Czuła, że od tego nie ucieknie, więc postanowiła rzucić się pod pociąg. Piętnaście lat... Jej życie skończyło się, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Naprawdę chciałem dopaść te wstrętne dziewczuchy, które doprowadziły ją do tak desperackiego kroku, ale nie miałem żadnych narzędzi prawnych. Zabrakło zrozumienia. Biedna dziewczynka, żeby doprowadzić ją do czegoś takiego...

Nagle odwrócił się od okna i pochylił się nad biurkiem, przygarbiwszy masywne ramiona.

– Mamy cztery ofiary śmiertelne, a z tego, co pan powiada, tamci ludzie są wystarczająco arogancy, by uważać, że mogą unieszkodliwić każdego, kto ich zdaniem staje im na drodze, włączając w to zabójstwo senatora landu Hamburg, jak również usiłowanie morderstwa starszego stopniem funkcjonariusza hamburskiej policji... Panowie, jeśli jest coś, co rzeczywiście budzi mój gniew, to gdy ktoś uważa, że stoi ponad prawem!

Götz z całej siły uderzył otwartymi dłońmi o blat biurka.

– Dam wam te nakazy. Przeszukanie, konfiskata i areszt. Spróbowałbym przygotować je dziś wieczorem, ale w tym wypadku mamy do czynienia z wkroczeniem na obszar podlegający kompetencji innego organu sądowego, ze względu na położenie siedziby Pharos Project, albo jak tam nazywa się ta ich wspólnota... Muszę porozumieć się z biurem prokuratora Dolnej Saksonii.

Fabel wstał, rozpromieniony ze szczęścia.

– Serdecznie panu dziękuję, panie prokuratorze...

– Kiedy wypełniamy te nakazy? – spytał Werner, gdy wrócili do służbowego auta, które dano Fablowi.

– Jutro rano. Jak tylko przyjedziemy do komendy, chciałbym, żebyś nawiązał łączność z Polizei Niedersachsen.

– Nie ma sprawy.

Fabel wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Susanne, do jej biura w Instytucie Medycyny Sądowej.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Dziś rano wydawałaś się lekko roztrzęsiona.

– Czy możesz mieć mi to za złe? A czy ty dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest, tak jak już ci mówiłem. Też jestem trochę roztrzęsiony, ale mam pewną robotę do wykonania. Czy skończyłaś już przeglądać ocenę psychologiczną i przeszłość Nielsa Freese'a?

– Tak. Całkiem interesująca, muszę przyznać. Zgodnie z tym, co znajduje się w rejestrach, Freese doznał okołoporodowego uszkodzenia mózgu, przez co ma skłonność do złudzeń związanych z zespołem błędnej interpretacji rzeczywistości.

– To takie określenie dla laika?

– Wszyscy cierpimy na łagodną formę tego schorzenia, bo od czasu do czasu każdy z nas miewa *déjà vu*. Nam zdarza się doświadczać jedynie subtelnego wrażenia, że coś już kiedyś przeżyliśmy, podczas gdy pacjenci z rozwiniętym w pełni DMS doznają takich złudzeń w o wiele bardziej kwiecistej i rozbudowanej formie.

– To znaczy?

– Możesz wybierać spośród całkiem pokaźnego zakresu. Zespół Fregoli sprawia, że cierpiąca nań osoba myśli, iż wszyscy dookoła są tą samą osobą, tyle że w przebraniu... Jeśli masz zespół Capgrasa, zaczynasz wierzyć, że pod członków twojej rodziny albo przyjaciół podszywają się oszuści... A jeśli cierpisz na zespół Cotarda, nie wierzysz, że w ogóle żyjesz.

Freese wydaje się mieć podwojoną paramnezję. Biedny drań sądzi, że został przeniesiony do dokładnej repliki naszego świata.

– No cóż, muszę przyznać, że według mnie już przez to wydaje się całkiem szalony.

– Najsmutniejsze jest to, że takie złudzenia nigdy nie są rezultatem choroby umysłowej.

Ich przyczyną zawsze są jakieś uszkodzenia neurologiczne: defekt mózgu, wylew, choroba Alzheimera albo coś w tym rodzaju. Biedny Freese cierpi na to od urodzenia. Janie, jego rzeczywistość jest taka, że nam trudno jest ją w ogóle sobie wyobrazić. Pomyśl tylko: niemal nieprzerwane *déjà vu*, ciągle uczucie doniosłości, wywołane przez najbardziej pospolity przedmiot, przez jakąś osobę lub wydarzenie. A potem długie okresy krążących w kółko myśli i przekonanie, że wszystko wokół ciebie jest fałszem, jest spiskiem... Tak właśnie wyglądają pułapki paranoi bez objawów schizofrenii. Niels Freese jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach, który żyje w całkiem szalonym świecie.

– Ale on jest mordercą, a z tego, co mówisz, ci ludzie nie bywają niebezpieczni dla otoczenia...

– Każdy, kto ulega złudzeniom jest niebezpieczny. Znam przykłady ludzi cierpiących na zespół Capgrasa, którzy potrafili rozciąć na pół swoich współmałżonków, żeby poszukać wewnątrz ich ciał mechanicznych części albo mechanizmów robotów. Ludzie z zespołem Cotarda stale zabijają siebie albo innych, ponieważ wierzą, że nikt z nich nie żyje naprawdę. Jeśli chcesz poznać moją profesjonalną opinię, Janie, to radzę, żebyś jak najszybciej odnalazł Freese'a. Zanim zdąży zrobić krzywdę sobie albo komuś innemu.

– Tak, rzeczywiście powinienem jak najszybciej go odnaleźć – zgodził się Fabel. – Freese jest kluczem do rzeczywistości, która mnie interesuje. Jego osoba wiąże wszystkie wątki.

Po zakończeniu rozmowy z Susanne Fabel wybrał w komórce numer Anny Wolff.

– I jak, zdobyłaś te informacje, o które cię prosiłem?

– Tak jest, szefie. Tim Flemming jest dokładnie tym, za kogo się podaje, a jego przeszłość wygląda tak, jak mówił. Żadnych kar dyscyplinarnych ani innych problemów, zarówno wtedy, gdy pracował w policji portowej w Kilonii, jak i podczas służby w marynarce, kiedy był pletwonurkiem... Ale i tak dowiedziałam się czegoś ciekawego. Jego młodsza siostra wpłatała się w kłopoty z jakąś radykalną religijną grupą, która później znalazła się w kręgu zainteresowań BfV. Najwyraźniej Flemming zabrał ją stamtąd wbrew jej woli, a potem przetrzymywał w Danii, w jakimś sekretnym miejscu, gdzie razem z uznanymi specjalistami od sekt starał się zneutralizować proces prania mózgu, jakiemu wcześniej została poddana. Sprawa zakończyła się sukcesem, więc nigdy nie wniesiono żadnych zarzutów.

– Czekaj, niech zgadnę... Ale pocztą pantoflową rozeszło się, że Flemming jest facetem, który pomaga wyrywać ze szponów rozmaitych sekt naszych najdroższych i najukochańszych?

– Mniej więcej. Chociaż krążą plotki, że Flemming i jego pomocnicy robią to w dość gwałtowny sposób. Podobno lepiej nie wchodzić mu w drogę. Twardy gość, nie ma co. Poza tym wszystko, co opowiadał nam o swoich sprawach biznesowych, jest zgodne z prawdą. Naprawdę zapewniają importerom i flocie handlowej profesjonalne doradztwo i ochronę.

– Dzięki, Anno.

– Co teraz? – zainteresował się Werner, kiedy Fabel zakończył rozmowę.

– Pojedziemy złożyć wizytę *Herr* Flemmingowi...

Zwykle ludzie mają jakieś wyobrażenie, zwykle stereotypowe, jak powinien wyglądać miłośnik kolejek. Frank Lesing doskonale zdawał sobie z tego sprawę i często śmiał się z reakcji ludzi, którym opowiadał o swoim hobby.

Frank miał trzydzieści dwa lata i był wysokim facetem o przystojnej twarzy i gęstych, ciemnych włosach. Wiedział, że jego prezencja stanowiła poważny atut w budowaniu pozycji

zawodowej, bo w biznesie ludzie lubią mieć do czynienia z kimś, kto dobrze wygląda. Może to powierzchowne, ale tak jest. Atrakcyjny wygląd i przyjazny charakter zapewniały mu popularność w szkole i na uniwersytecie, a później ułatwiły szybki awans w międzynarodowym banku, w którym znalazł zatrudnienie. Wszystko przychodziło mu z łatwością; z taką łatwością, że czasami sam nie mógł w to uwierzyć. Jako od starszego stażem członka zespołu oczekiwano od niego, że będzie poświęcał przerwy na sprawy zawodowe, to znaczy, że jedząc kanapkę, będzie dopinał plany spotkań albo zabierał klientów na lunch. Jednak zawsze, kiedy zdarzało się, że w przerwie miał czas dla siebie, przychodził właśnie tutaj: do muzeum kolejek elektrycznych w Speicherstadt. Coś, co zaczęło się jako sporej wielkości wystawa lokomotyw i wagoników, z biegiem czasu rozrosło się do niemal dwunastu tysięcy metrów trakcji. To była bez wątpienia największa ekspozycja kolejek na całym świecie. Ale nie tylko kolejek – były tu także autostrady, drogi i ulice z prawdziwym ruchem samochodowym; biura, kościoły i teatry; dwieście figurek, wykonujących wszelkie możliwe czynności oraz doskonała kopia centrum Hamburga. Kontenerowce, pociągi, autobusy, samochody, wozy strażackie – perfekcyjnie wykonane modele sterowane przez znajdujące się w centrali komputery – poruszały się w miniaturowym krajobrazie, stwarzając wrażenie, że widz patrzy z wielkiej wysokości na prawdziwe, żywe miasto.

Jak na porę lunchu było tu wyjątkowo spokojnie, więc Frank nie musiał długo czekać, żeby dostać się do środka. Jednorazowo wpuszczano na wystawę ściśle określoną liczbę osób. Wszedł i przez całe pięć minut stał bez ruchu, obserwując fragment Łaby, gdzie po prawdziwej wodzie w stronę najeżonych żurawiami doków dostojnie sunął wielki kontenerowiec. I właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że tuż obok niego przystanął młody mężczyzna. Było w nim coś, co od razu wzbudziło niepokój Franka. Nieznajomy nosił ciemne ubranie, które wyglądało na stare i brudne; Frank czuł ciągnący się za nim odór zatechłego potu. Na głowie miał zmierzwione, zbite w kołtun włosy, i w ogóle sprawiał wrażenie kogoś, kto ma za sobą kiepsko przespaną noc. Jednak to nie wygląd nieznajomego najmocniej niepokoił Franka; niepokoiły go jego oczy, z których emanowało niezdrowe podniecenie i desperacja. Młody mężczyzna jak urzeczony gapił się na masywny model Köhlbrandbrücke – mostu, który spina brzegi rzeki w miejscu, gdzie południowa Łaba z powrotem staje się północną Łabą. To jeden z najbardziej charakterystycznych elementów krajobrazu Hamburga i nawet jego model prezentował się imponująco: długi na sześć metrów i wysoki na metr.

– Czy pan dobrze się czuje? – zapytał Frank.

Od razu wiedział, że to kiepski pomysł, bo ten facet zapewne był ćpunem, ale Frank zawsze czuł neodpartą potrzebę, żeby pomagać ludziom, którzy wpadli w tarapaty.

– Myślałem, że oni nie pozwalają tam wchodzić – odparł młody mężczyzna, nie odrywając pełnego obłędu spojrzenia od modelu Köhlbrandbrücke.

– Co takiego?

– Ten most... Myślałem, że on jest tylko dla samochodów. A po nim chodzą ludzie. Nawet jeżdżą na rowerach.

– Ach, więc o to chodzi... – Uśmiechnął się Frank. – To pewnie wyścig rowerzystów. Raz do roku most jest otwarty właśnie z tej okazji. A ci przechodnie to zapewne protestujący ekolodzy.

Młody mężczyzna przesunął się parę kroków dalej, żeby zmienić kąt widzenia, a Frank zwrócił uwagę, że idąc, lekko utykał na jedną nogę. Teraz ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w strukturę makiety.

– Jest pan pewien, że dobrze się pan czuje? – znów spytał Frank.

– Czy to jest prawdziwe?

– Co ma być prawdziwe? Chyba jednak powinienem wezwać pomoc – Frank rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kogoś z obsługi.

– Czy to jest prawdziwe? – powtórzył nieznajomy głuchym, przytłumionym głosem.

– Co? Most? Oczywiście, że ten most jest prawdziwy. Wszystko tutaj jest idealną kopią prawdziwych budowli.

– Kopią? Więc wszystko tutaj jest kopią?

Młody mężczyzna poderwał głowę i Frank po raz pierwszy dostrzegł w jego wzroku chaos. Mieszanie gniewu, strachu i zagubienia. Teraz zaniepokoił się na dobre, więc odwrócił się i odszedł, dokładając wszelkich starań, żeby iść w sposób opanowany, choć jednocześnie ukradkiem rozglądał się za kimś z personelu.

– CZY TO JEST PRAWDZIWE?! – wrzasnął młodzieniec prosto w plecy Franka.

Wszyscy w muzeum zatrzymali się i odwrócili w ich kierunku. Frank także się odwrócił – tylko po to, by przekonać się, że patrzy prosto w otwór lufy automatycznego pistoletu, który tkwił w roztrzęsionej dłoni młodego człowieka. Ujrzał, że tamten płacze; widział strumyczki łez, które spływały mu po policzkach.

– Chcę... żebyś... mi... powiedział... CZY TO JEST PRAWDZIWE?!

– Czy co jest prawdziwe?! – zawołał ogarnięty paniką Frank. Ponad ramieniem nieznajomego widział, jak członek ochrony mówi coś przez walkie-talkie. – Co pan ma na myśli? Most? Czy wszystko dookoła?

– Czy to jest prawdziwe? – powtórzył młody człowiek, tym razem spokojniej, choć jednocześnie wyraźnie wycelował lufę w kierunku Franka.

– Oczywiście, że nie jest prawdziwe! – teraz także Frank krzyczał. – To tylko kopia! To tylko udawanie!

Oczy młodego człowieka rozszerzyły się i Frank czekał już tylko na huk wystrzału. Czas zwolnił, każda sekunda wydawała się buzować od nadmiaru adrenaliny, a on zastanawiał się, czy w ogóle usłyszy odgłos wystrzału, czy może zdąży umrzeć zanim jego mózg zarejestruje ten dźwięk.

– Więc to nie jest prawdziwe? – zaszlochał młodzieniec.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Frank wzdrygnął się, gdy tamten runął w jego kierunku, odepchnął na bok i przedzierając się przez wrzeszczący tłum, popędził w stronę wyjścia.

Nagle poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa i całym ciężarem zawisł na poręczy balustrady. Spoglądał teraz na Köhlbrandbrücke z poziomu jezdni, a cały wymalowany, protestujący ekolog patrzył na niego wyzywająco.

Biura Seamark International znajdowały się w dość stosownym miejscu, to znaczy na terenie Hafencity. Już na pierwszy rzut oka firma prezentowała się całkiem nowocześnie. Biura były nowe i, podobnie jak reszta Hafencity, wychodziły naprzeciw nowemu stuleciu i jego obietnicom. Tym niemniej pomieszczenia wcale nie były duże, składały się z recepcji i zaledwie trzech gabinetów.

– Spodziewałem się, że panowie przyjadą – powiedział Flemming, kiedy Fabel i Werner weszli do środka. – Proszę, siadajcie.

– No więc, *Herr* Flemming, która działalność pańskiej firmy jest bardziej istotna? – zapytał Fabel, kiedy recepcjonistka przyniosła tacę z kawą. – Ochrona żeglugi czy reedukacja członków sekt?

Flemming uśmiechnął się.

– Widzę, że już dowiedzieliście się o moim małym hobby.

– O ratowaniu i uwalnianiu członków sekt? Tak. Bardzo interesująca działalność

zarobkowa.

– Nie robię tego dla pieniędzy. Wystarczy, jeśli zostaną mi zwrócone koszty akcji, choć czasem nawet na to nie mogę liczyć. Ja nienawidzę sekt. Nienawidzę tego, co robią z ludźmi.

– Czy Pharos Project interesuje pana w jakiś szczególny sposób, *Herr Flemming*?

– Ostatnio pewnie tak. Żyjemy w dość dziwnych czasach, *Herr Fabel*. Większość religijnych i duchowych pewników upadła gdzieś po drodze. Chrześcijaństwo, marksizm, nacjonalizm... Wszystko się zmienia, staje się coraz bardziej nowoczesne, globalne, szybsze. Ludzi to przytłacza, więc szukają coraz bardziej abstrakcyjnych pojęć, żeby znaleźć coś w rodzaju drogowskazu. Pharos Project ma dla takich osób doskonałą ofertę, na którą nabierają się zwłaszcza ci najbardziej podatni na wpływy. Osobiście uważam, że Pharos Project jest najbardziej niebezpieczną sektą, jaka istnieje na tej planecie.

– Czyli Kebir sądzi, że Meliha została przez nich zwerbowana i poddana praniu mózgu?

– Niestety nie. Obawiam się, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że Meliha została zamordowana. Ona nie była nowicjuską, była szpiegiem. Ale nie zaprzestaną poszukiwań, dopóki nie zyskamy pewności. Zawsze przecież istnieje szansa, że przetrzymują ją gdzieś w ukryciu.

– Berthold Müller-Voigt był jej kochankiem. Był święcie przekonany, że Meliha odkryła jakąś tajemnicę, której ujawnienie mogłoby bardzo zaszkodzić interesom Pharos Project. Czy pan też sądzi, że faktycznie mogła wpaść na trop czegoś aż tak istotnego?

– Nie wiem. – Flemming wzruszył ramionami. – Może i tak. Prawdę mówiąc, wszedłem w tę sprawę już po fakcie. Ale myślę, że całkiem możliwe, że znalazła jakiegoś haka, albo na Korn-Pharos Corporation, albo na Pharos Project. Z tego, co mi mówiono, Meliha z wielkim zaangażowaniem obnażała działalność rozmaitych fałszywych proroków ekologii.

– Ale ma pan jakieś doświadczenie w zajmowaniu się ludźmi, którzy wcześniej byli związani z Pharos Project? – pytał Werner.

– Dotąd udało się nam uwolnić cztery osoby. W sumie za każdym razem łamaliśmy prawo, ale kiedy uwolniony członek sekty został już „odprogramowany”, okazywało się, że raczej jest nam wdzięczny za interwencję niż skłonny wnieść oskarżenie. Pytał pan, czemu trzymam w sekrecie to, czym naprawdę się zajmujemy. Myślę, że powoli zaczynacie rozumieć, jak bezlitosny potrafi być Pharos Project. Oni nie lubią tracić tych, których omotali, i nie tylko dlatego, że nie podoba im się utrata określonych dochodów; przede wszystkim obawiają się, że byli członkowie prawdopodobnie zechcą opowiedzieć, co naprawdę dzieje się w sekcie.

– A ci, których uwolniliście, mówili coś na ten temat?

– Owszem, lecz sekta została skonstruowana w taki sposób, że każdy ma bardzo ograniczoną wiedzę o całej organizacji. Jednak dodając do siebie kolejne części układanki, zbudowaliśmy obraz pewnych tajemnych aspektów działalności Pharos Project.

– Takich jak...?

– Jak nieuregulowane prawnie eksperymenty przeprowadzane w interfejsie mózg – komputer. Zajmuje się tym dziedzina neurologii, która dziwnym trafem przystaje do dziwnych pomysłów Dominika Korna. Chodzi o mikroprocesory, wszczepiane do mózgow ludzi dotkniętych kalectwem, którzy później podłączani są do zewnętrznych urządzeń. Niewidomi mogą na przykład ponownie zobaczyć obraz poprzez zewnętrzne, sztuczne oko, a ci pozbawieni kończyn zaczynają mieć pełną sensoryczną kontrolę nad protezami i tak dalej... Pracują nad rozwojem specjalnego, komputerowego projektu, który ma pomóc ludziom dotkniętym określonym rodzajem paraliżu. Jestem pewien, że rozumiecie, dlaczego Dominik Korn, biorąc pod uwagę jego stan, zainwestował swój kapitał w ten konkretny obszar badań.

Fabel zorientował się, że wraca myślami do Johanna Reischa, człowieka, który

rozpaczliwie potrzebował takiej właśnie technologii. Ale dla niego na wszystko było już za późno.

– Czyżby pan na serio sugerował, że w Pharos Project przeprowadza się nielegalne operacje na członkach sekty, żeby wynaleźć doskonalszy wózek elektryczny dla Dominika Korna? – zapytał.

– Powinien pan pamiętać, że wielu członków sekty aż nadto chętnie chce wziąć udział w takich badaniach. „Podniesienie” jest uważane za ważki krok na ścieżce prowadzącej do osiągnięcia osobliwości matematycznej.

– Mój Boże... – westchnął Fabel. – Ci ludzie naprawdę dają wiarę tym bredniom?

– Nieważne, jak wyrafinowana jest ich technologia ani ile gotówki mają w zanadru, Pharos Project jest po prostu kolejną, destrukcyjną i znikomą sektą, taką jak wszystkie inne. A to oznacza, że stosuje takie same, sprawdzone chwytaki. Ograniczają swoim członkom ilości przyjmowanych kalorii oraz ilość snu, żeby przytępić ich reakcje. Czasami nawet podają im lekkie środki uspokajające. To wszystko sprawia, że nowi poddani są bardziej wrażliwi na indoktrynację. Problemem, który napotykamy przy „uwalnianiu”, niezależnie od naszych intencji i celów, jest to, że musimy posuwać się do zwykłego uprowadzenia. Potem trzymamy tych ludzi wbrew ich woli w potajemnym miejscu i używamy takich samych technik prania mózgu, jakie wcześniej stosowano w sekcie, tyle że w odwrotnym kierunku. Następnie zwracamy ich rodzinom. To zwykle kończy sprawę, chociaż niektóre sekty podejmują wysiłek, by wytropić swoich byłych członków. W przypadku Pharos Project do tego celu wykorzystywani są Konsolidatorzy, funkcjonariusze Biura Konsolidacji i Dostosowania.

– Czy pańskim zdaniem to właśnie oni wepchnęli mój samochód do Łaby?

– Jestem tego pewien. Krążą plotki, że niektórzy Konsolidatorzy zostali dodatkowo „ulepszeni”, z pewnością jest to kolejny krok na drodze ku Konsolidacji. Chodzi o specjalne implanty wzmacniające słuch, poprawiające wzrok poprzez widzenie w podczerwieni, i inne tego typu bzdury. Osobiście sądzę, że to kolejne oszustwo, do jakiego posuwają się sekty. Nawet Pharos Project nie dysponuje tak wyrafinowaną technologią. Przynajmniej na razie.

– No cóż... – odparł Fabel. – Muszę przyznać, że udało się wam zebrać znakomity materiał wywiadowczy. Chciałem przez to powiedzieć, że wydajecie się rzeczywiście *ekstremalnie* dobrze poinformowani...

– Musimy być. Walczymy z wyjątkowo pokrętnym przeciwnikiem.

– Hmm... – powiedział Fabel z zadumą. – Może przypadkiem zna pan człowieka, który nazywa się Fabian Menke? On pracuje w BfV.

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiedział Flemming, a w wyrazie jego twarzy nie pojawiło się nic, co Fabel mógłby jakoś zinterpretować. – Powinienem go znać?

– Nie. Po prostu pomyślałem, że wasze drogi mogły się kiedyś skrzyżować.

Ledwo zdążyli wyjść z biura Flemminga, kiedy Anna Wolff zadzwoniła do Fabla na komórkę.

– Jan, zdaje się, że namierzylimy Freese’a.

– Szybko wam poszło.

– Szczerze mówiąc, sam nam ułatwił zadanie. Dostaliśmy wiadomość, że jakiś facet idzie Köhlbrandbrücke i strzela na chybił trafił do przejeżdżających kierowców. Zdaje się, że to ten sam gość, o którym nam doniesiono, że wymachiwał pistoletem w muzeum w Speicherstadt. Sądząc z rysopisu, to chyba Freese.

ROZDZIAŁ 33

Köhlbrandbrecke jest majestatycznym mostem drogowym, który spina szerokim łukiem dwie podpory o wysokości stu trzydziestu pięciu metrów, nasuwające skojarzenia z gigantycznymi, odwróconymi kamertonami. Zanim Fabel z Wernerem zdołali tam dotrzeć, policja zamknęła już most dla ruchu. Fabel widział, że mniej więcej siedemset metrów za policyjną barykadą, w poprzek jezdni, stoi thyssen TM 170, opancerzony wóz Polizei Hamburg MEK, oddziału szybkiego reagowania. Jednostka funkcjonariuszy w czarnych hełmach i kamizelkach kuloodpornych wykorzystywała thyssena jako osłonę, kierując broń w stronę samotnej postaci, która stała na przęśle mostu i wpatrywała się w nurt rzeki. Fabel oszacował, że ten człowiek znajduje się mniej więcej na środku mostu, co oznaczało, że od lustra wody dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Muszę się tam dostać – poinformował umundurowanego komisarza, który stał przy barierce i wskazał na opancerzony wóz. – I dajcie mi megafon.

Obaj z Wernerem dostali hełmy i kuloodporne kamizelki, a potem, schylając się, podbiegli do TM 170, podczas gdy dwóch funkcjonariuszy MEK osłaniało ich tarczami z kevlaru od strony uzbrojonego mężczyzny na moście.

– Tylko tego nam tutaj trzeba... turystów – mruknął pod nosem starszy oficer, gdy dwaj detektywi dotarli do opancerzonego wozu.

– Jak leci, Bastian? – spytał Fabel. – Zastrzelełeś ostatnio kogoś, kogo znam?

– Czemu Wydział Zabójstw interesuje się tym kretynem? – Bastian Schwager skinął głową w kierunku postaci na moście.

– Bo przypuszczamy, że właśnie on wykończył kolesia, którego wczoraj wyłowiono z rzeki. Jest kimś w rodzaju eko-terrorysty. Ale poza tym ten facet ma poważne problemy psychiczne. Potencjalnie może przejawiać skłonności samobójcze.

– Jeśli jeszcze raz zaczniesz wymachiwać w naszą stronę pistoletem, Janie, to chyba oszczędzę mu kłopotów.

– Posłuchaj, Bastian... Ten człowiek jest naszym kluczowym świadkiem – odparł Fabel. – Naprawdę muszę z nim porozmawiać. Czy możemy podsunąć się trochę bliżej?

– Żeby stać się łatwiejszym celem? Nie wydaje mi się. Z tego, co mówiłeś, Jan, on stanowi zagrożenie nie tylko dla siebie. I nieważne, czy jest psychicznie chory, czy też nie. Schwager westchnął i wskazał palcem megafon.

– Okay, spróbuj przez to urządzenie. Zaznacz, że przesuwamy samochód wyłącznie dlatego, żebyś mógł słyszeć, co on ci odpowie.

– Niels... – nastąpiło sprzężenie zwrotne i megafon zaskowyczał rozpaczliwie, więc Fabel szybko odsunął go nieco dalej od ust. – Niels... Mówi Główny Nadkomisarz Fabel z Polizei Hamburg. Chcę z tobą porozmawiać. Chciałbym jednak usłyszeć, co mi odpowiesz, ale stąd to niemożliwe. Jestem za daleko. Dlatego chcemy przesunąć ten samochód bliżej ciebie. Nikt nie ma zamiaru cię zastrzelić ani spróbować cię pochwytać. Chcemy tylko porozmawiać. Jeśli się zgadzasz, wyciągnij w górę prawą rękę.

W odpowiedzi Niels odkrzyknął coś niezrozumiałego.

– Nie słyszę cię, Niels. Podnieś rękę, jeśli zgadzasz się, żebyśmy podeszli bliżej.

Sylwetka na moście nie poruszyła się, trzymając w bezwładnej dłoni pistolet i wbijając spojrzenie w kłębiącą się pięćdziesiąt metrów niżej wodę.

– Niels?

Postać na parapecie mostu nadal tkwiła bez ruchu, a potem, po upływie czasu, który

zdawał się trwać całą wieczność, niezdecydowanie podniosła prawą rękę.

Bastian Schwager warkliwie rzucił rozkazy tym, którzy byli na tyle blisko, że mogli go usłyszeć, a następnie powiedział coś przez radio. TM 170 zawarczał i potoczył się do przodu, a ukryci za jego boczną ścianą funkcjonariusze z MEK, Fabel i pozostali oficerowie wyprostowali się i powoli ruszyli przed siebie. Kiedy wóz zatrzymał się, strzelcy wyborowi ponownie wycelowali broń w stronę Nielsa, który teraz znajdował się zaledwie dwadzieścia metrów od nich.

– Niels! – Fabel zawołał natychmiast, gdy tylko ucichło warczenie silnika. – Chcę, żebyś stamtąd zszedł. Musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Niels przez chwilę nie odpowiadał; stał zwrócony plecami do Fabla i nadal wpatrywał się w płynącą w dole rzekę.

– Chcesz, żebym powiedział ci coś śmiesznego? – odezwał się w końcu Niels. – Kiedyś strasznie bałem się wody. Bałem się też wysokości. Bardzo śmieszne, prawda?

– Niels... – Fabel starał się mówić spokojnie i bez emocji. – Musisz odłożyć ten pistolet. Trzymając go w ręku, sam wystawiasz się na niebezpieczeństwo. Chcę, żebyś go odłożył.

– To? – Niels wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem i popatrzył na niego tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

Fabel wyczuł, że strzelcy z MEK szykują się do oddania strzału i poderwał do góry dłoń, żeby ich powstrzymać.

– Myślałem, że już go wyrzuciłem... Właściwie to myślałem, że go wyrzuciłem, kiedy wyrzucałem go ostatnim razem. Nie mam pojęcia, czyj to jest pistolet. Może ten pierwszy był... Zresztą i tak go już nie potrzebuję.

Niels rozpostarł palce, pozwalając, żeby pistolet wysunął się z jego dłoni. Broń z brzękiem uderzyła o parapet i zniknęła za krawędzią mostu.

– Ostatnim razem zrobiłem tak samo – powiedział.

Kiedy Niels nie stanowił już zagrożenia dla nikogo poza sobą, Fabel i inni oficerowie wysunęli się zza osłony TM 170, a Bastian Schwager wydał rozkaz, żeby wszyscy poza jednym strzelcem opuścili broń.

– W porządku, Niels, to była dobra decyzja – powiedział Fabel. – A teraz proszę cię, żebyś zszedł z balustrady, zanim spadniesz.

– Nie. Nie zrobię tego. Chcę zostać tu, gdzie jestem. Z tej wysokości o wiele więcej widać. Pod każdym względem więcej. Nie sądzisz, że to zabawne? No wiesz, to co mówiłem, że kiedyś bałem się wody i wysokości. Czy to nie jest śmieszne, że stoję tutaj, tak wysoko i tuż nad wodą, i że wcale się nie boję? Jak myślisz, ile jest stąd do powierzchni rzeki?

– Nie mam pojęcia. Jakies pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć metrów. Wystarczająco wysoko, żeby mieć pewność, że będziesz martwy, jeśli się ześlizgniesz, więc może lepiej jednak spróbuj zejść z tego przęsła?

Niels oderwał spojrzenie od rzeki i popatrzył na panoramę miasta.

– Wiesz, to prawdziwa zbrodnia, że ten most jest zamknięty dla pieszych. Stąd roztacza się taki wspaniały widok. Ale taki właśnie jest ten świat, w którym żyjemy. Samochód jest bogiem... – Urwał nagle, jakby coś go zaniepokoiło. – Jeśli to w ogóle jest świat, w którym żyjemy. Tak mi się zdawało, ale znów się pogubiłem. Może tak naprawdę to zupełnie inne miejsce. Wcześniej wszystko sobie uporządkowałem w głowie, a teraz znowu mi się poplątało, i nie wiem, co jest czym.

– Niels, mnóstwo spraw ci się poplątało. Jesteś zmęczony i zagubiony. Czemu nie chcesz do mnie przyjść, żebyśmy o tym porozmawiali? Może uda się nam wszystko wyprostować?

– Nie pójdę, bo nie chcę. Bo ty zabierzesz mnie gdzieś, gdzie wcale nie chcę iść. Gdzie

nie będę mógł patrzeć na rzeczy, które chcę oglądać, ani iść tam, dokąd mam ochotę.

– Niels, dlaczego zamordowałeś Daniela Föttingera?

– Kogo?

– Tego człowieka, który spłonął w Schanzenviertel.

– Ach tak, pamiętam... Bo mi kazano. Bo on był wrogiem Gai.

– Ale przecież on pracował nad projektami, nad technologiami, które miały pomóc chronić planetę!

– To nie ma znaczenia – odparł Niels obojętnym tonem i wzruszył ramionami; nadal całym sobą chłonął widok, który się przed nim roztaczał. – On robił pewne rzeczy. Złe rzeczy. Rzeczy, które mogły zaszkodzić całemu ruchowi.

– Jakie rzeczy, Niels?

– Och, nie wiem. – Niels z powrotem skierował spojrzenie na płynącą pod nim rzekę. – Jak uważasz, czy woda jest jak lustro? Czy tam pod spodem rzeczywiście istnieje świat, który jest doskonałą kopią naszego świata?

– Nie, Niels, wcale tak nie uważam. Powiedz mi, kto kazał ci zabić Föttingera?

– Komendant. A jemu kazali to zrobić ci w szarych garniturach, jak sądzę. Tak, myślę, że to właśnie jest prawda.

Niels nagle stał się bardzo ożywiony, jakby udało mu się rozwiązać jakąś trudną zagadkę.

– Nie... To jednak ma sens. Wszystkie moje uczucia i wszystko dookoła tak naprawdę nie jest prawdziwe. Rozumiesz? To nie jest rzeczywistość. Prawdziwy świat znajduje się po drugiej stronie wody. To *my* jesteśmy pod powierzchnią. – Skinął głową w dół, w stronę rzeki. – Prawdziwy świat jest tam, na dole... To znaczy, na górze...

– Niels, musisz się skoncentrować. Kim są ci w szarych garniturach? Kim są ludzie, którzy wydali twojemu komendantowi rozkaz, żeby zabić Daniela Föttingera?

Zdawało się, że Niels nie słyszy ani słowa z tego, co mówił Fabel. Jak urzeczony wpatrywał się w oddaloną o kilkadziesiąt metrów powierzchnię wody.

– Nie rozumiałem tego wcześniej, ale teraz wszystko ma sens. Zawsze wiedziałem, że to tylko jakaś kopia. Że ja sam jestem tylko czymś w rodzaju kopii. Prawdziwy świat i prawdziwy Niels są tam...

Fabel wyczuł, że Niels przesunął się nieco, i nieprzyjemny skurcz ścisnął mu żołądek.

– Niels, posłuchaj mnie... To *tutaj* jest prawdziwy świat. Uwierz mi, że tam na dole nie czeka cię nic poza śmiercią... A teraz proszę, czy zechcesz do mnie przyjść, żebyśmy mogli wszystko poukładać na nowo?

Po raz pierwszy Niels odwrócił głowę, żeby spojrzeć Fabelowi prosto w twarz.

– Nie, moim zdaniem to ty jesteś w błędzie. Nie winię cię za to, ponieważ wszystko tu wygląda bardzo przekonująco. Wszystko zostało idealnie odtworzone, ale mimo to nie wierzę, że to jest prawdziwy świat. Prawdziwy świat jest po drugiej stronie wody. Najlepiej pójdę tam i sprawdzę...

Mówiąc to, Niels wysunął się o krok do przodu i zniknął Fabelowi z oczu.

Reszta oficerów podbiegła do barierek, żeby popatrzeć w dół. Fabel pozostał na miejscu. Nie chciał zobaczyć zwłok Freese'a, unoszących się na oleistej, ciemnej powierzchni Łaby. W ten sposób część jego duszy nadal mogła wierzyć, że życzenie Nielsa zostało spełnione i po prostu przeniósł się do innej rzeczywistości.

Do takiej, która okaże się bardziej dla niego łaskawa. Gdzie będzie mógł widzieć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

ROZDZIAŁ 34

Dochodziła siódma. Fabel zapatrzył się w poranne niebo. Przypominało to trochę oczekiwanie na bardzo spóźnioną przesyłkę, w końcu jednak pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącej wiosny. Był jasny, ciepły poranek, a na niebie ani śladu chmur.

– Wspaniała pogoda, prawda? – odezwała się Anna.

– Szkoda, że tak późno – odpowiedział, zapinając boczne klamry kamizelki kuloodpornej z kewlaru. – Czy jesteśmy gotowi?

Cały zespół – Anna, Werner, Dirk i Thomas – zgodnie pokiwał głowami. Tylko Nicola Brüggemann wciąż walczyła ze swoją kamizelką.

– Boże, czyżbym była jedyną osobą w Polizei Hamburg, która ma CYCKI? – wrzasnęła w końcu w stronę dowódcy oddziału MEK, który dostarczył wyposażenie, a następnie odwróciła się do Fabla. – To gównu najwyraźniej zostało zaprojektowane przez jakiegoś faceta.

Jeszcze przez chwilę klęła jak szewc, aż w końcu udało się jej docisnąć klamry.

Oprócz zespołu Fabla w dzisiejszej operacji brała udział grupa ośmiu komandosów z MEK-u, a także Fabian Menke oraz jeszcze dwóch funkcjonariuszy BfV. Potężna furgonetka więzienna stała z tyłu za samochodami. Zaparkowali niedaleko za rogiem ulicy, od squata, do którego zmierzali, ale Fabel wiedział, że i tak będą musieli się pośpieszyć. Wieść o obecności policji w Schanzenviertel mogła rozprzestrzenić się w zdumiewająco szybkim tempie, nawet o tak wczesnej porze.

– Był jakiś ruch? – spytał dowódcę oddziału.

Zrujnowany dom znajdował się pod dyskretnym nadzorem nieoznakowanej jednostki policji od wczorajszego popołudnia, czyli od czasu, kiedy Niels Freese wykonał skok do Łaby. Fabelowi jakimś cudem udało się nie dopuścić do tej sprawy przedstawicieli prasy, i to pomimo zaangażowania w akcję dużej ilości sił policyjnych oraz zamknięcia mostu dla samochodów. Istniała pewna niepisana umowa między policją a prasą, by samobójstwa na Köhlbrandbrücke raczej wyciszać, tak na wszelki wypadek, żeby most nie zaczął cieszyć się zbyt dużą popularnością wśród osób, które zamierzają odebrać sobie życie.

– Niewielki. Pół godziny temu przyjechała jakaś kobieta i sama wpuściła się do środka. Dziwna sprawa, była elegancko ubrana i wyglądała zupełnie inaczej niż męty, które zwykle kojarzą się człowiekowi z takim miejscem.

– Czy wyszła stamtąd? – spytał Fabel.

– Nie. Nadal jest w środku.

– Czy wszyscy wiedzą dokładnie, co mamy robić? – Odwrócił się w stronę zespołu.

Odpowiedziało mu zbiorowe potakiwanie.

– Nie powinno być żadnych kłopotów – zauważył Menke. – Jak dotąd Strażnicy Gai zajmowali się głównie gadaniną. Nie mamy powodów, by przypuszczać, że są uzbrojeni. Choć biorąc pod uwagę ich rosnącą wojowniczość, na pewno lepiej się zabezpieczyć.

Fabel skinął głową.

– No dobrze – powiedział, zwracając się do całego zespołu. – Kiedy tam wejdziemy, aresztujecie każdego, na kogo trafimy. Poważacie na ziemię, zakuwacie w kajdanki, przeszukujecie, a potem przekazujecie w ręce chłopców z więźniarki. Wszyscy widzieliście zdjęcie Jensa Markulla. To nasz główny cel. To on był łącznikiem pomiędzy Freesem a tymi, którzy zlecili morderstwo Daniela Föttingera. Nicola, chcę, żebyś zabrała Thomasa i Dirka, razem z paroma chłopcami z MEK okrążyła dom i weszła tylnym wejściem. Reszta idzie ze mną do frontowych drzwi. Anno, ty zostaniesz z chłopakami z więźniarki.

– Chyba żarty sobie ze mnie stroisz?
– Nie stroję sobie żartów, komisarz Wolff. Masz pozostać na wyznaczonym stanowisku.
– Słuchaj, ja nie dam się znów postrzelić, obiecuję. Pod żadnym pozorem nie zamierzam dopuścić do tego, żeby ktoś mnie zranił. Najgorszą rzeczą, jaką mogą nam zrobić te świrusy, to obrzucić nas soczewicą.

– Anno, nie próbuj mnie zmiękczyć.
– Okay – zrobiła zrezygnowaną minę.
– Pamiętajcie, że chcę wyciągnąć ich z nory najszybciej, jak się da – Fabel znowu odwrócił się do zespołu, powtarzając jeszcze raz to, co mówił na odprawie. – To nie oni interesują mnie najbardziej, lecz każdy dowód, który uda się nam przechwycić. Odkąd Freese postanowił dać nura do Łaby, potrzebujemy czegoś, co pozwoli nam powiązać Strażników Gai i Pharos Project z morderstwem Föttingera. Nie wolno dopuścić do tego, żeby wyczyścili dane albo zniszczyli jakieś dokumenty. I pamiętajcie, że naszym priorytetem jest Jens Markull.

Menke poinformował Fabla, że zwykle ktoś stoi na czatach w budynku, i dlatego też zdecydowali się nie podchodzić tam pieszo. Na dany przez radio sygnał wszystkie auta ruszyły, wyjechały z za rogu i z piskiem opon zatrzymały się tuż przed budynkiem. Więźniarka zjawiała się parę sekund później, co dało policjantom wystarczająco dużo czasu, żeby wyskoczyć z samochodów i popędzić do wejścia. Przed nimi posuwał się oddział MEK. Dwóch komandosów uderzyło w drzwi, a solidne dębowe skrzydło ustąpiło ze zdumiewającą łatwością.

Fabel wpadł do wnętrza zaraz za ubranymi na czarno komandosami.

– Polizei Hamburg! – wrzasnął na cały głos.

Z tyłu domu dobiegł go łomot pękającego drewna; wiedział, że to druga część zespołu wtargnęła do środka. Na parterze znajdowały się cztery obskurne pokoje. Nie zastali w nich żadnego wartownika, jedynie trzech mężczyzn i kobietę, śpiących na rozrzuconych na podłodze materacach, którzy zostali brutalnie obudzeni, siłą postawieni na nogi i zakuci w kajdany. Wszyscy byli niedomocy, niedożywieni, i wyraźnie przerażeni gwałtownością napadu. Fabel pospiesznie przyjrzał się twarzom tych ludzi – byli zdecydowanie za młodzi, żeby któryś z nich mógł być Jensem Markullem.

– Gdzie jest Markull? – warknął do dziewczyny, ale ona tylko pogardliwie splunęła w jego stronę.

Z piętra doleciał jakiś dźwięk.

– Henk, idziesz ze mną. Ty też – zawołał Fabel do jednego z komandosów.

Przeskakując po trzy stopnie, wpadli na górne piętro. Kolejne cztery pokoje. Fabel skinął na Henka, Henk zaś razem z komandosem z MEK kopnięciem rozwalili drzwi znajdujące się najbliżej podestu. Nic. Po chwili rozległ się następny dźwięk.

– Tam! – wrzasnął Fabel i kopnął w sąsiednie drzwi.

Wtargnięcie do pokoju zabrało mu mniej niż sekundę, i w tak krótkim czasie jego umysł nie zdołał przyswoić wszystkiego, co tam ujrzał. Ten pokój w niczym nie przypominał pozostałej części domu. Był nienagannie czysty, a znajdujące się w nim rzędy kosztownych komputerów wypełniały przestrzeń cichym pomrukiem. Okna zostały całkowicie zabite deskami, lecz mimo to pokój oświetlony był rześzystym blaskiem. Fabel natychmiast rozpoznał Jensa Markulla. Siedział za ogromnym biurkiem i patrzył wprost na Fabla, choć było oczywiste, że nikogo nie jest już w stanie zobaczyć. Jego czaszka z jednej strony została całkowicie zmiażdżona, zaś ciemne, kręcone włosy zlepily się ciemnoczerwoną krwią, zmieszaną z fragmentami mózgu. Wyglądało na to, że Markull najpierw został zamordowany, a następnie z powrotem posadzony na krześle.

Na samym środku pokoju stała młoda kobieta. Fabel od razu ją rozpoznał; miała na sobie ten sam szary, biznesowy garnitur, który nosiła tamtego pamiętnego wieczora, gdy spotkał ją na

terenie doków i podała mu nazwisko martwej kobiety, którą niebawem mieli odnaleźć.

– Nie ruszaj się z miejsca!

Fabel wycelował w nią lufę SIG-Sauera, lecz na jej twarzy nie pojawił się nawet ślad przerażenia, agresji czy strachu. Zwyczajnie stała na środku pomieszczenia, wpatrując się w Fabela oczyma, które zdawały się niemal tak samo martwe jak oczy Markulla. W rękę ścisnęła jakiś przedmiot. To nie był pistolet, lecz coś znacznie mniejszego. Coś, co kształtem przypominało pilota do telewizora.

Fabel nagle zdał sobie sprawę, że tuż za jego plecami pojawił się oficer z MEK-u. W mgnieniu oka komandos chwycił go za kołnierz kewlarowej kamizelki i gwałtownie pociągnął z powrotem za drzwi, na podest schodów. Fabel już chciał zaprotestować, gdy usłyszał jego krzyk.

– Bomba! – wrzasnął do Henka i do każdego, kto mógł go usłyszeć.

We trzech zdołali zbiec do połowy klatki schodowej, gdy nastąpiła eksplozja. Fabel poczuł w tej samej chwili, że ktoś ugodził go w lewe ucho czymś gorącym i ostrym, i że świat usuwa mu się spod stóp.

Razem z resztą roztrzaskanych schodów spadli na poziom parteru. Nagle Fabel zorientował się, że pochyla się nad nim Werner, a potem Anna. Miał wrażenie, że ktoś gwizdze mu prosto w ucho jakiś cholernie wysoki dźwięk, i że mocne kopnięcie wyrwało mu z płuc cały zapas powietrza. Ale przynajmniej wiedział, że jest w jednym kawałku, podobnie jak pozostali.

– Dzięki – zwrócił się do młodego oficera z MEK-u, kiedy wspólnie pomagali sobie stanąć na równe nogi.

– Lepiej wynośmy się stąd – odparł komandos. – Tu mogą być inne ładunki, więc będzie potrzebny oddział saperów. Musimy jak najszybciej wyprowadzić wszystkich na zewnątrz.

– Jasne – odparł Fabel, chociaż domyślał się, że nie znajdą w squalu już żadnych innych bomb. Ta na górze miała wystarczającą moc, by wypełnić swoje zadanie, to znaczy zniszczyć wszystkie komputery i znajdujące się na twardych dyskach dane.

Wybiegając na zewnątrz, Fabel nie mógł wyrzucić z pamięci twarzy młodej kobiety, która odpaliła ładunek wybuchowy. Z pewnością nie przyszła tutaj po to, by umrzeć.

– No to zabieram zabawki i wracam na swoje podwórko – mruknęła Anna, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości.

Z górnego piętra wydobywały się kłęby czarnego dymu. Fabel domyślił się, że w bombie musiało znajdować się jakieś urządzenie zapalające.

– Jesteś pewien, że nic ci się nie stało?

– Później to sprawdzę.

– O Boże, Janie, to był zamachowiec samobójca – zawołała. – Ci ludzie są równie niebezpieczni jak islamscy terroryści.

– Anno, nikt tu raczej nie planował samobójczego zamachu. To była ta sama kobieta, która podeszła do mnie wtedy na terenie doków. Nie sądzę, by zamierzała zginąć w tym miejscu. Przyszła tutaj, żeby raz na zawsze uciszyć Jensa Markulla... i żeby zniszczyć dowody. Na pewno chciała stąd wyjść i odpalić bombę z pewnej odległości.

Fabel ostrożnie przycisnął palce do ucha, a potem obejrzał je. Ani śladu krwi. Błona bębenkowa była nietknięta.

– Szkoda, że nie widziałaś, jaki sprzęt komputerowy stał w tamtym pokoju – powiedział.

– Cholernie nowoczesne oprzyrządowanie, na jakie Strażnicy Gai na pewno nie mogliby sobie pozwolić. Markull najwyraźniej miał kogoś, kto go wspierał i kto teraz postanowił zerwać spółkę. Uważam, że ta kobieta walnęła go w głowę, a następnie posadziła na krześle, żebyśmy uznali jego obrażenia za efekt wybuchu bomby. To miało wyglądać tak, jakby coraz bardziej

radikalni Strażnicy Gai zaangażowali się w konstruowanie ładunków wybuchowych, a Markull sknocił montowanie urządzenia.

Fabel przez chwilę wpatrywał się w płonący budynek.

– Przegrupuj oddział – Jego głos był nieugięty. Pełen determinacji. – Nie możemy pozwolić, żeby to niepowodzenie nas powstrzymało.

– Więc robimy wszystko dokładnie tak, jak było zaplanowane? – zapytał Werner.

– Tak jest. Uderzamy w Pharos Project.

Fabel doskonale wiedział, że tamci zawczasu zauważą ich przybycie. Istniały tylko dwie możliwości, żeby dostać się do Pharos: rzeką, albo drogą, która biegła wzdłuż wybrzeża. W obu wypadkach nie było mowy, żeby zbliżyć się ukradkiem; zmierzająca w stronę Pharos policja była widoczna z odległości przynajmniej pół kilometra. W tej operacji szybkość odgrywała zasadniczą rolę; każda sekunda oznaczała utratę kolejnych danych, co wydatnie zmniejszało liczbę dowodów, możliwych do przedstawienia potem w sądzie.

Poprowadził odprawę dla swoich ludzi, a potem jeszcze raz przegrupował zespoły. Od spartaczzonego napadu na squat Strażników Gai upłynęło już pięć cennych godzin i Fabel obawiał się, że ci z Pharos Project spodziewają się policyjnej obławy w każdej chwili. Jego własny zespół otrzymał wsparcie oficerów z MEK-u, zarówno z Polizei Hamburg, jak i Polizei Niedersachsen, a Policja Portowa zamierzała przeprowadzić atak od strony wody. Fabel nie miał powodów przypuszczać, że ich akcja spotka się ze zbrojnym oporem, ani że tak zwani Konsolidatorzy, odpowiedzialni za ochronę Pharos, będą uzbrojeni, lecz – jak podkreślał podczas odprawy – w niedawnej przeszłości można znaleźć przykłady mnóstwa sekt, które w obliczu zagrożenia posuwały się do morderstw lub samobójstw. Za nic nie mógł dopuścić do tego, by ta operacja zamieniła się w niemieckie Waco⁵.

Na miejscu był Menke razem z całym swoim zespołem zaangażowanym w śledztwo w sprawie Pharos Project. Fabel ściągnął nawet Krögera i pozostałych oficerów z Wydziału Cyberprzestępczości. Ich zadanie polegało na odzyskaniu maksymalnej ilości danych, i to najszybciej jak się da. Fabel wiedział doskonale, że Pharos Project z pewnością dysponuje oprogramowaniem do czyszczenia zawartości twardych dysków, które przeznaczone jest do zastosowania w takich właśnie okolicznościach.

Fabel, Werner i Brüggemann wsiedli na pierwszą z łodzi należących do policji portowej. To była szybka, pompowana powietrzem jednostka o sztywnej konstrukcji, która pruła przez rzekę, wysoko unosząc dziób i podskakując na najmniejszej nawet fali. Mała flotylla trzymała się blisko brzegu, żeby pozostać niezauważoną tak długo, jak tylko się da.

– Wszystko dobrze, Janie? – zawołał Werner, przekrzykując skowyt silnika.

Fabel siedział skulony, zaciskał zęby i kurczowo wbijał palce w krawędź swojego krzeselka.

– Nic mi nie jest. Po prostu niezbyt dobrze czuję się na wodzie.

Od strony rzeki Pharos sprawiał jeszcze bardziej imponujące wrażenie. Łódź zatoczyła niewielki łuk, wpływając pomiędzy dwie z dwunastu podtrzymujących kolumn, i pod wystające nad lustro wody piętro, gdzie, jak wiedział Fabel, Peter Wiegand miał swój gabinet.

Mniej więcej w centralnej części budynku znajdował się niewielki falochron. Dwaj ubrani w szare garnitury Konsolidatorzy beznamietnie obserwowali, jak zbliżają się do nich policyjne łodzie. Jeden z nich coś mówił, ale nie zwracał się do kolegi, więc Fabel domyślił się, że wiadomość o ich przybyciu została przekazana dalej.

Gdy dobili do falochronu, Fabel przez radio odebrał wiadomość od Anny, że jej zespół właśnie przekroczył centralną bramę i kieruje się w stronę głównego wejścia.

Oficerowie z MEK zabezpieczyli falochron, obracając obu Konsolidatorów do ściany

i sprawdzając, czy nie mają przy sobie broni. Nie mieli.

– To nie znaczy, że inni nie są uzbrojeni – ostrzegł Fabel. – Nie ryzykujcie.

Policyjna obława zawsze wiąże się z zastosowaniem pewnej przemocy, użycie siły jest nieuchronne, bowiem nadrzędnym celem jest przejęcie kontroli nad sytuacją. Dla niewinnego przechodnia, który przypadkiem trafił w sam środek zamieszania, a także dla większości kryminalistów, takie doświadczenie jest traumatycznym przeżyciem; mimo to, gdy Fabel maszerował przez budynek, obezwładniając przy użyciu siły kolejnych Konsolidatorów, których spotkał po drodze, pozostali członkowie sekty obserwowali poczynania policji z absolutną biernością. Nie było mowy o wybuchu paniki. Jeszcze bardziej niepokoiło Fabla to, że nikt nie schylał się nad monitorem komputera, desperacko starając się wykasować jakieś dane.

Peter Wiegand oczekiwał ich tam, gdzie rozmawiali ostatnim razem, to znaczy w swoim gabinecie. Z wystudiowanym spokojem siedział za wielkim biurkiem, zaś szef ochrony, Baedorf, z założonymi rękoma stał u jego boku, jak lokaj czekający na rozkazy swego pana.

– Rozumiem, *Herr* Fabel, że wpadł pan na tę pogawędkę, o której wspominał pan ostatnim razem – oznajmił z uprzejmym uśmiechem, który sugerował, że uważa Fabla za nieco nudnawego natręta. – Tę, która miała się odbyć w pańskim biurze...

Peter Wiegand jakimś sposobem zdołał podtrzymać wrażenie, że nadal ma władzę, i że wciąż jest panem swojego otoczenia, mimo że ograniczało się ono teraz do jednego z pokojów przesłuchań w Komendzie Policji Hamburga. Wydawał się opanowany i schludny, jak zawsze. Ta wykwintność nie ograniczała się jedynie do kroju garnituru; jego kozia bródka była nienagannie przystrzyżona, a ogolona na łyso głowa błyszczała jak wypolerowana. Wiegand był niewysokim i przysadzistym mężczyzną, a jego sposób poruszania się sugerował fizyczną sprawność.

Obok Wieganda siedziała atrakcyjna kobieta tuż po czterdziestce. Miała włosy w żółtawym kolorze, zaplecione z tyłu głowy we francuski warkocz, i nosiła kostium, który z pewnością nie zawierał ani jednego syntetycznego włókna, i zapewne kosztował więcej niż Fabel zarabiał przez cały miesiąc. Od razu ją rozpoznał: Amelie Harmsen nie należała do tych przedstawicieli prawa, z którymi zwykle miewał do czynienia. Zaliczała się do grona najznamienitszych prawników Hazeatyckiego Miasta, i zajmowała się raczej wygrywaniem wysokich odszkodowań dla swoich sławnych klientów niż zaciekle walczyła w sprawach kryminalnych. Harmsen z pewnością nie była wyszkoloną ideologicznie członkinią Pharos Project; przyszła tutaj, by reprezentować Wieganda milionera, a nie Wieganda lidera sekty.

– Chcę wiedzieć, jak długo zamierza pan przetrzymywać mojego klienta, panie nadkomisarzu – spytała. – A jeśli jest coś, o co zamierza pan oskarżyć Wieganda, to wołałabym to usłyszeć. Teraz.

– Podobnie jak ja, *Herr* Fabel – odezwał się Wiegand tonem, w którym pobrzmiewała ta sama lekko znudzona obojętność.

Fabel uśmiechnął się uprzejmie. Dał znak i Werner podał mu teczkę z aktami, którą Fabel starannie ułożył przed sobą na stole, a następnie zaczął przerzucać jej zawartość.

– Wiecie państwo, to bardzo zajmująca lektura – oznajmił ze swadą i zwrócił się do Wieganda. – Czy wiedział pan, że Daniel Föttinger studiował filozofię na Uniwersytecie Hamburskim?

– Nie, *Herr* Fabel. Nie wiedziałem.

– Naprawdę? Osobiście mógłbym przysiąc, że pan i on rozmawialiście o takich sprawach. Ostatecznie Pharos Project opiera się przecież na filozofii umysłu, zgadza się pan ze mną?

Wiegand nic nie odpowiedział. Zamiast tego mierzył Fabla lodowatym, pogardliwym spojrzeniem.

– Co prawda nie radził sobie zbyt dobrze na tych studiach – mówił dalej Fabel. – Z tego, co udało mi się odkryć, miał skłonność do tego, by nieco zbyt mocno koncentrować się na jednym, wybranym aspekcie filozofii. Można powiedzieć, że stało się to jego obsesją. Najwyraźniej brak mu było dyscypliny intelektualnej. No i wystarczającej *dokładności*. Uważano, że jego rozprawy są zbyt ograniczone i oparte na niewłaściwych badaniach. Spójrzmy na to: praca miała być ogólną eksploracją teorii idei Platona, ale zmieniła się w bardzo niespójną rozprawę o platońskiej symulacji rzeczywistości. – Fabel przerzucił kilka następnych kartek. – Jednak naprawdę interesująco zaczyna się robić wówczas, gdy Föttinger rozpoczyna dyskusję na temat *qualia*. Co prawda nie jestem filozofem, ale zdaje mi się, że termin *qualia* dotyczy zmysłowego poznawania świata, tego, jak postrzegamy nasze otoczenie.

– Czy w tym pańskim opisie, *Herr* Fabel, zawarł pan równie szczegółowo opisane pojęcie nudy? – spytał Wiegand ze znużeniem. – Naprawdę mam nadzieję, że zmierza pan do jakiejś puenty.

– No cóż, proszę pozwolić, że wyłożę to w ten sposób. Ja czuję, że poprzez te notatki ujawniła się nam osobowość Daniela Föttingera. Ostatecznie w filozofii chodzi o to, żeby odnaleźć sens w jednostkowym doświadczeniu świata. Föttingera interesowała bardzo osobliwa koncepcja, pokrewna *qualii*: koncepcja „filozoficznego zombie”. To idea, którą wyznaje się w pewnych obszarach filozofii, która mówi o tym, że tylko mniejszość żyjących na świecie ludzi jest faktycznie prawdziwa; że niektórzy ludzie, w rzeczywistości większość, nie istnieją w prawdziwym sensie tego słowa. Reagują na bodźce w sposób, jakiego się od nich oczekuje, wyrażają uczucia żalu, bólu, gniewu, miłości, ale w rzeczywistości nie *czują* tego, ponieważ nie posiadają autentycznej wrażliwości na bodźce zmysłowe.

– I jaka jest ta puenta? – rzuciła prawniczka Wieganda.

– Po prostu taka, że te notatki wskazują, jak dalece Daniel Föttinger opętany był taką wizją świata. Otóż rozmawiałem z wieloma osobami na temat Föttingera i udało mi się nieco wniknąć w jego osobowość. I muszę stwierdzić, że to nie była sympatyczna osobowość. Sądzę, że jako student dał się omotać tamtym ideom, ponieważ one dość dobrze pasowały do tego, w jaki sposób on sam odczuwał i pojmował świat.

– Czyli... – wtrącił Wiegand.

– Föttinger uważał, że ludzie tak naprawdę wcale się nie liczą. Był osobą całkowicie pozbawioną empatii. Po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, że inni mogą posiadać taki sam rodzaj świadomości jak on... – Fabel zamknął akta. – Krótko mówiąc, Daniel Föttinger w jakimś sensie był socjopatą.

– Ale co to ma wspólnego z moim klientem? – zapytała Harmsen.

– Zaraz do tego dojdę. Socjopatia jako zaburzenie osobowości jest znacznie częściej spotykana, niż się powszechnie sądzi. Łagodna postać socjopatycznej osobowości jest zapewne czymś, co daje przewagę w świecie korporacji: „bezlitosny biznesmen” to bardzo często ktoś, kto jest w najwyższym stopniu egocentryczny i ślepy na uczucia innych. Z tego, co udało mi się odkryć, Daniel Föttinger z pewnością był takim właśnie biznesmenem, dokładnie takim, jak przed nim był jego ojciec. Daniel nie był idealnym kandydatem do zwerbowania do Pharos Project, ale wśród członków pańskiej organizacji była już jego niesamowicie bogata żona, pan zaś potrzebował, by firma Föttingera współdziałała w harmonii z Korn-Pharos Corporation. Nie wiem tego na pewno, ale zapewne pańskie intencje były takie, że kiedy Daniel przejdzie wystarczająco efektywne pranie mózgu, Föttinger Environmental Technology będzie mogło zostać wchłonięte przez imperium Korna.

– Wciąż nie rozumiem... – zaczęła prawniczka Wieganda.

– Pańskie techniki prania mózgu podziały na Föttingera pewnie głównie dlatego, że

koncepcja wirtualnego świata zaludnionego przez posiadające świadomość programy idealnie współgrała z jego wypaczonymi ideami. Ale Föttinger był trochę solą w oku, prawda, *Herr Wiegand*? Przypuszczam, że dlatego, że jego zachowanie stawało się coraz bardziej niepokojące i trudne do przewidzenia. Tak samo domyślam się, że być może powoli zaczął pan dostrzegać pewne problemy, nie podobało się panu na przykład, w jaki sposób Föttinger traktuje kobiety, które należą do pańskiej niezbyt licznej grupy... – Fabel urwał na chwilę. – Pewnie jest pan ciekaw, Wiegand, co to wszystko ma wspólnego z pańską osobą? Zaraz panu powiem. Do pańskiej organizacji przeniknęła młoda aktywistka ekologiczna i dziennikarka, publikująca swoje odkrycia w internecie, przedstawiająca się jako Meliha Yazar. W jakiś sposób udało się jej dotrzeć do najgłębszych tajemnic Pharos Project. Tam dokonała rewolucyjnego odkrycia. Dowiedziała się o czymś tak ważnym, że ujawnienie tego mogłoby oznaczać klęskę całej organizacji. A ponieważ pozyskała tę wiedzę, kazał pan ją zabić. Później, dlatego, że istniała obawa, że zdążyła się podzielić informacją ze swoim kochankiem, Bertholdem Müllerem-Voigtem, kazał pan zamordować również jego. Zaplanował pan nawet to, żeby mnie zepchnąć z nabrzeża wprost do Łaby, ponieważ sądził pan, że jestem coraz bliżej poznania prawdy. Zresztą tu miał pan rację.

– Czy w takim razie zechce pan nas oświecić... – poprosił Wiegand.

Fabel widział, że miliarder wcale nie wygląda na przerażonego. No cóż, oskarżenia to jedna rzecz, a poparcie ich wiarygodnymi dowodami to coś całkiem innego. Pani adwokat także wydawała się spokojna.

– Po pierwsze, porozmawiajmy o śmierci Daniela Föttingera. To zabójstwo też zostało zaplanowane przez pana. W rzeczywistości pańscy Konsolidatorzy kierowali formacją Strażników Gai, więc wykorzystał pan do popełnienia zbrodni tego biednego, potłuczonego Nielsa Freese'a.

– Ale dlaczego mój klient miałby to robić? – spytała Harmsen.

– Z powodu wielkiego sekretu, na którego trop wpadła Meliha Yazar. Sekretu, który *Herr Wiegand* tak bardzo starał się wymazać z oblicza tej planety.

– Jakiego znów „wielkiego sekretu”? – niecierpliwiła się Harmsen.

– Że to właśnie Daniel Föttinger był Zabójcą z Sieci.

Zapadła cisza. Z twarzy Wieganda niczego nie dało się odczytać, za to mina Harmsen świadczyła o malejącej pewności siebie.

Fabel znowu odwrócił się do Wieganda.

– W miarę jak Föttinger coraz głębiej wciągał się w pańskie stuknięte idee, idee, które nadawały sens jego własnym działaniom, podobnie jak Niels Freese, stawał się coraz trudniejszy do kontrolowania. Co noc spędzał nawet sześć godzin zalogowany w Virtual Dimension, prowadząc tam zastępcze życie, które w końcu zaczął przenosić do rzeczywistości. Umawiał się na randki z kobietami poznanymi online, a potem gwałcił je i dusił, porzucając ich ciała w kanałach w całym mieście. Pan odkrył jego poczynania, ale nie zdążył zareagować, zanim on dopadł swoją ostatnią ofiarę. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że nie wiedział pan o niczym aż do chwili, gdy złapał pan Melihę Yazar. Czy mam rację?

Wiegand nadal pozostał niewzruszony i milczący.

– Tak więc pańscy Konsolidatorzy przeprowadzili operację gruntownego oczyszczenia, zacierając wszelkie ślady kontaktów online pomiędzy Julią Henning i wszystkimi pozostałymi ofiarami a Danielem Föttingerem – kontynuował Fabel. – Posunął się pan nawet do tego, by przechowywać jej zwłoki w lodówce aż do śmierci Föttingera, żeby nikt nie mógł powiązać go z tymi morderstwami.

Wiegand milczał jeszcze przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Jednak na twarzy

pani adwokat nie pojawił się nawet cień rozbawienia.

– Wie pan co, Fabel? – odezwał się w końcu, pochylając się do przodu. Jego wygolona gładko głowa błyszczała w sztucznym świetle pokoju przesłuchań, a spojrzenie było twarde i zimne jak lód. – To pan ma problem z rozpoznaniem rzeczywistości. Wszystko, co pan powiedział, jest absolutną, wierutną bzdurą. Czystą fantazją.

– Naprawdę? Moim zdaniem to wszystko było dla pana wystarczająco kłopotliwe. Trochę zbyt wiele uwagi musiał pan poświęcać Föttingerowi i jego psychopatycznym skłonnościom. Takim, które nie bardzo rzucają się w oczy, za to sprawiają, że ktoś ma głowę do interesów. Ale nie wiedział pan, że Föttinger miał w przeszłości na koncie kilka napaści na tle seksualnym, które szybko zostały zatuszowane przez kochającego tatusia. Pańskie stuknięte teorie bardzo pasowały do jego poczucia wyższości; do przekonania, że po świecie chodzą ludzie, którzy tak naprawdę wcale nie są ludźmi. Że może wszystko dookoła wcale nie jest rzeczywistością, tylko jakimś rodzajem symulacji. Grą. Pewnie przekonał sam siebie, że kobiety, które gwałcił i dusił, nawet nie czuły tego, co im robił. Że były „filozoficznymi zombie”, zaprogramowanymi, by udawać strach i ból.

– Czy posiada pan jakiegokolwiek dowody, którymi mógłby pan poprzeć swoje przypuszczenia? – spytała Amelia Harmsen.

– Właśnie po to, żeby je zdobyć, urządziliśmy rano dwie obławy. Niestety, pierwsza zakończyła się kompletnym fiaskiem. W kwaterze głównej Strażników Gai zastaliśmy pewną młodą kobietę, tę samą, która wcześniej próbowała mnie skompromitować, przedstawiając mi się jako Julia Henning, zanim odnaleźliśmy ciało prawdziwej Julii Henning. Tak czy owak, ta kobieta była ubrana w taki sam garnitur jak jeden z pańskich Konsolidatorów i na nasz widok zdetonowała bombę, grzebiąc pod gruzami wszystkie dowody, które mogliśmy uzyskać... Jak i samą siebie... Mamy jednak materiał zabrany z Pharos Project i chłopcy z naszej sekcji technicznej właśnie zajmują się przeglądaniem tego, co przywieźliśmy, kawałek po kawałku. Obawiam się, że będzie pan musiał pozostać naszym gościem do czasu, aż skończą.

– Życzę powodzenia – odparł Wiegand. – Bo jeśli nie znajdziecie niczego, czym można uzasadnić te oburzające oskarżenia, będę musiał odbyć bardzo długą rozmowę z obecną tu *Frau Harmsen*.

W końcu Fabel zrobił przerwę w przesłuchaniu i powędrował z powrotem do Wydziału Zabójstw. Tam usiadł na chwilę przy biurku i nieobecny wzrokiem gapił się na trzy książki, które zostawiła mu Anna – te same książki, które znaleźli na nocnym stoliku przy łóżku Melihy Kebir. *1984, Milcząca wiosna* oraz *Sędzia i jego kat*.

Werner wszedł do pokoju i opadł na krzesło naprzeciwko.

– Mamy przerąbane, co?

– W stu procentach. Myślę, że tak najlepiej można podsumować naszą sytuację. Przetrzymamy go do jutra. Mam nadzieję, że do tego czasu chłopcy z sekcji technicznej coś znajdą. Jak Anna i Henk poradzili sobie z Baedorfem?

– Słabo. Milczy jak grób i jedynie wyraził żądanie, żeby ktoś przedstawił jakiś dowód przeciwko niemu. To strasznie zadufana w sobie gromadka, Janie. Nawiasem mówiąc, na drugim piętrze Pharos odkryliśmy niezłe wyposażoną lecznicę. Chłopcy, którzy prowadzili tam przeszukanie, powiadają, że biorąc pod uwagę wielkość tego przybytku, członkowie Pharos musieli być szczególnie podatni na różne wypadki albo cierpieli z powodu wyjątkowo słabego zdrowia.

– Czy była tam sala operacyjna?

– Wygląda na to, że kiedyś była, ale naturalnie wszystko zostało usunięte. I oczywiście znów nie udało się zdobyć żadnego dowodu, który moglibyśmy przedstawić w sądzie... Widzę,

że masz zamiar nadrobić braki w lekturze? – dokończył, kiwając głową w stronę leżących na biurku książek.

– Myślisz, że człowiek powinien słuchać swoich snów? – spytał Fabel.

Werner zmarszczył brwi.

– Janie, czy ty w ogóle słuchałeś tego, co mówiłem?

– Wiesz, znowu śnił mi się Paul Lindemann. Powiedział, żebym pamiętała o tych książkach.

– Nie, Janie – odparł Werner. – To ty powiedziałeś sobie, że masz o nich pamiętać. Tak właśnie działają sny. Wiesz przecież, że pojawiające się w nich osoby nie są prawdziwe. Są tam tylko po to, by powiedzieć ci to, co i tak już wiesz; co tkwi gdzieś w twojej podświadomości, czy jak tam się to gównu nazywa.

– Wiem o tym, Werner. Ale to jednak dziwne. On naprawdę wyglądał jak Paul.

Rozległo się pukanie i zaraz do środka wsadził głowę Kröger, pytając, czy może się przyłączyć.

– No i co? – zapytał Fabel, ledwie tamten zdążył zająć miejsce obok Wenera.

– Nic, przynajmniej jak dotąd. Sześciu moich najlepszych ludzi nieustannie przekopuje się w Pharos przez zawartość wszystkich plików, przez każdy pakiet danych, a ja mam tutaj tuzin przyniesionych stamtąd twardych dysków. Tak jak sugerowałeś, skoncentrowaliśmy się na komputerach Wieganda i Baedorfa, jak również na systemach używanych przez Biuro Konsolidacji i Dopasowania, ale okazało się, że są puste. Przykro mi.

– Czyli zdążyli wyczyścić wszystkie obciążające ich materiały, kiedy zobaczyli, że nadjeżdżamy?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. – Pociągła twarz Krögera wyglądała na jeszcze bardziej ponurą niż zazwyczaj. – Przepraszam. Zwykle potrafimy powiedzieć, że jakieś dane zostały usunięte, i najczęściej umiemy te dane odzyskać, no, chyba że twardy dysk został całkowicie zniszczony, i mam tu na myśli fizyczne uszkodzenie. Ale w tym wypadku raczej nie wygląda na to, że oni wywalili pliki, których szukamy... Po prostu nie było od czego zacząć.

– Nie mogę uwierzyć, że niczego nie ma na ich mainframie czy jak tam mówicie. Do cholery! – Frustracja Fabla zaczynała się zmieniać w gniew. – Myślałem, że ty i twoi specje od siedmiu boleści faktycznie jesteście najlepsi w tym fachu, ale teraz wydaje mi się, że trafiła kosa na kamień. Najzwyczajniej ci z Pharos Project przewyższają was umiejętnościami i sprytem.

Kröger przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Nic nie wskazywało, że poczuł się urażony słowami Fabla.

– Nie... – powiedział po namyśle. – Nie, nie sądzę, żeby tam kiedykolwiek coś było. Bo jednak coś byśmy znaleźli. Nie uda się wymazać z komputera absolutnie wszystkich śladów zawartości, która wcześniej znajdowała się na twardym dysku, zaś jedyną anomalią, jaką zauważyliśmy, jest taka, że w ciągu ostatnich paru godzin mnóstwo plików zostało zaktualizowanych. I to nowych plików. A w niektórych czas aktualizacji został zafałszowany. Sądzę, że to ma związek z tym, co stało się z twoją komórką.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Werner.

– Szukamy jakiegoś zaawansowanego technologicznie rozwiązania – odparł Kröger, a na jego wysokim czole pojawiły się bruzdy. – Może wszystko jest o wiele prostsze niż sądzimy. Myślę, że Pharos Project *fizycznie* pozbył się swoich danych. Pewnie kilka komputerów, które badamy, zostało skądś przyniesionych albo przynajmniej wymieniono w nich twarde dyski. Myślę, że oryginalne dyski spoczywają na dnie Łaby lub zostały rozniecione z jakimiś odpadami. To by tłumaczyło, dlaczego tyle nowych plików znajduje się w kluczowych komputerach systemu, szczególnie w Biurze Konsolidacji i Dostosowania. Ich serwer również

wygląda na całkiem nowy. Osobiście sędzę, że oni przenieśli te komputery z całkiem innych miejsc, wgrali tam nieszkodliwe dane, a potem dodali jakieś materiały związane z Pharos Project, żeby wyglądało to, jakby tam stały od miesięcy.

– Czy właśnie coś takiego stało się z moim telefonem?

– Uważam, że tak. Telefon, który badaliśmy, wcale nie należał do ciebie. To był substytut. Klon. A twoja sieć wcale nie była twoją siecią. Oni ją sfabrykowali, żebyś przy każdej rozmowie łączył się z ich siecią i żeby przez cały czas mogli monitorować twoje połączenia.

Fabel zastanowił się nad tym, co przed chwilą powiedział oficer z Wydziału Cyberprzestępczości.

– Więc chcesz powiedzieć, że nie uda ci się w ich systemie znaleźć czegokolwiek, tak? Czy zdajesz sobie sprawę, Kröger, że jeśli ci się nie uda, to Wiegand wyjdzie stąd wolny jak ptak?

– Nie mogę znaleźć czegoś, czego nie ma – odparł Kröger. – Tak naprawdę sędzę, że zaczęliśmy szukać w złym momencie i w niewłaściwym miejscu. Gdybyśmy dobrali się do ich sieci, zanim zdążyli wymienić dyski... Jeżeli miałeś rację i Meliha Yazar faktycznie znalazła na nich jakiegoś haka, to musisz go znaleźć, jeśli wciąż jeszcze istnieje.

Ktoś ostrożnie zapukał do drzwi i do środka wsunęła się Anna.

– Przepraszam, że przeszkadzam, szefie, ale jest coś, co chyba chciałbyś zobaczyć.

– Co takiego?

– W Wilhemsburgu. Wygląda na samobójstwo.

– I dlaczego to takie interesujące?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, zdaje się, że ten chłopak popełnił samobójstwo za pomocą torby ostatecznego wyjścia, podobnie jak tamten inwalida, Reisch. Po drugie, sąsiad denata stanowczo żąda rozmowy z tobą. Wymienił twoje nazwisko...

– To wygląda inaczej niż ostatnim razem – oświadczył Fabel, kiedy tylko przekroczył próg mieszkania. – Potrzebny będzie zespół z medycyny sądowej.

Podszedł do miejsca, gdzie na biurku komputerowym bezwładnie spoczywało potężne cielsko martwego mężczyzny. Gdyby stał nieco dalej, pewnie miałby problemy z domyśleniem się, że ten kształt to ludzka postać. Raczej przypominał ogromny, nieforemny wór. Inaczej niż w wypadku Reischa i jego torby ostatecznego wyjścia, rozdętej jak balon od wypełniającego jej wnętrze helu, tutaj plastikowa torba szczelnie oklejała twarz nieboszczyka.

– Więc uważasz, że to nie było samobójstwo? – spytała Anna, która towarzyszyła Fabelowi podczas oględzin.

– Ten facet ma na głowie plastikową torbę, ale nigdzie nie widać pojemnika z helem ani z innym gazem. Kiedy odchodził, każda cząstka jego ciała domagała się oddechu. Musiałby wykazać niezwykłą siłę woli, żeby mając nieskrępowane ręce nie zerwać z twarzy tego plastiku.

– Jakoś nie wydaje mi się, żeby należał do ludzi obdarzonych silną wolą – zauważyła Anna. – Zwłaszcza gdy chodzi o wyroby cukiernicze. Z pewnością nie zmarł z powodu anoreksji...

– Ma pani wielkie serce, komisarzu Wolff.

– Jeśli jest tutaj ktoś z wielkim sercem, to z pewnością nie ja... Jak sądzisz, ile ten facet ważył?

– Bóg jeden wie. Pewnie około dwustu kilogramów.

– O co chodzi? – Anna ujrzała na czole Fabla pionową zmarszczkę.

– Widzisz ten cały sprzęt? Te komputery muszą być warte tysiące euro.

– Domyślam się, że rzadko wychodził z domu – zauważyła Anna.

– Nie, to coś więcej. Według mnie ten układ jest dziełem profesjonalisty. Mam

przecucie, że znowu znajdziemy tu jakieś powiązanie z tym całym Pharos Project.

– Może to czysty przypadek. Nawiasem mówiąc, czy faktycznie sądzisz, że to właśnie Daniel Föttinger był Zabójcą z Sieci?

– Jestem o tym głęboko przekonany. Kröger i jego spece przechwycili komputer Föttingera, ale nawet nie będą musieli specjalnie się wysilać, bo mają nakaz sądowy, żeby dostawca internetu udostępnił im rejestry, a także wykaz bilingów z telefonu komórkowego... Nawet jeśli nie uda się nam niczego udowodnić, to stawiam w zakład moje roczne pobory, że następnej ofiary nie będzie – Fabel skinął głową w kierunku bezwładnego ciała. – Co powiedział lekarz?

– Że on nie żyje już od pewnego czasu i że musiał mieć od dawna problemy z oddychaniem, sądząc po sprzęcie, który trzymał w sypialni i po zestawie medykamentów... Cała sprawa z torbą jego zdaniem poszła łatwo i szybko. Może to tłumaczy, dlaczego nie zatroszczył się o hel.

– Gdzie mieszka ten sąsiad, który koniecznie chciał ze mną rozmawiać? – zainteresował się Fabel.

– Piętro niżej.

Jetmir Dallaku był bardzo podekscytowany. I zniecierpliwiony. Widać było, że już od dłuższego czasu czekał, aż Fabel do niego przyjdzie.

– Czy pan jest głównym nadkomisarzem Janem Fablem z Polizei Hamburg?

Mały, żylasty Albańczyk zadał to pytanie z taką powagą i tak urzędowo, że Fabel musiał powstrzymać uśmiech.

– Tak, to ja. Chciał się pan ze mną widzieć?

– Ma pan odznakę? Albo legitymację? Coś, na czym jest nazwisko?

Fabel dostrzegł złośliwy uśmieszek Anny, sięgnął do kieszeni i wydobyl policyjną legitymację. Dallaku obejrzał ją, marszcząc czoło.

– Herr Kraxner, z góry... On wiedział, że ktoś przyjdzie zrobić mu coś złego.

– Czy powiedział panu o tym? – zapytał Fabel.

– Tak. Powiedział, że jeśli przytrafi mu się coś złego, mam z panem porozmawiać. Tylko z panem. I mam dać panu to... – Wsadził rękę do kieszeni i wyjął stamtąd starannie złożoną kopertę. – Herr Kraxner... On był bardzo smutny. I bardzo samotny. Dlaczego ktoś chciał zrobić mu krzywdę?

Fabel przez chwilę patrzył na kopertę, na wypisane na niej swoje nazwisko, a potem wznosił oczy do sufitu, jakby chciał przebić go wzrokiem i zajrzeć do mieszkania martwego mężczyzny.

– Klabautermann...

– Co takiego? – spytała Anna.

Fabel natychmiast przeniósł uwagę na nią.

– Zawieź to do Krögera. Mam dla niego następną robotę. Powiedz mu, że chcę, żeby zabrał z tamtego mieszkania cały sprzęt i poddał tak samo drobiazgowemu badaniu jak sprzęt zabrany z Pharos Project.

– Czy to właśnie on był tym facetem, który do ciebie dzwonił? – spytała Anna. – Tym, który miał ci coś do przekazania?

Fabel znowu popatrzył na trzymaną w ręku kopertę.

– Wydaje mi się, że chyba nadal ma.

ROZDZIAŁ 35

Mam nadzieję, że dobrze się panu dziś spało – zapytał Fabel, zajmując miejsce naprzeciwko Wieganda.

Prawda wyglądała tak, że miliarder sprawiał wrażenie świeżego jak pierwiosnek, zupełnie jakby spędził tę noc w hotelu „Vier Jahreszeiten”. Załoga korporacji Korn-Pharos zatroszczyła się o to, żeby dostarczyć mu całkowicie nowe ubranie. Amelie Harmsen także wyglądała na opanowaną i wypoczętą.

– Zakwaterowanie było całkiem znośne – odparł Wiegand. – Ale postawmy sprawę jasno: zamierzam się dziś stąd wymeldować. Właściwie to w ciągu najbliższej godziny. Obawiam się, że mój pobyt okaże się bardzo kosztowny... Dla Polizei Hamburg, ma się rozumieć.

Fabel uśmiechnął się lekko.

– Na pańskim miejscu nie byłbym tego taki pewny.

Do sali weszli Werner Meyer i Nicola Brüggemann i zajęli miejsca po obu stronach Fabla. Werner przyniósł stos gazet, które położył na podłodze przy swoim krześle.

– Widzę, panie główny nadkomisarzu, że przyprowadził pan dzisiaj straż przyboczną – zakpiła Harmsen.

– Tak? Nie, to zupełnie nie tak. Po prostu chodzi o to, pani Harmsen, że to szczególne wydarzenie. – Fabel wskazał na zamontowaną w samym rogu pokoju kamerę. – Muszę państwu powiedzieć, że reszta mojego zespołu siedzi w sąsiednim pokoju, oglądając nas na monitorach. Nikt nie chce tego przegapić.

Wiegand pozostał nieprzenikniony. Ale Fabel dostrzegł cień niepokoju, który przemknął po twarzy Amelii Harmsen. Kobieta postarała się, żeby zniknął prawie tak szybko, jak się pojawił.

– Jeśli chce pan powiedzieć, że znalazł pan w Pharos Project dowód przestępstwa, to wiem, że pan blefuje – powiedział Wiegand.

Fabel uśmiechnął się.

– Jest pan tego absolutnie pewien, prawda, Wiegand? Mój błąd polegał na tym, że zapomniałem, iż w świecie, w którym żyjemy, każde działanie i każda nawiązana łączność wzniciają drobne fale w oceanie elektronicznego szumu. Właśnie dlatego nic nie wynikło z naszych przygotowań do wczorajszego najazdu na Pharos Project. Albo z wcześniejszej obławy w kryjówce Strażników Gai. Tak, jestem pewien, że wznieciliśmy wystarczająco duże fale, by wysłać stosunkowo wyraźne ostrzeżenie, że powinniście wyczyścić twarde dyski komputerów.

– Nawet jeśli to, co pan mówi, byłoby prawdą, i tak nie ma pan na to żadnych dowodów. Zresztą, nie mówię, że kiedykolwiek takie były, ale jeśli przyjąć takie założenie, to powiedzmy sobie szczerze: jedyna droga, żeby się do nich dostać, to podróż wehikułem czasu w przeszłość...

Wiegand uśmiechnął się. Zrobił to z takim samozadowoleniem, że Fabel miał ochotę zetrzeć mu tę minę jednym celnym ciosem. Jednak opanował tę potrzebę i zamiast tego uśmiechnął się.

– Moim zdaniem całe przesłanie tej pańskiej sekty... – zaczął.

– Pharos Project nie jest sektą, *Herr* Fabel. Stanowczo protestuję przeciw używaniu takich określeń – przerwał mu Wiegand.

– Moim zdaniem całe przesłanie tej pańskiej *organizacji* wydaje się wielce intrygujące – poprawił się Fabel. – A na samym jej szczycie stoi ów tajemniczy Dominik Korn. Nawiasem mówiąc, wczoraj starałem się do niego dodzwonić.

Wiegand prychnął z pogardą.

– I cóż takiego panu powiedział, *Herr Fabel*?

– Nic. Nie rozmawiał ze mną. Ale zdaje się, że pan o tym wiedział. Po prostu pomyślałem, że biorąc pod uwagę kłopoty, jakie ma pan tu, w Niemczech, pan Korn być może byłby zainteresowany dyskusją ze mną o pewnych sprawach. Ale... – Fabel wzruszył ramionami. – Tym, co szczególnie interesuje mnie w *Pharos Project*, jest jego główna idea – mówił dalej. – Cała ta koncepcja osobliwości matematycznej, konsolidacji, czy jak pan jest łaskaw to nazywać, która ma przynieść zbawienie naszemu środowisku... Nie zdawałem sobie sprawy, że w świecie nauki istnieje tak wiele podobnych teorii. To znaczy, niektórzy fizycy zajmujący się fizyką kwantową wierzą, że wszystko dookoła może być pewnym rodzajem symulacji, a prawdziwa rzeczywistość istnieje gdzieś daleko, na obrzeżach wszechświata... To straszne banialuki, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie. Osobliwość, Punkt Omega, Konsolidacja. Ale są pewni ludzie, ludzie podatni na wpływy, niekiedy chorzy psychicznie, którzy rozpaczliwie pragną w to wierzyć. I niczym się to nie różni od obietnicy życia pozagrobowego, którą religie przez tysiąclecia przyciągały swoich wyznawców. Ludzie chcą jakiegoś uzasadnienia, pragną uwierzyć, że życie, które tu prowadzą i którego nienawidzą, to nie wszystko, co ich czeka. Że oczekuje ich jakaś wielka transformacja. Tyle że w pańskim przypadku ta uniwersalna prawda opiera się na pseudonaukowych przesłankach i filozoficznym kodzie. Za dużo tam science-fiction, a za mało zdrowego rozsądku.

– Cóż, każdy ma prawo do własnej opinii – odparł Wiegand. – Ale coś panu powiem, coś, co bez wątplenia jest prawdą: na szczęście ja wierzę, że wkraczamy w następny wspaniały etap rozwoju ludzkości, i że to właśnie my będziemy kołem napędowym tej ewolucji. Nie Natura, lecz my sami. Czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym, Fabel, jak szybko dokonują się pewne zmiany? Na przykład, czy pamięta pan, jak wyglądał świat, kiedy był pan nastolatkiem? Proszę pomyśleć, jakiego olbrzymiego postępu dokonaliśmy od tamtej pory. Przecież on jest większy, niż podczas całej historii ludzkości razem wziętej. To właśnie jest owo Wielkie Przyspieszenie, Fabel. Niech pan pomyśli, jak ogromne są różnice w technologii i wzroście populacji między rokiem, powiedzmy, 1200 a 1500. Tak niewielki postęp na przestrzeni trzystu lat... A potem proszę zastanowić się nad olbrzymimi zmianami, które nastąpiły między rokiem 1800 a 1900, kiedy rewolucja przemysłowa zmieniła wszystko w sposobie życia człowieka. Jednak gdy popatrzy pan na dwudziesty wiek, na niesamowity krok naprzód, jeśli chodzi o rozwój technologii i eksplozję ludzkiej populacji, a następnie pomyśli o okresie między 1975 rokiem i dniem dzisiejszym, przekona się pan, jak niewiarygodnie wielka zmiana nastąpiła. Wszystko zmienia się coraz szybciej i szybciej. Technologie cybernetyczne, genetyka, nauka o genomach, nanotechnologia, femtotechnologia, nawet nasze postrzeganie tego, jak działa wszechświat wokół nas. Teraz zaś wkraczamy w dekadę, która przeniesie nas o całe stulecie do przodu. Wkrótce niegdysiejsza dekada zostanie zawężona do pięciu lat, potem do roku... Tak jak mówiłem, jesteśmy świadkami Wielkiego Przyspieszenia.

– Niech zgadnę... I tylko *Pharos Project* pojmuje ukryte znaczenie tych wszystkich zmian – wtrącił Fabel. – Jedyne wam można zaufać, że poprowadzicie ludzkość we właściwym kierunku. I nawet jeżeli to oznacza przeprowadzanie aktów zemsty na każdym, kto ośmiela się was krytykować albo odważy się od was odejść, infiltrację kręgów rządowych, nawet morderstwa popełniane z zimną krwią... To wszystko jest usprawiedliwione, czy tak?

– Nie popełniamy morderstw, panie Fabel. Jesteśmy organizacją nastawioną pokojowo – Wiegand mówił opanowanym tonem, w pełni kontrolując emocje. – Ale zgadza się, czasami tak jest, jakby wszyscy inni byli ślepi na to, co się dzieje. Niewątpliwie jako gatunek ku czemuś dążymy. Ku naszemu przeznaczeniu. Jednak istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że zanim to osiągniemy, zginiemy z powodu szkód, jakie uczyniliśmy naszemu środowisku.

– A jeśli uda się nam tego dokonać, co ten pański piękny, nowy świat będzie miał nam do zaproponowania? – spytał Fabel.

– Nadejdzie czas, i to już całkiem niedługo, kiedy będziemy konstruować świadome, inteligentne maszyny, zdolne nawet wspomóc proces Przyspieszenia. To będzie technologia, jakiej nie jest pan w stanie sobie wyobrazić. Nanotechnologia i femtotechnologia pozwolą na zbudowanie w mikroskopijnej skaliniewiarygodnie potężnych komputerów: komputerów budowanych molekuła za molekułą. A nowa nauka syntetycznej genomiki już przyniosła rezultat w postaci stworzenia prototypu pierwszego, w pełni sztucznego życia... Komputery przyszłości mogą być tak samo organiczne jak my. To nasza jedyna nadzieja: odłączenie się od środowiska i wykorzystanie technologii, dzięki której osiągniemy wyższy stopień egzystencji, wyższy poziom świadomości. Pan wydaje się myśleć, że ja nie wierzę w to, czego symbolem jest Pharos Project. No cóż, całkowicie się pan myli. Ja głęboko w to wierzę. I wierzę, że właśnie taka jest przyszłość ludzkości.

Fabel popatrzył na Amelię Harmsen, która siedziała ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

– Ale pan nie chce uratować ludzkości, Wiegand. Pan chce ocalić jedynie garstkę wybrańców. Jest pan po prostu jeszcze jednym bogaczem z kompleksem mesjasza – powiedział. – Ludzie tak majętni jak pan żyją w tak dalece inny sposób niż wszyscy pozostali, że w końcu tracą kontakt z rzeczywistością. Bóg jeden wie, w jakim stopniu musi to oddziaływać na biednego Mister Korna, który gdzieś tam na międzynarodowych wodach siedzi uwięziony na swoim luksusowym jachcie, podłączony do wszelkiego rodzaju technologii, która utrzymuje go przy życiu. Ale to, o czym pan mówi, wcale nie jest wyższą formą ludzkości. Nawet nie jest ludzkością. Jest czymś mniejszym. Jest zredukowaniem.

– Fabel, jest pan człowiekiem o bardzo ograniczonym intelekcie... I o jeszcze mniejszej wyobraźni. Pan wybaczy, ale nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy.

Wiegand zaczął podnosić się z krzesła, ale Werner natychmiast położył dłoń na jego ramieniu.

– Nigdzie pan stąd nie pójdzie, Wiegand – odezwał się Fabel.

– W takim razie wydaje mi się, że powinien pan wnieść konkretne oskarżenia przeciwko mojemu klientowi – przerwała mu Amelia Harmsen.

Wyczuł, że chyba wołałaby reprezentować teraz jakąś aktoreczkę z telewizji, która domaga się odszkodowania za spartaczoną operację plastyczną.

– Czy wierzy pan w życie pozagrobowe? – zwrócił się Fabel do Wieganda tonem towarzyskiej pogawędki. – Wie pan, że Nikołaj Fiodorow jeszcze w dziewiętnastym wieku przepowiedział, że rozwinie taką moc obliczeniową, że będziemy w stanie prawie każdego przywrócić do życia?

– Owszem, wiem o tym.

Fabel położył na stole szarego, niepozornego pendrive'a.

– Widzi pan, ja wierzę, że jest między nami ktoś żywy. Ktoś zamknięty w tym kawałku plastiku i silikonu...

Umilkł. Nikt się nie odezwał, ani Wiegand, ani Harmsen, ale twarde, zimne jak lód spojrzenie Petera Wieganda nie odrywało się od pendrive'a.

– Osoba, o której mówię, to wielki człowiek. Dosłownie. Według patologa ważył sto osiemdziesiąt kilogramów. Nazywał się Roman Kraxner i był głęboko upośledzoną jednostką. Podobnie jak ktoś inny, kogo niedawno spotkałem, a kto nazywał się Niels Freese. Tyle że upośledzenie Romana polegało na tym, że był geniuszem. Geniuszem, jeśli chodzi o technologię komputerową. Czy znał pan to nazwisko, *Herr Wiegand*?

– Nie.

– To dziwne, ponieważ jak sądzę, to pan kazał go zamordować. Albo może nie wiedział pan, kim on jest. Jedynie tyle, że to właśnie on odnalazł telefon Melihy Yazar. A ktokolwiek go odnalazł, musiał umrzeć, prawda? Tak czy owak, Roman Kraxner żył bardziej w wirtualnym świecie niż w tym rzeczywistym. Przyznaję, że gdyby żył, chętnie porozmawiałbym z nim o pewnych jego operacjach finansowych, tak samo jak o wirusie „Klabautermann”, który jak sądzimy, został stworzony właśnie przez Kraxnera.

Fabel pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole.

– Miał pan rację, *Herr* Wiegand. Nie zdążyłem przybyć na czas, żeby odzyskać cenne dane, które przechowywał pan na niektórych swoich komputerach, w swojej sekretnej krypcie z danymi. To całe zamieszanie i dramatyczna sytuacja... Mam na myśli policyjną obławę... Przyznaję, to wszystko było zbyt mało wyrafinowane jak na pańskie możliwości. Ale Roman był inny. W naszym świecie przypominał otłuszczoną górę mięsa, ale w sieci potrafił z gracją i bezszelestnie przenikać przez wszystkie systemy i omijać zabezpieczenia. Czy wie pan, że złożył wizytę również w Pharos Project? Jest pan tak niesamowicie dumny ze swojej technologii i wiedzy, a w porównaniu z Romanem jest pan jak robaczek. On złamał pańskie zabezpieczenia i kopiował plik po pliku, jeden obciążający dokument za drugim.

Uśmiech Wieganda przypominał raczej pogardliwy grymas.

– Obciążające kogo? – zapytał. – Jeśli ktokolwiek w Pharos Project złamał prawo, spotka się z moim szczerym potępieniem. Ale życzę panu szczęścia, mnóstwo szczęścia, jeśli spróbuje pan cokolwiek przypisać mojej osobie.

– Tak, przyznaję, że akurat to może być trudne. Ale możemy pozwolić sobie na próbę, bo w tej chwili mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby wnieść oskarżenie... Och, tak przy okazji, zapomniałem nadmienić, że Roman wysłał kopie tych materiałów do wszystkich większych gazet o zasięgu krajowym, do telewizji, a także, co oczywiste, wrzucił je na tuziny stron internetowych. Osobiście sądzę, że kiedy tak sobie tutaj gawędzimy, wieści o pana działalności obiegają świat. Pharos Project jest skończony.

– Bardzo wątpię – odparł natychmiast Wiegand. – Jak już mówiłem, my obaj zdążymy się zestarzeć, zanim uda się panu zgromadzić tyle dowodów... – wskazał na pendrive'a – ...żeby doprowadzić mnie choćby w okolice więzienia.

– Być może ma pan rację – zgodził się Fabel.

Znowu otworzył akta. Na stole obok pendrive'a położył książkę w miękkiej oprawie. Powieść *Sędzia i jego kat* Friedricha Dürrenmatta, którą znalazł przy łóżku w sypialni Melihy Yazar.

– Czy pan czytał kiedyś tę książkę? – zwrócił się do Wieganda, ale on zignorował pytanie. – To moja ulubiona lektura – mówił dalej. – Filozofia dla policjanta. Stawia pytanie, czy jeżeli nie możesz doprowadzić przed sąd zbrodniarza za czyny, które popełnił, będzie to moralne, jeśli odpowie za coś, czego w rzeczywistości nie ma na sumieniu?

– I znowu, *Herr* Fabel... – odezwała się Harmsen. – Gdyby mógł pan dojść do puenty...

– Wczoraj wszystko zrobiłem nie tak jak trzeba, prawda? Byłem tak bardzo pewien, że wiem, co odkryła Meliha Yazar... – kontynuował Fabel, nie zwracając na nią uwagi. – Ale wychodzi na to, że jednak się myliłem. Cóż, może nie tak do końca... Miałem rację, sądząc, że dowiedziała się, że Föttinger był Zabójcą z Sieci. Ale choć było to nikczemne i potencjalnie niebezpieczne dla Pharos Project, to jednak nie był to ów wielki sekret, który udało jej się odkryć. Zgadza się, Wiegand?

Wiegand siedział ze skrzyżowanymi rękoma i zaciętą miną.

– Meliha nie zginęła z powodu Föttingera albo przynajmniej nie był to główny powód... Wydał pan rozkaz pozbycia się Föttingera, ponieważ jego działania wcześniej czy później mogły

doprowadzić do Pharos Project. To pan zaplanował morderstwo Melihy Yazar i Müllera-Voigta, gdyż istniało podejrzenie, że oboje o tym wiedzieli. Ale nie to było owym wielkim sekretem, z powodu którego obydwoje musieli ponieść śmierć. Tamten sekret był o wiele istotniejszy, tak istotny, że musiał pan mieć pewność, iż nigdy nie ujrzy światła dziennego. Na tym punkcie miał pan taką paranoję, że zainfekował pan nawet moje środki łączności i próbował skompromitować mnie w oczach przełożonych, żebym został wyłączony ze śledztwa. Kiedy to się nie powiodło, postarał się pan załatwić mi kąpiel w Łabie. Przypuszczalnie doszedł pan do wniosku, że choć co prawda Müller-Voigt nie znał żadnych szczegółów, lecz mógł przekazać mi coś, co w końcu doprowadzi mnie do prawdy, choć wówczas żaden z nas nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Jaki sekret? – spytała Harmsen.

Wiegand nadal milczał, tylko jego twarz przybrała kamienny wyraz.

– Te wszystkie bzdury, którymi mnie pan zarzucał, rzeczywiście przyczyniły się do tego, że zacząłem się zastanawiać... Sam zacząłem rozważać, czy jest już możliwe, że ktoś istnieje tylko w postaci danych... To znaczy, raczej cybernetycznie niż fizycznie. Nie chciałem przez to powiedzieć, że takie osoby mają prawdziwą świadomość albo są rzeczywiste pod jakimkolwiek innym względem, lecz że nam wydaje się, że istnieją, choć tak naprawdę wcale ich nie ma.

Fabel wziął do ręki pendrive'a i przez chwilę obracał go w palcach, przyglądając mu się z namysłem.

– Najśmieszniejsze w sektach jest to, że nieważne, jaki jest ich główny dogmat ani gdzie na świecie działają, wszystkie wykazują pewne cechy wspólne. Elementem numer jeden, który pojawia się na początku każdej litanii, jest jakiś charyzmatyczny lider. Pewna inspirująca marionetka. A nikt nie pasuje do fałszywej filozofii Pharos Project bardziej niż Dominik Korn. Poza tym jest kimś, kto już znajduje się w połowie drogi do *Konsolidacji*... Kimś, totalnie uzależnionym od technologii podtrzymującej jego egzystencję. Dołożywszy do tego heroiczne przeżycie tragicznego wypadku, dramatyczną ucieczkę z głębin oceanu...

– Proszę mi wierzyć, Fabel... – odezwał się Wiegand. – Dominik Korn jest przykładem intelektu i siły woli, do których zrozumienia ktoś taki jak pan nawet się nie zbliżył.

– Czyżby?

Fabel odłożył pendrive'a, a potem lekko uniósł się z krzesła i, opierając dłonie na blacie stołu, pochylił się do przodu, żeby zbliżyć twarz do twarzy Wieganda.

– Ja znam pański sekret, Wiegand... Wiem, jaki był prawdziwy powód, dla którego ci wszyscy ludzie musieli umrzeć...

– Co to takiego? – spytała Harmsen przyciszonym głosem.

Wiegand nic nie powiedział.

– Czy wie pani, *Frau Harmsen*, że Meliha Yazar odkryła, że jednak Dominik Korn naprawdę był, niezależnie od wszystkiego, jej „Atatürkiem ekologii”? I że wcale nie nawrócił się na te dziwaczne idee *Konsolidacji*, zaś jego testament i polecenia dotyczące przyszłości zarówno Korn-Pharos Corporation, jak i Pharos Project, zostały obalone przez obecnego tutaj Wieganda?

– Co też pan opowiada? – zawołała Amelie Harmsen. – Mam rozumieć, że *Herr Wiegand* przetrzymuje gdzieś Dominika Korna wbrew jego woli i zmusza, żeby wypełniał jego życzenia?

– Och nie. Bo widzi pani, na tym polega wielki sekret... Wielkie Kłamstwo, które istnieje w samym sercu Pharos Project. Nie ma inwalidy na wózku, który spędza czas na swoim luksusowym jachcie. Nie ma spotkań na szczycie, organizowanych obok łoża boleści, w których uczestniczy wiceprezes Korn-Pharos Corporation. Nie ma źródła filozofii Pharos... – Fabel wbił spojrzenie w twarz Petera Wieganda. – Nie ma kogoś takiego jak Dominik Korn.

– Opowiada pan bzdury, Fabel – odezwał się Wiegand, ale bez gniewu.

– Dominik Korn nie żyje i osobiście przypuszczam, że nie żyje od prawie piętnastu lat...

Wierzę, że przeżył wypadek, ale nie na długo. Zmarł, zanim pan Wiegand miał sposobność pozmienić treści wszystkich dokumentów, jakie pozostawił. Rozumie pani, Korn zdążył poznać megalomanię i chciwość Petera Wieganda. Podejrzał, że wyprowadza on fundusze z Pharos Project. Po wypadku nabrał podejrzeń, że Wiegand dopuścił się sabotażu Pharosa One, żeby przywłaszczyć sobie niepodzielną kontrolę nad całą korporacją. Przez kilka miesięcy po wypadku, tak długo, jak żył, Korn koncentrował się głównie na tym, żeby pozbawić Wieganda wszelkich pełnomocnictw. Naturalnie *Herr* Wiegand mógł rozpocząć oficjalny sprzeciw, lecz pod koniec życia Korn-Pharos Corporation należał do jednej osoby, Dominika Korna... Kiedy więc ów człowiek w końcu umarł na skutek odniesionych w wypadku obrażeń, został wskrzeszony w postaci *wirtualnej*. Jako fałszywy lider sekty rozpowszechniającej fałszywą filozofię. Zresztą wydawał się coraz bardziej preferować pustelniczy tryb życia, a jego oświadczenia, produkowane przez pana osobiście, stawały się coraz bardziej niedorzeczne, więc koncepcja przebywającego daleko odludka, który dopuszcza do siebie jedynie wąski krąg ludzi z najbliższego otoczenia pasowała do całości obrazu. I cóż to za niespodzianka, obdarza Wieganda jako swojego przedstawiciela niemal pełnią władzy.

Peter Wiegand wybuchnął śmiechem.

– Wie pan co, Fabel? Będzie pan musiał poświęcić piekielnie dużo czasu, żeby udowodnić przed sądem cokolwiek z tego, co tu pan opowiada. Nieważne, co pan tam ma na tym gwizdku... – Pogardliwie wskazał na leżącego na stole pendrive'a. – Nie ma pan w ręku żadnych oryginalnych dokumentów ani świadectw. Jeśli zaś chodzi o tamte morderstwa, ze smutkiem muszę stwierdzić, że Baedorf, mój zaufany pracownik, okazał się psychopatą i wykorzystał Biuro Konsolidacji i Dopasowania do swoich własnych celów. Nigdy nie uda się panu udowodnić, że miałem z tym jakkolwiek związek. A co do wypadku Dominika? Tamta sprawa znacznie wykracza poza granice tutejszej władzy sądowniczej. Tak samo zresztą jak sam Dominik, jeśli o to chodzi.

Wiegand wstał, a jego postura i spojrzenie wyrażały bunt.

– Proszę mi wierzyć, że nigdy, przenigdy nie uda się panu udowodnić, że Dominik Korn nie istnieje.

– To prawda – przytaknął Fabel. – Właśnie dlatego może pan wyjść na wolność. Ale na dole czekają na pana pewni ludzie. Przyjechali w nocy z ambasady Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Zdaje się, że jeden z nich pracuje w Departamencie Stanu, drugą osobą jest młoda dama z FBI. Ostatecznie Dominik Korn był przecież obywatelem amerykańskim... Zdaje się, że bardzo im zależy, żeby omówić z panem sprawę miejsca pobytu pana Korna. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że mają ze sobą nakaz *habeas corpus*.

Wiegand gapił się na Fabla, jakby nagle odjęło mu mowę.

– Bo widzi pan – mówił dalej Fabel, bębniąc palcami po egzemplarzu książki *Sędzia i jego kat* – być może rzeczywiście ja nie mogę udowodnić, że Dominik Korn *nie* istnieje, lecz mam nadzieję, że pan, dla własnego dobra, postara się przekonać wszystkich, że jednak tak.

EPILOG

Przez kilka następnych miesięcy Fabel z zainteresowaniem śledził nagłówki artykułów, w których pojawiało się nazwisko Petera Wieganda. Zaczął nawet używać internetu, by na bieżąco śledzić wydarzenia na amerykańskich kanałach informacyjnych. Wiegand stoczył dramatyczną walkę o ekstradycję, ale przegrał, a kiedy luksusowy jacht Korna w końcu zawinął do portu w Maine, amerykańskie władze ustaliły ponad wszelką wątpliwość, że na pokładzie nie ma Dominika Korna.

Tak jak Fabel przypuszczał, Federalna Służba Bezpieczeństwa natychmiast oskarżyła Wieganda o zamordowanie amerykańskiego obywatela poza granicami Stanów Zjednoczonych. Osobiście Fabel nie wierzył, żeby Wiegand faktycznie przyczynił się do śmierci Korna, lecz zdawał sobie sprawę, że amerykańskie władze z pewnością będą się starały doprowadzić do procesu o morderstwo. W miarę postępu śledztwa na jaw wychodziło coraz więcej rewelacji na temat interesów Wieganda. Przeszłości korporacyjne, jak przekonał się Fabel, budziły o wiele większe zainteresowanie mediów niż zwykle morderstwo, więc było wiadomo, że Wiegand raczej nie ma szans ujrzeć blasku dnia poza murami więzienia.

Niemiecka prasa także miała mnóstwo spraw do relacjonowania: Frank Baedorf, szef należącego do Wieganda Biura Konsolidacji i Dopasowania, przyznał się do zorganizowania morderstw Bertholda Müllera-Voigta, Daniela Föttingera i Jensa Markulla, niemniej nie złożył żadnych zeznań, które obciążałyby jego szefa ani żadnych wyjaśnień dotyczących losu Melihy Kebir – vel Yazar, jak sama się nazwała... Szkoda, bo w noc poprzedzającą proces Baedorf popełnił samobójstwo poprzez uduszenie za pomocą plastikowej torby, którą udało mu się przemycić do więzienia.

Były także trzy inne sprawy, które przez czysty przypadek pojawiły się mniej więcej w tydzień po aresztowaniu Wieganda. Po pierwsze, test DNA od spokrewnionego dawcy wykazał, że korpus przyniesiony przez wodę na Fischmarkt nie ma nic wspólnego z rodziną Mustafy Kebira. Po drugie, Polizei Niedersachsen odnalazła ciała dwóch mężczyzn w położonej na odludziu, opuszczonej farmie w pobliżu Cuxhaven. Obaj mieli złamane karki, i to w bardzo profesjonalny sposób.

Trzecia sprawa była najdziwniejsza. Pewien rzeźnik z Wilhelmsburga wkroczył na miejscowy posterunek policji i zalewając się łzami spowodowanymi przez wyrzuty sumienia, przyznał się do zamordowania i rozczłonkowania ciała swojej dokuczliwej żony, której starannie pocięte zwłoki wyrzucił do wody na środku rzeki.

Szczyt GlobalConcern Hamburg rozpoczął się przy minimalnych protestach. Na plenarnej sesji otwarcia minutą ciszy uczczono pamięć Bertholda Müllera-Voigta. Nikt nie wspominał o Danielu Föttingerze.

W pewien bezchmurny, słoneczny dzień Fabel uczestniczył w pogrzebie Bertholda Müllera-Voigta, razem z tłumem największych i najczcigodniejszych obywateli Hamburga. Sam nie był całkiem pewny, dlaczego czuł się tak bardzo zobowiązany, żeby tam pójść. Po prostu zdawał sobie sprawę, że między nim a politykiem wytworzyła się jakaś więź, której istnienia nie mógł zaprzeczyć. Na cmentarzu w Osdorf zaskoczył go widok Tima Flemminga, który starał się trzymać na uboczu. Towarzyszyła mu młoda kobieta – stała z pochyloną głową, zasłaniając twarz rondem kapelusza, ale drżenie ramion świadczyło o tym, że płacze. Fabel nie zdołał się dobrze jej przyjrzeć, ale jej widok przypomniawszy mu pewną fotografię, którą raz przelotnie widział.

Obserwował ich, jak opuszczali cmentarz, jeszcze zanim ludzie zaczęli się rozchodzić, i nawet zastanowił się, czy nie powinien podejść i zapytać o dwóch konsolidatorów, których

znaleziono ze skręconymi karkami.

Zamiast tego postanowił ich zignorować. Zupełnie jakby nie istnieli.

¹ *Nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość zawiedzionej kobiety* – powiedzenie potoczne – przyp. tłum.

² *Niebo nie zna wściekłości takiej jak miłość w nienawiść zmieniona, ni piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona* (William Congreve – *The Mourning Bride*, Zara, akt III, scena 8 – przyp. tłum.)

³ *Bump in the Night*, bardzo popularny serial animowany, który powstał w latach 90. XX wieku.

⁴ *Mollig* oznacza „przy kości”, „puszysty”.

⁵ Waco – miasto położone w centralnym Teksasie, nad rzeką Brazos, gdzie w marcu 1993 roku doszło do zbiorowego samobójstwa i mordu członków sekty Gałąź Dawidowa, której przywódcą był David Koresh.

